



5862

JÓZEF WEYSCENHOFF

BIBLIOTEKA NAUCZYCIELSKA

UNIA

patrz
front ko-
1*

5862
JÓZEF WEYSSENHOFF



UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA

WYDANIE DRUGIE



*Biblioteka jeńców oficerów
were R. 1918.*

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK THE POLISH BOOK IMPORT. CO., INC.

patrzęcy
y front ko-
1*



884-341.2

2.
R. 143
15.3

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
□□ Druk W. L. ANCYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

1912.

— Pojadę nad Niemen i Wilię! — odgrażał się, gdy krnąbrne żywioły w stronnictwie zaczęły się burzyć przeciwko jego powadze.

I pewnego sierpniowego poranka — pojechał. Jakie miał plany? — nie wiedział nikt dokładnie, nawet żona jego Tekla. Niosły go, z pewnością pragnienia płomienne i czyste, program zaś działania miał sobie wyrobić w ciągu akcyi, był bowiem w polityce empirykiem.

Wilno pamiętał, jak przez sen, z dwóch dawnych, krótkich w niem pobytów. Dzisiaj miasto wydało mu się równie cichem, jednak weselszem. Powiew liberalny odświeżył powietrze, ożywił twarze, rozwiązał usta, pozostawił ślad widomy choćby na szyldach sklepów, przemalowanych na dwujęzyczne. A gdy woźnica zwolnił szybkość i odkrył głowę pod łukiem Ostrejbramy, Budzisz wdzięcznie zwrócił oczy ku wielkiemu ołtarzowi Litwy:

— Chwałaż Ci, Panno Niebieska!

Uciszona ulica pielgrzymów, przez którą droga wypada każdemu gościowi do Wilna, zamyka mu usta i pochyla głowę, przejmując odrazu uszanowaniem dla pięknego miasta. Tłumne modlitwy pokoleń rozgrzały to miejsce do atmosfery cudu, szemrzą ciąglem pozdrowieniem anielskiem, zawisły srebrnymi kroplami wotów około Wizerunku, patrzącego miłośnicwie na ulicę. Tylko jasny front ko-

ściola, posunięty ku miastu, graniczący z zasmuconymi murami, zdaje się nosić żalobę na oknach swych, bramowanych czarnym marmurem.

Czuł to wszystko Budzisz przez autentycznie polską skórę, ale, że był człowiekiem czynu, a nie lirykiem, krótkiem tylko »Zdrowaś Marya« wyraził swe wzruszenie.

W chwili, gdy ręka przykłada się po raz pierwszy do zamierzonego dzieła, uczuwa zwykle zniechęcający chłód rzeczywistości, sprzeczej lub nierównej z pragnieniami. Pan Apolinary roił już od miesiąca o szerokich, mównicowych, piorunujących działaniach na Litwie; śnił może nawet o czemś podobnem w wagonie. Ale, ujrzawszy ciche i obojętne Wilno, stracił animusz, zwłaszcza gdy się dowiedział zaraz w hotelu, że niema w mieście najpotrzebniejszych mu osób. Jak tu działać na nieznanym gruncie? jak pokazać, kim się jest?... Pograżony w tych wątpliwościach, udał się tymczasem na posiłek do restauracyi Naruszewicza.

Była godzina piąta popołudniu, pora między obiadem a wieczrą, jednak w sali zastał Budzisz kilka osób. Od jednego stołu, zastawionego butelkami, zerwał się mocno z czerwienioną jegomością i rzucił się w objęcia pana Apolinarego. Był to pan Tytus Pasterkowski, niedoszły kandydat do pierwszej Dumy,

literat i publicysta z Korony, czynny obecnie na misyi w Wilnie. Budzisz oddał uścisk, gdyż znał dobrze Pasterkowskiego i należał do jednego z nim obozu, lecz pomyślał *in petto*, że wolałby na pierwszą rozmowę w Wilnie spotkać kogo innego. Pasterkowski, choć mąż zacny, drażnił go oddawna pewną cechą swej powierzchowności: był do niego trochę podobny. Budzisz zaś, choć już od paru lat gruntownie zdemokratyzowany, wolał nie być podobny do Pasterkowskiego. Ten ostatni, przeciwnie, z równoległości swej kandydatury poselskiej, z niejakiego podobieństwa z Budziszem zdawał się wyciągać chlubę i nadmiernie serdeczną komitywę. Na dobitkę był dzisiaj widocznie podchmielony.

Ale nie było rady: Budzisz usiadł przy stole obok Pasterkowskiego i zapoznał się z jego towarzyszem, panem Fedkowiczem.

— Apolinary Budzisz! dość mówi to imię! — przedstawiał hałaśliwie Pasterkowski. — Lita-wor Fedkowicz, ksiązę pomysłowości litewskiej!

Chuda, nadmiernie giętka postać Fedkowicza, twarz jakby zawiedziona przez burzliwe życie, a jednak żywa i przebiegła w czarnych oczach, wydały się panu Apolinaremu godnemi bliższego przestudyowania.

— Czy dawno w Wilnie? — zagadnął Fedkowicz słodko.

— Zaledwie wysiadłem z wagonu. Przyszedłem coś zjeść, bo przespałem całą podróż razem z porą obiadową.

— Szlachetne zdrowie!

Pasterkowskiemu wydał się wykrzyknik Litwina zbyt poufałym w stosunku do osoby dygnitarza z Korony.

— Praca, panie Litaworze, praca! My tak zawsze: pracujemy dniem i nocą. Nie dziw, że kolega Budzisz skorzystał z rzadkiej okazji wytchnienia. Pewno po jakiej nocnej sesyi w komitecie? co, panie Apolinary?

— Niema się czem chwalić, panie Tytusie.

Wstrzemięźliwość gościa rzuciła pewien chłód na kwitnącą przy tym stole wysoką temperaturę przyjaźni. Pan Apolinary zamówił parę potraw, a dwaj współbiesiadnicy przychlichli, pociągając wina ze szklanek. Wkrótce odezwał się innym tonem Pasterkowski, marszcząc myślące brwi tajemniczo:

— A paragraf sześćdziesiąty zmodyfikowaliście?

— Sześćdziesiąty?... pozostał. Wyborną tu dają salatkę śledziową.

Pan Tytus sapnął trochę niecierpliwie i zwrócił się do Fedkowicza, który tymczasem, ciągnąc namiętnie dym z papierosa, niewinnem, ale badawczem spojrzeniem raz po raz spoglądał na nowo przybyłego.

— Więc, panie Litaworze, możemy koń-

czyć rozmowę, zanim się nasz gość posili. Palmij nam pan studyum o litewskiej bawełnie, tak jak to pan umiesz: cyfry, wyniki i zachęta! Zainteresują się firmy nasze z Królestwa, kapitały popłyną, a ja dodam wstęp o znaczeniu bawełny ze stanowiska wszechpolskiego. Zgoda?

— Studyum już mam gotowe, wynalazki opatentowane. Trzeba mi tylko naradzić się z Eustachym Chmarą o sposobie lansowania akcji. Ja jemu wierzę, bo on ma szczęśliwą rękę.

— I pełną kieszeń — dodał Pasterkowski.

— Dlatego i kieszeń pełna, że ręka szczęśliwa.

Wymienione nazwisko obudziło uwagę Budzisz, który miał właśnie zamiar porozumienia się z tym tuzem litewskim, znajomym mu już z paru gościnnych występów w Warszawie.

— Czy nie wiedzą panowie, gdzie się znajduje obecnie pan Chmara?

— Bóg jego wie, panie łaskawy — odpowiedział Fedkowicz. — Może w Petersburgu, może u siebie w Rarogach. Ale do mnie on zaraz napisze, albo i zjawi się; my tygodnia bez siebie żyć nie możemy.

— Pan dobrodziej zna dobrze Eustachego parę?

— A, panieź mój! Kuzyn przecie: prababka

Fedkowiczówna i przez żonę także pociotek!
Od młodości żyjemy z sobą, jak bracia.

Pana Apolinarego ta wiadomość widocznie przejęła szacunkiem dla Fedkowicza. Zwrócił się do niego poufniej:

— Chmara zawsze tu u was rej wodzi? co?

— Wiadomo: kolos Rodyjski! Jedną nogą oparty o Petersburg, drugą o naszą Litwę. A nogi obie z bronzu, panie łaskawy.

— Żeby tę nogę z Petersburga przeniósł tak do Warszawy... — wtrącił Budzisz.

— Jak zaczniecie rozstawiać nogi Chmary po karcie geograficznej, będzie ich miał wkrótce cztery — zawołał Pasterkowski i rozśmiał się niepomiernie ze swego dowcipu.

Pan Apolinary nie chciał się wdawać w dyskusje polityczne z nieznanym Fedkowiczem i z nazbyt znanym Pasterkowskim; sprowadził więc rozmowę na grunt, na którym ją zastał:

— Przeszkodziłem panom w jakiejś radzie ekonomicznej... zdaje się, o bawełnie?

— Niema już bawełny, jest tylko len, polsko-litewski len! — gadał coraz głośniejszy pan Tytus. — Obecny tu książę pomysłowości litewskiej wypędził bawełnę z rynków europejskich.

— Istotnie, panie łaskawy, len może zastąpić bardzo korzystnie bawełnę we wszystkich jej zastosowaniach. Ja już wyrabiam ze

lnu nie tylko najtańsze tkaniny, ale i watę, i len strzelniczy.

— Uważasz, panie Apolinary? proch ze lnu wymyślił!

— A trzeba jeszcze zanotować, że przy dzisiejszej obróbce lnu odpadają do października i pakuł najlepsze części, bo nasz włóciarnin ma zbyt grube narzędzia i sposoby oddzielania włókna. Odpadki zawierają najcenniejszy materiał przedzalniany!

— Proszę, proszę... — dziwił się pan Apolinary, którego natura ciągnęła do roli i jej produktów, jak rybę do wody.

Ale Pasterkowski przeszkadzał należytemu rozwinięciu teorii Fedkowicza:

— Tak, tak, panie Apolinary. Nie masz pojęcia, co on tu już powymyślał. To jest nasz Newton i Eddison. A wygląda, jak niewiniątko — co? W twoje ręce, panie Apolinary!

Budzisz z początku postawił swą szklanę dnem do góry na znak wstrzemięźliwości od napoju, ale po uporczywych naleganiach spróbował wina, poznał, że dobre, i pił.

— Jak to było, panie Litaworze, z tą prasą bez tłoku? Cha, cha, cha — bajeczne!

— Czy dasz pan wiarę — zwrócił się znowu zachęcony Fedkowicz do Budzisa — że znalazłem prasę hydrauliczną bez tłoku, kiedy raz grałem na harmonijce? O tak — —

Złożył serwetę w kształt, naśladowający mie-
szek ręcznej harmonijki i zaczął wykladać
teorię mechaniczną zdumiewającą. Pan Apo-
linary spoglądał to na serwetę, to na prele-
genta z rosnącym podziwem:

— No dobrze, ale zawsze tłok...

— Niema tłoku, fala wody ciśnie na fale.
Pasterkowski trzął się od śmiechu:

— Fala fale, bałwan bałwana... cha, cha, cha!
Budzisz zawołał niecierpliwie:

— A dajże pokój, panie Tytusiel! Zacho-
wujmy się poważnie. Zatem tłoku, mówisz
pan, niema wcale?

Wykład został przerwany przez wtargnię-
cie do sali czterech młodych mężczyzn, no-
szących się oryginalnie, w długich surdutach
i w czapkach. Rej między nimi wodził ksiądz,
młody i okazały, odmienny od towarzystwa
tylko brakiem wąsów i rozpiętą od góry do
dołu sutanną. Skupili się przy bufecie przed
szeregiem kieliszków, nalanych prostą wódką,
i ujęli każdy za swój z tą namaszczoneą po-
wagą, która cechuje pijącego chłopca.

— Ant swejkatu, brolis!

— Swejkas! ¹⁾

Dźwięki dalszej rozmowy, z wielką obfi-
tością końcówek na as, is i os, przypomniały

¹⁾ — Na zdrowie, bracie!

— Zdrów! (bądź!)

panu Apolinaremu zamierzchłą jego, gimna-
zyalną grekę.

— A to co, dobrodzieju mój, Grecy jacyś?

— Ten znowu paradny! — śmiał się Pa-
sterkowski coraz bardziej pijany — Litwini
przecie! bracia Litwomani, niech ich drzwi
ścisną!

Ktoś ze stojących przy bufecie musiał coś
posłyszeć, bo parę ponurych spojrzeń strze-
liło stamtąd ku stolowi, gdzie siedzieli nasi
biesiadnicy. Zwłaszcza młody ksiądz wychy-
lił w stronę Pasterkowskiego twarz okrągłą
z okrągłemi oczyma, która wśród zwichrzo-
nych kudłów patrzyła, jak głowa rysia, ze-
branego w sobie do skoku.

Fedkowicz zażądał rachunku i zaczął po-
śpiesznie płacić. Pasterkowski protestował, że
należy się jeszcze od niego butelka »rewan-
żowa«. Budzisz skłaniał się też ku wyjściu,
choć go nęciło nowe zupełnie widowisko
»unarodowionych« Litwinów.

Ci zaś zajęli teraz miejsca przy stole bli-
szym i nie przestawali rozprawiać między
sobą po litewsku.

— Śpiewny język — rzekł pan Apolinary.

— A niczego sobie — zgadzał się Fed-
kowicz.

Ale Pasterkowski coraz bardziej wojowni-
czą przybierał postawę, co niepokoiło głów-

nie towarzyszków z jego, nie zaś z przeciwnego obozu.

Tymczasem okazało się, że służący w restauracji nie rozumiał po litewsku, gdyż na różne żądania, wyrażone w tym języku, odpowiadał tylko miną usłużną i bezradną. Wtedy ksiądz odezwał się do służącego:

— Gawariat wam, dajcie kartu win.

Tu pan Apolinary dał stanowcze hasło opuszczenia restauracji.

Gdy już byli na powietrzu, Budzisz przystanął w pozie oratorskiej, pragnąc swe uwagi zakomunikować garstce Polaków. Powiodł oczyma po audytorium. Ale powiew wieczorny zdjął oburzenie z rumianej twarzy Pasterkowskiego i rozmarzył chude, przemysłne oblicze Fedkowicza. Pan Tytus, pozbywszy się nagle troski o sprawy publiczne, zapragnął lżejszych zadowoleń i namawiał na przechadzkę do zakładu Szumana, gdzie obecnie roją się pod drzewami miejscowe i zagraniczne piękności, zanim nastąpi przedstawienie wieczorne. Dodawał, że zna niejedną »bestyjkę«. Fedkowicz, niewinnie i dyskretnie, podzielał zdanie Pasterkowskiego. Ale Budzisz, choć z natury ciekawy studyów obyczajowych, dzisiaj stanowczo odmówił: żywił w sercu, oprócz powagi swej tajemniczej misji, nieufność do towarzyszków. Demokratycznej solidarności nie należy posuwać aż do pospo-

litowania się. Te pobudki sprawiły, że pan Apolinary samotny powrócił do swego pokoju w hotelu.

Tutaj, reasumując pierwsze swe wrażenia z Litwy, doszedł do pewnego niesmaku.

— Miasto po wierzchu »niczego sobie«, jak ten mówi, dobrodzieju mój. Pierwszy Litwin, którego spotkałem, także »niczego«. Ćwik dość gładki. Tylko nie nas z Korony brać na len strzelniczy i na prasę bez łożek! Takich to my mamy lepszych pod Kaliszem... A już ta kompania Litwinów — horrendum! Ciekawym, czy gęsto takie kupy chodzą po kraju?

Spojrzał przez okno na ulicę z niejaką obawą. Ale właściwie chciał się tylko przekonać, czy sklepy jeszcze otwarte. Gdy stwierdził, że otwarte, że nawet ruch się wzmacnia przy zapalonych latarniach, wyszedł powtórnie na miasto, ażeby, skoro do ludzi nie miał szczęścia, odnaleźć innych przyjaciół w gazetach i broszurach miejscowych. Szedł więc przez ulicę Wielką do księgarni Zawadzkiego.

Po drodze lustrował sklepy, niezbyt wystawne, jednak zasobne i rozmaite. Na progach niektórych, starożytnym wschodnim obyczajem, kupcy zapraszali do wnętrza. Byli to Żydzi, mówiący po rosyjsku. Po przypatrzeniu się jednak Budziszowi, odzywali się zaraz po polsku, a nawet z tytułem »jaśnie panie«.

— Nie mógłbym tu zachować swego incognito — myślał pan Apolinary.

Szedł dalej wolno, nie ulegając zaproszeniom, ale baczny czyniąc przegląd domów i twarzy przechodniów, łowiąc w uszy ułamki rozmów. Zwązająca się coraz ulica prowadziła stopniowo do serca miasta, do jego osobliwości poufniejszych. Domy nierównego typu i wieku, kamieniczki przypadkowym gustem stawiane i ozdobione, obok wysokich, wszech-europejskich pudeł mieszkalnych: gdzieś-gdzie mur kościelny lub klasztorny przerywa ciągłość zabudowań, łamie linię ulicy; to znów zaułek wpada w jakieś zagłębienie mroczne, ni to podwórze, ni to przejście publiczne, gdzie światło jednej mętnej latarni polyska tajemniczo na murach ślepych, barwionych starożytną pleśnią, na bruku gruboziarnistym, ubitym żywiołowo przez stopy ludzkie i koła wozów.

Budzisz to wszystko znał, choć nie pamiętał ani planu miasta, ani twarzy murów; wszystko było pokrewne z jego rodzinnymi wspomnieniami. Tu, gdzie pstrokate pospólstwo kamienic, zwarte do szeregu, okazuje mizerne bogactwa sklepów i blade oczy okien, niby boczna ulica Warszawy. Tam, gdzie mur poważniejszy duma o przeszłości, niby Kraków, Lublin...

I zapachy zwykle, przyrodzone poznawał

pan Apolinary, rozróżniając lepsze wonie sklepów piekarskich, owocowych, winnych, korzennych, bławatnych od zaduchu ścieków i zagnieżdżonych brudów żydowskich.

— Jakto u nas — parskał nosem pan Apolinary głośno, jednak z rezygnacją.

Tylko małeńkie, do jazdy wygodnej wcale nie przydatne »drożki« petersburskiego modelu nie zyskały uznania Budzisz, ani dziki ubiór woźniców, ani ich wołania: »Bieregiś!«

Ale z ust parzystych przechodniów płynęła najczęściej prastara mowa rodzinna, przejęta jakąś melodyjną lubością, osobliwa, lecz szlachetna. Mieszkaniec tutejszy nie pchał się naprzód po chodniku, odęty swą godnością, szedł skromnie, ustępując z drogi kobietom i starcom, niósł w całej swej postaci świadectwo natury, zamkniętej w sobie, delikatnej i wrażliwej. Pan Apolinary, instynktowo poznawszy, że ani imponuje tłumowi, ani go zbyt zaciekawia, przyćmił też zwykłą, wymagającą holdu okazałość swej postaci, wymijał spotykanych krajowców uprzejmie, z przychylnym półuśmiechem.

W tem usposobieniu wszedł do księgarni Zawadzkiego, gdzie go ogarnęła odrazu gościnna, intelektualna atmosfera najstarszej z istniejących polskich firm wydawniczych.

II.

— Trzeba tu, panie Apolinary, zrobić porządek. Liczymy na pana.

Pasterkowski nie opuszczał prawie gościa z Korony, podsuwał mu coraz to nowe piśma i osoby do pożarcia. Ale Budzisz nie dobywał jeszcze miecza z pochwy i z niezwykłą wstrzemięźliwością odpowiadał na zachęty Pasterkowskiego.

— Nie, panie Tytusie. Interwiewu ze mną nie będziesz drukował, artykułu wam też nie dam teraz w kwestyi litewskiej. Niedostatecznie jeszcze ją poznałem.

— Co tu poznawać? Dość przeczytać »Głos Litwinów do młodej generacji!«

— Czytałem i różne inne. Co do języka — niech go sobie uprawiają. To każdemu wolno.

— A niech tam. Ależ oni nam na karki wsiadają, panie Apolinary! Żeby im wierzyć, to cała nasza pięciowiekowa kultura za nic tu była, trzeba odkopać ich pogańską kulturę z XIV. wieku.

— Mogą sobie kopać, panie Tytusie. Nic nie znajdą prócz stęchlizny.

— To i ja wiem. Tylko, że oni nie porzestają na kopaniu, chcą burzyć wszystko, co im zawadza. Ten mówi, że Mickiewicz nie był Polakiem, tylko Litwinem, tamten już i Mickiewicza się wypiera za to, że pisał po polsku. Toż dudkom chyba prawie takie herezye! A co im się da odprawę, oni wciąż swoje. Masz pan tu nową broszurę.

— Litwin uparty, panie Tytusie, gdy raz w co polezie...

— Ale w co lezie?!

— No, oczywiście... »Bajki«, jak oni mówią, damy sobie z nimi radę.

Wobec Pasterkowskiego Budzisz nadrabiał miną; gdy jednak sam pozostawał, popadał w przykrą zadumę. Czuł w sobie powołanie do walki z »Litwomianami«, ale nie wiedział, jak się wziąć do nich, zwłaszcza, że ich nie spotykał. Okazało się nawet, że kompania, oglądana w restauracyi, składała się z osób przyjezdnych. W Wilnie gnieździło się podobno kilku przewodców nowego ruchu, ale trudno było do nich pójść i wyzwąć ich po kolei na patryotyczny pojedynek; trudno też i porozumieć się, bo drukowali przeważnie po litewsku i na zebraniach swych używali tego języka. Pozostawała panu Apolinaremu zabawa z bibulą, drukowaną po polsku, ale...

tymczasem łykał ze wstrętem, z powodu formy i treści.

— Zdaje mi się, że oni umyślnie tak obrzydliwie piszą po polsku. aby zohydzić nasz język — o! — stuknął się w czoło pan Apolinary.

Rzeczywiście niektóre broszury i artykuły, pisane zaledwie dla Polaka zrozumiałą polszczyzną, mogły być posądzone o taki zamiar podstępny.

I w treści mnóstwo napotykał niespodzianek. Projekty w rodzaju tego, aby napisy na Ostrejbramie dawać nie po polsku, lecz po litewsku, podawali autorowie o nazwiskach czysto polskich, po których spodziewać się było można innych zgoła tradycyi i działań.

— Wieża Babel, dobrodzieju mój!...

Łaknął powiadomień i objaśnień, więc przede wszystkim spotkania z Eustachym Chmarą. Potrzebował też innych adjutantów, niż Pasterkowski — i tu poradził sobie niezgorzej. Pamiętał, że syn pana Jana Rokszyckiego, Kazimierz, wybiera się na Litwę dla studyowania lnu. Wysłał depezę, donoszącą Rokszyckiemu o spotkaniu specjalisty od lnu, Fedkowicza, i otrzymał odpowiedź, że Kazimierz przyjedzie niebawem do Wilna. Młody to człowiek, nie polityk, ale głowa dobra; no i raźniej będzie w zupełnie swoim towarzystwie.

Tymczasem zaś gotował się do akcji, umy-

ślił bowiem położyć tamę zalewowi litwomani za pomocą odczytu, który wygłosi o unii Litwy z Polską. Regularnego odczytu nigdy jeszcze nie próbował, ale porwać wymową salę, ba nawet tłumy, było mu nie pierwszą.

Pan Apolinary liczył na płomienne powołanie, które odnalazł w sobie nagle przed paru laty, na swoją gwiazdę. Tak — wygłosi odczyt o Unii... Szkoda, że do 500-tnej rocznicy Horodła jeszcze kilka lat... Tak długo czekać nie można — zachodzi pilna potrzeba.

Przygotowywał się więc gorliwie. Siedział w księgach i broszurach i tego dnia, na który przyjazd swój zapowiedział Kazimierz Rokszycki.

Z radosnem uczuciem powitalnem posuwał się pan Apolinary ku drzwiom, do których zapukano dyskretnie. Ale na progu ukazał się mężczyzna starszy, bardzo wysoki, wcale nieznamy.

— Czy Apolinary Budzisz? — zapytał lakonicznie gość.

— Tak jest, do usług.

Z potężnych bar, pochylonych, zdawało się, nie przez trud wieku, lecz przez zwyczaj spoglądania z wysokości, wynurzała się do pana Apolinarego wielka głowa jasnowłosa z rozrzuwionemi zagadkowo oczyma.

— Syn Franciszka? — badał dalej dobroliwy olbrzym.

Pan Apolinary potwierdził znowu i patrzył, tracąc swą przyrodzoną fantazyę pod wpływem ciekawości i magnetycznego spokoju, bijącego od ogromnej postaci gościa.

— Poznać to mnie nie możesz, kochany...

Budzisz zachnął się trochę na taką pufalność, pierś wydał, a twarz pochylił, uwydatniając skupienie myśli przez fałd podbródka. Jakiś zapomniany kolega szkolny, czy co? I rzekł po chwili:

— Ale z kimże nareszcie mam zaszczyt?

— Jestem Hieronim Budzisz.

— Budzisz?!

— A tak, kochany. Z linii litewskiej, syn także Hieronima, wnuk Michała. Wypadasz mnie stryjecznym wnukiem.

Teraz dopiero pan Apolinary roztajał i postąpił żwawo ku krewnemu, natężając instynktowo mięśnie, aby sprostać uściskom olbrzyma. Ale stryjeczny dziad objął lekuchno wnuka i przychylił delikatnie szorstką twarz do pocałunku.

Apolinary usadowił Hieronima na fotelu. Dwa dojrzałe owoce szczepu Budziszów herbu Paparona oglądały się nawzajem, radując oczy rozdwojonym z jednego pnia rozkwitem.

— To mieszkasz, dobrodzieju mój, w Wyżsonach?

— W Wiszunach — poprawił Hieronim.

— A dzieci już dorosłe?

— Jedną mam córkę, Aldonę. Lat dwa-dzieścia.

— A ja jednego syna.

— Wiem, Jan jemu na imię; w szkołach jeszcze.

— A tak, dobrodzieju mój. Widzę, że interesują cię losy naszej rodziny. Ale mało już nas, Budziszów-Paparonów, na dawnym obszarze Rzeczypospolitej!

— Mało nie mało. Na Litwie samej są jeszcze dwa domy, oprócz mojego.

Pan Apolinary potakiwał w milczeniu, nie będąc zupełnie pewny imion Budziszów litewskich, odłączonych jeszcze w końcu XVII. w. od pnia koronnego. Pan Hieronim wyliczył powoli, sumiennie wszystkich przedstawicieli swego nazwiska, na kuli ziemskiej istniejących, z krótką o każdym wiadomością historyczną. O Apolinarym był tak dobrze powiadomiony, aż zawstydził krewnego, który nie mógł mu wypłacić się wzajemnością.

— Ależ jesteś prawdziwym skarbnikiem pamiątek naszych Hieronimie dobrodzieju!

— Wiele ja tobie jeszcze pamiątek pokazę, bracie Apolinary.

— A to jakich?

— Obaczysz, gdy przyjedziesz do Wiszun.

— Radbym serdecznie, dobrodzieju ko-

chany, nie wiem tylko, czy mi moje zajęcia pozwolą.

— Toż byłby grzech, gdybyś nas nie odwiedził. Zajęcia masz tutaj? wszak prawda?

— Ma się rozumieć. Przyjechałem do was, na Litwę, aby się z wami porozumieć i naradzić o przyszłości. Czekam na parę osób w Wilnie.

Hieronim kiwnął głową łagodnie i oczy odwrócił obojętnie, jakby na znak, że dopytywać się nie chce. Ale Apolinary intuicyjnie dojrzał w litewskim pobratymcu źródło powiadomień pewnych, wcale nie w rodzaju Fedkowiczowskich. Pośpieszył je wyzyskać:

— Czekam głównie na Eustachego Chmarę. Przecie to jeden z najruchliwszych u was ludzi?

— Wiadomo.

— I ma wielki wpływ na sprawy krajowe?

— Wiadomo.

— Coś nie chcesz, Hieronimie dobrodziejku, udzielić mi swej opinii o Chmarze?

— Skoro sam wiesz, kochany, tak cóż ja powiem? A chcesz jego spotkać, wszak on u siebie w Rarogach, o trzy mile od Wiszun.

— Doprawdy? To może i wiesz, czy tam ma pozostać, czy wybiera się do Wilna?

— Teraz on tam, bo w przyszłym tygodniu nasz zjazd rolniczy u niego.

— A cóż mi Fedkowicz powiedział, że Chmarę sprowadzi jutro depeszą do Wilna?

— Fedkowicz Litawor?

— Aha.

— Pan Litawor może się omylił. Ja wiem, bo przedwczoraj widziałem Chmarę.

— To cenna dla mnie nowina. I zjazd ziemiański radbym bardzo zobaczyć.

— Przyjedź do Wiszun, to i razem pojedziem do Rarogów.

— To się składa wybornie, Hieronimie dobrodziejku.

W tej chwili zapukano do drzwi energicznie, i po zwykłym »proszę« wszedł do pokoju piękny mężczyzna, jaśniejący młodą siłą.

— Kazik! — zawołał pan Apolinary z akcentem niemal rodzicielskim i ucałował syna przyjaciela w aksamitne, krótko strzyżone włosy, podczas gdy Rokszycki schylił się do jego ramienia.

Zapoznał następnie Kazimierza z Hieronimem. Litwin przywitał się uprzejmie, ale w milczeniu i nie okazując pozornie chęci bliższego poznania nowego gościa z Korony. Przeciwnie Rokszycki z otwartą ciekawością przyglądał się niepospolitemu okazowi litewskich Budziszów. I Apolinary nie mógł powstrzymać swej serdecznej wymowy:

— Trafiasz, Kaziu, na uroczystość familijną skojarzenia dwóch nie znających się dotąd

przedstawicielei naszego rodu. Brat Hieronim potężnie przedstawia gałąź litewską, co?

Kazimierz uklonił się powtórnie z uprzejmym uśmiechem, a Hieronim rzekł żwawiej, niż dotąd:

— A toż panowie raczej jesteście osobliwościami na Litwie. My tu wszyscy jednakowi.

— Skoro tak, to górą Litwa! — zawołał pan Apolinary i ponownie uściśkał krewnego.

— Czy zastałem jeszcze w Wilnie pana Fedkowicza, o którym mi wuj doniósł? — zapytał Kazimierz Apolinarego.

— Jest. Wczoraj jeszcze nakładł mi w uszy tyle lnu, żem ledwie nie ogłuchł.

— Zajmują go głównie przeróbki lnu, o ile zrozumiałem z depeszy?

— Len wogóle, dobrodziejku mój. Historia lnu, przyszłość lnu, uprawa, zastosowania...

— Więc i uprawa?

— Naturalnie. Tylko mi się zdaje, że on sam lnu nie produkuje. Czy ma posiadłość ziemską? Wiesz może, panie Hieronimie?

— Nie ma.

— To szkoda — rzekł Kazimierz — ja chciałbym także obejrzeć najlepsze pola lnu, zbiory, moczenie, mędlenie. Zajmuje mnie, oprócz wyrobów ze lnu, także sama roślina i włókno.

— Tedy trzeba panu jechać w nasze strony, gdzie królestwo lnu.

— To jest dokąd, jeżeli wolno spytać?

— Oł, choćby do Wiszun.

Pan Apolinary zawołał rozpromieniony:

— A to widocznie opatrnościowe spotkanie! Przyjeżdża nas tu dwóch na Litwę z rozmaitymi zamiarami, szukamy wiatru w polu, dobrodziejku mój, a to, czego szukamy, leży zebrane w jego siedzibie, w Wiszunach! Ja tam jadę, Kaziu.

— Przyjeďte panowie obaj — odezwał się Hieronim.

Rokszycki odpowiedział ceremonialnie:

— Poczytałbym sobie za zaszczyt poznać pańską siedzibę.

— To pan i poznaj. U nas bez fanaberyi, panie łaskawy, obyczaj stary.

— Przyjmujemy zaproszenie obaj — rzekł śpiesznie pan Apolinary. — Kazimierz to syn przyjaciela, sam przyjaciel i najlepsza krew nasza.

— Ja nie wątpię, kochany. Nazwisko znam z ksiąg, a osobę rad jestem poznać.

Po ustaleniu koneksyi, komitywy i zamiarów urosło wzajemne zadowolenie. W Hieronimie można je było zauważyć po krótkim pociąganiu nosem i nikłych przebłyskach uśmiechu. Dwaj zaś koroniarze coraz radośniej stwierdzali, że losy ich wyprawy na Litwę

skupiają się około osoby i siedziby Hieronima Budziszsa. W ciągu rozmowy coraz nowe czyniono odkrycia.

— To mówisz, bracie dobrodzieju, że ruch litewski trzeba także zobaczyć tam, gdzie czyni największe postępy, około Wiszun?

— Ja mówię, że mieszkamy pośród ludu czysto litewskiego.

— Więc gdzie najwięcej ludu litewskiego, tam i najgorętszy ruch być musi?

— Lud jest, ale ruchu to jakby nie było. Ot, jaka sztuka.

— Więc pan jest zdania — odezwał się Kazimierz — że ruch młodo-litewski jest wywołany sztucznie?

— Wieleby o tem gadać. Obaczycie na miejscu. A już najlepiej to wam opowie moja córka.

— Zajmuje się ludem?

— My zawsze z ludem. Tylko, wiadomo, młodzi po swojemu...

— Pannę Aldonę zostawiłeś w Wiszunach?

— Jest ze mną w Wilnie. Chodzi po mieście i robi pokupki.

— A tożbyśmy pomogli! — zawołał wesoło Apolinary, podczas gdy Kazimierz wstał z krzesła i spojrział przez okno, aby ukryć napad śmiechu.

— Jej pomagać nie trzeba; umie sobie radzić. Wróci do domu, gdy skończy... »zakupy«—

odrzekł uważny Litwin, wyciągając z kieszonki zegarek.

— A gdzie mieszkanie?

— W jednym z wami hotelu.

— Oddawna?!

— Od wczoraj, kochany. My tu, Budziszowie, zawsze stajemy kwaterą. Służba powiedziała wczoraj, że jest w hotelu Budzisz Apolinary, tak ja przyszedłem dzisiaj poznać się.

— Błogosławiony wypadek, panie Hieronimie! Możemy wszyscy razem spotkać się na kolacyi?

— Wiadomo, wieczerzę można zjeść razem.

Rozstano się na parę godzin. Po wyjściu Hieronima Kazimierz pozostał w pokoju Apolinarego.

— A co? — rzekł pan Apolinary — jakże ci się podoba pobratymiec?

— Pyszny Litwin, wuju, i może rozumniejszy, niż się zrazu wydaje.

— Może być. U nas, Budziszów, rozum zwykle bardziej w głębi leży, niż po wierzchu, dobrodzieju mój.

— Ależ tamten wcale do wuja niepodobny.

— Prawda, że to już około trzech wieków... Zawsze jednak pozostał w nas jakiś typ wspólny, familijny, co?

Stali we środku pokoju, więc pan Apolinary zwrócił się do lustra, zawieszzonego nad

komodą, i pociągnął za sobą Kazimierza. Wydał pierś i spojrział na swój konterfekt wprost, okazały i zamaszysty. Potem odwrócił się trochę bokiem, przyczem zajaśniał w lustrze fragment sporej łysiny.

— Tak, obaj już postarzeliliśmy.

Gdy to mówił, stosując uwagę do Hieronima, spojrział na sąsiadujące w lustrze odbicie postaci Kazimierza Rokszyckiego. Ten stał z rękoma w kieszeniach spodni, prosty, jak trzcina, wyższy o pół głowy, a na czerwonych ustach, wśród lekkiego, jedwabnego zarostu igrał mu uśmiech pogodnie wyzywający.

— Nie płacz mi się tutaj, smyku! — zawołał Budzisz, dając przyjaznego szturchańca w bok Rokszyckiemu.

Kazimierz przegiął się i odskoczył elastycznie.

— Porównywałem, o ile wuj podobny do tego litewskiego smoka. Ani trochę. Wuj jest dużo misterniejszego rysunku, wygląda młodziej i tak coś, coś...

— No, no! dosyć! schowaj swoje komplimenty. A teraz ruszaj sobie, gdzie chcesz, a ja się zdrzemnę, aby świeżej wyglądać przy kolacy. Będziemy z damą, pamiętasz?

Wieczorem, w osobnym pokoju restauracji, siedzieli już pospołu dwaj Budziszowie, po wódce przegryzając litewską, smakowitą, pachnącą jałowcem wędlinę, gdy weszli ra-

zem Kazimierz z Aldoną, widocznie zaznajomieni: za drzwiami słychać już było ich zmieszane głosy. Tu po raz pierwszy ujrzał kuzynkę pan Apolinary.

Wzrostem tylko wysokim i bujnością postaci przypominała ojca; ale bujność ta była zgrabnie ograniczona przez rozkwit pierwszej młodości. Rysy twarzy miała do ojcowskich niepodobne, ożywione i przyjemne; usta ścigała w różowy, ruchliwy ryjek między fałdami dowcipnego uśmiechu; a gdy ryjek ruszał się i mówił śpiewnie, oczy dośpiewywały akompaniament, oczy wcale zalotne, otoczone chmurką.

— Już wczoraj widziałam kuzyna, gdy wychodził z księgarni — rzekła rezolutnie, pomijając formułę przedstawienia, i wyciągnęła dłoń do Apolinarego.

Powstał żwawo z krzesła pan Apolinary, przetaił wąsy i ujął w obie dłonie podaną rękę:

— Widziałem, widziałem i ja, ale czyż się mogłem spodziewać, że ta piękna panna jest moja... synowicą...

— Ona tobie wypada ciotką, Apolinary — odezwał się Hieronim.

— A niech-że cioci dobrodziki rączki ucałuję!

Przystąpił zapalczywie do tego aktu usza-

nowania, aż Aldona zarumieniła się, cofając bezskutecznie rękę z pobratymczych kleszczów.

Ale odzyskała niebawem swobodną pewność siebie, zwłaszcza w rozmowie z ojcem i z tak zwanym »kuzynem« Apolinarem.

Do Rokszyckiego zwracała się szeptem, z zaakcentowaną godnością, niby obrażona. Nie było za co: Kazimierz spotkawszy ją przed godziną na kurytarzu z ojcem, przedstawił się, a teraz wskazał jej uprzejmie drogę do pokoju, gdzie oczekiwała starszyzna. Ale panna Budziszówna znajdowała się w tej fazie życia, gdy, przed rzuceniem się w objęcia wybranego mężczyzny, daje się poznać każdemu możliwemu kandydatowi swą wartość i wyjątkowość. Im bardziej Kazimierz był podobny do idealnego wybrańca, tem bardziej Aldona, jedynaczka z zamożnego domu, mająca rzekomo wybór w kwiecie młodzianów z nad Wilii, zbroiła się w godność, zamiast we wdzięk. Że jednak wdzięk trzeba było okazać koniecznie temu ładnemu (a zapewne zdradliwemu!) koroniarzowi, Aldona kładła w swe słowa, zwracane do ojca, różne słodkie ponęty, osobą zaś pana Apolinarego zdawała się przejmować sympatycznie. To wszystko, aby dowieść Kazimierzowi, jaką potrafi być — dla innych.

Rokszyckiego zaś raczej bawiła, niż zasnucała taktyka panny Budziszówny. Do-

świadczący, jako mężczyzna i nie byle jaki, starszy zresztą o jakie lat ośm, odgadywał łatwo, że się podoba Aldonie, że ona naiwna — to dobrze — i trochę prowincjonalna — to gorzej. A dalej... jak każda dusza cudza, zwłaszcza panińska, uwieczona w gorsecie konwencyonalności — nieskończoność zagadnień. Ale przypatrywał się jej przyjemnie: była zajmująca.

— Kiedy kuzyn poznał się z naszym ludem w Wiszunach — mówiła do Apolinarego — to i odrazu zmiarkuje, jaka w nim jest siła żywotna i popęd do kultury. Wszak kuzyn i w Królestwie przedstawia stronnictwo przyjaciół ludu?

— Tak, kuzynko miła. Działo się tam trochę, a już na lud specjalnie.

— Ach! na lud działają panowie? My tu z ludem pracujemy, my chcemy zespolenia z ludem.

— Jest duża różnica, kuzynko. Tam zespolenie wynika naturalnie z tego, że jesteśmy jednej rasy, mówimy tym samym językiem. A tu ostatecznie — obcoplemieńcy.

— Ach! jak można tak mówić, kuzynie?! My tu przecie wyrosliśmy z jednej gleby.

— Ale nie z miejscowej kultury — wtrącił Rokszycki.

Aldona spojrzała na niego prawie przez ramię i rzekła zimno:

— To jest właśnie anomalia.

— Przepraszam; to jest bardzo starożytny i dla Litwy zbawienny akt historyczny. To jest Unia, proszę pani.

— Ojciec mi mówił, że pan się zajmuje głównie lmem, a widzę, że i polityką.

— A no, nie można ciągle siedzieć przy wrzeczonie. Pani jest chyba tego samego zdania?

Aldona zaczerwieniła się. Hieronim Budzisz wmieszał się do rozmowy:

— Oł, i znowu podniosłaś kwestyę. Jedzmy spokojnie; »bulon« wyborny.

— Ach, bo papa... Ja myślałam, że panów... to jest kuzyna zajmuje kwestya litewska.

— Muszę się ująć za Aldoną... za panną Aldoną, za kuzynką — rozpoczął Apolinary.

Z niespodziewanem ożywieniem przerwał mu Hieronim:

— Oł, o czem mówić: nazywaj ty »błaźnicę«¹⁾ taką po imieniu, choć i wypadasz jej synowcem. Poznajmy się lepiej, a już tam kiedyś powrócimy do kwestyi.

Pan Apolinary z wdziękiem ujął kieliszek:

— Pozwól, kochana Aldono, że zamienimy

¹⁾ »Błażen« i »błaźnica« — przydomki, używane na Litwie, jako równoznaczne z pospolitymi w Królestwie: »smarkacz« i »smarkata«. Z dwojga nie wiem co trywialniejsze.

role na właściwsze: pozwól sobie mówić po imieniu, a nazywaj mnie wujem.

Nowy wuj mówił tak słodko, z tak stosownym gościem, z tak młodym jeszcze zapalem, że Aldona odpowiedziała zupełnie szczerze:

— Ach, z największą przyjemnością.

Odnowiono komitywę przez ogólne trącanie się szklankami. Nawet Aldona trącała o szklankę Kazimierza, i skrzyżowały się dwa uśmiechy: jego niby poddańczy, jej niby ironiczny.

W dalszym ciągu toczyła się rozmowa głównie między Aldoną i Apolinarym, który wstał od wieczerzy zupełnie zawojowany przez świeżą synowicę.

III.

— Czy są konie z Wiszun?

Milczenie przeciągłe zaległo po tem zapytaniu, rzuconem przez pana Apolinarego z tylnych schodków małego dworca kolei żelaznej. Między drewnianym budynkiem stylu urzędowego i parkanami jednej z nim maści, na zabrukowanym dziedzińcyku stało kilka furmanek, a raczej małych skrzynek, rozwar-tych ku górze, wypchanych sianem, zaprzę-żonych każda w jednego niepozornego konika, pod półobręczą »duhy«. Nie mogły to być furmanki z Wiszun, wysłane dla przewiezienia oczekiwanych gości.

— Spóźnił się zapewne furman boćwina — niecierpliwł się Apolinary.

Kazimierz Rokszycki tymczasem gwizdał, strzelając wesoło oczyma po widniejących opodal pagórkach, pokreślonych różnobarwną szachownicą zbóż, ubranych w górne i wę-
dolne gaiki.

— Zamiast gwizdać, Kaziu, lepiejbys za-

kręcił się po tej zakazanej stacyi i dowie-
dział się, gdzie u kaduka są, czy będą konie
dla nas?

— A prawda... Przecie depeszę sam wy-
słałem wczoraj rano, tłómacząc najdokładniej,
że przyspieszamy nasz przyjazd. Trzeba się
dowiedzieć, kiedy odesłano depeszę.

Poszedł do kancelaryi zawiadowcy i po
pięciu minutach powrócił do pana Apolina-
rego, zanosząc się od śmiechu.

— Wie wuj... to przecie wysoka humory-
styka!... oddano mi moją depeszę z grzeczną
propozycją, abym ją odwiózł sam, jeżeli jadę
do Wiszun! Ja im tłómaczę, że to właśnie
mój telegram z prośbą o konie na dzisiaj,
a jakiś Olimpijczyk, pijący herbatę w rozpię-
tym mundurze, objaśnia mi w języku pań-
stwowym, że trudna rada: nie było sposo-
bności.

— Do kroćset dyabłów! — zaklął pan Apo-
linary — gdzie ten urzędnik?

— Co nam po urzędniku, wuju? Koni trzeba
szukać do najęcia.

Posługacz kolejowy, rosły, ale miękki chłop,
gawronił przed siebie z podniesioną głową,
jakby oczekiwał cudownego zjawienia się
skądś powozu. Po dłuższej obserwacji ho-
ryzontu doszedł nareszcie do przekonania:

— Musi, kolaski nie będzie...

— A to... to poszukajże gdzie, osle jeden...

bracie, jakiej bryczki nie pogańskiej do najęcia! — zaperzył się Budzisz na dobre.

Posługacz aż ugiął się przed tą energią wymowy, ułożył jeden na drugim dwa kuferki, które trzymał dotychczas w ręku, aż oba z hukiem stoczyły się po schodkach, naprawił swą niezgrabność, zdjął czapkę, aby lepiej podrapać się w głowę, i, westchnąwszy, rzekł:

— A to ja zbiegam do »uradnika«, ci on nie da swojej kałamaszki? Szyrooka, panie, arszyna półtora.

— A zbiegaj, dobrodzieju, zabiegaj, podbiegaj, byleś znalazł. Rubla ci dam, jeżeli wyszukasz możliwą furmankę.

Posługacz rzeczywiście pobiegł, uginając bardzo kolana, w kierunku kilku domów, stojących dwieście kroków od stacyi.

Budzisz i Rokszycki pozostali na miejscu w oczekiwaniu i teraz dopiero spostrzegli, że przygląda im się uważnie kilku włościan miejscowych. Ciemne ich kurty z samodziału, buty do kolan, płaskie czapki, używane na całej przestrzeni ziem polskich — nie naznaczały tego gminu jakąś miejscową odrębnością etnograficzną. Ale twarzy ich niepodobna było nazwać gminnymi: tchnęły głęboką uczuciowością; śpiewało coś w tych duszach tajemniczego, a pogodny spokój, bijący z oczu, przemawiał uszanowaniem.

Budzisz zapałzył się na te twarze i zaraził się od nich spokojem. Nie wybuchnął nawet, gdy posługacz kolejowy powrócił bezradny i oznajmił, że »uradnik« pojechał w swej szerokiej kałamaszce na kiermasz.

— Trzeba brać, co jest — rzekł Rokszycki.

I zakrzętał się około zdobycia jakiegokolwiek wózka. Okazało się, że te, które stały na dziedzińcu, były do najęcia, a woźnice ich i właściciele od pół godziny już przypatrywali się poszukującym furmanki, nie proponując im swych usług.

Budzisz i Rokszycki obejrzeni wózki. Na jednym zmieścić się we dwóch razem z kuferekami było niepodobniństwem; postanowiono zrazu jechać osobno. Ale trzy mile drogi (jedni mówili: dwie, inni cztery) bez słodkiej gawędy wydały się obu towarzyszom nieznośnemi, więc, gdy Budzisz usadowił się już na głównem siedzeniu jednego z wózków, Rokszycki spróbował usiąść obok woźnicy, odwrócony od konia, i zapewniał, że siedzi bardzo wygodnie. Na drugim wózku umieszczono cały bagaż — i tak ruszono w podróż.

Srodze zadudniała kałamaszka po bruku, aż ciepłe mrowie poszło po krzyżu pana Apolinarego, ale skoro wyjechała na drogę polną, przyrodzoną, potoczyła się gładko i nadspo-

dziewanie szybko. Niepozorny w spokoju, kłępy kuc żmudzki okazywał się zycznym koniem pociągowym: drobił tęgim klusem po równej drodze, wspinał się energicznym stępem na pagórki, a schodząc z nich, trzymał dzielnie na zadzie kałamaszkę, obciążoną trzema ludźmi, dławiąc się pod wysoką duhą, która zsuwała mu się aż pod uszy i wienczyła aureolą męczeńską głowę jego drobną, obowiązkową, z przymkniętymi boleśnie oczami. I znowu biegł, jak najęty, jak gdyby nigdy nic...

— Tęgi fornal, dobrodzieju mój! Widać Pan Bóg stworzył tutaj konia żwawego, żeby dopełnić człowieka, który ledwie się rusza — mścił się jeszcze pan Apolinary na Litwinach za doznane niepowodzenia na stacyi.

Kazimierz zaś nie żywił najmniejszej urazy do ludzi, ani do pięknego kraju, który poznał. Aby ulżyć zycznemu koniowi, zeskakiwał, gdy droga szła stromo pod górę, albo przepastnie z niej się staczała. Postępował pieszo, to znowu w biegu wskakiwał na wózek zwinnym obrotem swych młodych nóg rozhulanych. Czasem urwał kłos przydrożnego zboża i okazywał go panu Apolinaremu; dziwili się dobrej ziemi i tłustym plonom. Czasem gałąź drzewa przyciągnął do siebie i oglądał liście z zaciekawieniem botanika.

— Oto, co tak pachnie, wuju, czem ciągle oddychamy: czarna olcha.

— A to dobre drzewo, myślisz?

— Nie wiem. Ale bujne, niech wuj patrzy, i pachnące.

— Powietrze tu wyborne — rzekł Apolinary — choć trochę zimniej, niż u nas o tej porze i przy tak pogodnym dniu.

— Bo i Bałtyk niedaleko.

— Prawda, że Bałtyk... Ale i tutaj po kraju mnóstwo wody. Tam... patrz, co za jezioro!

Kazimierz siedział odwrócony od konia, więc, aby dojrzeć to, co Budzisz wskazywał przed koniem, okręcił się żywo na swem miejscu, nogę jedną opierając na hołobli. A Budzisz powstał i oparł się o ramiona woznicy. I patrzyli obaj rozjaśnionymi oczyma.

Ze wzniesienia, na którem się znajdowali, widać było rozległą, stalowo-błękitną taflę jeziora, ujętą we wzorzystą ramę brzegów zielonych niżej, a płowych, rudych, złotawych na pagórkach. Przejmująca rzewność i słodki zapach były od wielkiej wody.

Pierwszy Apolinary wrócił z błękitów do chwili bieżącej, zauważywszy, w jak niewygodnej pozycyi siedzi Kazimierz.

— Ależ ty, biedaku, siedzisz, z przeproszeniem, jak pies na płocie!

— Nigdy wspanialej nie podróżowałem, wuju. Co mi tam wygodnym powozem jechać po naszej mazowieckiej równinie przez szare, nagie pola, gdzie całą ozdobą wałczą się chata,

chudy białodrzew i komin fabryczny! Tutaj to kraj, co kwitnie, gada, zaprasza, kocha...

— A toś mi się rozmarzył, chłopcze! Już cię tu kochają? co?

— Mówię o kraju. Pierwszy raz tu jestem, a czuję się u siebie. Pól tych nie znam, ale uprawne są po naszymu; chłopca nie rozumiem, ale to nasz brat. A niech wuj spojrzy na ten dwór przy jeziorze, czy nie naszego typu? A tamten kościół daleko, na górze? Cóż to innego być może, jeżeli nie polski wiek ośmnasty?

— Znaczny kościół, dobrodzieju mój. Ciekawym, jak się miejscowość nazywa.

Rokszycki sięgnął do kieszeni, dobył z niej coś, pochylił się nad tym przedmiotem, ukrywając go od Budzisz, i po chwili odezwał się do woźnicy po litewsku:

— Ar tamsta ne žyna, kur szita bažnicza?

— Ne žynu, panajtis ¹⁾.

— A ty skąd umiesz po litewsku? — spytał Budzisz Rokszyckiego.

— Ze słownika — odrzekł śmiejąc się Kazimierz, odwrócił się i podał książeczkę panu Apolinaremu.

— Proszę, proszę... toś się wybrał, widzę, na podbój Litwy.

¹⁾ — Czy nie wiecie, gdzie ten kościół?

— Nie wiem, panicz.

— Nie na podbój, ale muszę się porozumiewać z ludem.

— Masz rację; i mnieby się to przydało. Tymczasem woźnica przemówił niespodziewanie po polsku:

— Panicz pytasz o ten kościół na górze?

— Właśnie.

— Kościół widny w Wiszunach.

— To do Wiszun już niedaleko?

— Daleko, pan. Prosto jechać nie można: jedna jeziora, druga jeziora... Zimą to wiorst dziesięć, a latem dwadzieścia.

Podróżni ucieszyli się, że mogą rozmówić się z woźnicą choć łamaną polszczyzną, i zdziwili się zarazem, że chłop ani pary dotąd z ust nie puścił, choć już ujechało kilka wiorst.

— Dyplomata, widać — szepnął pan Apolinary — nawet się nie zdradził, że rozumie po polsku. Nasz Mazur jużby nas był zapoznał z całym życiem swoim i rodziny.

Wjechali w ulicę wioski niewielkiej, ale radującej oczy. Piękne chaty ze sporemi, rzeźbą otoczonymi oknami, z krytymi ganekami, tonęły w zieleni sadów. Naprzeciw chaty stał zwykle »świren« ¹⁾, także ozdobiony i z przyźbą wspartą na słupach. W kwietni-

¹⁾ Śpichrz. — Wyraz polski miejscowy, nie pochodzący z rosyjskiego, ani z litewskiego języka(?).

kach przydrożnych sterczały malwy i słoneczniki wśród zarostów niższego ziela, szerzącego po wsi dobrą woń mięty i pachnących groszków. Patrzyły tu i owdzie od progów jasne głowy kobiet i dzieci, wesoło senne. A u obu wylotów ulicy, i tu jeszcze, i tam dalej na rozstaju, wznosiły się błękitne i czerwone, błogosławiące okolice ramiona krzyżów.

— Jak u nas wszędzie — mówił Kazimierz — tylko lepiej, czysiej, bogaciej... W pięknym kraju mieszka synowica wuja.

— Tę cię przyłapał, Kaziu. To w tym kraju mieszka tylko Aldona dla ciebie? A Hieronim? a len?

— Wszystko razem, wuju. Nic dziwnego że w takiej ramie widzi się raczej postać młodą i świeżą... Zresztą spotkaliśmy przed chwilą ładną dziewczynę trochę podobną... Wuj nie zauważył?

— Owszem, ale nie pomyślał o Aldonie. Rokszycki zagadał sprawę:

— Co do lnu, to mi się zdaje, że tylko włościanie go uprawiają. Proszę spojrzeć: same małe działki przy wsi. A tam dalej, gdzie pola większe, nigdzie lnu nie widać.

— Wiesz co, Kaziu? — przerwał zniemacka Budzisz — zdaje mi się, że czujesz powołanie do tego kraju. Ożeń się z Aldoną i siej len w Wiszunach!

— A to paradne! Ona się w wuju kocha,

a ja mam się z nią żenić? Dziękuję za łaskę!

— Kocha się we mnie, mówisz? — uśmiechnął się Budzisz, któremu ten żart pochlebił. — Kiedy tak, to ja ją skaptuję, a ponieważ z moją Teklą rozwodzić się nie myślę, więc Aldonę wyswatam za ciebie, aby biedactwo chociaż w sąsiedztwie mogło mnie oglądać.

— Nie, wuju. Bez żartów, ja przyjeżdżam tylko dla studyów technicznych. Proszę mnie nie swatać.

— Jak sobie chcesz... To ci się nasza litewska Budziszówna nie podobała?

— Owszem; ładna panna, mądra. Trochę za mądra — wyrokuje nadto o sprawach społecznych. Ale co tam! drobiazg. Owszem, bardzo zajmująca panna.

— A zatem, dlaczegożby?...

— Dlatego, że nie.

— Pokłóciliście się z punktu — to dobra wróżba. Ale przecie nazajutrz byliście w najlepszej przyjaźni. Sam widziałem, dlatego mówię.

— Bo można przecie rozmawiać z panną, jak z człowiekiem, nie tylko jak z samicą. To nawet byłoby jakoś ogromnie... fizjologiczne, ten cały plan. Sprowadził mnie wuj do Wilna, zapoznał z panną, importuje mnie teraz, jak barana do zarodowej owczarni...

— Co też ty bredzisz, Kaziu! Jedziemy, bo

jedziemy: mamy inne interesy. A jakże się to na świecie dzieje inaczej?

— Zapewne... Te małżeństwa z namysłu, *mariages de raison*, mają jednak w sobie coś brutalnego.

— Myślałem, żeś się trochę rozromansował?... A jeszcze tutaj, w takim kraju! Oj, żebym to ja był w twoim wieku, w twoich warunkach!

— Ach taak? — zaśmiał się Kazimierz — więc ja wuja łapię na gorącym uczynku: wuj się zakochał w pannie Aldonie.

— Żart na bok, dobrodzieju mój. Tu się rzeczy układają — można po staremu powiedzieć: opatrnościowo. Tu jest więcej do zrobienia, niż myślisz, Kaziu. Ja jestem, jak mnie znasz, politykiem — prawda?

— No dobrze. Więc co?

— A ty, choć nie jesteś politykiem, masz przecie różne zadania, pragnienia społeczne, pokrewne z polityką?

— Nie rozumiem.

— Zaraz. Aldona — choć złote dziecko, już ja ci mówię — ma trochę przewróconą głowę tą kwestyą litewską...

— Aha, więc ją nawrócić?

— A nie co innego. Rozkochać, ujarzmić uczuciem — rozumiesz? — poślubić i nawrócić. A przytem zagarnąć we władanie duży szmat ziemi — dowiadywałem się w Wilnie:

Wiszuny złote jabłko — i na tej ziemi urządzić jaką ci się spodoba akcyę społeczną. Oto co jabym uczynił na twojem miejscu!

— Ach, wuju, tyle wielkich zadań jest w tym kraju...

— No, a więc?

Kazimierz nie odpowiedział, więc pan Apolinary dobrej nabrał otuchy o skutku swej przemowy.

Jechali dotąd krajem, jakby z inwokacyi »Pana Tadeusza«:

Śród »tych pól, malowanych zbożem rozmaitem...«

Kto jedzie kowieńskim łąnem, a ma serce i pamięć, nie może nie szeptać wierszy Mickiewicza. U źródła jego natchnień te wonne wiersze mówi sama ziemia.

Spuszczali się stopniowo z łańcucha pagórków w kraj niższy, zarosły lasem. Ale droga wypadła im tylko brzegami, po groblach, rzuconych na rojsty i moczary. Przy schyłku dnia wonie wstawaly z ziemi tak tęgie, że aż chwytające za mózg. To pachnęły czarne olsze z całej mocy, i świąteczne ziele tataraku, i korale żórawin i pełne duru czarne »pijanice«, pokrywające leśne polany. A nadewszystko pachnęło nowe jezioro ciemne, z połyskami rdzawymi, podmywające jednym bokiem groblę, a przeciwległym dochodzące

do wysokiej ściany sosnowego boru. Za tą ścianą były zapewne »mateczniki«.

Kościół wiszuński świecił ciągle na górze, w słońcu, i wystawiał teraz wyraźnie cały swój front, złożony z dążących do piramidy wolut i załamania, jakby go ktoś przed wiekami ulepił był trwale z żółtego ciasta dla szerokiej okolicy.

— Cieszę się, że Hieronim mieszka tam wyżej, a nie pośród tych lasów — rzekł pan Apolinary, wstrząsając się od wilgotnego chłodu.

— Ale co za sosny, wuj! jakie znowu bogactwo materyalne i malownicze!

— Sosny masztowe... Dobrzeby wiedzieć, do kogo należą. Mój przyjacielu, czy nie wiecie, do kogo należy ten las?

— Nie wiem, pan — odrzekł chłop powożący.

Ta odpowiedź była mu widocznie właściwym odruchem. Ale po chwili poprawił się:

— Las musi już wiszuński...

— Fiu, fiu!... A widzisz, Kaziu, podobały ci się sosenki? A panna Aldona jedynaczka.

— Tu mnie już wuj przecenia jako technika w poglądach na małżeństwo — odpowiedział sucho Kazimierz.

— Niema się za co obrażać, Kaziu, że panna ma las, oprócz wdzięków.

Znowu droga zaczęła się wznosić na wzgórze, coraz bardziej złote od ukośnych pro-

mieni słońca. Kościół wiszuński ogromiał, odwróciwszy do przybywających swój bok dwupiętrowy, wzniesiony dumnie ponad okolicą. Nareszcie wózek wspiął się na znaczną wysokość i znalazł się ponad krajem, do którego, gdyby był we środku Europy, zdążyliby zdaleka ludzie, stęsknieni za świeżością i spokojnym majestatem przyrody. Pośród wzgórzystych, malowanych brzegów płynęła wielka wstęga rzeki, rozlewając się w parę jezior.

Chłop litewski poczuł się tym razem do obowiązku otworzenia ust z własnego popędu i rzekł, wskazując krótkim biczem na rozkośną rzekę swego kraju:

— Szwinta-rzeka.

— To jest po polsku: Święta?

— Ona i jest.

Jechali teraz grzbietem pagórków wzdłuż rzeki prosto do Wiszun. Nie trzeba już było pytać, gdzie one leżą, gdyż widniał, jak na dłoni, wielki kościół, panujący nad wsią, a w pewnym oddaleniu od wsi, jak grono ciemne, rzucone w pół wzgórze, zwieszał się park dworski ku brzegom jeziora. Wśród jeziora dwie wyspy, całe zarośnięte, kapały się bukietami w przeczystej wodzie.

— Wie wuj — odezwał się Kazimierz — że, gdyby król jaki kazał ten wielki obszar ziemi ozdobić dla swojej przejażdżki przez najpierwszych artystów, krajobraz ten nie

mógłby wyglądać inaczej. A tu go ułożyła natura.

— Za to król, nawet litewski, miałby lepszą kałamaszkę — odrzekł Budzisz mrukliwie, ale pogodnie, podbity już zupełnie przez piękność kraju.

Poważniał błękit wód, nabierał w cieniu połysków twardych, damascenowanych, albo chwytął w siebie całe połacie gasnącego dnia, srebrne, coraz bledsze. Dalekie pagórki na drugim brzegu, złożone jeszcze po czubach, okazywały w szczybach swych na rozwidnionym perlówco błękitcie, rzeczy bardzo dalekie, dotąd niewidzialne: jakieś wioski, a może zarosła; jakieś błyszczące plamy prostokątne, zapewne mury.

Młodszy podróżny poczuł to pragnienie rozkoszne i bolesne, które budzi się w piersi wobec jasnej ciszy zachodów; to wyrwanie się duszy z kajdan codzienności do lotów wolnych, stepowych, skrzydlatych; ten poryw do szczęścia nienazwanego, nieporównanego z dobrobytem na ziemi; poczuł tęsknotę za szczęśliwą przestrzenią.

Ledwie, że łyzy nie błysły mu w oczach. Więc, żeby je ukryć, zmarszczył się i udawał, że filozofuje ściśle. Spojrzał na pana Apolinaręgo, aliści i ten rozkwilił się, wydłużył policzki i oczy okazywał większe, niezwykle, wspominające.

— A co, wujaszku? Kraj taki, że się i zmęczenia nie czuje, tylko by jechać i jechać, aż tam za rzekę, za te pagórki złote. Szkoda, że już gasną.

— Dobrze wam, młodym — rzekł Budzisz i westchnął.

Jakby czyhały tylko na zniknięcie słońca, mgły zaczęły snuć się nad niższymi brzegami rzeki, zrazu lekkie i powłóczyście pasma szarobłękitnej przędzy na zielonej osnowie, potem puszyste młode chmurki, układające się tu pieszczotliwie na nocleg. Rosło jezioro, traciło swe zarysy, rozlewało się mgłą pokrewną na poziomy sąsiednie i samo mieniło powoli swą jasną cerę dzienną w błady uśmiech nocy.

Dojeżdżano do Wiszun. Oba wózki, z podróżnymi i z kuframi, przyspieszyły biegu po lepszej drodze dworskiej, wpadły w mroki drzew, w zapachy stajen i obór, mignęły przed szeregiem okazałych budynków i, zatoczywszy krąg ostatni około pięknego trawnika wśród starych sadzeń parkowych, stanęły przed podjazdem rozległego dworu.

Na tarasie, ciągnącym się wzdłuż części domu, towarzystwo, złożone z jednego mężczyzny i kilku kobiet, jęło pilnie przypatrywać się zajeżdżającym wózkom, a gdy pod różni unieśli kapelusze na powitanie, wszczał się popłoch. Dwie kobiety, jedna wysoka i lekka, druga ciężka i kołysząca się na no-

gach, uciekły do domu, wznosząc do góry zakrwawione ręce.

Tragedya rozwiała się niebawem, gdy goście zbliżyli się do tarasu i ujrzeni kosze, półmiski i miednice, pełne wisien. Odbywało się bowiem przed chwilą drażnienie krwawych jagód na konfitury. Dziewczyny służebne sprzątały pośpiesznie rozstawione statki.

Gdy powstał Hieronim Budzisz, ogarniając na sobie długi szlafrok, dom przy jego postaci wydał się niższym.

— A toż co, kochani? Wszak dzisiaj środa, a nie czwartek.

— Telegrafowaliśmy, ale depesza nie doszła.

Wzajemna radość powitania stłumiła natychmiast proces o depeszę i o brak koni nastacyi.

Goście wchodzili w dom z ciekawością ludzi, docierających do celu, z ulgą zmęczonych podróżnych. Pan Apolinary rósł też w dumę rodową, widząc po pokojach starą prostotę, ale i starą zamożność, portrety, broń, kobierce, chwałę Budziszów, wyobrażoną rozmaitym kunsztem. Rozrzewniła go tymczasem najbardziej rznięta kryształowa flaszka, która niebawem stanęła na stole jadalnym. Na niej, oprócz herbu Paparony, jaśniał herb wielopolowy i napis: »Vivat Rex Poloniae M. D. Lit.« Flaszka była pełna przedziwnej, płynącej, jak oliwa, familijnej, powitalnej starki.

IV.

Ludzie, mieszkający nad takim jeziorem, jak Wiszuńskie, nasiąkają błękitem: mają nad czem się zadumać, gdzie puścić w dal swe instynkty kontemplacyjne. A kiedy życie, które i tu zbliża się swym zgiełkiem, walką i targowiskiem, zamąci im na chwilę spokój, wracają nad swe jezioro po samotne odpocznienie.

Żywym przykładem takiego usposobienia był Hieronim Budzisz. Urodzony tutaj, domator zawołany, agronom nie postępowy, mieszkał w Wiszunach od lat pięćdziesięciu kilku, biorąc zaledwie platoniczny udział w niecierpliwych ruchach swej epoki. Słuchał i czytał, nie kwapiąc się, zbierał liczne spostrzeżenia, ale rzadko je komu objawiał słowem lub pismem. Gadał obszernie tylko ze swem jeziorem, widocznem zewsząd w cudnych przemianach swych zarysów i oświetleń: z okien wysokiego dworu i z pól wzgórzystych.

Inaczej zapatrywała się na jezioro i na świat małżonka Hieronima, pani Antonina

z Kurko-Ciecierowiczów Budziszowa, która tylko pół wieku swego przeżyła w tej okolicy, pochodziła bowiem z pod Mińska. Od ślubu swego, odbytego w Wilnie przed dwudziestu z górą laty, pani Antonina zjechała do Wiszun i przeważnie tutaj osiadła. Ją także magnetyzowało zapewne jezioro. Zachowała jednak tęsknotę za odmienną Litwą, topograficznie mniej piękną, ale za to, w jej mniemaniu, kulturalniejszą. »U nas na Białejrusi« — pozostało w jej ustach symbolem jakiejś wyższości i ofiary, uczynionej ze swej osoby. Była jednak nie tylko wzorową małżonką swego Hieronima, chociaż go miała sobie za baj bardzo — lecz i krzewicielką kultury w szerokim promieniu od Wiszun, nader ruchliwą, o ile na ruch pozwalała jej tusza, której wcześniej nabyła. Dawniej podobno ładna, dzisiaj zatraciła wszelkie wspomnienia greckie w swej postaci o cięższej, zbyt rozrosniętej i zaniedbanej. Chodziła, opierając się na lasce, a wielka jej głowa z gładko uczesanymi włosami, ze śmiałem, przenikliwym spojrzeniem, z otłuszczonym podbródkiem, zdawała się należeć raczej do statysty rodzaju męskiego. Wymowę też miała trybuna ludowego, zawsze gotową i ujarzmiającą. Pan Hieronim coraz trudniej mógł jej sprostać w dyskusyi.

Ale od paru dni bawił tu pan Apolinary,

szermierz na języki godniejszy. Do niego zwróciła pani Antonina cały arsenał swych »światopoglądów«. On służył jej zrazu chętnie przez zasadniczą dworską obyczajów, wkrótce jednak zmiarkował, że całych sił przyjdzie użyć, uzbroić się w całą swą przytomność i powagę, aby skutecznie odeprzeć wycieczki kuzynki przeciw ideałom nadwiślańskim.

— Najwyższą cnotą społeczną jest sprawiedliwość — dowodziła pani Budziszowa. — Wszystkie porywy zbiorowe, opierające się na poczuciu odrębności plemiennej, są uprawnione. Nie należy sztucznego pojęcia »państwo« kłaść ponad przyrodzone uczucie »plemię«.

— Zapewne, zapewne, kuzynko dobrodziejko, sprawiedliwość jest wielką cnotą.

— Ja mówię, kuzynie, o sprawiedliwości społecznej. Panowie Polacy żądacie wiele dla siebie, a nie uznajecie naszych żądań.

— Chce kuzynka powiedzieć: my z Królestwa? Owszem, w naszych zabiegach o autonomię Królestwa dodawaliśmy zawsze: »z uwzględnieniem potrzeb Polaków na Litwie«.

— To zawsze o Polakach mowa, kuzynie. Ależ trzeba zadość uczynić i uprawnionym popędem innych plemion.

— A to gdzie, kuzynko dobrodziejko? Chyba w innych krajach?

— Przepraszam. U nas na Białejrusi żą-

damy autonomii białoruskiej; tutaj — autonomii Litwy etnograficznej.

— A cóż nam, choćby naprzykład Budziszom, po takich autonomiach?!

— Trzeba być szczerym obywatelem swego kraju. Ja, choć Białorusinka, wyszedłszy za Litwina, poszłam za narodowością męża i jestem dzisiaj szczerą Litwiną.

— Co innego solidarność małżeńska. Gdyby kuzynka wyszła, z przeproszeniem, za Chińczyka, musiałaby zostać Chinką. Ale cóż to za odrębne narodowości: Litwin i Białorusin? Toć i ja Mazur, a wszyscy jesteśmy Polakami.

Pani Antonina z Kurko-Ciecierowiczów Budziszowa przymrużyła oczy, jakby zmierzyć chciała przepaść, dzielącą ją od krewnego z Korony. Przez tę przepaść rzuciła most pojednawczy:

— Rozumie się, że my, szlachta, mamy poniekąd wspólne interesy z wami, ale w naszej epoce »miarodajne« są dążenia ludu. Lud tutejszy chce czego innego.

— Czyż doprawdy?

Po drobnych obustronnych ustępstwach oboje nie ucieszyli się jednak. Pani Antonina powstała i prowadziła pana Apolinarego przez ogród do jeziora, gdzie zarzucono dzisiaj niewód »na szczęście gości«.

Szła wolno, opierając się na lasce, a na głowę rzuciła zwykłą chustkę od nosa, aby

się uchronić od słońca. Chustkę wiatr zrzucał, Apolinary ją podnosił. To znów przystawała zdyszana, gdyż, pomimo swej tuszy i utrudzającego pochodzenia po wzgórzach, nie przerywała rozmowy politycznej:

— Przyznaj kuzyn, że każde plemię, gdy dojdzie do samopoczucia narodowego...

Kuzyn przyznawał już wszystko, zawojuwany bardziej przemocą, niż wdziękiem pani Antoniny. Myślał zaś:

— Jak ja lubię łapać ryby!

Jezioro już było blisko, już pachnęło, a pani Antonina szła tak rozpaczliwie powoli!

* * *

Kazimierz z Aldoną dawno już poszli nad jezioro i, wsiadłszy do łodzi z dwoma rybakami, odbili daleko od brzegu. Jasna bluzka i słomiany kapelusz panny Budziszówny ubierały smolną łódź w plamę świetlną, wesołą, która drżała znów niżej, rozchwiana, idąc w głąb fali, tylko pod łodzią ruchomej. Ciemny zresztą ładunek sunął po wodzie sennie, z rytmicznymi błyskami dwóch powolnych wiosł.

Była to łódź, zagarniająca toń, połączona zatopionym już niewodem z drugą łodzią parzystą, tkwiącą u brzegu na kotwicy. Na tej drugiej łodzi dwaj rybacy pilnowali prawi-

dłowego rozkręcania się powrozu z korby, na której pękatem, coraz topniejącem wrzecionem namotana była lina niewodu. A łódź, sunąca w dal, przystrojona tak sielankowo, zataczała przecież podstępny łuk obierzy łowieckiej.

Kazimierz i Aldona zdali całkowicie kierunku połowu na doświadczonych rybaków, a sami królowali sobie spokojnie nad modrą przestrzenią. Aldona, porozumiawszy się z rybakami po litewsku, ostrzegła Kazimierza, że cicho trzeba siedzieć przy objeżdżaniu toni.

Więc siedzieli cicho od chwili wyruszenia, patrząc zrazu na lilie wodne, których gaj poziomy otwierał się płynnie przed dziobem łodzi i zwierał się za nią znowu, zaledwie portargany. Na dalszej wodzie nic się już nie działo po wierzchu, oprócz gry świateł, za to w głębi coraz mroczniejszej rudo-zielone porosty zdawały się łązić po dnie łapami kosmatych potworów. Już i tych nie widać, tylko przepaść zieleniejącą, do której przesącza się tu i owdzie niby deszcz świetlisty i okaże w krótkim przeblysku znikające dziwy.

— Głęboko tutaj? — zapytał Kazimierz.

— Cicho!...

Przez wierzchnią warstwę wody śmignie czasem wędrowna gromada stynek, rybiego drobiazgu, rój srebrzysty, wysłany może na zwiady pod groźny cień łodzi przez zaniepo-

kojone w głębiach grube ryby. Jedno znaczniejsze maleństwo odłączy się od stada, zaświnnie w słonecznym pasie nieruchome, mierząc łódź nie gasnącem okiem, aż, najadłszy się trwogi, pierzchnie krętą błyskawicą w głębsze cienie.

— Takie mamy łowić? — szepnął znowu Kazimierz, wskazując z uśmiechem na niewinną stynkę.

— Zależy od naszego szczęścia... od szczęścia gości — odpowiedziała Aldona.

Łódka, zatoczywszy łuk po jeziorze, zbliżała się do półwyspu, ocienionego lasem.

Tu się okazał plan łowiecki rybaków: zagarnęli jak najszerszą przestrzeń jeziora, o ile starczyła lina, pragnąc zapędzić jak najwięcej ryb do zatoki, ograniczonej przez półwysp i przez brzeg parkowy. Od szerokich wód zagrodzili już wylot matnią, rozciągniętą między dwiema łodziami, z których jedna stała przytwierdzona do brzegu parkowego, druga dobiła do półwyspu.

Rybacy, cisi dotychczas, jak przewoźnicy Erebowi, jęli teraz głośno trzaskać dragami wiosel o brzeg łodzi, a łopatomi po wodzie. Taki sam manewr wykonali rybacy na drugiej łodzi — i poszła wymiana hałasów, zdwojona przez echo od drzew do drzew. Było to zarazem hasłem, że cisza już nie obowiązuje na łodziach.

— Straszą rybę od brzegu — objaśniła Aldona.

— Rozumiem — odrzekł Kazimierz. — A tam idzie matnia.

Wskazywał na wygładzonej wodzie szeregi punktów ciemnych od strony pełnego jeziora. Były to drewniane pławki, znaczące górny brzeg matni, obciążonej od dołu kamieniami.

Rybacy znowu ucichli, zarzucili kotwicę na brzeg półwyspu i, chwytając na przemianę za kołki od korby, pracowicie namotywali na nią mokry sznur, który przyciągał się do zatoki.

— Dobrze będzie? jak myślicie, Żumbakis? — zapytała Aldona po litewsku starszego rybaka.

— Ne žinu, panitia ¹⁾.

Rokszyci, który codziennie czynił postępy w języku litewskim, zrozumiał i uśmiechnął się:

— Wie pani, że o Litwie można powiedzieć: piękna kraina, w której rozbrzmiewa »ne žinu«.

— To zamiar znowu satyryczny?

— Prosta uwaga — może być nawet i pochwałą. Lepiej powiedzieć: nie wiem, gdy

¹⁾ Nie wiem, panienko.

się wątpi, niż powiedzieć: wiem, gdy się nie wie.

— Więc czegoż pan chce od tego rybaka?

— Nic... chciałbym, żeby wiedział.

— To może aluzya do uświadomienia ludu?

— Poniekąd. Przyszło mi to na myśl, gdy obchodziłem pola wasze z ekonomem. Zaszedłem i do szkółki i do warsztatów tkackich, spotkałem dużo włościan rozmaitych wieków. Piękny i dobry lud. Zbudowany też byłem, że wszędzie znać rękę pani, że wszędzie wspominają »naszą panienkę«.

— Ach! ja sama chciałam panu to pokazać! — rzekła, rumieniąc się, Aldona.

— Powrócimy tam razem jutro, jeżeli łąska. Chciałem nawet panią o parę rzeczy zapytać. Czy szkółka jest dworska, przez dwór wiszuński założona?

— Założyłyśmy ją z matką bez niczyjej pomocy.

— To jest zapewne i wykład języka polskiego?

Aldona spojrzała ze zdziwieniem:

— Niema, panie. Przecie tu lud czysto litewski...

— Ale kultura płynie ze źródła czysto polskiego.

— Powracamy do naszej pierwszej rozmowy. Widzę, że pan uparty, jak Litwin.

— Jak Polak, proszę pani. My, to jest: pani i ja, bośmy przecie jednego pochodzenia, należymy do narodu najupartszego na świecie. Nie w drobiazgach, ale w swych wiekowych dążeniach.

Gdyby Aldona, która się miała za zdecydowaną stronnickę odrodzenia Litwy, usłyszała takie zdanie od niezgrabnego sąsiada, zaprotestowałaby energicznie. Ale Rokszycki, gdy to mówił, był bardzo piękny. Upór, którego bronił, błyszczał w oczach jego pociągającym blaskiem. Więc Aldona rzekła stanowczo:

— Kiedyż panowie nie znacie kultury litewskiej...

— Znamy ją, pani. Dała nam ogromnych ludzi, choćby tylko tych, którzy spoczywają na Wawelu. Ale ci dobrowolnie przestali mówić po litewsku.

— To chwała dla Polski, ale krzywda dla Litwy.

— Nie, pani. To chwała Litwy przez Polskę i Polski przez Litwę.

Aldona patrzyła przez chwilę bez uśmiechu w jasne oczy Kazimierza.

Rybacy pchali teraz łódź z wielkim wysiłkiem wzdłuż łądu, skrócając ciągle korbą linę niewodu. Wreszcie jeden wyszedł na brzeg i włókł za sobą łódź na powrozie.

— Trzeba im ulżyć — rzekła Aldona — wysiadźmy.

Kazimierz zgrabnie skoczył na brzeg, chwycił za powrót z rybakiem i przyciągnął łódź na twardy łąd. Aldona mogła już wsiąść suchą nogą.

Znaleźli się pośród lasu na półwyspie. Czy przyroda zasiała ten las, czy go zasadził niegdyś który z Budziszów, dziedziców Wiszun — już zapomniano we dworze. Ale ponieważ ten wielki bukiet drzew był ograniczony przez wodę, a z łądem stykał się tylko wązkim pasem mokrej łąki; ponieważ nie tknęła pni jego siekiera, a murawy ani kosa, ani graca ogrodowa — była to niby próbka puszczy, rzucona pośród jeziora. Łądując z łodzi, wpadało się bezpośrednio w gęstwinę pierwotną, tak splątaną i ciemną, że ogarniała wchodzącego atmosfera bajek, a jeżeli był myśliwym, przeczucie, że można się tu spotkać z gnazdem wilczem, z ptakami nieznanymi kształtów i wielkości. Według podania gnieździły się tu przed laty białe czaple, których pióro kołpakowe kosztowało dukata. Dzisiaj, gdy już kołpaków nie noszą ludzie, nie zlatywały i białe czaple na ostrów. Ale lada rok mogły powrócić, bo ostrów był przygotowany wybornie na ich przyjęcie: wierzchołkami drzew dosięgał szlaku wysokich kluczków po-

wietrznych, a gąszczem nieprzebytym osłaniał łąg i zasadzki na ryby.

— Macie tu państwo piękny kraj — mówił Kazimierz — taki młody!

— Ale dla pana, widzę, niesympatyczny? Kazimierz szeroko otworzył oczy:

— Skądże pani to wnosi?

— Tak... pan przywykł zapewne do miast...

— Owszem, urodziłem się na wsi, mieszkam głównie na wsi.

— W takim zaciszu, jak my tu mieszkamy, nie potrafiłby pan zapewne długo pozostać?

Na zapytanie podobne odpowiada zwykle człowiek dobrze wychowany gorącą pochwałą kraju i mieszkańców. Jednak nad takim jeziorem, w tej ciszy leśnej słowa zwyczajne mogłyby paść, jak na struny, rozdzwieńczyć się; nastrój był jakiś obowiązujący. Więc Kazimierz, pomyślawszy niedługo, odpowiedział żartobliwie:

— Ne žynu, panitia.

— Oj, jak szybko nauczył się pan po litewsku.

Twarze rybaków zwróciły się od łodzi, uśmiechnięte na dźwięk mowy rodzinnej z ust nieznanego. Holowali łódź, brodząc przez trzciny. Nieco wyżej, po suchym już lesie, ciągnęła się wązka drożyna wzdłuż brzegu. Aldona poszła po niej pierwsza, drugi Kazimierz.

Co parę kroków zagradzały ścieżkę krzewy różne, dążące bujnemi odroślami do światła i wody. Aldona dawała czasem nurka pod wystające gałęzie, a czasem odgarniała je rękami i oglądała się za siebie, czy, puszczając nagięte, nie ugodzi w idącego za nią Kazimierza.

— Niech pani puszcza gałęzie, już ja się obronię.

Spotkali po drodze krzak, opleciony całą plejadą kwitnących powojów, naniesionych tu zapewne z dworskiej góry. Aldona przystanęła i narwała garść barwnych kielichów.

Idąc dalej, upuściła jeden kwiatek, potem drugi i trzeci. A gdy zatrzymali się, aby nie wyprzedzać powoli wlokącej się łodzi, Aldona spojrzęła na ręce i ubranie Kazimierza, spodziewając się ujrzeć przy nim rzucone kwiaty. Nie podniósł.

— Nieuważny, czy nieczuły? — myślała, postępując dalej.

Minęli gaj i wchodzili na niską łąkę, po której od jeziora rozrastały się wysokie mietlice ajeru. Pod nogami ugiął się grunt mszysty, rudawy: chrupała soczysta kostka, pasorzyt łąk mokrych, a ślady poczęły napływać mętłą wodą.

— Trzeba sięść do łodzi. Już my wyciągniemy ją i z panienką na suchy brzeg — namawiał rybak po litewsku.

I podawał rękę do pomocy, bez wszelkiej uniżoności, jedynie przez uprzejmość i obawę, aby panienka nóg nie zamoczyła.

Aldona wsiadła do łodzi. Kazimierz tymczasem z widoczną wprawą i zwinnością, pobiegł przez łąkę, skacząc z kępy na kępę, aż wydostał się na brzeg twardy, który ławą żwiru spływał ku jezioru. Nieopodal już stamtąd stała druga łódź na kotwicy.

Spojrzał na Aldonę uśmiechniętą, siedzącą na najwyższym brzegu łodzi, wleczoną przez dobrowolnych niewolników, niby w tryumfie jakimś sielskim. Zbierała w sobie radość krajobrazu, urodzona z jeziora, tchnąca jego słodkim spokojem.

W tej chwili ujrzał od strony dworu obraz innego zgoła stylu. Ze stromych wzgórz parkowych staczała się grupa pana Apolinarego z panią Antoniną. Ona, z białą chustką na głowie, macała ostrożnie nogą spadzistą ścieżkę. On, o krok niżej, w kapeluszu z piórem, z naprężoną łydką, udawał biegłego górala, ale i sam, podwójnym obarczony ciężarem, tracił chwilami pewność kroku.

Gdy się ujrzały obie pary nawzajem, mężczyźni zaczęli wywijać kapeluszami, a panie powiewać chustkami. Aldona wysiadła na brzeg i stanęła obok Kazimierza, dumnie i radośnie, że się pokazuje obok niego w świetle pięknego dnia, w krasie rumieńców

młodości. Poruszono się nieco na spotkanie mamy i wuja, i niebawem obie pary zeszły się nad jeziorem na miejscu, gdzie miano wyciągać sieć. Pan Apolinary spocyny, zahukany jakiś i rozżalony, spoglądał na Kazimierza oczyma, które zdawały się mówić:

— Gdybyś wiedział, com wycierpiał tam na górze, podczas gdy ty... wy... tutaj...

Ale pociągnął świeżości jeziora i zatopił się w pociesze wyzwolenia.

Obie łodzie stanęły teraz jedna przy drugiej, utwierdziły się mocno na kotwicach przy brzegu, a czterej rybacy zgodnym wysiłkiem obu korb przyciągali szybko matnię, widoczną już nie tylko z powodu pławek. Razem z pławkami zbliżał się pas wody wzburzony, jakby miał zaraz zakipieć: to z głębi jeziora szedł na powierzchnię dreszcz od miotania się ryb, ujętych w matnię.

— Dużo tego musi być, ale zapewne drobiazgu — rzekł Kazimierz — nie widać podskoków grubej ryby.

Jakby w odpowiedzi na tę wątpliwość rzucił się w tej chwili duży szczupak, ukazując aż nad powierzchnią czarno-srebrny skręt ślizkiego ciała. Chciał, widać, przeskoczyć przez górny kraj matni — ale opadł z wielkim pluskiem przed matnią.

— Nie ujdiesz, złodzieju! — zawołał Żumbakis.

Oczy starego Litwina, spokojne dotąd, jak jezioro, zaczęły błyskać, twarz mu się ożywiła chciwą zaciętością łowca, a wargi wydłużyły się pożądliwie. Inny młody rybak, płowy jak len, otwierał nadmiernie usta i powzdychywał drapieźnie. Wszyscy zresztą, na łodziach i na lądzie, pochłonięci byli przez mniej lub więcej namiętne oczekiwanie.

Sieć, już blizka, gotowała się bałwanem. Podbierali rybacy już rękoma jej boki obmokłe, srebrzone gęsto uwięzłym w okach drobniakiem wodnym: płociną, kielbkiem, kolczastą stynką, smaczną, choć małą, okleją, splamione tu i owdzie przez czarnego raka, trzaskającego konwulsyjnie ogonem o pancierz. Podbierali uważnie i przebiegle dolny kraj sieci, czyniąc z niej powoli wielki wór, pełen dobytku. Podnieśli go nareszcie nad wodę między dwoma dziobami łodzi. Zakotłowało się w sieci, skłębilo, zachlupalo rozpaczliwie i rozgłośnie.

— Pokazać!.. Pokazać grubą rybę! — wołał pan Apolinary do rybaków, którzy jęli koszami czerpać ryby z sieci i rzucać je w łodzie na dno, po otworzeniu środkowych postostów.

Były skrzelowatego rodzaju niezliczone odmiany: ciemne leszcze, ościste okonie, okrą-

głe i ślizkie piskorze, płaskie karasie i rozmaitych rozmiarów zbóje wodne: szczupaki. Jednego z tych, herszta, chcieli rybacy okazać tryumfalnie; więc młody chłop zstąpił do wody, pochylił się nad siecią i całym wysiłkiem tęgich ramion wychwycił oburącz z kłobowiska ogromne cielsko szczupaka. Ważył zapewne ze trzydzieści funtów. Ale gdy go tak zdławionego podniósł do góry wśród aprobacyjnego szmeru zgromadzonych, chytry litewski rekin, udający omdlałego, skurczył się błyskawicznie w pierścień i runął w wodę. Na szczęście chytrzejsi litewscy rybacy podnieśli uprzednio wysoko brzegi sieci naokoło, i ogromny szczupak znalazł się napowrót w matni.

Ale rybak, który go trzymał przed chwilą, podniósł dłoń do ust, potem ją oglądał i mruczał ponuro:

— Ot, pies jaki!

— Ukąsiła go bestya! — zawołał z brzegu pan Apolinary.

Aldona wyjęła z kieszeni chusteczkę i podała ją do obwiązania ręki młodemu rybakowi. Ten przyszedł do niej, brodząc po wodzie, skłonił się wdzięcznie, przyjął chustkę, owinął nią zakrwawioną rękę i powrócił do roboty. Wyjął nóż z kieszeni, narychtował, a potem, schyliwszy się szybko nad siecią,

żgnął mściwie nieprzyjaciela pod ziejące,
krwawe skrzele.

Ubezwładnionego potwora wrzucono do łodzi, a za nim sypało się przeróżnej zdobyczy kosztów jakoby trzydzieści.

Dopisało »szczęście gości«.

V.

Ranek rozbłysnął równie pogodny, jak dni poprzednich, słoneczny, lecz przesiąknięty rzeźwym powiewem, jak ranki nad wielkimi wodami. Dwór wiszuński stał wyświeżony w świetle, śmiało się jezioro trochę zimno, drzewa gwarzyły w koronach. Nicby tego poranka nie odróżniało od wczorajszego, gdyby nie stroje mieszkańców Wiszun odmienne.

Dwaj Budziszowie chodzili wzdłuż domu, przybrani w długie, czarne surduty; w okolicy kuchni przelatywały pędem dziewczyny obute, w barwnych kieckach i kaftanikach. Jedne miały świeże kwiaty, wplecione w włosy, tłuszczem smarowane włosy, drugie głowy przykryte jedwabnymi chustami. Parobcy ukazywali się w pięknych kurtach najświeższej kowieńskiej mody i świecili butami, tłusto wysmarowanymi. A ochmistrzyni¹⁾, pani Mi-

¹⁾ »Ochmistrzynią« nazywają w Kowieńskim osobę, zarządzającą gospodarstwem kobiecym we dworze wiejskim. To, co w Królestwie »szafarka«.

ckiewiczowa (tak!), włożyła swą zieloną suknię i czekoladowy kapelus z piórem. Była bowiem niedziela.

Panu Apolinaremu służył wybornie klimat litewski, wzmagał w nim humor i apetyt. Do porannej, ze wszech miar mickiewiczowskiej kawy podawano takie półgęski, serki »dołowane« z kminem, szpekkuchy, że trzeba je było zakropić kieliszkiem przedniej »familijnej« starki, a po starce znowu przekąsić.

— Jem za dwóch, dobrodzieju mój, i czuję się lekkim! Prawdziwa kuracya po naszej polityce warszawskiej!

— To i chwała Bogu — odpowiadał Hieronim.

Ale pokrzepione zdrowie Budzisz koronnego nie objawiało się bynajmniej przez lenistwo sybarytyczne, owszem, przez przyływ pomysowości.

— Muszę wygłosić w Wilnie ten odczyt o Unii, o którym ci już wspominałem, bracie Hieronimie. Rzecz jest zupełnie na czasie.

— Można — odpowiedział Litwin bez zapału.

— Trzeba, dobrodzieju mój! Jakże to zostawić bez silnej odpowiedzi te wszystkie napaści na Polaków? Co innego zajmować się ludem, jak twoje panie. Co innego pozwalać mówić po litewsku, komu wola, albo i drukować. Ale dawać sobie jeździć po nosie,

słuchać obojętnie takich bredni, jak ten tam pisze, że myśmy Litwę oszukali i wyzyskali, że za Jagiełły Litwa była mocarstwem, a my roztrzęsioną, walącą się budą, że tak nam zależało na Unii, aż Jadwigę zmusiliśmy do bigamii — to za grube żarty, dobrodzieju mój!

— Wiadomo, grube, to też i nikt nie wierzy.

— Jeżeli nikt nie wierzy, dlaczegoż drukują i przedrukowują tę bibułę z ciąglą naganką na nas?

— To oni tacy specjaliści. A myślisz, że to od ludu? Et!... Obacz nasz lud w Wiszuńnach!

— Otóż to. W takich stosunkach, jak wazsze z ludem, gdzie tu może powstać nienawiść do żywiołu polskiego?

— To też i nie powstaje.

— Dlaczegoż więc powstaje gdzieindziej?

Hieronim zmierzył krokami całą długość dworu wiszuńskiego, zanim odpowiedział. A gdy zawrócili napowrót, Apolinary już myślał o czem innym.

— Pojutrze, na zebraniu u Chmary będzie pewno okazy przedyskutowania wielu kwestyi programowych?

— A już...

— Samego Chmarę znam z Warszawy. Człowiek silny?

— ...

Widząc, że nie dobędzie z Hieronima po-

gładów ogólniejszych, Apolinary chciał się upewnić przynajmniej co do szczegółów.

— Na twoją odpowiedzialność, bracie Hieronimie, przywożę Kazimierza do Chmary.

— Jaż mam prawo wprowadzić dwóch gości. Taki już zwyczaj przyjęto u nas na zebraniach.

— Ale tym razem goście z Korony.

— Wszystko jedno — moi goście.

Postać i ton pana Hieronima wzbudzały zaufanie, że działa pewnikiem i nie jest zdolny popełnić nieprzyzwoitości.

— Czy dom Chmary familijny? Są i kobiety?

— Jest sama, są dwie córki, i jest druga Chmarzyna, z domu Sołomerecka.

— A to kto taki?

— Bratowa. Piękna bardzo.

— Nie zaszkodzi zobaczyć — rzekł pan Apolinary, zacierając ręce.

Od strony stajni ukazał się starożytnego wzoru »szaraban«, zaprzężony w czwórkę koni. Okrążył wolno pół dziedzińca i stanął w pobliżu podjazdu pod cieniem wielkich kasztanów.

Wkrótce ujrzano w głównych drzwiach dworu panie domowe, za niemi Kazimierza. Aldona była w płaszczu i kapeluszu, pani Budziszowa z odkrytą głową i w luźnych szatach codziennych.

— To widzę, żona nie jedzie do kościoła — zauważył Hieronim. — Miejsca będzie dosyć.

Jakoż trzej mężczyźni i jedna pani usadowili się wygodnie w obszernym szarabanie.

Niespełna wiorsta drogi po pagórkach dzieliła dwór od »miasteczka«, czyli wsi kościelnej Wiszun. Jednak do kościoła jeździli paradnym cugiem nie tylko dziedzice, lecz i osoby wyższego względnie towarzystwa ze dworu. Pani Mickiewiczowa naprzykład czyniła zależnem swe nabożeństwo od tego, czy są dla niej konie do kościoła. I dzisiaj świeciła po drodze swą suknią, jak zieloną latarnią, osadzona z panią ekonomową, równie szlachcianką, na wązkiej, ale dworskiej i parokonnej bryczce. Pieszko szedł tylko gmin: parobcy szarzy i rosłe, chichoczące z pod zarzuconych na głowę chustek dziewczki.

Na obszernym placu między kościołem i karczmą stały, niby zbite w pomost, liczne kałamaszki, wyprężone, ze wzniesionemi do góry hołoblami. Cały pułk koników uwiązany był do płotu plebanii.

— Czy to dziś jarmark w Wiszunach? — zapytał pan Apolinary.

— Nie, wuju, zwyczajna niedziela — odpowiedziała Aldona. — Nasz lud woli jeździć, niż chodzić.

— Dobrze takiemu, kto może.

Przez ogródek kwiatowy, pełny astrów i nasturcyi, weszło towarzystwo do plebanii.

Zwyczaj kazał odwiedzać proboszcza przed nabożeństwem lub po sumie. Więc w dni świąteczne o południu bywał tu salon wielce różnobarwny, demokratyczny. Dwa otwarte pokoje, jeden frontowy, drugi od strony sadu, mieściły zawsze po kilka, lub i po kilkanaście osób, dzielących się instynktowo na izbę wyższą i niższą. Od frontu wchodziło zasadniczo ziemianstwo szlacheckie, od tyłu, z piekarni napływały śmielsze indywidua z pomiędzy drobnych oficyalistów i bogatszych włościan. Drzwi między izbami były otwarte, i nikt nikomu wstępu nie bronił, ani miejsca nie wskazywał, jednak towarzystwo układało się stale w sposób, wyżej opisany.

Przed wejściem do plebanii Hieronim Budzisz zatrzymał na chwilę towarzystwo i rzekł do Apolinarego.

— A nie przestrasz się, kochany, naszego proboszcza. Stary, przyjaciel naszej rodziny, umarł w roku przeszłym. Przysłali na biedę nowego.

— Ach, papo! po co źle uprzedzać panów? Ksiądz Witulanis ma najlepsze chęci.

— Pazwól-że mnie mówić, Aldonko. Ja mówię rzadko. Kwestyi litewskiej z księdzem nie zagabaj, bracie Apolinary. My tu jego

powoli ułaskawimy. Tymczasem on jeszcze z tych... specjalistów, o których mówiliśmy.

Gdy weszli, zastali proboszcza, księdza Witulanisa, przy herbacie. Już był mszę odprawił, a sumę miał celebrować inny ksiądz, przybyły w gościnę. Powstał na powitanie, dorodny i opasły, młody jeszcze, z pretensją do rysów rzymskich. Wysłuchał obojętnie nazwisk gości z Królestwa, zaprosił, aby usiedli, i milczał. Z całego obejścia tchnęła niezgrabność człowieka, który oglądą towarzyską i kulturą umysłu nie dorósł do swego stanowiska. Ani śladu w nim nie było namaszczonej słodyczy duszpasterza i spowiednika, ani nawet rubasznosci przyjacielskiej. Dla utrzymania pozorów powagi był sztywny, śmiesznie stanowczy, nieznośny.

Odezwał się do Hieronima Budzisz obcesowo, nie odpowiadając na jego pojednawczą uwagę o pięknej pogodzie:

— A mnie wczoraj »dworne« bydło len zadeptało. Szkody rubli pięćdziesiąt.

— Pogodzimy się, księżo proboszczu — odpowiedział Hieronim, zażenowany.

— Czy ksiądz proboszcz sieje dużo lnu? — zapytał Rokszycki.

— Jak popadnie.

— Przyjechałem tu specjalnie dla poznania uprawy lnu. Może mi ksiądz pozwoli obejrzeć swoje pola?

— At, len u mnie taki, jaki wszędzie. Wiadomo, »dranna« trawa.

Po tej próbie Rokszycki urwał rozmowę. I pan Apolinary, przeciw swej naturze, milczał: ksiądz Witulanis żywo mu przypomniał towarzystwo, spotkane w restauracji wileńskiej. Gotował na tych wichrzycieli swe gromy, ale je chował do czasu.

Rozmowę, przez nikogo nie pożądaną, sztukowała herbata. Około fundacyjnego, ogromnego samowara krzątała się wystrojona odświętnie księża gospodyni, osoba starsza, łzawo uprzejma, mając do pomocy ładną siostrzenicę. Trzeba było przez grzeczność przyjmując szklankę, albo skosztować »piaskowców« domowego wypieku, albo cukierków Landrina, rozłożonych na szklanych, ozdobnych talerzach. Takie przyjęcie od 10 do 1 w niedziele i święta należało do zwyczajów, tradycyjnie ustalonych. Ksiądz Witulanis, choć ze szlachtą wcale nie towarzyski, nie śmiał usunąć niedzielnego przyjęcia.

Nareszcie dzwon kościelny zabrzmiał donośnie. Ksiądz powstał i udał się do kościoła, gdzie miał mówić przed sumą kazanie po litewsku. Wyszli i goście z plebanii, ale zatrzymali się w ogródku. Tylko Aldona chciała usłyszeć litewskie kazanie.

— Opowiesz nam potem, czy ksiądz nie

mówił z ambony o lnie zdeptanym — rzekł, śmiejąc się, pan Apolinary do odchodzącej.

— Ach, wuj także satyryczny? Myślałam, że wuj dobry.

Gdy znikła w furcie wysokiego muru, który otaczał kościół z dziedzińcem i dzwonnica, pan Apolinary odezwał się do Hieronima, stojąc pośród kwiecistego ogródka, po którym krążyło parę ładnych dziewczyn i rwało kwiaty:

— Wszystko u was piękne, tylko ksiądz wam się nie udał. Drugiego już takiego spotykam, a jest ich podobno wielu na Litwie?

— Niemało — odrzekł Hieronim — ale są, dzięki Bogu, i inni.

— Radbym ich poznać, dobrodzieju mój, bo ci to jadowite bąki na waszych kwiatach.

Zerknął na dziewczyny, rwące kwiaty. Widocznie proboszcz pobażał maluczki, choć wobec wielkich był hardy.

— Ot, więcejby takich, jak ksiądz Antoni Wyrwicz! — westchnął Hieronim.

— A kto to taki?

— Dzielny księżyna. Mieszka o kilka mil od nas, bez parafii. Takiego nie dopuszczają. Ot, masz stosunki, bracie Apolinary, sprowadź nam księdza Wyrwicza na proboszcza do Wiszun.

— To przechodzi zakres moich działań. W sprawach świeckich, co zechcesz, dobro-

dzieju mój, ale w kościelnych... No a teraz obejrzyjmy kościół po wierzchu. Fundował go Hieronim Budzisz w ósmnastym wieku — mówisz?

— A tak, mój pradziad.

Świątynia, oglądana już wielokrotnie z daleka, zadziwiała zblizka tylko swym ogromem i rozrzutnością użytego materiału. W masywnym murze szczytowym za ołtarzem widniały, jak strzelnice, wąskie okienka od celtek klasztornych, objętych całkowicie grubością muru.

Przed niskim głównym wejściem, na kamiennych schodach, nie siedzieli żebracy, lecz rozsiadły się swobodnie kobiety z ludu, przybyłe na nabożeństwo. Niektóre starsze zachowały jeszcze malowniczy strój głowy, białą, jak śnieg, »namiotkę«, przypominającą misternym wiązaniem ubiór kobiet polskich z XVI wieku. Wielu mężczyzn chodziło po podwórzu kościelnym, trzymając czapkę w prawej ręce, charakterystycznie założonej pod lewe ramię. Jak wszędzie na wsi, kościół i jego najbliższa okolica stawały się w pogodną niedzielę miejscem uczty oczu i uszu, zbiorowem weselem, polem popisu z dostatków i urody. Nic to nie ubliża szczerzej pobożności litewskiego ludu.

Przez boczne wejście od zakrystyi weszli Budziszowie i Rokszycki do wnętrza nawy

i zajęli miejsca w jednej z czterech ławek, ustawionych dla »honoratiores« przy obu murach rozległego presbyteryum. W tej części kościoła, odgradzonej balustradą, tłum był rzadszy, bardziej z miejska ubrany, przeto pospolitszy.

Ale piękniejsza chwała Boża biła od ludu, klęczącego wzdłuż ogromnej nawy dwoma zastępami: ciemnym z mężczyzn i kwiecistym z niewiast. Rozłączał je szpaler środkowy, strzeżony przez »bratczyków« w liberyi kościelnej, z których każdy dzierżył poważnie latarnię, osadzoną na wysokim drzewcu. Kto chce oglądać powagę i krasę ludu litewskiego, niech przyjeżdża na mszę niedzielną do Wiszun.

Pułk męski klęczał w skupionej zadumie. Głowy rozliczne, częściej jasnowłose, mówiły, każda po swojemu, o spokoju sumienia. Trudno by je posądzić o instynkty drapieżne, o zaborcze ruchy zbiorowe, o nerwową niecierpliwość rewolucyjną. Marzące błękitnie, kwitnące spokojnie, czasem zastygłe w biernej zaciętości, twarze te były krewne typu prasłowiańskiego.

Kolumna niewiast wysuwała na front najpiękniejsze. W ogromnym kobiercu szat barwnych, białych »namiotek«, kwiatów świeżych, trzymanyh w ręku i upiętych we włosy, zalotne oczy i różane cery młodych Litwinek

błyszczały, nie zwyciężone przez nadmiar barw otaczających. Czy się pochyliła która niedbale, zrzucając na ramiona chustę z rozgrzanej głowy, czy skamieniała w czołobitnym pokłonie, dorysować było można szlachetną linię ciała o długiej goleni i spadzistych barkach.

A od całej nawy, szczelnie zajętej przez lud, wiał świeży zapach chleba i ziela, nie klóćąc się z wonią kadzidel.

W kolatorskiej ławce modliła się naprawdę przykładowie tylko Aldona, zwrócona twarzą do ołtarza, uważna na dzwonki mszalne. Hieronim Budzisz, mieszcząc z trudnością długie nogi między ławą a pulpitem, siedział boczkiem skulony, jednak z powagą. Ale dwaj koroniarze, dostawszy, jak na pokusę, miejsca w pobliżu kwietnego ładu dziewczęcego, nie mogli się powstrzymać od niewczesnych tutaj studyów ludoznawczych. Pan Apolinary raz po raz wynajdywał w tłumie jakąś twarzyczkę, ślicznie na niego zagapioną, a po chwili, czując, że sam nabiera rozmazanego wyrazu, odwracał się stanowczym ruchem, marszczył brwi, zjeżał wąsy, siląc się na poważny, odpowiedni do sytuacji profil. Nareszcie, aby uniknąć zapomnień, chwycił za książkę do nabożeństwa, leżącą na pulpicie, i zaczął w niej czytać napotkane przypadkiem psalmy pokutne.

Ale i z klęczącego tłumu kobiet setki oczu

ciekawych zwracały się uporczywie ku ławce kolatorskiej, na miejsce, gdzie siedział Kazimierz Rokszyci. Teń, swoim zwyczajem, nie udając nigdy nic, spoglądał prosto tam, gdzie go oczy ciągnęły. I nieraz zdybał wyiskrzzone ku sobie błękitne oczy i usta półotwarte, wpadające w uśmiech porozumienia. Piękna Litwinka, przy takim spotkaniu, zwracała nagle oczy na boczne ołtarze, kręciła się pod palącym wzrokiem pięknego, nieznajomego panicza, a ujść nie mogąc inaczej, kryła twarz zapłonioną, padając w głęboki pokłon.

Opar kadzidel i senny głos organów kołysały lubo; niejednen się zapamiętał w modlitwie, inny i usnął w służbie Bożej. Kazimierz, pod wpływem kołyszącej atmosfery, spowaźniał wkrótce, przestał się rozglądać, wzrok utkwiał w górne gzemsy kościelne.

Od czasu przybycia swego na Litwę mierzył ten kraj okiem, zgłębiał rachunkiem, obejmował rozgrzanem sercem: liczył widoczne i ukryte skarby ziemi i narodu. I przejmowała go duma, że ta piękna, poważna kraina, zniewolona niegdyś chrześcijańskim podbojem, bo pokrewieństwem duszy zbiorowej i dążeń historycznych, skojarzyła się z Polską i zakwitła z nią dwukwiatem jedynym w dziejach.

Litwa przyjęła — dumal — wiarę naszą,

obyczaj nasz, kulturę naszą bez niewoli, ani ukorzenia i pięciowiekowym namysłem utwierdziła się w przekonaniu, że uczyniła dobrze. Ani cienia zdrady, ani jednego buntu do przedwczoraj jeszcze... I my względem niej win nie mamy. Nie szczepiliśmy naszej kultury po prusku, dawaliśmy Litwie do wyboru język nawet urzędowy, aż sama porzuciła nie-dołężne narzecza, aby się stać ogrodem mowy polskiej, wybujalym w takie dęby, jak Mickiewicz. Rozłączaliśmy nasze skarby i wojska; nie przeciągaliśmy nigdy ukazem soków pożywnych z pod Niemna nad Wisłę; łączyliśmy się dobrowolnie ku wspólnej obronie. Win wzajemnych względem siebie królewskie Siostry nie mają...

Jak rój much natrętnych przeleciały przez pamięć Kazimierza zadawnione, jedne marniejsze od drugich, uszczypliwe przytyki do Litwinów, miłe Koroniarzom, ostrzącym języki na bylejakim przedmiocie. Poważni Litwini mają ciekawą skórę, są pamiętni uraz.

— Ale mądrzy — odpowiedział Kazimierz z przekonaniem za Litwę.

Skąd te pomruki? Skąd te nagłe niechęci, wybuchające przeciwko nam z łona młodej Litwy? Gdzie wzięły początek prądy separatyzmu?

Spojrzał na łan kłęczący.

Nie pośród ludu, Niema większego oddale-

nia między tym ludem a nami, niż to, które istnieje między chłopem mazowieckim lub wielkopolskim a szlachtą tejże rasy. Są różnice kultury, różnice ekonomiczne, zawiści klasowe... Mniejsze chyba, niż nad Wisłą? Gdzie na tych pogodnych twarzach zdybać zawiść? Jak tych bogatych, dalekich od miast włościan posądzić o pożądanie innego losu, niż błogi ich los oraczów pięknej, wdzięcznej, własnej ziemi? Przyszli tu oto do wspólnej z nami świątyni, fundowanej przez Budziszów, rozgrzać wiarę swoją — wiarę naszą — radować się w Panu, że żyją w dostatku i spokoju... Jeżeli i tu powstała, jak gdzieindziej, haniebna rozterka między mniejszym i większym posiadaczem, to poduszczona przez obcych. Już znikła, a nigdy nic wspólnego nie miała z niewawiścią plemienną.

Różnica języka?... Ależ język litewski pozostał dobrowolnie, bez wszelakiego ucisku z naszej strony, mową gminu. W iluż krajach, w ilu nawet ziemiach polskich klasa kulturalna zaledwie rozumie mowę ludu! I hodujcie sobie, rozwijajcie swój śpiewny język. Pomnijcie tylko, jaką mowę przyswajał sobie od wieków każdy większy z was, gdy wyrzał na świat szerszy; nie wypierajcie się połowy braci waszych rodzonych, którzy i do chaty wprowadzili mowę polską...

Kazimierz mówił to już w dal, do jakichś

ludzi tu nieobecnych, do pismaków i rzekomych przywódców ruchu ludowego na Litwie. Bo ci, którzy tu klęczą, nie śnią zapewne o wyzwoleniu się z pod przemocy... polskiej. Słyszeli coś o tem od nowych rzeczników duchownych i świeckich, ale do serca nie wezmą. Przez powolny, lecz pewny rozum pozostaną przy dawnej wierze i dawnym przymierzu. Ruch samego ludu w kierunku separatyzmu wydał się Kazimierzowi niemożliwym, a podlegacze marnymi i nielicznymi. Więc rozpromienił czoło otuchą, zataczał marzeniem coraz szersze kręgi, obejmował przyszłość wspólną, światłą i mocną.

Ale i on, choć młody, przeżył już konstytucję i rewolucję, doświadczył, jak trudno uprosić Boga o wschód słońca dla upośledzonych narodów. I szukał w oczach klęczących Litwinów, czy są godnymi ojców synami, czy modlą się o to samo?...

Zagrały organy głośny finał i umilkły. Powstały gęstsze dymy od ołtarza z rozżarzonych kadzielnic. Cisza, która zaległa, wyrwała się do pieśni. I ukląkł kapłan przed stopniami ołtarza i rozwiązał pragnące usta tłumu, intonując samotnym głosem:

— Szwintas Diewel!¹⁾

Nuta padła na klęczący zastęp męski, jak

¹⁾ Święty Boże!

pierwszy podmuch orkanu. Zbudziła ton czysty, już potężny, ale płynący niby z oddalenia, rosnący w chóralną moc. Wzmagął się coraz harmonijny duch suplikacyi, przelewał się już grzotem i począł się znowu rozplywać decrescendem olbrzymiego westchnienia.

Jeszcze nie skończył pod wysokim stropem, gdy nutę w wyższej oktawie podchwyciły głosy kobiece. Jakby na falę, dopiero grzmiącą, która umilkła, zleciała świegotliwa chmura ptactwa i, chwyciwszy ton, niosła go wyżej rozelkanym lamentem.

Przeleciała — i wybuchły znowu grzmoty chóru męskiego, nastrojone zgodną, spiżową potęgą.

A milknące wołanie mężów nowym zgiewliwym wybuchem podtrzymywały niewiasty:

Od powietrza, głodu, ognia i wojny
Zachowaj nas, Panie!

I niosła się pieśń ogromna dwoma hufcami, mocując się z Panem zastępów przemożną modlitwą.

Wspomniał Kazimierz, że o tej samej godzinie grzmi ta sama pieśń dzisiaj z milionów piersi na przestrzeni od Karpat aż po Niemen i Dźwinę. I rzucił się w chór wołający mężów całą siłą głosu swego męskiego, całym zapalem duszy swej, pragnącej uszczęśliwienia milionów.

Nieśli pieśń w górę aniołowie trębacze wysoko, przez ukośne strugi słoneczne, poza sklepienia; a gdy przebrzmiało wołanie ostatnie, przysiedli na górnych gzemsach aniołowie ciszy.

.....
Gdy wychodzili z kościoła obaj Budziszowie, pan Apolinary zatrzymał się przed głównymi drzwiami, z których sypał się wesołą czeredą po schodach tłum szary i barwny.

— Oto nasi śpiewacy! — mówił, lustrując mokrem jeszcze okiem mijające gromady.

I pan Hieronim mrugał niezwykle oczyma, obejmując co chwila jasne głowy, schylające się do rąk jego wielkich, ojcowskich.

VI.

Nasze siedziby wiejskie są, jak księgi, tak różne między sobą treścią, wiekiem, wreszcie formą zewnętrzną, że zaledwie można je zaliczyć do jednej kategorii dzieł ludzkich. Parę mil drogi z Wiszun do Rarogów przenoszą podróżnego w zgoła odmienny świat i nastrój.

Wieczorem drugiego dnia pobytu w pałacu Eustachego Chmary dwaj Budziszowie i Rokszycki niknęli w liczbie około trzydziestu osób, zgromadzonych w salonach obszernych, typu miejskiego i międzynarodowego. Krążyło po nich kilkunastu mężczyzn różnego wieku, między nimi paru w mundurach, inni przeważnie we frakach. Były i panie w sukniach wieczorowych.

Pan Apolinary miał kilka powodów niezadowolenia. Po pierwsze nie przywiózł z sobą fraka i figurował w czarnym surducie. Że elegancję Korony salwował Kazimierz, któremu frak doskonałego kroju dodawał wiele powabu,

to pana Apolinarego niedostatecznie pocieszało; wolałby i swoją osobą wyrażać dobitniej uroczyść. Powtóre, nie był zadowolony z odbytych dzisiaj obrad, do których był przypuszczony z głosem doradczym. Cyfry i cyfry, sprawozdania ekonomiczne, powiązane z innymi, których pan Apolinary nie znał; wreszcie dyskusya, wpadająca często w język rosyjski z powodu obecności paru Rosyan — wszystko to nie przypadło mu do smaku. Szerszego tchu, rozleglejszych horyzontów (jak to u nas!) — ani cienia tutaj. Działacz koronny nie mógł dotychczas zahaczyć o stosunki polsko-litewskie, ani o programy ekonomiczne. Jak tu gadać nawet w tak mieszanym towarzystwie? A wreszcie niekontent był ze swej własnej postawy: milcząca powściągliwość, filozoficzny namysł nie były jego żywiołem. Potrzeba mu było głośniejszej i niepomowanej »akcyi«.

Stracił humor i nie asystował nawet damom. Piękna pani Krystyna z powodu niezdrówia nie ukazała się w salonach ani wczoraj, ani dzisiaj. Pani Eustachowa Chmarzyna była zahukana, chorobliwie nieśmiała i małowówną osobą, a dwie jej córki nie odznaczały się też powabem. Na tych paniach ciążył zadawniony gniew naczelnika rodu: na żonie, że nie dała mu syna, na córkach, że nie są mężczyznami. Istniały te ofiary we własnym domu, jako

twory podrzędne, klucznice i służebne. Ale ten drobny rys tyranii domowej przepadał w wielkości obywatelskiej Eustachego Chmary.

Inne panie obecne nie nęciły też pana Apolinarego do rozmowy. Księżna Zasławska wdowa, jeszcze piękna, chociaż już matka kilkorga dorastających dzieci, wydawała się Buddiszowi zbyt wielką i obcą; jeszcze inne damy — zbyt nadszakiwały księżnej. Ładną młodą kobietą w salonie była pani Wiliaszew, żona marszałka szlachty, Rosyanka — ale mówiła tylko rodzimym językiem, albo po francusku. Pan Apolinary siedział na kanapie, w cieniu, wcale osowiały.

W innym kącie salonu Kazimierz Rokszycki prowadził ożywioną rozmowę z dwoma młodymi Zasławskimi, Michałem i Bernardem. Książęta, jeszcze niepełnoletni, mocno zapóźnieni w naukach, odpoczywali obecnie od studyów w granicach swych rozległych włości, zostających pod opieką matki i Eustachego Chmary. Na prowincyi słynęli, jako myśliwi i sympatyczni urwisze. Kraj zaś oczekiwał cierpliwie, co za pożytek będzie miał wkrótce, gdy młodzi Zasławscy obejmą w posiadanie swe dziedziczne ogromne fortuny terytorjalne. Przywiezieni prawie przemocą do Rarogów na zjazd rolniczy, Miś i Beno (Michał i Bernard) upatrzyli sobie między zgromadzonymi najmłodszego wiekiem i prawdopodobnie

bnie wybornego kompana — Rokszyckiego. Więc zaraz pierwszego dnia tak się około niego zakrzętnęli, tyle mu okazali i obiecali ułatwień w poznaniu kraju, lnu, konopi, ludu i obyczajów, że rozweselony Kazimierz nazywał ich już po imieniu i, będąc rzeczywiście wybornym kompanem, znacznie tylko doświadczeńszym, studyował tymczasem ich samych, przyszłych potentatów kraju.

Dowodził teraz starszy, Miś, że w Dyneburgu jest wyborny teatr.

— Mówię tobie: Szwedki, Dunki, Niemeczki z Rygi — osobliwość! A jeden jest komik z Pitra, Kolybin. No tak ten już artysta!

— To nie teatr, to chyba jakaś buda, tingel-tangel? — powątpiewał Kazimierz.

— Wszystko równo, nazywają »teatr«. My z Benem jak wejdziem tam, mówię ja tobie — »maślanica«!

— Po jakimu wy gadacie w domu? — przerwał Kazimierz.

— Z matką i siostrami po francusku. A w gimnazyi po rusku. Po polsku to my gadamy tak... jak popadnie. Ot, żeby z tobą dawniej znali się, toby i nauczyli się.

— Pora jeszcze — wtrącił Beno. — Ja postąpię do polskiego uniwersytetu, kiedy go odkryją w Warszawie.

— Jesteś przygotowany do uniwersytetu?

— Oj je! Zastawskiemu nie daliby postąpić do uniwersytetu? Mama tylko tam do rektora oko — i siup! zrobione.

— Widzę, że Beno studyował już polszczyznę i w Warszawie?

— A tak. Byłem ja ci, dziedzicu, w Pacanowskiej akademii na ulicy Krzywe Koło.

Miś zmienił rozmowę:

— Chcesz? pójdziem po wieczery do piekarni. Tam len przędą ładne dziewczyny. A jeżeli i lnu nie przędą, to dziewczyny zawse są.

Rokszycki, choć z natury wesoly, spoważniał. Młodzi książęta zdawali mu się zbyt gwałtownie zdemokratyzowanymi.

W tej chwili zbliżył się do Rokszyckiego Eustachy Chmara. Uprzejmy gospodarz krążył po salonie, rozdając swe odznaczenia majestatycznie.

Był wielki, barczysty, czarno zarośnięty. W twarzy bardzo ciemnej i złożonej z namiętych skurczów, oczy błyszczały głębokimi tylko szparami. Szpary te były przymilne i niepokojące. Obnosił jednak z zadowoleniem stanowczą brzydotę swej głowy na postaci prostej, wyniosłej, kroczącej powoli, z lekkimi podrygami, jakby co krok osadzał się w postawie pomnikowej. Niektórzy twierdzili, że Chmara jest piękny; wszyscy — że »śliczny człowiek«.

— Cóż, panowie młodzi, nie bawicie dam? — rzekł Chmara do grupy Rokszyckiego i Zasławskich, zwracając się spojrzeniem do Kazimierza. — Pani marszałkowa Wiliaszew nudzi się. Po wieczery potańczujemy.

Rokszycki powstał z krzesła przez zasadnicze uszanowanie dla starszego, Miś Zasławski oddalił się, a Beno rozparł się właśnie na krześle, jakby zaznaczając, że ani mu się śni powstać.

— Czy poznał pan już wszystkich — ciągnął dalej Chmara — może przedstawić pana?

— Dziękuję, znam już wszystkich — skłonił się Kazimierz.

Chmara poszedł dalej, a gdy się odwrócił, Beno z komiczną furią pokazał mu język.

— A to co? — zapytał Kazimierz.

— Stary drań — mruczał Beno — do tańca zaprasza, a obaczym, czy choć da szampana? Kutwa taki.

Chmara tymczasem majestatycznym pochodem doszedł do kanapy, na której nudził się Apolinary Budzisz, i usiadł przy nim. Budzisz wobec Chmary tracił swą przyrodzoną fantazyę pod wpływem osobliwego wrażenia. Miał sobie za obowiązek poznać go bliżej i wybadać, ale do tego obowiązku nie czuł serdecznego popędu. Rozmowa z Chmarą przychodziła mu trudno, jakby z osobą obcego

jakiegoś autoramentu, jak naprzykład z generałem.

— Jakież szanowny pan wyniósł wrażenie z naszych obrad? — zapytał grzecznie Chmara.

— Bardzo pouczające — odpowiedział z równem ugrzeczniem Budzisz.

— Tym razem wypadło nam mówić o samych kwestjach ekonomicznych — ciągnął dalej Chmara. — To zresztą podstawa i treść główna naszych interesów miejscowych.

— Trudnoby i radzić o sprawach poufalszych w gronie tak... szerokiem.

Pan Eustachy przeżuł tę uwagę i zamknął zupełnie oczy, skupiony w smakowaniu; nie zmienił jednak ani tonu, ani postawy, okazał rozpartej.

— Szanowny pan mówi zapewne o udziale Rosyan w obradach? To są współobywatele naszej gubernii, ludzie zupełnie z nami jedno-myślni.

— Czyż zupełnie, dobrodzieju mój?

— Pan marszałek Wiliaszew jest jednym z najliberalniejszych ludzi w Rosyi; pan Kozłow także. My naszych sąsiadów Rosyan przypuszczamy do wszystkich krajowych robót. My nie spiskujemy, panie. Panowie nie chcecie tego zrozumieć. Wyście przywykli do spisku, do budowania na idealnej przyszłości; robicie rzeczy wielkie, ale nierealne. A my tu, panie, pracujemy na możliwe jutro.

Pan Apolinary sapnął:

— Co za spiski, dobrodzieju mój? Toć my pracujemy jawnie i także dla naszego jutra. Chodzi o to, jakie ma być jutro.

— Chodzi właśnie o to. Wasza przyszłość jest od naszej odłączona z powodów etnograficznych i ekonomicznych. Odmienne mamy cele i odmienną taktykę. Mieszkając w kraju o ludności mieszanej, musimy się liczyć z potrzebami każdego szczepu. Litwin, Białorusin, Rosyanin, Polak muszą u nas mieć zagwarantowane swoje prawa osobne. Ale wszyscy razem winni współdziałać w interesie państwa. Sprawiedliwość dla wszystkich, ale jeden też dla wszystkich obowiązek. Rozumie pan?

Budzisz odpowiedział twardo:

— Rozumiem, ale nie podzielam pańskiego zdania.

Szpary oczne pana Eustachego, dobrotliwe jakieś, czy szydercze — bo te uczucia miały na jego twarzy jeden niemal wyraz — zmierzły się z niedwuznacznie wojowniczym spojrzeniem Budziszsa. Chmara nachylił się ku panu Apolinaremu i dotknął obu jego ramion, napoły go klepiąc, napoły obejmując:

— Oj, niepoprawni wy, niepoprawni!

— Bo i nie widzę, z czego się tu poprawiać, dobrodzieju mój! — odpalił Budzisz, poklepując nawzajem Chmarę po żebrach.

Z tego klepania wyniknął niby uścisk, który jednak udobruchał pana Apolinarego i przejął go niejaką otuchą, że można będzie z »generałem« dogadać się.

Tymczasem Chmara poszedł dalej pełnić swe obowiązki gospodarza domu, a pełnił je sam jeden, gdyż żona i córki nie zdawały się do tego powołanemi; kręciły się po salonie frasobliwie, przysiadaly się do kobiet w milczeniu. Nie bardzo nawet kto zwracał na nie uwagę.

Głównem zjawiskiem byli goście z Korony. Nie otaczano ich jednak tłumnie, jak to zdarzyłoby się napewno w odpowiednim wypadku w Królestwie, lecz oglądano przezornie, zaczem śmielsi zbliżali się do nich, lub odpowiadali na ich towarzyską inicjatywę.

Litawor Fedkowicz, dawniej już poznany w Wilnie, znajdował się i w Rarogach, dużo gadał na zebraniu ziemian o lnie i jego zastosowaniach, paradował swem pokrewieństwem z Eustachym Chmarą, ale nie wywierał pożądanego wrażenia. Utyskiwał przed Kazimierzem na brak przedsiębiorczości swych ziomków:

— Gdyby nie Eustachy, zasnęlibyśmy tutaj, panie łaskawy. Ot, w Królestwie — co innego. Co do eksploatacyi moich wynalazków, liczę jedynie na Królestwo. Tam i człowiek ruchliwy, i kapitał ruchliwy.

Ale Kazimierza to nie wzruszyło. Wysłuchał uprzednio różnych teorii Fedkowicza, skontrolował je swem ścisłym wykształceniem fachowem i obrał wobec pana Litawora stanowisko wyczekujące, za przykładem Litwinów. Był nawet w tej chwili niezbyt zadowolony, że Fedkowicz znowu przyczepił się do niego, i z radością zauważył skinienie księżnej Zasławskiej, która go zapraszała, aby przy niej usiadł.

Księżna, osoba wielkoświatowa i do hołdów przywykła, szukała w poważnym zebraniu odpowiedniej dla siebie zabawy; umiała bowiem »reprezentować«, ale lubiła się bawić. Po pierwszym zaraz przeglądzie obecnych w Rarogach gości uczyniła wybór: Kazimierz Rokszycki wydał jej się z powodu swego jasnego, zdobywczego uśmiechu ciekawym.

— Cieszę się, że pan się zaprzyjaźnił z moimi chłopakami. Takie bisurmany, że rady z nimi sobie dać nie można. Może się na pana zapatrzą.

— Bardzo mi pochlebia dobre mniemanie księżnej o mnie. Ale, jeżeli nie zapatrzyli się dotychczas na mamę, to nie są widocznie skłonni do naśladownictwa.

— To co innego. Synowie mogą kochać matkę, ale jej naśladować nigdy nie będą. Zresztą, kto panu powiedział, że ja sama nie jestem bisurmanem?

— Nie mogłem pani o to posądzać...

Księżna przybrała wyraz rozbawiony, dziewczęcy, który jeszcze jako tako jej się udawał. Objąsniła żart poprzedni:

— Wyszłam za mąż w siedemnastym roku życia. Trudno mi jeszcze przywyknąć do zupełnej powagi...

Ten urywek biograficzny był powleczony lekkim smętkiem i zapachem perfum nieokreślonych, przypominającym Kazimierzowi Parryż, walca i różne wrażenia ze sfery lekko-myślnej. Księżna, choć minęła już czterdziestkę, miała, zwłaszcza przy oświetleniu wieczornem, twarz dosyć świeżą i szaroniebieskie, wymowne oczy. Całą jej postać zresztą cechowała mądrość światowa i wielka wprawa w obcowaniu z mężczyzną.

— Słyszałam od Chmary, że pan przyjechał tu studyować len. Czy to żart?

— Dlaczego żart?

— Bo pan wygląda zabawniej, niż taki człowiek od lnu.

— Może dlatego, że nie ciągle pręde, lecz się i raduję z bliższego poznania pięknej Litwy.

Księżna zmrużyła uśmiechnięte oczy, jakby zapytując, czy słowo »Litwa« oznacza kraj, czy Litwinki. Kazimierz mówił tak, że mogło znaczyć to i owo.

— Trzeba się dłużej tu zatrzymać — na-

mawiała księżna — i poznać wszelkie gatunki.

— Gatunki lnu?

— Nie, batystu — rzekła księżna figlarnie i znowu przypomniała Kazimierzowi Paryż i wrażenia lekkomyślne,

— Wie pani, że batyst nie wyrabia się zwykle ze lnu? Jest to wogóle wyrób importowany.

— A! to mi wszystko jedno! — urwała i, zadarłszy ładny nos, przeszła do tonu książęcego:

— Pan przyjechał z Wiszun? Pan jest krewnym Budziszów?

— Apolinarego, z którym przyjechałem. Tutejsi pochodzą z innej linii.

— Aha, z innej linii...

Księżna zwróciła się do siedzącej w pobliżu pani Wiliaszew:

— *Ma petite chérie!* Daj mi ten gałganek ze stołu.

Pani Wiera Wiliaszew była zgrabną i dobrze ubraną brunetką, jednolicie śniadą na ładnej twarzy i na obnażonych ramionach. Zasługiwała się uprzejmością polskiemu towarzystwu, a z księżną Zasławską była w przyjaźni. Powstała żywo ze swego miejsca i zbliżyła się, podając żądany kawałek sukna.

— To pana zajmie — rzekła księżna —

pani marszałkowa ma z panem Chmarą fabrykę tego... tego...

— *C'est du »samodiel« local* — wyjaśniła pani Wiliaszew. — *N'est-ce pas, que c'est bon?*

Rozpatrzono sukno między trzema pochylonemi głowami, i Kazimierz uprzejmie je pochwalił; poczem księżna, odrzucając niecierpliwie od siebie sprawę krajową, przeszła do osobistej:

— Głodna jestem, jak pies. Kiedyż oni dadzą jeść w tym domu?

— Czekają może na panią Krystynę? — rzekła pani Wiliaszew.

— Ale nie; Krysia nie przyjdzie. Widziałam ją; chodzi rozczochna po swym pokoju i deklamuje.

— Księżno! — zawołała pani Wiliaszew — pan pewno nie zna pani Krystyny. Ładne będzie miał o niej wyobrażenie!

— Ach prawda! on jej nie zna. Ale słyszał pan o niej?

— Mówiono mi, że bardzo piękna.

— Nieużyteczna piękność. Pewno jutro pozna ją pan. Dzika kobieta. Jeżeli dozna pan łaski w oczach jej — a nie wątpię, że tak — może panu powiedzieć rzeczy zadziwiające. Ale nie trzeba jej brać zupełnie na seryo.

— Mieszka tu stale?

— Oddawna, od czasów panięskich. Wyszła potem za Karola Chmarę, który się... nie udał. Zaraz po ślubie zaplątał się w jakichś nieszczęśliwych spekulacjach i po roku w łeb sobie palnął. O tem się oczywiście nie mówi. Jej nawet nie nazywają inaczej, tylko pani Krystyna. Z domu jest Sołomerecka, trochę nawet nasza krewna.

— A ten nieboszczyk mąż, o którym się nie mówi, jest blizkim krewnym gospodarza domu?

— Bratem. Pan Eustachy Chmara zajął się jej losem z poświęceniem. Opiekuje się nią i jej majątkiem ziemskim, który leży tu niedaleko, mocno szarpnięty przez tamtego... Gdyby nie pan Eustachy, nicby już dawno nie miała. To jest człowiek u nas uniwersalny. Gdy moim synom zabrakło ojca, wybrałam też pana Chmarę na ich opiekuna.

— Mówili mi o tem synowie księżnej.

— Ładnie pewno mówili?! Oniby naturalnie chcieli więcej pieniędzy, a Chmara ze mną trzyma fortunę. To błogosławieństwo okolicy i kraju, ten człowiek!

Błogosławiony Chmara zbliżał się właśnie swym krokiem uroczystym wędrownego pomnika, magnetyzując już z daleka wzrokiem księżną Zasławską.

— Wieńczymy tu gremialnie cnoty pana.

— Wolałbym z takich rączek wieniec za

niecnotę — odrzekł Chmara, pewny swego wdzięku pod każdym względem.

— Gdzież zasady?

— Wolne żarty staremu słudze. Pozwoli mi księżna zaprowadzić się na wieczerzę?

— O pozwolę, nawet śpiesznie, bom dyabło głodna.

— Przepraszam za moją żonę, zawsze opóźnioną... A pani marszałkowa, jeżeli zechce, poda rękę temu młodzieńcowi.

Pani Wiliaszew podniosła żywo ładne, śniade ramię na ruch zapraszający Rokszyckiego i zajrzała mu w oczy, jakby zapytując, czy równie, jak ona, kontent ze swego miejsca przy wieczerzy?

— Czy pan jest nieubłagany narodowcem?

— Przy kolacyi jestem socyalistą międzynarodynarodowym.

Chmara z księżną Zasławską otworzyli pochód. Na końcu szedł Apolinary Budzisz, uhonorowany przez panią domu, jak się należało. Szedł z poczuciem swego stanowiska, ale mniej wesoło, niż młodsze pary.

405
270
675

VII.

Towarzystwo, gwarniejsze po wieczery, zajęło znowu wielki salon. Pan Gotard Assernhof siadł do fortepianu i zagrał skoczego walca. Młodzi Zaslawsy natychmiast chwycili do tańca pierwsze z brzegu panie i przetańczyli niebawem ze wszystkimi, które się zgodziły. Nawet Beno wykonał parę kręgów walcowych z matką, ku ogólnej uciechu. Gdy nie mówili nic, lecz kręcili się po salonie, młodzi książęta nabierali właściwego pozoru, sprawiając się zgrabnie i bardziej powściągliwie. Kazimierz Rokszycki zatańczył także parę razy.

Ale głównem źródłem wesołości była sama postać pana Gotarda Assernhofs, który grał i przyśpiewywał melodyę z jowialnym animuszem. Był to ziemianin z Inflant polskich, dobrej tuszy i zdrowej cery, Siwe włosy, strzyżone przy skórze lśniącey czaszki, rozrastały się bujnie potrójnym strumieniem srebra w wąsy i brodę. Zamiast krochmalonego koł-

nierza i mankietów nosił, przy fraku, karbowane batystowe kryzy, a na nogach miał lakierowane pantofle ze srebrnymi klamrami. Głowa przypominała Gustawa Adolfa w humorze po wygranej bitwie. Musiał to wiedzieć pan Gotard, bo postrzyżenie włosów i różne akcesorya stroju były bardzo szwedzkie.

Już przy wieczery zauważył go pan Apollinary i przepijał do niego sympatycznie, gdyż pan Gotard rozhulał się, prawil toasty wierszem i skupiał na sobie uwagę towarzystwa. Mówił wszystkim mężczyznom »ty« i wszystkich zniewalał ogarniającą wesołością.

Wkrótce urwały się tańce. W towarzystwie, złożonem przeważnie ze starszych, młodzież nie czuła się dość swobodną, Miś i Beno, choć pokrzepiali się ciągle z butelek, ukrytych w sąsiednim salonie, doszli zaraz do wniosku, że nie dla nich ta zabawa.

— Nudna buda! — rzekł Beno do brata. — Chodźmy do piekarni.

Damy chodziły po salonach w mniejszej lub większej asystencyi; próbowano wyjść do ogrodu, ale było chłodno i pochmurno. Wieczór powszedniał coraz bardziej, zwłaszcza, że urządzono partyę winta dla marszałka Wiliaszewa, około której rozsiadło się dużo mężczyzn.

Ale nagle ten zasypiający dzień drgnął wyborną muzyką, tak częstą na Litwie. Nie grał

już Assernhof, lecz jakiś chudy, nerwowy, młodzieniec. Potężne akordy poloneza Chopina wtargnęły do salonu i powiały przez senne dusze obecnych. Kto paplał, ucichł; kto drzemał, otrząsnął się. Wśród ciszy działały się dziwy tej muzyki arcy-polskiej.

Rokszycy, przeszedłszy na palcach do kąta mniej oświetlonego w pobliżu fortepianu, usiadł i słuchał w skupieniu. Miał przed sobą chudy profil grającego młodzieńca, podobny nieco do Chopina; za tym profilem w głąb — część pokoju, nie zajęta przez ludzi, obraz jakiś, źle zwrócony do światła, więc mętny; długi szmat materii, mieniającej się wypłowiałą barwą, i pusty otwór drzwi do sąsiedniego pokoju.

Powoli nikła mu z przed zamglonych oczu plastyka rzeczywistości, wstawiała melodyjna plastyka marzenia. Z wojowniczych akordów wiała groza walki, rozpęd zastępu, rzuconego w orgię bitwy, młot rytmiczny piersi, wyteżonych ku pogębieniu sił nienawistnych, zamaszystość ramion rąbiących, zapamiętałość poświęceń. — Bohaterzy, jeżeli zwyciężą — arlekiny, jeżeli zginą!

I czuł się Kazimierz niesionym przez bojowy szal ojców i praocjów, słyszał chrzęst skrzydeł, osadzonych w stali, i furkanie porpców. Starożytna duma rośnie w młodą

potęgę, odwieczny żar wybucha ziejącym ogniem — — —

Ściera się furor ataków ludzkich o góry kresowe przeznaczeń, gaśnie pożoga zapalów w syczącym zalewie losu. — — — — Przebrzmiały dni walki, krwią gorące i nadzieją rozkoszne. Pobjowisko i żal! W żalu jęczy duma narodu strącona, tęgość zmarnowana, szlachetność, wydana na pośmiewisko. Nie dostrojone do grzmiącego wtóru powodzeń, samotne, ogromne pragnienie boli. — — — Ale w bólu wieszczą ocalała siła i piękność — i piękność wznosi się znowu do potęgi: woła głos jeden za miliony...

Ponurzona w melodyjnej zadumie głowę wznosił Kazimierz na grającego. Za nim... za Chopinem — stała postać kobieca, rzeczywista postać kobiety, nigdy nie spotkanej.

Biała jej szata spadała kształtem żywej kolumny z ramion obnażonych, raczej dziewczęcych; rzeźbione ręce puściła wzdłuż postaci, której skład harmonijny nie dawał wrażenia wielkości. Czy była wyniosła? Zapewne, ale przede wszystkim miła oku. Drobną jej głową, obciążoną związanymi poprostu ciemnymi włosami, zdawała się zastygłą w kołysaniu na szyi giętkiej i tak zastosowanej do głowy, jak łądyga do kwiatu. Zwracała do Kazimierza profil niezupełny, wróżący o rozkoszy spojrzenia.

Kazimierz przetarł oczy. Polonez Chopina? tak. Ale to przecie nie muza jego, ani marmur, ani przywidzenie... Musiała wyjść cicho z tych drzwi otwartych i stanąć tu, na tle wypłowiałej kotary... O! zwraca oczy.

Błysnęła ku niemu ciemna iskra spojrzenia, przyciągnięta magnetycznie. Jakie oczy! Czarne, zdaje się, a może złote? oczy z samego blasku.

— Z blasku — powtórzyły oczy, zwracając się wyraźniej w stronę Kazimierza, pełne wśród cienkich powiek, panujące na twarzy poważnej i jasnej.

W tej postaci dostrzegł teraz Kazimierz pewien niepokój, jakby otrząsała z siebie wrażenia poboczne, pragnąc samotna słuchać muzyki. Ale każda fala jej ramion, każdy cień, płynący po jej twarzy do wtóru cudownej melodyi, były tak estetycznie ciekawe, tak serdecznie pociągające, że Kazimierz patrzył jeszcze, jeszcze trochę... Nareszcie, gdy odwróciła się od niego zupełnie bokiem, Kazimierz pomyślał, że jest natrętny, i zakrył nerwowo twarz ręką.

Koncert Chopina grał mu już teraz o niej. To musi być ta dziwna pani Krystyna, o której mówią wszyscy: piękna. — Co mi to za słowo! W formie tej, jak w wysokiej muzyce wszystko jest harmonią, która nawiewa górne uczucia i myśli. Życie w niej kwitnie, radość

i boleść życia mieszkają w oczach tych, w ustach rozkosznie dziecięcych. I oto stoi tu...

Spojrzał ostrożnie przez palce, żeby jej nie spłoszyć. Stała uspokojona, oparta oburącz o poręcz krzesła z nachyloną głową, zasłuchana zupełnie.

— Oto nie przyszła do ludzi pokazać się, olśnić sobą, zbierać pochwały. Przyszła do muzyki, pięknej, jak ona; Chopin ją wziął, duch czysty i pokrewny, i zaniósł z sobą w bezcielesnym uścisku do krain, gdzie niema zgrzytów, gdzie boleść jest tonem, zlewającym się z akordami harmonijnej wszechwiedzy. Teraz Ona żyje, nie obrażona zgiełkiem fałszywym codnia, w uwielbieniu swych mar uduchowionych, w całowaniu swej rozkoszy samotnej.

Podążał za nią Kazimierz, lirycznie myśląc, wiążąc myśli i uczucia w snopy pokrewne tylko tonem, za pomocą logiki tego najpiękniejszego ze snów, którym jest muzyka.

Patrzył już bezwstydnie na twarz jej, zmienną od płynących przez nią tonów, i muzyka w jej oczach stawała się dotykalszą, przejmującą. Gdy się wzmagaly harmonijne grzmoty, kobieta oczyma pełnemi czarnej grozy zaglądała w ciemniejszą stal oczu mężczyzny i znajdowała w nich wierne odbicie swej wewnętrznej burzy. Kiedy znowu melo-

dya łkała boleścią indywidualną jednej rozdzierającej nuty, puszczała oboje przed siebie spojrzenia równoległe, idące we wspólną dal.

I tak słuchali już do końca pieśni, równi skrzydłami.

Gdy przebrzmiały ostatnie akordy, Krystyna spojrzała raz jeszcze na Kazimierza i skinęła mu głową lekko, jednak wyraźnie.

Powstał żywo i postąpił krok ku niej, ale pani Krystyna zawróciła z miejsca ku drzwiom otwartym i szybko przeszła przez sąsiedni pokój, aż znikła. Kazimierz przystanął, jak goniec, zraniony w biegu. Opamiętał się, wyprostował i niechętnym wzrokiem powiódł wkoło. Salon był pełen ludzi — takich natrętów.

— Krysiu! Krysiu! — wołała księżna za uchodzącą. — Przywitajże się przynajmniej.. Waryatka!

Wiele osób zbliżyło się do młodego wirtuoza z cichym dziękowaniem. Ale on błady i nieprzytomny, ścisnął z roztargnieniem podawane mu dłonie i zaraz opuścił salon.

Rokszycki chętnie uczyniłby to samo, czuł bowiem płomienie w piersi i na twarzy. Pozostał jednak, aby ukryć swe wzruszenie i starał się jak najpogodniej odpierać przytyki księżnej Zasławskiej.

— Przyciągnął pan Krysie jakąś magnetyzmem, ale trzeba ją było już przytrzymać.

Widziałam jak pan rzucił się w pogoń — cóż, kiedy nie dogonił..

— Księżna raczy ze mnie żartować. Pani Krystyna przyszła zapewne na odgłos muzyki. Nie byłem dotąd jej przedstawiony.

Pani Wiliaszew wmieszała się do rozmowy.

— Zapewne, że przyszła tylko dla muzyki. Była przecie bez gorsetu. Nie chciała, widać, ubrać się na wieczór, tylko tak coś ją poniosło, jak to ona zwykle.

— Co też ty mówisz, Wiero, że była bez gorsetu? Miała gorset, tylko włożyła na wierzch taki szlafrok z fałdem Watteau, bo wie, że jej w tem najlepiej, Ma talie trochę przysadzistą.

— Pani Krystyna?! — zawołał Kazimierz bez namysłu.

— A tak. Pan nie zauważył? Patrzył pan ciągle w oczy?

— Można się widać, pomylić, patrząc na kobietę przez muzykę — starał się poprawić Rokszycki.

— Albo przez luźny szlafrok — dodała księżna.

— Niezgrabione są przebiegi kobiece — dodała jeszcze pani Wiliaszew.

Rokszycki poczuł naraz dla obu kobiet, z którymi rozmawiał, pogardę, choć uprzednio był dla nich raczej dobrze usposobiony.

Żeby wiedziały, jak dalece przez zawistny ton rozmowy obniżały swój własny wdzięk! Ale najprzebieglejsze nawet kobiety popadają w ten gruby błąd ganienia cudzego towaru, narówni z przekupkami.

Przebłyskowe zjawienie się pani Krystyny było przedmiotem rozmów i między mężczyznami.

— Ładna laleczka — mówił pan Apolinary Budzisz — ale chuchro takie, dobrodzieju mój.

— A czy dasz pan wiarę — wtrącił się Fedkowicz, »wychodzący« od winta — że taka laleczka najlepiej lubi bawić się z chłopami? Taki już gust jej do prostych włóścian.

— At, pleciesz, panie Litaworze — skrzywił się Hieronim Budzisz.

— Co mnie pan mówisz, kiedy ja sam, często bywając w Rarogach u kuzyna Eustachego, widziałem panią Krystynę w konwersacyi z parobkami!

— Tak i cóż? Z ludem gadać nie wolno? Wiadomo, dziwaczy się, ale kobieta zacna.

— Jaż nie mówię. Tylko ten wybór towarzystwa! Od nas to ona ucieka.

Pan Gotard Assernhof kręcił tymczasem w palcach śpiczastą szwedzką brodę, krotocwilnym spojrzaniem mierząc Fedkowicza.

— Gdzie podziałeś, Litaworze, ten okaz mieszańca owcy z wielbłądem, który mi miałeś sprzedać?

Fedkowicz zaoponował żywo:

— Z jakim wielbłądem?! Owce nasze krzyżują z angorską owcą-szybkobiegiem!

— Mówiłeś: z wielbłądem; dobrze pamiętam. I cieszyłem się, że będę mógł takiego mieszańca strzydz, doić, a razem wsiąść na niego wygodnie oklep i przyjeżdżać do ciebie na gawędę o twoich nowych wynalazkach.

— Nie potrzebujesz, panie Gotardzie, ulepszeń w swojej gospodarce; wszystko tam idzie, jak za króla Sasa.

— To też czekam na mieszańca owcy z wielbłądem. A jak go zobaczę, to może uwierzę w ciebie i w gusta pani Krystyny.

— Ot i dobrze tobie! — zawołał Hieronim Budzisz, trzęsąc kanapą od ogromnego śmiechu.

Ale Fedkowicz zgorzkniał na twarzy i wyprostował się, obciążając poły fraka.

— Nadto już sobie pozwalasz przesładować mnie, panie Gotardzie. Będę zmuszony...

Assernhof nie dał mu dokończyć. Rzekł, wznosząc rękę:

— Dobrze: przysyłaj sekundantów. Ja, jako wyzwany, mam pierwszy strzał i wybór broni. Wybiorę sztucery. Jak świsnę kulką tu... —

(wskazał czoło) — to i Masia za mąż wyjdzie.

Fedkowicz machnął ręką i odszedł do stolika wintowego.

— Cóż to za Masia znowu, panie Gotardzie? — pytał Apolinary, trzęsąc się od śmiechu.

— A to jego taka towarzyszka, przybrana do poufności w interesach. Wynalazek stary, ale odkrycie, jak powiadają, cudowne. Czekają tylko, aż Litawor z Wilna wyjedzie, aby sobie urządzać wesole kolacyjki. Tożby się ucieszyła, gdyby wyciągnął kopyta!

Tylko w tym kącie salonu śmiano się, gdzie perorował pan Gotard. Inne kąty powoli pustoszały.

Rokszycki uwolnił się nareszcie od pań i chyłkiem wyniósł się do swego pokoju, unikając kompanii, raczącej się jeszcze winem przy kartach, a zwłaszcza młodych Zasławskich. Choć nie czuł się wcale sennym, odnalazł z radością swój pokój samotny.

Wrażenia dwóch dni ostatnich porządkował w rozpalonej głowie i nie mógł trafić do ładu. Od przyjazdu na Litwę aż do dnia przedwczorajszego układało mu się wszystko dobrze, nawet nadspodziewanie: studia praktyczne, poznanie kraju i ludzi. Len litewski był dobry, kraj piękniejszy, ludzie godniejsi szacunku, niż mniemał. Ale tu, w Rarogach, spo-

tkął naraz szereg zagadek, politycznych i towarzyskich, a na uwieńczenie tę jedną: co porabia w tych murach ta przedziwna pani Krystyna?

Zamknął oczy i zobaczył ją żywą, stojącą za muzykiem, na tle kotary, tak szlachetną w postawie, tak wymowną w oczach...

— O czym ja ostatecznie myślę? — strowował się. — O jej kształcie. Więcej nad to, że wygląda, jak zaklęta królewna, nie wiem. To, co o niej słyszałem, że dzika, dziwaczna, miesza tylko o niej pojęcia. Są to wyrazy zadziwienia, które sprawia na ludziach normalnych... Ach! ci ludzie normalni w Rarogach! Wolę do nich nie należeć. — — Chmarowie dziwna rasa: jeden nie udał się, drugi — ojciec ojczyzny. — — —

— — — Że ona słicznie słucha muzyki, to jeszcze nie racya, abym się zakochał w niej przez same oczy, bez słów, jak Słowacki w Szwajcaryi, jak Romeo... Właśnie dlatego przyjechałem na Litwę, właśnie dlatego mam od ojca wziąć Ziembów i założyć przedziałnię.

Otworzył okno i spojrzął w park, mający pod światłem księżyca, który płynął przez ciężkie chmury.

I świat był nakształt gmachu sklepionego, A niebo nakształt sklepu ruchomego, Księżyc, jak okno, którego dzień wschodzi.

Dziwił się sam sobie Kazimierz, że od wstąpienia na litewską ziemię przypominał ciągle wiersze. Nie dlatego tylko, że były to wiersze wielkiego Litwina. Kraj sam jest poetyczny, śpiewny. W powietrzu paryskim przykład jest dowcipna literatura; tak samo na Litwie, rozcińczona w zapachu, płynąca rytmem jezior i pagórków, mieszka poezya.

Znowu tu pachnie tak dziko, a miłośnicie, jak przy dojeździe wieczorem do Wiszun. A niema nawet jeziora w pobliżu, ani olszyny w parku. Widać, pachnie tak ziemia?

Park mienił się pod księżycem; to otwierał się w dal mgłami, rozłożonemi na trawnikach pośród wysokich gąszczów, to skracał swe perspektywy, czerniał i jakby postępował bliżej ku oknu zwartą masą szeleszczących cieniów. Z dalszych łąk dolatywały dwoiste chrapania derkaczów...

Chłodno było, ale tak zdrowo i rzeźwo w tych cieniach, że Kazimierz radby się w nich skąpał. Ale już i sam powiew przez otwarte okno ochładzał go, tylko nie wywiał mu z głowy jednego uporczywego obrazu:

— Czy ona patrzy w ten park? Gdzie mieszka? Może blisko ode mnie?

VIII.

Zaledwie rozdziłało, bracia Zasławscy pierwsi ruszyli dō lasu, gdzie podjęli się urządźć polowanie z gończymi na lisy. Za nimi mieli podążyć inni myśliwi, mniej lub wcale nie obeznani z puszcza i z litewskim sposobem polowania, które jest pobieżnie tylko naszkicowaną przygodą. O jakimś geometrycznym planie, o zajęciu takich a takich ostępów, o wyznaczeniu stanowisk nikt z góry nie przesądza. Jedzie się na umówiony punkt zborny, a stamtąd, gdy psy zagrają, »Bóg ich wie«, gdzie się zapędzą, gdzie urwą, gdzie złowią się, znowu poprawią, z oka wezmą, gdzie pociągą za sobą myśliwych. Zależy od przesmyków, od kierunku wiatru, od dnia, od szczęścia.

Na drabiniastym wozie parokonnym miejscowego wzoru trzęśli się Miś i Beno w liczczem towarzystwie. Na obu siedzeniach, szeroko sianem wypchanych, tkwili w różnych pozycyach, zwróćeni od koni i do koni, »ocho-

tnicy«. Było ich pięciu oprócz książąt i powożącego parobka, a kto im się przyjrzał, zrozumiał odrazu, że nazwać ich inaczej nie można, jak tylko »ochotnikami«. Ludzie ci, choć rozmaici, mieli wszyscy oczy pogodnie przebiegłe, oczy leśne, w czujnych i zdrowych twarzach. Hultajstwo, zamieszkałe w chatkach pod lasem dla stałego zajęcia kłusownictwem; dwaj nominalni leśnicy dworscy, jeden niby smolarz, jeden niby kołodziej; wszyscy przy strzelbach własnych, wszyscy zawołani »ochotnicy«.

Między dwoma siedzeniami sześć ciał psich czarno-rudych kotłowało się, jak w garnku, walcząc o miejsce z nogami myśliwych, i sześć łbów drżących i skomlących to się kładło na kolanach strzelców, to, zdławione sforką, wyglądało na boki poza drabiny wozu, chwytając chciwie w nozdrza wiatr obiecujący.

A między psami — zdawało się, że na ich grzbietach — siedziała boczkami postać ludzka wysuszona, zgięta w pałąk, nogi, obute w chodaki, trzymając przerzucone przez drabkę. Głowa zupełnie lisia z rudemi bokobrodami osadzona była na ciele wątem i lekkim, jak próżny worek. Niełatwoby zgadnąć, po co wieziono na polowanie ten numizmat strzelecki, zbrojny w zardzewiałą jednorurkę typu »napoleońskich« karabinów, cmokczący obwisłą wargą porcelanową fajkę o giętkim cybu-

szku. Był to jednak sam wódz ochotników i obieżyświatów okolicznych, strzelec dotąd niezrównany, odwieczny sługa Zasławskich, przyboczny jeszcze dziada młodych książąt, którzy go wozili z sobą nieodstępnie — Jurko Lejtan. Znał on nie tylko puszcze książęce, ale i lasy połowy Litwy. W kniei, do której jechano, chociaż cudzej, niktby lepiej nie potrafił się pokierować. Wyhodował też i zaprawił wszystkie psy, między którymi siedział i z którymi razem przyjechał do Rarogów.

— Jakże, Jurku, dobrze będzie?

Stary wyga puścił fajkę z zębów i rozejrzał się siwemi oczyma po niebie:

— Sama ta pogoda.

Chmury barwy zabrudzonego mleka rozdzierały się tu i owdzie, odkrywając szmaty błękitu; poranek tchnął dreszczem i dobrą wróżbą. Cała kompania, ludzie i psy, pokrewną owionięta radością oczekiwania łowów, wędrowała w kraj, zamykający się coraz bardziej bo bokach kłamrami lasów, ku zwartej, ciemnej ich masie. W tych kłamrach murawa jeszcze zieleńsza i soczystsza, zboże jeszcze jaskrawiej rude i złote.

Młodym szalawilom książęcym było wybornie w towarzystwie tych szalawilów ludowych, z którymi dzielili jeden posiłek, zabrane w torby myśliwskie, jednakie trudy i wzruszenia. Zasławscy odznaczeni się wpraw-

dzie lepszym ubraniem, lepszą bronią, delikatniejszym typem, ale byli tylko, chociaż najmłodsi na wozie, niejako pierwsi pośród równych. Zresztą najściślejsze pokrewieństwo instynktów i pragnień łączyło tę ochoczą czeredę, sunącą, jak pocisk zbiorowy, do jednego celu.

— Macie wszyscy trąbki? — zapytał Beno, oglądając kolejno strzelców.

Trąbkę, oprócz książąt, miał tylko leśnik Matyszkiewicz (właściwie Matieszunas). Tu Jurko Lejtan wygłosił jedną ze swych maksym łowieckich:

— Zwierz trąbki się boi, paniénku ty mój. Póki psy ruszą, tylko głosem ich nawołuj; a jak pójdzie gon, to i dech zaprzyj. Trąbka tylko do odwołania psów, albo kiedy już samym zwołać się.

Odezwał się Sidorkiewicz, leśnik, chłop setny o szerokiej piersi:

— A cóż, panie Jerzy, głosu wam jeszcze starczy?

Sidorkiewicz mówił napół z uszanowaniem, napół ironicznie do starego, który wyglądał na chyrlaka.

Jurko odjął fajkę od ust, splunął cienko i, nadymając podgardle, jak indyk, wrzasnął:

— Hola tola tola, hola tola tola tiuuu!

Aż w mózgach zaświdrowało towarzystwu, aż echo powróciło od dalekiego lasu. Psiar-

nia z dzikim skowytym jęła się wrywać w pole; z trudnością ją pohamowano.

— Patrzaj jaki! — kołysali młodzi strzelcy głowami.

Jurko, rozweselony, spojrział w oczy Bernarda Zasławskiego, któremu przygniatał nogi swą lekką osobą:

— Czy wiesz, paniénku ty mój, jak szerokie jezioro w Jużyntach pode dworem?

— Chyba wiorsta będzie.

— I z połową jeszcze. To my, bywało, z nieboszczykiem księciem Mikołajem chodząc na kaczki, on jednym brzegiem, ja drugim, godzinki śpiewali naprzemiany przez jezioro. Ot jaka sztuka!

— To i mój dziad miał taki głos? — pytał Beno z wesołym zaciekawieniem.

— Sławny głos, paniénku ty mój! Spotkał raz złodzieja w zamku już koło skarbca. Jak huknął, tak i złodzieja zabił.

— Musiał go przytem dobrze pomacać — powątpiewał starszy Zasławski.

— Ani palcem. Samym głosem zabił, dali-bóg prawda.

Lejtan uśmiechał się staruszkowato i serdecznie, łącząc na potęgę, byle w stylu, pożądanym przez młodych książąt. Według jego opowieści, bywało dawniej na Litwie tyle zwierzyny, że z ubitej robiono pasztety dla kundłów dworskich, a łosie i niedźwiedzie

pasły się z bydłem na leśnych polanach. Ludzie przed laty pięćdziesięciu byli wielcy i szlachetni, zwłaszcza książęta Zasławscy. A za każdą usługę dawali jemu, Lejtanowi, dukata. Był też gotów na rozkazy młodych swych panów, jednak tylko w zakresie myśliwstwa. Popłatnem rzemiosłem stręczenia dziewczyn nie zajmował się Jurko nigdy. Zresztą Miś i Beno mieli do tego użytku innych, z wyższego towarzystwa.

Las zacieśniał się coraz około drogi, zwężyły się polany i pólka; smolny zapach jodeł zapanował w powietrzu. Forpoczty polowania dotarły wreszcie do ściany puszczy, gdzie stała chata leśnika. Tu był punkt zborny.

Stary Jurko wysypał się pierwszy z wozu i klapnął chodakami o ziemię, jak kot, spadający na nogi. Za nim wysypały się psy, mocno trzymane na sforach, potem myśliwi.

Michał Zasławski, który nabrał już pedanteryi w myśliwstwie, cechującej młode pokolenie, obciągnął na sobie zgrabną angielską kurtkę i rzekł, przybierając postać dowódcy:

— Zdaje się, że można palić? Wiatr od lasu.

— Można, można — potwierdził Jurko, nakładając nową fajkę — zaczniemy stąd daleko.

I zwrócił się do psów pieszczotliwie:

— Cicho, ciučki, cicho... Pośpieją ciučki nagonić panom lisa złodzieja, pośpieją... A nie

niuchaj ty, Organ, kielbasy w torbie, bo wiatr stracisz... Dostaną ciučki jeść, ale po harapie.

Psy ugłaskane przyległy, a myśliwi siedli rzędem na kłodzie przy drodze, gwarząc cicho wobec majestatu i tajemnicy puszczy.

.....
Dobłą godzinę czekali na dwie bryczki, które przywiozły obu Budziszów, Assernhofa i Rokszyckiego. Razem z Zasławskimi sześciu myśliwych i co najmniej tyłuż »ochotników«, bo z chatek podleśnych przyłączyło się jeszcze paru, poszło teraz leśną drożyną, opuściwszy podwody. Lejtan i Matyszkiewicz prowadzili jeszcze psy na sforach.

Hieronim Budzisz szedł pierwszy za miejscowym przewodnikiem. W krótkim kubraku, przepasanym ładownicą, ze strzelbą, która przy jego postaci wydawała się ptaszyną, wyprostowany bardziej, niż zazwyczaj, stąpał wielkimi krokami w milczącym podnieceniu. Twarz mu promieniała grozą i radością leśną. Był w swoim żywiole.

Obok, o ile wąskość drogi pozwalała, postępowali pan Apolinary i Gotard. Wypłowiwały wąs Apolinarego stykał się prawie z białym promieniem zarostu Gotarda. Czuli do siebie skłonność i gadali bez ustanku. Chociaż milczenie było wymagane przy obchodzeniu ostępu, nikt nie śmiał im zwrócić uwagi. Zży-

mali się na nich cicho Zasławscy, towarzyszący mniej więcej nieodstępnie Rokszyckiemu.

— Spłoszą nam lisa stare gaduły; zaraz psy puszczamy — mówił szeptem Miś.

— Czy jeden tu jest? — łagodził Kazimierz. — Bawimy się. Sama przechadzka coś warta.

Wskazywał na przetrzebiony od brzegu, ale coraz wspanialszy las. Zdarzały się już jodły olbrzymie i kłody omszałego powału.

— A nie chciałbyś zabić lisa? — zapytał Miś.

— I owszem. Nawet nie zabiłem nigdy lisa przed psami. Z psami polowałem tylko na dziki.

— Trzeba było pocałować przed wyjazdem jakieś damskie kolano na szczęście — dodał Beno.

— Nie przyszło mi to na myśl. A i w piekarni nie byłem.

— Po co w piekarni? w pałacu.

— Jeszcze trudniej.

— Oj je! i mamaby pozwoliła.

Rokszycki spojrział z ukosa na młodego księcia i zamilkł, ten zaś, może dla zgłuszenia podejrzanego dowcipu, gwizdnął przemiłliwie.

Jurko, przebiegając różnym krokiem wzdłuż szeregu myśliwych, napominał szeptem:

— Pany! pany! do lisich jam podchodzimy. Cicho trzeba. Wraz i psy puszczam.

Jakoż wstrzymał pochód i rozwiązał sfory. Ze stłumionym piskiem rzuciły się w las młodsze psy: Lutnia, Śpiewka, Zagraj i Szumlas, harcując niby na popis kręgami około myśliwych. Starsze, Piskla i Organ, ruszyły od razu w celowych podskokach, z nosami przy ziemi, zatrzymując się co chwila, obwąchując z rozwąga rosiste kępy. Poważny łeb Organa wznosił się często i zwracał zasute do połowy oko na Jurka, jakby dla porozumienia z wodzem wyprawy, i zniżał znowu ku murawie swe obwisłe fafle i rozkołysane klapy.

— Kiedy Organ zagra, bie—da! panieńku ty mój — ubolewał Jurko ironicznie nad losem zwierza, na którego trop wpadnie stary i pewny pogromca.

Teraz zaś, puszczając się za psami w las, wołał dla zachęty:

— Poszukaj, szukaj, szukaj! Poszukaj... Hola, tola, tola!

I sunąc posuwicie po mchu cichymi chodakami, wyprzedzając długim, wietrzącym nosem resztę swej zgarbionej, lekkiej postaci, rudy cały i płowy, wyglądał sam, jak zaciekły ogar dwunogi, jak lichy leśny, zrodzone na zgubę mniej przebiegłej zwierzyny. Maluczko, a zginął w barwach i powikłaniu puszczy; ogłaszał się tylko swą gardlaną trąbką, coraz dalej.

Matyszkiewicz rozstawiał myśliwych po

lesie łamaną linią wśród gąszczu, uprzedzając każdego, aby się zlekka okrzyknął do sąsiadów, dla oznaczenia swego miejsca i uniknięcia możliwego postrzału. Sam Matyszkiewicz poszedł za Lejtanem wycierać knieję, a inni jego towarzysze znikli gdzieś, przyczaili się, wsiąkli w puszcze.

Rokszycki dostał bardzo obiecujące stanowisko na samych lisich norach. Niewielki garb gruntu, porośnięty, jak cała okolica, odznaczał się tylko kilku plamami świeżo poruszonej ziemi i rozdartego mchu, z którego wzięrało pięć czarnych otworów. Kazimierz, myśliwy już wprawny, wybrał sobie miejsce nie przy samych norach, lecz o kilka kroków dalej, mając przed oczyma nory i gdzieś jaśniejsze pasma gąszczu. Dla pogłębienia widoku tu i owdzie obrąbał kordeląsem gałęzie, rozświetlając sobie »wizówki«. Pochłonięty cały przez namiętność łowiecką, którą podniecał wspaniały, wysokopienny, odwieczny las, baczył pilnie, okiem i uchem, ile mu las dotrzyma obietnic, ile nastreczy niespodzianek. Ale tymczasem było cicho.

Cisza leśna nie ma nic wspólnego z morską lub stepową, gdzie nic się nie dzieje oprócz zmiany oświetleń. Cisza litewskiego lasu jest nieprzejrzaniem widowiskiem żywych szczegółów, nieprzesłuchaną orkiestrą szmerów. Wysoki wiatr, kiedy i nie zrywa wierz-

chołków do śpiewnych pokłonów, mieszka tam zawsze, choćby w drżących koronach brzoź i w strzelistych kitach jodeł. A także ta, która w oczach pędzi od ziemi przemożną bujnością odrośli, na szczytach lekko umiera puszcza: coraz to gałązka, siwym mchem przeżarta, spływa ku ziemi konająca i zawisnie na niższych konarach; to znów gruchnie o ziemię szyszka, krąży po powietrzu liść wcześniej zwiędły.

Nieustanne sprawiają szmery mniejsi mieszańce rozwieszanej pod błękitami zieleni: plondrują po kuszczach szare płaszyny, kuja dzieciocy na wysokich jodłach, jaskrawe sójki i siwowronki tryskają nagłemi racami w niebie i nikną wśród liści. Płomieniem pociągnie czasem ku sobie oczy śmigająca po mchu wiewiórka, niewinna karykatura lisa.

Ruchome cienie migają przez wierzchołki od płynących cicho wielkich skrzydeł: samotny kruk przelatuje. To znowu ogłasza się w górze przyspieszone furkanie lotu dużego ptaka. Kazimierz chwycił za strzelbę, przyłożył się... nie strzelił.

— Cietrzew... Nie warto ploszyć lisa.

Wkrótce od rozglądania się w zacieśnionym promieniu Kazimierz nabrał poczucia własności tego miejsca. Poznał już twarze i profile fantastyczne gąszczów naokoło; znał wyraz pagórka, wyszczerzonego ku niemu

otworami nor lisich; zbadał przyzwyczajenia szarej ptaszyny, powracającą ciągle na jedną gałązkę, aby ćwierknąć i zarzeć mu w oczy; miał swe wygodne oparcie o gruby pień i miejsce dla stóp, wysłane bogatym, wysoko strzyżonym kobiercem mszystym; wiedział, o jakie krawędzie opiera się władza jego broni i wzroku; poznawał w przewiewie zapach żywicy od jodeł i łąziebny zapach brzeziny i różne, określone już w mózgu wonie krzewin i jagód; żył mnóstwem poczuć świeżych, dzikich, odmładzających, które składały się na jedno rozkoszne uczucie posiadania na własność tego nie tkniętego przez siekierę kąta puszczy. Na tem stanowisku oczekiwał obiecanych mu przez ludzi, zapowiedzianych przez drżenie serdeczne zdarzeń.

Ale psy nie ruszały zwierza, ucichły i nawoływania strzelców, bór tylko prowadził swe szerokie gwary, roziskrzony w barwach, gdyż zaległa na niebie słoneczna pogoda. Godzinę już chyba stał tak Kazimierz, gdy usłyszał zbliżający się szelest... zwierza? nie — to ludzkie kroki. Schodzono, widać, ze stanowisk, aby przenieść się na inne, szczęśliwsze.

Migały przez liście dwie postacie, na przedzie zwyczajna, leśna, a za nią druga ciemna, wysmukła... Zdaje się, że kobieta? Kibić, duży kapelusz z położonem piórem...

— Pani Krystyna!

Kazimierz odepchnął się łopatkami od pnia, o który opierał się niedbale. Wszystkiego się spodziewał w tem czarownem ustroniu, tylko nie jej.

Zbliżała się uśmiechnięta prosto ku niemu. Drobna, sucha jej noga stąpała lekko i elastycznie po mchu, jak czarna łapka ładnego ptaka, idącego na piechotę.

Osadziła się tuż przed Kazimierzem i wyciągnęła do niego małą, nadspodziewanie silną dłoń.

— Rokszycki — przedstawił się z głębokim ukłonem.

— Ja tu pozostanę z panem — rzekła Krystyna, dając znak przewodnikowi, aby się oddalił.

Przewodnik, jeden z »ochotników«, natychmiast gdzieś przepadł.

— Pani na polowanie? — zagadnął Kazimierz z niezwykłą nieśmiałością, jakby nie dowierzając oczom.

— Przyszłam choć zobaczyć — — Tak lubię mój las!

Mówiła szczerym, ujmującym głosem.

Kazimierz nie znalazł na razie dalszego ciągu rozmowy. Oparł strzelbę o pień i skrzyżował ręce na piersiach.

— To naprawdę mój las; już nie jesteście panowie w Rarogach, ale w puszczy Auszrań-

skiej, która do mnie należy. Jest pan moim gościem.

— Dziwy tu spotykam po dziwach — zaczął Kazimierz. — Wczoraj taka muzyka, a z nią zjawienie się pani; dzisiaj taki las — i znowu pani...

Zauważył jednak zaraz, że pani Krystyna słuchała zdawkowego entuzjazmu ze zdawkową też uprzejmością; przerwała mu nawet:

— Panowie tu przyjechali dla ważnej narady?

— Mój wuj, Apolinary Budzisz. Ja się zajmuję studjowaniem lnu.

— Ach, tak? Myślałam, że, przeciwnie, pan ma większe zamiary społeczne.

— Nie wypieram się ich wcale. Owszem, od czasu, jak tu jestem, ciągle mi ich przybywa.

— Pan to mówi... naprawdę?

Oczy utkwiała w niego tak badawcze, że Kazimierz wyprostował kark, odpowiadając:

— Nie pozwoliłbym sobie w tej materii na żarty.

— Tak mi się też zdawało, gdyśmy wczoraj rozmawiali — przez muzykę. Ale to nie wystarcza.

— Mnie tem bardziej.

Oczy jej nabrały dobrego blasku, i odżyła w nich jakby ufniejsza znajomość. Wczorajsza muza, niezależnie od ubioru i oświetleń,

stała przy Kazimierzu ta sama, niezawodnie piękna i harmonijna.

— Skoro pana zajęła Litwa, mogłabym wiele o naszych stosunkach powiedzieć.

— Byłbym bardzo wdzięczny.

— Więc powiem panu; rzecz jest taka...

Zamilkła jednak po tym kategorycznym wstępie; twarz jej mieniła się uśmiechem i namysłem, a lekko drżące nad nią liście głąskały ją po twarzy cieniami.

— Rzecz jest... jaka? — nalegał Kazimierz przychylnie.

Jeszcze milczała. A tymczasem zagadał las.

Jakiś daleki, ledwie dosłyszalny zgiełk pokłócił się z harmonią szmerów. Niepokój rozdził się w głębi puszczy, niby zlot krzykliwego ptactwa gdzieś nad jeziorem wewnętrznem, niby zbiegowisko ludzkie, oddalone o całe mile. Zgiełk przychodził z powiewem wiatru, zamierał, powracał wyraźniejszy; zbliżał się.

— Ruszyły psy! — zawołał stłumionym głosem Kazimierz, chwytając za strzelbę.

— Tak, tak, ruszyły! Ja to znam — potwierdziła Krystyna.

W oczy jej wstąpiła nagła, promienna radość. Kazimierz rozejrzał się szybko w topografię swego stanowiska, o której na chwilę był zapomniał, obliczył możność strzału, tu

na wizówce, tam przez gąszcz rozrzedzony. Oboje skamienieli w oczekiwaniu.

Gon, wyraźnie z oka, zbliżał się. W przy-
pływającym chórze rozróżnić było już można
rozkwilone dyszkanty młodych suczek, kontr-
alty starszych, gniewny baryton Zagraja i ury-
wany, grobowy bas Organa, dającego głos
tylko na pewnika.

— Może ja się schowam za drzewo?

— To pani nie zobaczy.

— Stanę przed drzewem?

— Jak pani chce.

— Za panem stanę.

Umieściła się rzeczywiście tak, że Kazimierz
czuł w krzyżu pacierzowym magnetyczny nie-
pokój, bijący od jej postaci, a około uszu
jakby powiew jej oddechu. Sam zaczął się
kręcić i zapominać o lisie. Ale nakazał sobie
przytomność umysłu i baczność strzelecką,
umocnił obie nogi we mchu i wpawiał w sie-
bie, że jej tam za nim niema.

A granie psów było już pieśnią ciągłą, uło-
żoną w akord na zasadzie dzikiej jakiejś, ale
melodyjnie przejmującej harmonii, jak szum
wichru, lub oddech wzburzonego morza. Były
w tej pieśni takty i oktawy, były sola i zbio-
rowe crescendo, a wszystko razem warianty
zasadniczego frazesu: gończej zaciekłości za
pożądanym łupem. Niezwykłe z psich gardzieli
dobywały się głosy: zanosły się serdecznym

plączem Śpiewka i Lutnia jęczały spazmem
łaknącym, męskim Zagraj i Szumlas.

Gon stawał się już wrzawą i tak blisko,
że lada chwila spodziewać się było można
wychynięcia chytrego pyska lisa, zdążającego
rozpaczliwie do nor, przy których stali Kazi-
mierz z Krystyną.

— Idzie, idzie! — ozwała się nagle Kry-
styna gorącym szeptem.

— Widzę. Cicho-że, na miłość Boską!

— Panie! ja!...

Kazimierz pierwszym nerwowym odruchem
odskoczył od Krystyny, widząc, że ręka jej
posuwa się skurczona i prosi o broń. Ale spoj-
rzył na nią, zmienił błyskawicznie zdanie i po-
dał jej strzelbę:

— Proszę.

Tylko że lis już spostrzegł, co się dzieje
przy jego norach, i dał kominka pod ostrym
kątem w gąszcz. Migał jeszcze rudawą plamą
na prawo, coraz dalej.

— Nie strzelać! — rzekł Kazimierz gło-
śniej — to już na nic.

Dopadały tymczasem psy z szalonym har-
midrem. Szumlas i Śpiewka obok, połączone
jakby w jedno ciało dwugłowe, śmigły wy-
ciągnięte, prowadzące gon i chór, rozpędzone
po linii prostej. Wyłamały się z gąszczu inne
lby zaciekle, tropiące po ziemi, dzikie w śle-
piach. Ale w pobliżu nor lisich wszczoło się

w pościgu zamieszanie. Lutnia dopadła aż do nóg Krystyny, stanęła i spojrzała jej w oczy, żałośnie skomlać, niby z zapytaniem, gdzie lis. Ujadanie przycichło, psy kręciły się rozpaczliwie w różnych kierunkach, żaląc się, odrywając łby od ziemi, zdumione, że trop straciły. Aż na miejscu, gdzie uprzednio zobaczyła Krystyna lisa, rozległ się lament nieutulony:

— Aj, jaj, jaj, jaj, jaj, jaj, jaj...

I czarną błyskawicą przemknęło na prawo ściśle ciało wytrawnej suki. Poprawiła Piskla.

— Tu, tu! — potwierdził rozkazującym basem Organ, rzucając się w ślad na prawo.

W mgnieniu oka zawrócone, ściągnięte w jeden kłęb, rozegrane ponownie, puściły się wszystkie psy poprawionym śladem. I buchnęła pieśń pościgu pełna, zgodna z wtórującym lasem.

Pośród pieśni nagle, głucho stęknął bór. Gon wzmógł się jeszcze, trwał przez minutę, ale powoli zapadał się przepastnie w ciszę. I pochłonęła go cisza.

— Zabity — rzekł ponuro Kazimierz do Krystyny, łamiąc strzelbę i wyjmując ładunki.

— Ale nie przez nas! — odpowiedziała żałośnie.

Spojrzeli na siebie. Byli oboje bardzo bladi, wyczerpani przez silne wzruszenie, zawiedzeni w swych łowieckich ambicyach. Patrzyli tak sobie w oczy, biadając, że stało się źle.

Ale wkrótce on zaczął myśleć, że Krystyna jest przecie cudowna z temi tragicznymi oczyma, a ona, że Kazimierz patrzy jasno, nie nie udaje i martwi się, jak dzieciak. I z wzajemnych spostrzeżeń wynikła nagle pogoda ich twarzy, a z pogody trysnął śmiech. Zaśmiali się serdecznie ze swych krwiożerczych instynktów, a uradowali się, że są tu razem, że świat jest dziko piękny.

— Przepraszam pana. Widzę, że pan jest dobry, bo umie nawet wyrzec się czegoś dla kogoś — rzekła Krystyna, roziskrzając spojrzenie nieklamana wdzięcznością.

— Ależ pan! taki drobiazg... — odpowiedział Kazimierz.

Przypomniał jednak, że przed chwilą całej nateżonej woli musiał użyć, aby nie zniecierpliwic się. Za to teraz winszował sobie, że tak postąpił.

Od strony, gdzie padł strzał, dochodziły zmieszane głosy, nie tłumione już przez podstępne oczekiwanie, tryumfalne.

— Pójdźmy zobaczyć lisa — rzekła pani Krystyna.

— Pójdźmy. Oczywiście, co się stało na norach, opowiadać nie będziemy.

— Dobrze — skłoniła głowę Krystyna, na nowo ujęta przez delikatność Kazimierza.

Na niewielkiej łysinie gruntu pod cieniem wspaniałych jodeł stała już kompania strzel-

ców, zebrana bez hasła trąbki, na odgłos śmiertelnego strzału. Myśliwi wyższego chóru byli w komplecie, strzelcy miejscowi ścigali się z różnych miejsc puszczy. Jurko Lejtan, jakby przyjechał na grzbiecie ogara, stał tu już snadź od pewnego czasu, gdyż zdążył zapalić fajkę. Pośród koła myśliwych leżał rozciągnięty na mchu trup starego lisa, mierzący zapewne dwa łokcie od zgryźliwego pyska aż do końca puszystej kity.

Dość było rozejrzeć się po obecnych, aby zgadnąć, kto go zabił. Pan Gotard Assernhof rzączył właśnie obecnych opowiadaniem:

— Ja tu myślę, że jestem w loży dla słuchania opery, bo gon idzie wyraźnie na nory, aż słucham — coś się zahaczyło; patrzę — aż wrywa idyota rzadkim lasem — o tam pod dębem, a Piskla prawie że za kity go trzymał. Dałem się złodziejowi odsadzić jeszcze o parę susów, żeby zacnego psa nie postrzelić — no i jest.

— Pięknie pan baron strzela! — rozrzewniał się Jurko Lejtan, jakby uważał zabicie śrutem lisa na rzadkim lesie za niepospolitą sztukę strzelecką.

— Co? — rzekł pan Gotard — niczem nieboszczyk księżę Mikołaj? A fajka nowa będzie, będzie, Jurku.

Wyjął z kieszeni papierek trzyrublowy, po

którego otrzymaniu Jurko jeszcze bardziej się rozrzewnił.

Dopiero teraz zaciętrzewieni myśliwi spostrzegli, że przybywa do ich grona niespodziewana tutaj pani Krystyna w towarzystwie Rokszyckiego. Odkryły się wszystkie głowy, a pan Gotard zwrócił się do przybywającej:

— A to mamy i wyjaśnienie zagadki! Stała pani na norach, obok Rokszyckiego?

— Stałam.

— Zaszczytne wyróżnienie! Za to mi pani przysłała lisa. Ściełę pod stopki zdobyty ko-bierczyk.

IX.

Ponieważ pani Krystyna oświadczyła, że znowu chce pozostać obok pana Rokszyckiego, Miś Zasławski, kierujący rozstawianiem myśliwych, wyznaczył Kazimierzowi takie nowe stanowisko, na które lis przyjszyby chyba mógł dla podziwiania krajobrazu. Była to polana nad małym jeziorkiem, zatrzymanem przez wybryk przyrody na wysokiem wzgórzu pośród lasu. Ciemne było, jak smoła, ku brzegom nieco tylko zieleniejące od naturalnych wałów z darni, które cembrowały to oko leśne, głębokie — powiadano — jak piekło. Musiało mieć podziemne dopływy, gdyż nie schło nigdy, ale przesączało się strumykiem w spadzisty wąwóz, nad którym stała chata leśnika, Sidorkiewicza. Stąd też jeziorko nazywano »pod Sidorkiewiczem«.

Zostawiając Kazimierza i Krystynę na polance przy tem jeziorku, Miś Zasławski dawał instrukcyę:

— Pilnuj, Kaziu, lisa, jak przyjdzie tu się kąpać. Jeżeli pośpiejesz, pal na brzegu, a nie — to wpław.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział Rokszycki machinalnie, zapominając zupełnie o swej godności strzeleckiej.

— A Krysia może tymczasem upatrywać po gałęziach. Czasem się zdarza, że i po drzewie lis przyjdzie.

Jeszcze nie skończył, gdy dostał pocisk szyszką, którą cisnęła w niego Krystyna. Ale zgrabny urwisz szyszkę chwycił w rękę, jak piłkę, i, poskoczywszy ku Krystynie:

— Proszę jaśnie pani — rzekł, przedrwiwając — pani zgubiła? A przydać się może na lisa.

— Idź już sobie!

— Tak ci pilno? Zaraz. Muszę powiedzieć seryo. Nie śmieć się ty, Kaziu, z tego stanowiska. Lis może przejść i tutaj — o tam w wąwóz. Jurko mówi, że ksiązę Mikołaj zabił tu mało trzydzieści lisów. Tylko to było w roku, kiedy co człowiek zelgał, to się na złość sprawdzało.

Ukloniwszy się ironicznie, oddalił się, biegnąc w przesadnych susach, oglądając się za siebie, jak chochlik. Właściwie nierad był z Kazimierza, że nie dość poważnie traktuje polowanie, a z Krystyny, że ciągle trzyma się z Kazimierzem.

— Wesoły chłopiec — rzekł Rokszycki. —
Lubi go pani?

— Lubię wogóle młodych. Jeszcze w nich
coś jest z człowieka, jakim go Bóg stworzył.
Chociaż już w tym...

Machnęła ręką.

— To krewni pani Zasławscy?

— Księżna wymyśliła jakieś powinowactwo
Sołomereckich z Zasławskimi. Żebym była
brzydsza, nie byłabym krewną.

Kazimierz roześmiał się serdecznie z traf-
ności uwagi, a zarazem i z otwartości pani
Krystyny.

Ale ona spojrzała na niego poważnie:

— Tak jest, panie — tacy są ludzie.

Po zaciśnięciu rozmów rozstawiających
się myśliwych, po oddaleniu się nawoływań
Jurka zaczynało tu być, jak w bajce, Jakieś
zakłete jezioro, jakiś las jodłowy, pnący się
po wzgórzu aż pod niebo... Ale fraszka las,
jezioro; to ostatecznie już się gdzieś widziało.
Tylko nigdy nigdzie nie znalazł się Kazimierz
w takiej ogromnej ciszy wobec takiej kobiety
rozkosznie zadziwiającej.

»Nie trzeba jej brać zupełnie na seryo...«

Te słowa księżnej Zasławskiej powróciły
mu teraz na pamięć natrętnie. Ale odpowiedział
sobie w myśli, że kwestya zbyt jest po-
ciągająca, aby jej sam nie starał się zbadać.
Woli sobie wierzyć, niż tej księżnej.

Zaczął od byle czego:

— Widzę, że pani już polowała, albo to-
warzyszyla myśliwym?

— O tak! Polowałam niemało; strzelałam
już kaczki, cietrzewie, pardwy — ale to je-
szcze w Taborowie z ojcem. Tu nie mam
z kim.

— Ja nigdy pardwy nie widziałem, a po-
luję od dzieciństwa. A gdzie to Taborów?

— Prawda! — rozśmiała się Krystyna —
pan mnie wcale nie zna; dowiedział się za-
pewne o mnie wczoraj, że żyję... Taborów
był majątkiem mego ojca, potem brata.

— Teraz już nie...? — zaczął pytać Kazi-
mierz, ale się zatrzymał przed ciemniejącem
spojrzeniem Krystyny.

— Już nie. Brat mój sprzedał Taborów
i mieszka w Paryżu. Chciał sprzedać i Au-
szrę, — o tę, gdzie jesteśmy, — ale ja nie
dałam.

Kazimierz przerwał, domyślając się, że
w tych rachunkach rodzinnych tkwi jakiś
przedmiot smutny, może i drażliwy.

— Trzebaby jakoś się umieścić na wypo-
dek, gdyby znowu psy ruszyły.

— Wątpię, bo już rosa oschła — odpowie-
działa Krystyna — ale usiąśćby można.

Poszukali oczyma, czy niema gdzie ścię-
tego pieńka. — — — Las przy polanie skła-

dał się z samych masztów, nietkniętych przez ludzi, ani przez żywioly.

— O tak, poprostu!

Nawpół usiadła, nawpół się położyła na pochyłości gruntu, usłanej suchym wřzosem, w cieniu.

— Niech pan także usiądzie — o tu. — Wole, gdy rozmawiam o czemś ważnem, patrzeć prosto w oczy.

Kazimierz rozciągnął się na wrzosie, nieco poniżej — i bez wahania, szczerze spojrział na Krystynę:

— Drugi już raz posądza mnie pani o jakąś przebiegłość, do której się nie poczuwam.

— Więc dobrze, mówić będę, jakbym wiedziała, że pan jest taki, jakim mi się wydaje.

— Ja tak samo będę odpowiadał. Jest to jedyny sposób poznania się.

— Wiem. Nie lubię nawet rozmawiać inaczej.

— To proszę mówić! — zawołał Kazimierz. — Widzę ze wstępu, z wahania, że pani jest trochę nieufna.

— Ludzie mnie tego nauczyli, ludzie z Rarogów. I właśnie szukam innych... Tu potrzebni są tacy, jaki był naprzykład mój ojciec, Władysław Sołomerecki.

— Słyszałem o ojcu pani. Słyszał, jako dobry Polak i silny pracownik.

— Słyszał pan zapewne za mało. Ale nie będę mówiła o nim, bo to już tylko cień. — Na dzisiaj żeby ludzie tacy się znaleźli!

Kazimierz potakiwał, lecz nieco platonicznie, gdyż, będąc z dalekiego kraju, mało rzeczywiście wiedział o Władysławie Sołomereckim.

— Rodziców dawno już pani straciła?

— Matki prawie nie pamiętam. Ojciec mój umarł temu lat dziesięć. — Ale ta moja biografia może nudzi pana?

— Jak pani może przypuszczać?! Właśnie proszę mi mówić o sobie. To mnie serdecznie zajmuje.

Przycisnął dłoń do piersi naturalnie i przekonywająco.

— Więc jeszcze trochę. Ojciec w testamencie oddał mnie pod opiekę pana Eustachego Chmary.

— Ach, to była wola ojca pani?

— Tak. Pan Chmara uchodził już wówczas za najznacniejszego obywatela tutaj i... był trochę inny. Gdym zaledwie dorosła, pan Chmara wydał mnie za swego przyrodniego brata, dużo młodszego, Karola. Wtedy skończyło się moje dobre życie, a właściwie — już od śmierci ojca.

Znowu rozmowa brnęła w nieszczęście, i Kazimierz nie śmiał dalej pytać. Chwycił pamięcią kilka faktów jasnych, kilka rysów dobrych, reszta pozostawała zagadką tem ciekawszą.

I mówili tak żałośnie, a przecież w zakątku świata, gdzie ludzie samotni musieli marzyć, a młodzi, we dwoje będąc, musieli się kochać. Las, choć ogromny i głuchy, nie miał w sobie nic przerażającego. Tęsknił, przeglądając się w wodzie, uśmiechał się świeżą smugą zieleni wzdłuż wąwozu; a chata leśnika siedziała w wesołym ogródku z warzyw i kwiatów.

Widząc, że Krystyna utkwiała wzrok w jedno miejsce za jeziorem, a nie rozgląda się, tak jak on, po liniach i szczegółach kraj-obrazu, Kazimierz pomyślał, że ona musi to miejsce już znać za dobrze i nie widzieć jego piękności.

Odezwał się:

— Ja nie miałem pojęcia, że tu wszędzie tak ślicznie. To jest za mało sławne, tego ludzie nie dość wiedzą. Pani już przywykła, ale nowy człowiek jest zupełnie przejęty, gdy tu przyjeżdża.

Krystyna uradowała się:

— Polubić pan może nasz kraj?

— Co to polubić! Pokochać! Jak na górze

Tabor, chce się zawołać: zbudujmy sobie tutaj przybytek!

Spostrzegł Kazimierz, że się zapędził w wymowie; ale Krystyna patrzyła na niego ze spokojnem zadowoleniem, nie czepiając się słów, wdzięczna za intencję. Wkrótce jednak zadumała się i westchnęła smutno:

— Ach! tak, panie...

Kazimierz, sądząc, że Krystyna powraca do żalonych wspomnień, rzekł głosem wzruszonym:

— Czy pani nie zanadto zatapia się w smutku przeszłości? — — — Przecie, jeżeli przed kim, to przed panią życie na rozcież otwarte. A ze wszystkiego, co słyszę, wygląda mi pani na... Trudno jednym słowem powiedzieć, na co pani wygląda...

— No na co? na co? — — — Tylko nie na boginię, świteziankę, albo coś takiego.

— Właśnie, że mi to nawet przez głowę nie przeszło. To już zapewne tysiąc ludzi pani powtórzyło?

— Nie myli się pan.

— O dniu nie trzeba mówić, że słońce świeci.

— O! źle, panie. Myślałam, że usłyszę coś nowego.

— Co innego w każdym razie. Chciałem powiedzieć, że pani wygląda także na... dzielnego człowieka.

— To dobrze. To przyjmuję.

Wyciągnęła do niego rękę. Kazimierz odkrył głowę i rękę uściśnął. Nie podniósł jej do ust, choć była tak blisko ta drobna, szczerza i bardzo miła ręka. Im bardziej była w jego mocy Krystyna w tej samotności leśnej, tem ściślej czuł się obowiązany do rycerskiej powściągliwości.

— Przyjmuję tę pochwałę — powtórzyła Krystyna. — Ale cóż kobieta? Potrzeba dzielnych mężczyzn, aby Litwę ratować.

— Ratować? — od czego?

— Od złej polityki. Nam potrzeba wzmocnienia unii z Koroną — rzekła Krystyna ze stanowczą powagą.

Kazimierz rozpromienił oblicze:

— W kilku słowach powiedziała pani to, co mi rośnie w głowie od czasu mego przyjazdu, zwłaszcza do Rarogów.

— Najwyraźniej poczuł pan to w Rarogach?

— Oczywiście! Jestem szczerzy, jak pani ze mną.

— A! to jest pan moim... to się zgadzamy wybornie! — zawołała z nietajoną radością. — Ja tu wytrzymać nie mogę, duszę się, jak w więzieniu! To właśnie chciałam powiedzieć panu odrazu.

— Nie mogłem usłyszeć nic bardziej trafającego mi do serca i do przekonania.

Jakby olśniony przez nową, kapitalną piękność w osobie Krystyny, patrzył na nią Kazimierz z gorącym współczuciem.

— Teraz rozumiem odrazu wiele rzeczy. Jest pani w ciągłej rozterce moralnej z całym szeregiem mieszkańców Rarogów i okolicy?

— Naturalnie. I całe moje życie od śmierci ojca zabrnęło między takich ludzi. Mieszkałam przez czas pewien i u Zasławskich.

Kazimierz budował pośpiesznie, ale składowanie historii Krystyny. Zapalał się coraz bardziej do tego przedmiotu, więc badał dalej:

— Nie mogła pani mieszkać u siebie, rozumiem, bo brat sprzedał ten... Taborów. Ale prawda! Kiedyż to on sprzedał?

— Zawczasie, panie, o parę lat zawczasie; wtedy, kiedy jeszcze nie było wolno... Odtąd przestałam się z nim znać.

Zaczerwieniła się, jak wiśnia, co spostrzegłszy, Kazimierz odwrócił oczy, choć miałby chęć wyrazić jej najgorętsze uznanie za ten wstyd kochany. Rzekł ze szlucznym spokojem, w którym drżało jednak wzruszenie:

— Ale pani nie dała sprzedać swojej Auszry.

— Jest dużo większa niż moja część. Córkę tu biorą czternastą część spadku.

— Prawda! zapomniałem.

— Więc na tych drzewach, pod którymi

siedzimy, na jeziorku, na chacie, na każdym tu krzaczku są długi. Mówią mi nawet, że Auszra już prawie nie należy do mnie. Ja tego nie rozumiem.

— To trzebaby porachować, sprawdzić — rzekł Kazimierz, uderzając dłonią po ziemi, o której była mowa.

— Ten, któryby to uczynił, musiałby kontrolować czynności najpotężniejszego mego opiekuna — rzekła Krystyna z zaciętą ironią.

— To jest: pana Eustachego Chmary?

— Jego samego. Nie wiem, czy ktoby się ośmielił?

— Znaleźliby się i tacy — odrzekł Rokszycki, podnosząc głowę wyzywająco.

— To byłoby u nas... nadprzyrodzone.

— No, znowu tak bardzo...

Urwała się rozmowa, dochodząc do miejsca, gdzie już wymagała technicznych porozumień. Bądź co bądź, ludzie, tu rozmawiający, gadali trochę, jak dzieci, zbuntowane przeciwko nienawistnej władzy starszych Tyłko, że w wielu wypadkach dzieci miewają natchnienia, które stają się później zaszczytem mężów.

— Gdzie my to zaszliśmy w rozmowie! Pieniądze to brudna rzecz — wzdrygnęła się Krystyna.

Neutralna, proszę pani; zależna od rąk, które ją posiadają. Pieniądze są dobrym prze-

wodnikiem charakteru swoich właścicieli. W pani ręku byłyby z pewnością czyste i gorące.

— Bardzo ładnie pan powiedział, ale nie mówmy już o nich, proszę. To są sprawy prywatne — i jakoś się ułożą. Gorzej dzieje się tutaj w sprawach publicznych.

— Niejakie wyobrażenie mam o tem, choćby z obrad wczorajszych.

— Ja na takie zebrania wcale nie przychodzę, jak pan widział — mówiła, zapalając się, Krystyna. — Ja tego nie widziałam do piętnastego roku życia. Mój ojciec nie dopuszczał wcale takich ludzi do siebie.

— Mówi pani o mundurach?

— Nie cierpię mundurów, jednak nie o nich teraz myślałam. Nawet już rozumiem, że trzeba utrzymywać pewne urzędowe stosunki. Ale ci autonomiści prowincjonalni! ci Polacy, mówiący u siebie obcymi językami! Albo tacy, dobrzy niby ludzie, na których można krzyknąć: w prawo! — A cóż, musi w prawo... W lewo! Wszak można i w lewo... Wprawdzie nie ruszają się z miejsca, ale cóż to za obojętność narodowa i obywatelska!

Kazimierz porwał się z ziemi, przyczem naturalnie przykleknął przed Krystyną:

— Pozwoli mi pani ręce swe ucałować!... Tyłko na znak najgłębszego uszanowania. Czy ja mogłem się domyśleć wczoraj, że pod tym

samym dachem, za paru ścianami mieszka taka...

Nie dopowiedział, bojąc się stracić miarę wyrażań.

Krystyna podała mu wprawdzie obie ręce, ale sztywne, mierzące silnie oddalenie, i odpowiedziała spokojnie:

— Niema nic nadzwyczajnego w tem, co powiedziałam.

— Jednak — odrzekł Kazimierz, puszczać jej ręce i powracając na swe miejsce — nikt do mnie tutaj tak nie mówił. Przytem wyraża się pani ślicznie po polsku, z odmianą intonacyi, ale jak Akademia Krakowska.

— Także prosty obowiązek i przyzwyczajenie, wyniesione z Taborowa. Mój ojciec doskonale się wyrażał, a nauczyciel mój, ksiądz Antoni, mówi jak Skarga. Gdzie mi do nich! Szkoda, że pan nie może poznać księdza Antoniego Wyrwicza.

— A cóż się z nim stało?

— Zdzczał bardzo. Już nigdy tu nie przyjeżdża, bo mówi, że mu nie służy... powietrze w Rarogach.

— Pojmuję, że i pani w niem duszno. Trzeba na to znaleźć radę.

Zadumali się oboje, tymczasem nie nad radą, tylko nad sobą wzajemnie. Kazimierz

przypomniął znowu różne lekkie sądy, zasłyszane o tej kobiecie, które, porównane z jego wrażeniem osobistem, przejmowały go podziwem i zgrozą. Czegoż od niej chcą ci ludzie? Aby była do nich podobna? Dzięki Bogu, że jest inna... Krystyna zaś, nie uprzedzona do Kazimierza przez żadne sądy cudze, odnajdywała w nim nie pomyłone swe wrażenie pierwsze: cokolwiek rzekł, jak spojrział, jak się ruszył, był podobny do tego, którym ona chciała, aby był.

Długo siedzieli, milcząc, aż Krystyna wzdrygnęła się, jak przez sen:

— Czuję, że zaraz przyjdą tu ludzie...

Kazimierz, jak zamagnetyzowany, spojrział za siebie w las, czy już nie sprawdza się przecucie Krystyny. Spojrział, wpatrzył się, rozjaśnił twarz uśmiechem i przywołał cichym znakiem Krystynę, aby spojrziała w tym samym kierunku.

O jakie czterdzieści kroków od polany, siedział cichutko młody lis na zadnich łapach, nadąsanym pyszczkiem mierząc prosto w Kazimierza i Krystynę, w głębokim namyśle, co to za jedni?

— Ach, jakie to ładne... przecie pan nie strzeli?

— Ani mi się śni.

Lisek wołał jednak oddalić się płynnym

kłusem, nie wprost od widzów, tylko w bok, oglądając się na nich pokilkakroć, uprzejmie i filuternie. Skierował się ku wążowowi, złościł się wśród traw, jak szybka, gruba gąsienica, i przepadł w zaroślach.

Ale zaraz na tropie znalazła się groźna Piskla. Dała głos, zrazu stłumiony, złowiła się pewniej, zwołała rozpierzchlą psiarnię — i poszedł znowu gon piekielny wzdłuż wążowu, podwojony przez górskie echa.

Jednak oddalał się w kierunku niepożądanym dla myśliwych. Wkrótce też powstał ruch ludzi po lesie. Pierwszy, śmigając chodakami po wrzosie, sprężynowym krokiem przyszlapał na stanowisko Kazimierza stary Jurko Lejtan, stanął na chwilę, cały zgięty w znak zapytania, przechylił kwaśno zziąjaną głębę ku młodemu myśliwemu, wskazał lufą wążów i zapytał tylko:

— Tu, panie?

Otrzymałszy potwierdzenie, ruszył dalej, niezmordowany, za swoim psim obowiązkiem.

Kazimierz stał teraz ze strzelbą w pogotowiu pod drzewem, a Krystyna, niby ukryta, za drugim. Ale wiedzieli oboje, że to już na nic, i spoglądali raz po raz ku sobie ośmielonymi oczyma. Tylko do wzruszeń uprzednich przybywała i zabawna emocja.

— Teraz łajać nas będą porządnie za puszczanie lisa — mówiła Krystyna, wstrząsając ramiona wesołym dreszczem.

— Jeżeli panią to nie boli, ja wytrzymam despekt — odrzekł Kazimierz, błyskając zębami.

— Lis nas nie zdradził, a pies zdradził. Żeby nie ta czarna suka, wszystkoby się ukryło.

— To, co się wyjawi, niech sobie wezmą na języki. Reszta nasza. Prawda, pani?

— Nasza — powtórzyła poważnie Krystyna.

Zbliżył się Miś Zasławski, ze strzelbą przez plecy, z rękoma w kieszeniach i z miną jakąś niezadowoloną.

— Gdzie lis? Stąd go przecie ruszyły. Musieliście go widzieć?

— Czekałem, aż pójdzie wplaw, jak kazałeś. Ale poszedł w wążów, więc nie strzeliłem — odpowiedział, śmiejąc się, Kazimierz.

— Nie, tak już znowu nie można. Albo polować, albo romansować.

— Drwiłeś ze mnie, pozwól drwić i z siebie — rzekł Kazimierz, patrząc jasno, ale stanowczo w oczy Zasławskiemu.

Odezwała się szybko Krystyna.

— Ja prosiłam, żeby nie strzelać. To był taki mały lisek.

— A! to co innego. Jesteś w swoim lesie. Ukłonił się bardzo ozdobnie i odszedł krokiem książęcym.

Ściągali powoli myśliwi nad jeziorko »pod Sidorkiewiczem«. Gon przepadał, przepadał, aż urwał się zupełnie. Wkrótce też odezwała się trąbka, odwołująca psy. Jurko nie zaszedł, widać, daleko za psami, bo już był z powrotem przy jeziorku i palił fajkę. Wlokły się za nim trzy psiska, srodze zziajane, z ozorami na bok przerzuconymi. Jurko miał w imieniu psów przemowę do myśliwych:

— Wiadomo, pogoda piękna, ale goroińca, panieńku ty mój. Po suchem wiatr chwycić trudno. Ot, kiedy porosza, albo taki — taki kapuśniaczek jesienny, tak tedy już bie — da!

— Niema co psów tłómaczyć, dziarsko pierwszego lisa trzymały — rzekł Assernhof.

— I potzymają jeszcze — tokował niezmordowany Jurko. — Ot teraz przekąsicie panowie, dacie i staremu poniuchać gorzałki, a potem ja wezmę jedną sfore i od łak zajmę, a Matyszkiewicz od pierwszych jam, gdzie staliśmy. A chcecie panowie doczekać wieczora, kiedy chłodek padnie...

— Nie, nie, panie Lejtanie — zaprotestował Apolinary Budzisz — mieliśmy satysfakcyę królewską, psy grały, jak Mozart z Beethovenem, dobrodzieju mój, las, panie, jak lanszaft, lisa mamy, pan Gotard jest niez-

przeznaczonym królem polowania — trzeba do domu, żeby wieczorem jeszcze coś ze spraw poważniejszych poruszyć. A teraz tylko podziękować młodemu wodzom wyprawy, książętom Zasławskim, za uprzejme i umiejętne ich trudy, które, oby były symbolem, że tak rzekę, przyszłych ich trudów obywatelskich.

— No, w twoje ręce, panie Apolinary — rzekł Gotard, strzygąc okiem i nalewając czarę z manierki.

Pan Apolinary wypił, uściśnął Misia i Bena i szukał, komuby tu jeszcze powiedzieć coś od serca. Nastęrczył mu sposobność pan Gotard:

— Toż palnij już *orationem obliquam* i do właścicielki lasu, która tu przyjechała we własnej ślicznej osobie nas podejmować.

Pan Apolinary nie przemówił dotąd ani słowa do pani Krystyny. Zatoczył teraz zdziwionemi oczyma i ujrzał ją, jakby zziębniętą pomimo upału, przypatrującą mu się ciekawie.

— Nie wiedziałem, jak mi Bóg miły! Toć dlatego na skinienie Dyany litewskiej wszystkie lisy meldują się do niej po rozkazy.

— A ona je rozsyła wybranym swoim, jako podarunki, nie racząc napiąć łuku na zdobycz tak mizerną — podchwycił Gotard.

— Chciałem powiedzieć — ciągnął dalej Apolinary. — Więc... spełniam kielich za wła-

dzę piękności, która okazuje swą moc nawet na tworach leśnych.

— Dajcie jej już pokój, ona tego nie lubi — mruknął z wysokości Hieronim Budzisz, nachylając się między głowy Apolinarego i Gotarda.

— Krzywdy jej przecie nie czynimy — odszepnął Assernhof — kochamy się w niej i my, Hieronimie, ale beznadziejnie, braci-szku!

Hieronim pokiwał głową bez odpowiedzi.

A Zasławscy, oddalając się nieco od grupy, drąc młodymi zębami chleb z wędliną, tak się między sobą porozumieli:

— Dobry stary ten gruby — rzekł Beno.

— A lepszy, niż Kazimierz. To taki warszawski frant — rzekł Miś.

— I do Krysi się bierze. Ot patrzaj, ciągle tam z sobą, jakby znali się.

— Jemu wara od Krysi, Krysia nasza.

Nie podejrzewając tak blizkiego spisku, Krystyna rzeczywiście mówiła cicho do Kazimierza, patrząc mu w oczy, jakby jeszcze sami byli na polance:

— Zaproszę do swego powoziku wuja pana. Czy tak dobrze będzie?

— Dobrze będzie — rzekł Kazimierz, wdzięcznym sercem przyjmując tę intencję.

X.

Regularne obrady ziemian w Rarogach zostały zamknięte wieczorem w dniu polowania. Niektórzy uczestnicy, między nimi Wiliaszewowie i Kozłów już odjechali. Ale Apolinary Budzisz pragnął koniecznie raz jeszcze zgromadzić koło ziemiańskie dla narady w kwestyach ogólniejszych i zasadniczych. Napomknął o tem Chmarze, lecz Chmara wykręcał się. Panu Apolinaremu przyszło do głowy użyć pośrednictwa Fedkowicza, jako krewnego Chmary. Pan Litawor, ruchliwy i uprzejmy, zaraz wziął się do tej misyi.

— Proszą goście nasi z Polski, żebyś nas raz jeszcze zebrał pod swoją prezydencją, Eustachy, dla narady o jakichś wspólnych sprawach, które chce przedstawić ten starszy, Budzisz.

— Ja na to pozwolić nie mogę — odrzekł Chmara. — Jakżeż to? wyprawiliśmy naszych sąsiadów Rosyan, a teraz urządzamy naradę

polityczną, i to *wspólną*, jak oni chcą! Tożby wyglądało na spisek! w moim domu.

— At, cóż on powiedziec może, taki Apollinary Budzisz? To, co i z gazet warszawskich znamy. A zawsze byłoby uprzejmie.

— Precedens zły. Nasze zebrania są ściśle miejscowe i do żadnej »wielkiej« polityki nie mieszamy się. Ja muszę się liczyć z mojem stanowiskiem.

— Właśnie. Żeby u Hylzena coś takiego urządzono, albo u Budzisz w Wiszunach, mogłaby być bieda. Ale u ciebie, Eustachy! Wszak ty, jak minister u nas — tobie wolno.

— Tem bardziej. Nie chcę brać odpowiedzialności za to, co oni tu mogą powiedziec. Jeszcze do gazet podać gotowi z zacytowaniem mojego domu.

— To można zastrzedz.

— Jeszcze gorzej; wtedy nadalibyśmy naradzie formalny charakter spisku. Żadną miarą nie mogę się na to zgodzić. Wytłómacz im to, Litaworze.

Fedkowicz nie dał za wygraną, chciał bowiem zobowiązać koroniarzy i w celach praktycznych, i żeby okazać swój wpływ na Chmarę, i dlatego, że był z natury uparty. Więc poszukał księżnej Katarzyny Zasławskiej, która bawiła jeszcze w Rarogach.

Była godzina trzecia po południu. Księżna siedziała na krytej werendzie w dość liczne

otoczeniu. Towarzyszyły jej panie domowe i pani Krystyna i Kazimierz. Był i jeden pan, niknący w zgromadzeniu, ale w pojedynkę interesujący już samą postacią: hrabia Wiktor Hylzen. Drobnny, o pięknej, suchej głowie wdo-wiec czterdziestoletni, miał pozory zimne, grzeczne i rycerskie, zespolone w postaci, budzącej szacunek, pomimo nizkiego wzrostu; miniatura salonowego szlachcica z 18-go wieku. Budziszowie i Assernhof krążyli gdzieś po parku. Miś i Beno polowali z wyżłem na cietrzewie. Chmara, wiecznie zajęty, siedział w swoim gabinecie.

Fedkowicz, wchodząc na werendę, udał się wprost do księżnej Katarzyny i, usadowiwszy się na niskim taborecie przed jej kolanami, załamał ręce:

— Księżna wygląda dzisiaj jak jutrzeńka!

— Czy pan zwaryował, kochany panie Fedkowicz?

— Waryuję zawsze, kiedy księżnę zobaczę. Cóż — wszyscy wiedzą — niechaj i widzą. Mogę sobie być śmieszny.

— Jest pod tą deklaracją jakiś interes.

— Ot, zgadła księżna. Ale interes publiczny, jak u mnie zawsze. Poprze moją prośbę i obecny tu pan Kazimierz.

Zwrócono oczy na Rokszyckiego, który zdziwił się:

— Ja?... nie wiem, o co chodzi.

— Zaraz — mówił dalej Fedkowicz. — Nasi mili goście z Królestwa na obradach nie mogli zabrać głosu w kwestyach, które pragnął przedstawić pan Apolinary Budzisz.

— Cóż ja na to poradzę, kochany panie? — rzekła księżna, spoglądając to na Fedkowicza, to na Rokszyckiego.

— Otóż trzeba by raz jeszcze zwołać grono mężczyzn...

— A nie! Chce pan, abyśmy tu znowu siedziały, jak... w seraju, czekając, aż nas kto odwiedzi. Mam dosyć tego.

— Gdyby jednak księżna uznała potrzebę krajową, użyłaby swego niechybnego wpływu na Eustachego, bo on się opiera.

— Widzi pan: i on nie chce. Musi to być niepotrzebne.

Pani Krystyna obserwowała tymczasem Rokszyckiego i spostrzegła, że on, z początku zdziwiony wystąpieniem Fedkowicza, skłania się teraz do jego projektu. Więc przemówiła do księżnej Katarzyny:

— Jechałam wczoraj z lasu z panem Budziszem. Skarżył mi się, że nie mógł się dotąd porozumieć co do ważnych spraw, dla których przyjechał do Rarogów. Niech księżna wyrobi u pana Eustachego taką sesję — krótką. Proszę, proszę.

Pani Krystyna wszystko robiła z wdziękiem, więc i prosiła bardzo ładnie. Zdziwiło tylko

księżnę, że właśnie Krystyna prosi, co nie było w jej zwyczajach.

— Moje dzieci! — rzekła cyrkularnie do obecnych — chciałabym wiedzieć, dlaczego tu potrzeba aż mojej interwencji? Chmara zapewne odpowiedział, dlaczego nie chce?

— Ma skrupuły — objaśnił Fedkowicz — że niby nasze zjazdy mają się zajmować tylko miejscowymi sprawami.

— A widzicie, on ma rację.

— Ależ osobliwsza okoliczność! — śpiewał Fedkowicz przekonywająco — goście z Królestwa. A przecie i księżna sama tu i Eustachy Chmara! To prawie, jak Duma i Rada Państwa na miejscu!

— Dopierom była jutrzeńką, teraz jestem Dumą, czy Radą. Porównaj mnie pan jeszcze do jakiejś potęgi, a może pójde.

Fedkowicz podniósł nerwowo chude ramiona i ręce załamane wyciągnął aż do podłogi, jakby w rozpacz:

— Cóż?... Katarzyna Wielka, czy co?

— No dobrze, spróbuję. *Je suis bonne fille.*

Powstała i z wielkim jedwabnym szelestem weszła do domu.

— Święta, święta prawdziwa! — modlił się Fedkowicz rękoma i oczyma wzniesionymi w sufit, jakby już oglądał księżnę w gloryi niebiańskiej.

Na werendzie tymczasem, po oddaleniu się

księżnej, rozprzegło się towarzystwo, a przynajmniej Krystyna zeszła do ogrodu i zawołała za sobą Kazimierza.

— Uważał pan, że przeszkadzają nam rozmawiać z sobą swobodnie?

— Uważałem. Zwłaszcza księżna nie mogła na chwilę bez pani pozostać, ani wczoraj wieczorem, ani dzisiaj rano. Czy to zawsze tak?

— Szczególniej, kiedy ja idę, jak oni mówią, »w niepożądanym kierunku«. Pan jest dzisiaj niepożądanym kierunkiem.

— Ależ to wybornie! ja wcale nie chcę być »ich kierunkiem«.

— Spodziewam się!

— Bo mówimy o barwie politycznej pana Chmary, księżnej, Fedkowicza, Hylzena -- nieprawdaż?

— Tak, tak. Tylko co do Hylzena, pan się pomylił, bo go nie dość zna. To porządny Polak, trochę tylko przekorny. Tak się boi omylić, tak się zatapia w okolicznościach łagodzących, że aż czasem w zdaniu nawias wysunie naprzód, zamiast treści głównej. I tak się często, niechcący, przedstawi w złym świetle. Już i panu naprzykład dał o sobie fałszywe pojęcie.

— Doskonale go pani rysuje — i broni.

— Bo trzeba i w polityce odróżnić ludzi

z sumieniem od takich, którzy go nie mają. Prawda?

— Najczystsza prawda, bez zastrzeżeń.

— Więc pan Wiktor Hylzen ma sumienie, tylko się gubi w dyplomacji. Będzie słuchał naprzykład takich herezyi, jak to księżna Katarzyna potrafi czasem palnąć, i zacznie się tej herezyi przyglądać, przyglądać, zanim powie, że jest przeciwnego zdania. Ale niekiedy człowiek nie ma czasu tak długo słuchać!

— Rozumiem idealnie. Bo też pani i mówi wybornie, nawet o polityce. Jeżeli dojdzie do skutku rada, którą tam księżna poszła wyrażać, postaram się bliżej poznać Hylzena, zwrócę uwagę i wuja Apolinarego...

— Niech go pan pozna. Są i inni: Assernhof — trochę za lekki, Hieronim Budzisz — trochę za ciężki...

— Niema ludzi idealnych.

— Ale trzeba by zebrać choćby jakieś stowarzyszenie, choćby spisek...

— Ludzi idealnych?

— Ludzi... prawdziwych. Bo męką jest ten fałsz społeczny. Rozum — to fałsz; cnota — fałsz; dobro ogółu, miłość, religia — wszystko fałsz.

— Pani doznała ciężkich rozczarowań.

— Nie tylko ja. Wszystkich nas, myślących, rozczarowało życie, które płynie, takie podle! Podejść bliźniego i wyzyskać — to ro-

zum. Zbogacić się i należeć do sfer panujących — to cnota. Wszystkie dawne zasady, oparte na miłości, poszły w pośmiewisko. Czy pan tego nie zauważył wszędzie: w życiu, w książkach?

— Jest tego dużo. Ale są i inne prądy, najnowsze. Budzi się sumienie świata.

— Gdzie, panie? Czy pan wie, gdzie ono się budzi? Chodźmy tam, gdzie się budzi sumienie!

Mówiła bez uśmiechu, dziecinnie pragnącymi, a jednak namiętymi ustami.

— Pójść tam nie można, bo przecie niema na świecie jakiejś określonej kolonii ludzi lepszych, tylko w krew ogółu przesączają się pierwiastki odżywiające i przerabiają świat. Kiedy sami w sobie czujemy oburzenie na zło i gorące pragnienie zmiany, to już symptomat, że życie przyszłe zwycięża zgniliznę dzisiejszą.

Krystyna słuchała z przejęciem. Gdy skończył Kazimierz, rzekła, zatrzymując się w przechadzce:

— Panie! pan dopowiada rzeczy moje — tak mi jasno się czyni. — — Jaby mogła także coś objaśnić z rzeczy tutejszych, w czemś pomódz — a pan mnie!

Wyciągnęła do niego obie ręce.

W tej chwili posłyszeli dość kwaśny, choć udający swobodę głos księżnej:

— Krysiu! Krysiu!

Stąła nad schodami werandy, podparta oburącz pod boki, mrużąc szare oczy złośliwie:

— Zaraz! — odkrzyknęła Krystyna zdaleka — za chwilę.

I oddaliła się na jedno jeszcze, ostatnie staje przechadzki z Kazimierzem, aż do zakrętu trawnika.

— Już znowu! Właśnie tak było dobrze. — — Kiedy pan wyjeżdża?

— Budziszowie wyjeżdżają jutro.

— A pan nie może zostać?

— Przyjechałem z nimi. Obiecałem powrócić do Wiszun.

— Do Wiszun? po co?

— Po nic właściwie. Taki był projekt.

— Niech pan nie wraca do Wiszun!

— Zaraz, pani... zostawiłem tam trochę rzeczy.

— Ja pošę po te rzeczy swojego własnego leśnika.

— Jeżeli łaska?

— Więc pan nie wróci do Wiszun?

— W takim razie — nie.

— Dziękuję. A dokąd pan tu zabawi?

— Jak się uda.

Wracali, milcząc. Twarze ich i oczy weszły odrazu w rozterkę z oczyma ludzi, oczekujących na werendzie. Spojrzenia nie chciały

się łączyć, ślizgały się jedne po drugich. Oczy, które wracały z ogrodu, mówiły:

— Żal nam, nie chcemy was i nie chcemy się tłómaczyć.

A oczy ludzi, nie pokalanych żadną zdrożnością światową, odpowiadały:

— Ahaa... spiskujecie tam z sobą? Nie pozwolimy na to.

Ale rozmowę zaczęła bardzo naturalnie księżna Katarzyna:

— Muszę wam przecie zdać relację, skoro mnie wysłaliście. — — Pan Chmara zgadza się na konferencję.

— Ot, kiedy ukaz, to ukaz! — zawołał Fedkowicz.

— Zawsze mówiłem, że umiejętność układów powinna się nazywać nie dyplomacją, lecz dyplomatką dodał hrabia Hylzen z przyjemnym uśmiechem.

— Poczekajcie... Pan Chmara zgadza się, ale bardzo prosi, aby nie było sesyi, przyzywania, rozdawania głosów — *et tout ce bataclan*. Zejdziecie się panowie około piątej w jego gabinecie, na cygara. A mówić sobie wtedy będziecie mogli, co się wam podoba. No — jesteście kontenci?

— Jeszcze lepiej! swoboda! gawęda! a to już od nas zależy, jaka — wołał Fedkowicz.

I, ucałowawszy obie ręce księżnej, poleciał do parku szukać Apolinarego Budzisa.

— Czy pan trochę senny jeszcze po wczorajszym polowaniu? — zwróciła się księżna do Rokszyckiego.

— Nie. Dlaczego?

— Mógłby mi pan podziękować. Przecie dla pana męczyłam przez pół godziny mego przyjaciela, aż sama się zmordowałam. Dajcie mi kawy.

Rokszycki zdobył się na uprzejmość, skłonił się pośpiesznie, chwycił za imbryk z kawą — w czym zresztą wyręczyła go Krystyna — i mówił, przysiadłszy się bliżej do księżnej:

— Rzeczywiście, usnąłem. Myślałem już o tej sesyi, a tu najprzód należą się dzięki księżnej za tak uprzejme... za taką pomoc w sprawie publicznej.

— Nie wiem, jaka tam sprawa publiczna, tylko chciałam panu zrobić przyjemność. A wyście radzili z Krysią o tej sprawie?

Chwiała palcem, ozdobionym pięknymi pierścionkami, wskazując kolejno na Kazimierza i na Krystynę, jakby liczyła: dwa razy jeden — dwa, albo groziła.

— Ja z panią o tej sprawie? Nie. Dopiero teraz pomyślałem.

— Pan jest także polityk, jak krewny pana?

— Wcale nie zawodowy, proszę księżnej.

— To niech się pan przejdzie ze mną po

ogrodzie przed tą sesją. A ty, Krysiu, pogadaj sobie z Hylzenem tymczasem.

— Jak odkomenderowany — rzekł Hylzen — jestem na posterunku. Ale jednym skinieniem może mnie pani oczywiście wyprawić na oddaloną stąd placówkę.

— Nie, owszem, proszę zostać — odpowiedziała pani Krystyna dość uprzejmie.

Komenda księżnej pomijała zupełnie przeznaczenie pani Chmarzyny z córkami, które też siedziały na werendzie. Rozpłynęły się cicho i wsiąkły w dom.

Rokszycki szedł po parku obok księżnej Katarzyny. Żeby mu choć Hylzena pozostawiono za towarzysza — ale Hylzen rozmawiał właśnie z Krystyną. Żeby mu pozwolono udać się do swego pokoju, gdzie spędził już trzy noce dobre, chociaż mniej przespane, niż przemyślane. Ale nie: musiał stąpać po tym żwirze obok kobiety, która byłaby obojętna, gdyby tu przed chwilą nie miał Kazimierz przy boku Tamtej. Są w życiu wielkoświatowym nudy tragiczne.

Tylko że towarzyszka przechadzki była znawczynią serc męskich i wiedziała dobrze, co nurtuje Kazimierza. Ułatwiła odrazu rozmowę, kierując ją na przedmiot główny:

— Więc pan się naturalnie zakochał w Krysi, jak każdy, co tu przyjeżdża?

— Taka już moda w Rarogach? próbował Kazimierz wymknąć się.

— Taka fatalność. Zresztą zrozumiałe, bo jest bardzo piękna. Saska porcelanka — co?

— Nie powiedziałbym. Ma twarz bardzo wyrazistą, gdy mówi.

— No, co ona tam mówi, to mniej warte. Mówi niezłe, ale raz tak, drugi raz przeciwnie.

— Mówiłem z panią Krystyną wczoraj i dzisiaj i nie zauważyłem sprzeczności.

— Trzeba ją obserwować dłużej. Ja ją znam oddawna, bo nawet mieszkała w naszym domu przez pewien czas. Było z niej trudne dziecko. Najgorszy wpływ miał na nią niejaki ksiądz Wyrwicz, jej nauczyciel. Niby mądry, ale szowinista, i zamiast znajomości świata, uczył jej różnych tam historyi i filozofii, które jej się w głowie trochę pomieszały.

Rokszycki postanowił słuchać spokojnie i nie »bronić« pani Krystyny, wiedząc, że wywolałoby to napaść. Ale mimowoli nabierał do pamięci powiadomień faktycznych, choć z mocno podejrzanego źródła.

— Ma naturalnie dużo konkurentów. I każdego pyta po kolei: czy pan ma sumienie? Każdy odpowiada, że ma. I wtedy jest cudownie: kochają się, chodzą po księżycu, nie wiem, co tam z sobą robią. A po tygodniu ona, zawsze ona dochodzi do przekonania, że

on nie ma sumienia. On krzyczy, że ma, a ona nie! idź pan sobie do dyabła! Naturalnie, że ludzie seryo nie biorą jej na seryo. *Somme toute, c'est une pauvre enfant.*

Ta zaprawna jadem karykatura jego rozmów z Krystyną zaboląła Kazimierza do głębi serca. Zbudziła w nim nawet nieznanym mu instynkt drapieżny. Żeby tę kobietę, która tu idzie przy nim, mógł chwycić za gardło. —

Jednak nietylko nie wykonał swych dzikich zachcianek, lecz całą siłą woli zmusił się do pomyslenia, jak tu się zachować, aby możliwy pożytek sprowadzić dla tej — oszkalowanej.

— Co za anomalia: chodzić po parku z księżną i rozmawiać o innej pani! — rzekł, pokazując zęby w rodzaju skrzywienia, które jednak było uśmiechem.

— Ja tak tylko mówiłam, żeby objaśnić panu to zjawisko miejscowe. Bo to jest zjawisko. Oryginalności przynajmniej nikt jej nie odmówi. Nic dziwnego, że różnie o niej mówią. To jest raczej hold. Kobieta, o której nic nie mówią, nie jest uczciwa, jak w przyszłości, ale brzydka.

— Tak — gadał Kazimierz, byle coś powiedzieć — żeby dać do wyboru kobiecie piękność, albo uczciwość, pewno każda wolałaby być piękna.

— Inaczej byłaby głupia — odrzekła księżna — bo uczciwości zawsze nabyć można.

— No, nabyć?...

— Zależy od nas; a piękność nie zależy. Zresztą, wszystkie kobiety są »dranie«, jak mówią moi synowie.

Kazimierz pierwszy raz szczerze się uśmiechnął.

— Chciał pan potwierdzić? Może pan. Gdybym to powiedziała komuś mniej inteligentnemu i mniej pięknemu, toby się zgorzysł. Ale pan musi to wiedzieć?

Kazimierz skłonił się głęboko, właściwie pochylił się tylko sztywno, aby ukryć swą twarz i uniknąć odpowiedzi. Ale wyprostował się sprężysto i szedł, patrząc przed siebie.

— Pan ma dziki uśmiech, już to pierwszego dnia zauważyłam.

— Daleko już od dzieciństwa, mościa księżno. Świat mi uśmiech skrzywił.

— Wcale nie. Chyba poprawił? Tak pan wygląda bardziej... tryumfalnie, niżby z jakimś dzieciennym wyrazem twarzy. Pan musi być przedsiębiorczy?

— Staram się nim być w sprawach, które uznaję za pożyteczne.

— A w innych, które pan uznaje za przyjemne, zabawne, albo wątpliwe?

— Staram się być uczciwy.

To nudne słowo, panie.

— Dlaczego? W teorii oderwanej trzeba słów właściwych.

Powiódł rozwartemi oczyma po krajobrazie, w którym znajdowała się i księżna, ale oczu na niej nie zatrzymał. Pomyślała, że może on i głupi, może nie udaje?...

Zaszli do części parku, zupełnie zasłoniętej, gdzie już i gwary nie dochodziły od pałacu. Stała tam ławka romantyczna nad strumieniem.

— Usiądźmy tutaj na chwilę. Jak ta woda namawia... słyszy pan?

Księżna usiadła w samym środku ławki, zajmując dużo miejsca szeroką zawieruchą podkasanych spódnic. Kazimierz stał nad nią i patrzył teraz z uśmiechem, rżącym jakąś dziwną, lubieżną rozpaczą. Mignęły mu jej pończochy koloru ciała i falująca cielesność popiersia, rozkrzyżowanego na poręczu ławki w przezroczytyn staniku, i ciemne cienie pod ramionami...

— Siadajże... pan! Cóż tak stoisz, jak kat, nade mnę?

Kazimierz, zły, niemal wściekły, usiadł na brzegu ławki, jednak na falbanie jakiejś, którą niecierpliwie odrzucił od siebie. I od zapachów sztucznych, bijących ku niemu falą, zmieszanych z woniami drzew i wody, poczuł prąd, pierwszy raz doznany w życiu. Chwyciłby i powalił tę kobietę najtrywialniej-

szą fauniczną przemocą. I poznał zarazem przepaść, dzielącą miłość od pożądania, skoro pożądanie przychodziło mu razem z nienawiścią.

Nic nie zaszło między nimi. Po chwili ona powstała z ławki i poszła majestatycznie dalej, nie utraciwszy swej powagi zewnętrznej, swej godności książęcej, nie pogniótlszy nawet sukni.

A Rokszycki postępował obok niej z podwojonem uszanowaniem. Nawet mówili coś do siebie. Jednak ten powrót do domu był ciężki. Ujrzawszy już blisko werendę, księżna podkasła suknię, bardzo przyzwoicie zbierając ją w rękę, i pobiegła pędem ku werendzie, jak dziewczeczka.

XI.

Mocno żałował Chmara, że się zgodził na dodatkowe obrady w ściślejszem kółku. »Gawęda« — tak się miała nazywać i pozostać przy tym charakterze — przedłużyła się nadmiernie. Apolinary Budzisz dobył z siebie i z kieszeni liczne wystąpienia, wątpliwości, notatki, broszury, wypisy nawet z dzieł tomych. Hieronim i Kazimierz podejrzewali go, czy nie chce tutaj odbyć generalnej próby swego odczytu o Unii, o którym każdemu pod sekretem się zwierzył, aż już wszyscy niemal uczestnicy zebrania wiedzieli o projekcie. I gawęda zmieniła się w formalną sesję pod kierownictwem nie gospodarza domu, lecz Apolinarego Budzisz, z porządkiem dziennym niewyczerpanym, tkwiącym w głębiach dokumentnie nabitego działacza z Korony. Póki jeszcze obracano się w ogólnikach, w sądach historycznych — bo i takie wy dobył z siebie Budzisz — zebranie było spokojne. Chmara nalegał tylko, aby skracać,

chodził po pokoju, otwierał okna dla przewiewu, jakby chciał wywietrzyć niepotrzebne zdania. Ale pan Apolinary przechodził do zagadnień palących, do programów politycznych — i jakoby proces chciał wytaczać Litwie. Co gorsza — w gronie zebranych mężczyzn zaczęły się objawiać niby magnetyczne zbliżenia, niby barwy i stronnictwa. Co wreszcie gniewnie usposobiło Chmarę, to spostrzeżenie, że z liczby tych, których miał za swych stronników i niemal poddanych, jeden, drugi, już i kilku skłaniało się do przeciwnej barwy gości z Królestwa. Assernhof, Hieronim Budzisz, nawet Hylzen słuchali ich przychylnie. Gdyby urządzić głosowanie, kto wie, czy Chmara z Fedkowiczem i paru ziemianinami *minorum gentium* nie zostałyby pobici? Ale do głosowania, do kategorycznej uchwały nie dopuszczał pan Eustachy stanowczo.

Śród najgorętszej rozprawy o autonomii Litwy etnograficznej, oznajmiono, że wieczera podana. Towarzystwo męskie, nadąsane i odęte polityką, przesypywało się do sali jadalnej, gdzie spotkało grono kobiet, pogodnie ziewających. Młodzi Zasławscy, zmachani doszczętnie całodzienną włóczęgą po rojstach za cietrzewiami, spali, stojąc i siedząc. Do jadalni, razem z pulkiem mężczyzn i niewywietrzałą z ubrań wonią cygar, weszły jeszcze

dowodzenia, repliki i objeKCye. Mówił Wiktor Hylzen:

— Dyskusya o autonomii Litwy takiej, o jakiej marzą rzecznicy odrodzenia Litwy, ma tę stronę niewinną, że można być za nią lub przeciw niej bez różnicy dla przyszłości. Bo takiej autonomii nigdy nie będzie.

— Przepraszam... — zaczął już ktoś, ale mu pan Gotard przedstawił kieliszek wódki dla zamknięcia wymowy.

Ożywienie osób przy wieczerzy można było porównać do źle nastawionego samochodu, który, mimo szeregu drobnych wybuchów, stoi na miejscu. WybuChała, choć tłumiona, polityka; wysuwały się dystygowane pomysły dyalektyczne Hylzena, żarty Assernhofa, błagi Fedkowicza, ale coś urzekło wesołość i swobodę. Księżna, pełna wyjątkowej godności, siedziała między Chmarą i Hylzenem, który po drugiej stronie miał przy sobie panią Krystynę. Apolinary i Kazimierz dostali miejsca przy beznadziejnie obojętnych Chmarzynie i Chmarzankach. I wlokła się wieczerza nie tylko nudna, lecz naładowana jakąś źle wróżącą elektrycznością. Jedyne Hylzen, który nie cierpiał hałaśliwej rozmowy, czuł się dobrze w uspokojonej atmosferze, zwłaszcza, że miał obok siebie dwie wybitne panie. Bawił je z całych sił, ale obie były roztargnione.

Pan Apolinary chciał po wieczerzy koniecznie powrócić do gabinetu, choćby na pół godziny, ale wyperswadował mu Chmara:

— Pan, którego przecie widziałem przy robocie, wie dobrze, jak się robi polityka: we dwie, we trzy głowy. Dyskusye w przypadkowych zebraniach prowadzą tylko do rozpowszechnienia hasel, albo i plotek politycznych. Do popularyzacyi są gazety, wiece, odczyty...

— Odczyty — mruknął Budzisz w porozumieniu z samym sobą.

— A gdy chodzi o porozumienie co do rzeczy głównych, tylko, jak mówię: we dwie głowy. Jeżeli da Bóg, spotkamy się w Wilnie lub w Warszawie, miło mi będzie poufniej rozmówić się z panem. Inaczej nieco mówi się na zebraniu, inaczej między wodzami. To pan wie?

— Bywa tak, bywa, dobrodzieju mój — uśmiechnął się pan Apolinary, polechtany przyjemnie.

— Nie jest to hypokryzya, ani sztuka żadna, prosta przezorność.

Uśmierzywszy tym sposobem starszego koroniarza, Chmara mierzył uważnie okiem młodszego, który go coraz bardziej zastanawiał. Wydał mu się przy pierwszym poznaniu zwyczajnym salonowcem, potem bardziej indywidualnym, dzisiaj już pewną siłą, z którą

wypadało się liczyć. Parę przemówień się Rokszyckiego do dzisiejszej »gawędy« przeprowadziło Chmarę do tego wniosku. Rokszycki mógł należeć do nieprzejednanych narodowców. Był jeszcze młody, co prawda, i nie polityk z zawodu. Ta jego kwitnąca młodość nie uspakajała wcale Chmary.

Kazimierz miał dzisiaj rozstrojone nerwy z wielu powodów, a zwłaszcza dlatego, że doszedł z Krystyną do tej mety w serdecznym porozumieniu, u której pragnie się już koniecznie być we dwoje, bez świadków. Tak się zresztą zaczęła ich dziwna, postępująca, jak burza, znajomość. Teraz poznawał po kolei różne siły nieprzyjazne, odgradzające go coraz baczniej od Krystyny.

— Księżna — rozumiem: przez zazdrość i zemstę kobiecą. Jej synowie? — może z powodu czcigodnej instrukcyi macierzyńskiej? Ale Chmara? — Tego nie pojmuję. Już mi przy wieczerzy wyznaczono miejsce obok Niej, kiedy Chmara osobiście zmienił...

Wszystkie te osoby, działające przekornie, naznaczał swą nienawiścią.

I doprawdy, nie mógł tego wieczora trzech słów, nie dosłyszanych przez kogoś, zamienić z Krystyną; do księżnej zaś, która trzymała ją przy sobie nieodłącznie, przysiąc się nie chciał. Już ta grupa wydawała mu się niezdolną, a rozmowa tak we trójkę — gorszą

od milczenia. Jeżeli zaś Krystyna wstawała albo i wychodziła do innego pokoju, Miś i Beno towarzyszyli jej, jak dwa drabanty, trzymające ją pod strażą. Widział tylko zdaleka oczy jej, na których nie miała maski, bynajmniej nie łagodne, owszem, coraz energiczniej błyszczące, i wargi tak ruchliwe, jakby między te dwa członki czerwonego kwiatu wpadł jakiś przekorny robaczek, trudny do usunięcia.

Zdarzyło się, że księżnę zajęła na chwilę rozmowa z Hylzenem, a młodzi Zasławscy włączyli się po salonie. Kazimierz zaś przypadkowo sam stał pod oknem. Krystyna powstała szybko i cicho, jak wstająca fala, i w kilku posuwistych krokach była już przy Kazimierzu.

— Ach, jak tu duszno! — szepnęła na jej spotkanie.

— Jutro o świcie, o czwartej, będę w ogrodzie — rzekła dobitnie.

Kazimierz zdążył odpowiedzieć tylko wzrokiem, gdy Bernard Zasławski poprostu pędem, a wreszcie długą szlichtadą po posadzce dopadł do rozmawiających.

— A nie! tu nie las! nie będziecie gadali sami, tu i nam się coś należy — zaprotestował naiwnie, bez dyplomacyi.

— Beno! — zawołała glucho Krystyna i ręką z wachlarzem trzepnęła krótko przez powie-

trze, jakby okazując chęć skuteczniejszego użycia wachlarza.

— Bij, a nie odstanę — odrzekł Beno i skrzyżował ręce.

Cóż było robić? Rozśmiano się i powrócono do wzorowego układu salonu.

Ale, dostawszy tak cennych kilka słów, Kazimierz zapragnął je rozpamiętywać w samotności, skoro tu obcowanie z Krystyną było tak niezdolnie skażone przez oczywistą zmowę. Było jednak wcześniej jeszcze, nikt się nie oddalił na spoczynek. Kazimierz usiadł sam w przyległym oświetlonym pokoju.

— Przekłęte formy światowe: Za drobny pożytek, który przynoszą, ile w nich więzów dla pragnień najczystszych! A jak na nich grać umięją te najpodlejsze ręce! Co za klawiatura dla wirtuozów oszukaństwa — jaki wygodny ściek dla pozłoconych brudów... A Ona w tem wszystkim jest...

— Zmęczyła pana trochę nasza Litwa?

Kazimierz otrząsnął się z zapamiętania i ujrzał nad sobą postać gospodarza domu w zwykłej pozie pomnikowej, uprzejmie go wyzywającego na rozmowę przez szpary oczu przymilone.

— Ani trochę nie zmęczyła mnie, szanowny panie. Zadumałem się nad nią.

— Nad polami, nad lasami — ciągnął Chmara, siadając obok Rokszyckiego — nad

obfitością tej ziemi, jakoby jeszcze dziewiczej pod względem korzystania z bogactw jej. Masz pan dobrą specjalność, panie Rokszycki: rolnictwo, przemysł rolny, choćby i ten len, rzec można, niedocenioną jeszcze trawę.

Kazimierz nie mógł zaprzeczyć, a zarazem nie mógł wyznać, że mu len chwilowo zobojętniał, jak śnieg przeszłoroczny, że go zajmuje teraz gorączkowo wrzos, rosnący na polance leśnej »pod Sidorkiewiczem«.

— Tak, tak — odpowiedział dość niemrawo — są tu bogactwa.

— Są. Najlepiej skierowany patryotyzm — to podnieść do wydajności idealnej ten kąć ziemi, który Bóg dał, z bogacić siebie i kraj i zarazić pracowitością okolicę, w której urodziłeś się. Praca tu, pod ręką, w warunkach, jakie są, a nie jakieby być mogły, wydaje się lekkomyślnym ludziom zadaniem dla wołu, a to jest właśnie praca dla człowieka i patryoty.

Kazimierz się ożywił:

— Nie mogę być innego zdania co do pracy nad rolą, skoro ten zawód sobie obrałem. Co zaś do patryotyzmu, który i tę pracę powinien ożywiać, mam go jednak za uczucie, obejmujące szersze widnokreśli.

— Żeby obejmować widnokreśli, trzeba wejść na wysokie góry — rozpoczął Chmara

tonem poważnym, w którym drgała naprężona wola i przywyknienie do posłuchu.

Skoro tylko zauważono duet Rokszyckiego z Chmarą, natychmiast ściągnęło się do nich koło słuchaczy. Przysiedli się obaj Budziszowie, Assernhof, Fedkowicz. Pan Eustachy może tego i nie pragnął, lecz, zacząwszy, nie przerwał:

— ...trzeba wejść na wysokie góry. A zanim zajdziesz na szczyty, skąd jasno widać możesz się zabłąkać i w przepaście. Długa droga, a tymczasem praca w dolinie, praca przyrodzona leży odłogiem.

— I takie bywają wypadki — rzekł Kazimierz, skupiając się jeszcze bardziej przed liczniejszym audytoryum — tylko że góry o których szanowny pan mówi, są zwiedzone. Mamy takich, ludzi pewnych, którzy na nie weszli i przekazali nam, co z gór widać. I ojcowie nasi byli na szczytach.

— Świat się zmienia, panie.

— Nie przeczę. Ale to tylko może doprowadzić do wniosku, że potrzebni i tacy, którzy chodzą na szczyty, i tacy, którzy pracują w dolinie. Ja zresztą należę do tych ostatnich.

— Dobrze pan czynisz, panie Rokszycki. Bo, porzucając porównania, polityka nasza od wielu lat polegała na wadliwych horoskopach. Jesteśmy słabą tylko jednostką w Europie, jednostką nawet w Słowiańszczyźnie, a stawiamy

przed sobą zadania wszechświatowe, w rodzaju wizyi Towiańskiego, zamiast czynić, co do nas należy. Pan to zrozumiał i zabrał się do pracy realnej u siebie.

— Że jestem na pierwszym szczeblu — odpowiedział Kazimierz — to mi nie przeszkadza za pracę realną uważać inną, wyższą: pracę nad ustaleniem kierunku naszych dążeń; nie wizjonerstwo, ale zdanie sobie dokładne sprawy, gdzie jesteśmy i dokąd iść mamy.

— Zgadzam się z panem. To właśnie, ale bez wizjonerstwa. Polacy naprzykład na Litwie są w znacznej mniejszości i powinni o tem pamiętać. Stanowią element napływowy, jak rodowici Rosjanie, albo Żydzi. Ale Polacy mają zwyczaj apostołowania w tym kraju w imię swojej idei. Jest to równie dla nich, jak dla tutejszego kraju, niepraktyczne. I to nazywam wizjonerstwem.

Kazimierz zaczął wpadać w gorączkę.

— Cóż pan tedy chce, aby Polacy tu robili? Nie mogą chyba asymilować się z innymi narodowościami, czyli ulegać dobrowolnie kulturom niższym, lub mniej uprawnionym?

— Otóż to! — rzekł Chmara z wyrazem pożałowania w gorzkniejącej twarzy — powstaje zaraz spór o wyższość, o uprawnienie

rozmaitych kultur. A my tylko chcemy sprawiedliwości i spokoju.

— Sprawiedliwości dla kogo?

— Równiej dla wszystkich szczepów, tu osiadłych, i proporcjonalnej do ich liczby. Dlatego ja tu jestem za autonomią Litwy, ale bez uciemnienia praw Rosyan, Polaków, Białorusinów i Żydów.

— Można by jeszcze dodać — Jadźwingów.

— Chciałbym pozostać przy tonie poważnym — rzekł Chmara twardo.

— Ja również — odpowiedział niemniej stanowczo Rokszycki. — Bo nie wiem, czy żartem, czy z innego powodu zapominamy o tem, że prawa Rosyan tutaj są poparte przez całą potęgę Państwa, prawa Żydów przez ich związek międzynarodowy. O te prawa bać się nie potrzebujemy. Dążenia narodowościowe ludu litewskiego i białoruskiego są zaledwie sformułowane przez garstkę agitatorów; bardzo wątpię, aby żyły w samym ludzie i miały przyszłość separatystyczną. Chciałbym jednak wiedzieć, jaka potęga gwarantuje tu stare i autentyczne prawa Polaków, jeżeli nie ta, która jest i być powinna w nas samych?

— Nie zna pan Litwy, panie Rokszycki.

— Ale znam historję. My tu jesteśmy u siebie za zgodą starożytną plemion, kraj zaludniających. Wszyscy, jak tu siedzimy, jesteśmy chyba Polakami. Myślmy więc bez skrpułów,

jak Polacy. Ta nowa sprawiedliwość dąży chyba do tego, aby kraj rozdzielić na plemiona, aby je osłabić i wszystkie razem rzucić potem w objęcia Wschodu.

— Któż to powiedział? — rzekł Chmara wyniośle, dotknięty i tonem, i konsekwencyą dyskusyi.

— Powiedziała sama teoria, której pan broni. Jeżeli my tu zginiemy, Polacy, zginie cała Litwa.

— Albo się zastosuje do nowej ewolucyi słowiańskiej, której pan nie docenia.

— To dla mnie równoznaczne.

Chmara powstał, powstali i inni, mocno zelektryzowani. Od czasu jak Rarogi Rarogami, nie pamiętano, aby kto tak śmiało stał czoło wielkiemu Chmarze.

Towarzystwo się zmieszało, udając salo- nowe ożywienie, ale zaczęło zaraz życzyć sobie dobrej nocy. Rokszycki oświadczył, że wyjeżdża do Wilna, o ile można, pierwszym pociągiem, gdyż obrachował się z czasem i musi śpieszyć. Chmara udawał gościnnego, ale zamówił konie na trzecią z rana, gdyż pociągi odchodziły ze stacyi wczesnym rankiem, lub dopiero wieczorem.

Gdy Rokszycki, żegnając damy, powtórzył, że wyjeżdża dziś w nocy, księżna Zasławska z wytworną grzecznością z nim się pożegnała:

— Niezmiernie żałuję, że tak krótko mia-

łam przyjemność z panem rozmawiać. Mam nadzieję, że pan przyjedzie znowu w te strony, a wtedy nie ominie naszego domu, gdzie jest także len i polowanie na lisy... Szczęśliwej drogi, do widzenia...

Aż się zadziwił Kazimierz i możeby uwierzył w życzliwość księżnej, gdyby oczy jej szare, uprzejmie i wyniośle zarazem przymrużone, nie rzucały jakichś blasków kocich, przejmujących złem przecuciem.

Krystyna bardzo zbladła i pod skrzyżowanymi bagnetami spojrzeń zdołała tylko w krótkim odwróceniu twarzy wyszeptać jedno słowo:

— Przyjdę.

Z mężczyznami żegnał się śpiesznie, z niektórymi serdecznie. Ujął go najbardziej pan Hieronim, który go odprowadził na bok i, wstchnąwszy głęboko, wypowiedział aż tyle:

— Mało wyjeżdżając, nie przyszło się widzieć często braci z Korony. Ale oto szczęśliwym zdarzeniem poznałem pana i nauczyłem się na starość, jacy są między wami. Niech panu Bóg sekunduje we wszystkich szlachetnych zamiarach.

Kazimierz, zaskoczony prawie przez tę przemowę, zapytał pozornie bez związku:

— Czy pan był po mojej stronie w dyskusji z panem Chmarą?

— A tożby jeszcze! Dobrze jemu powiedziałeś, kochany. Ja mało mówię.

— Prawdziwie mi żal, że dopiero teraz zaczynamy rozmawiać, gdy się rozstajemy, i że droga mi wypadła inaczej...

— A już, milejby było wracać samotrzeć do Wiszun, ale musi sam wiesz...

Tego olbrzyma, delikatnego widać i nieśmiałego, jak panna, najserdeczniej uściskał Kazimierz.

Wpadł do swego pokoju, zrzucił ubranie, chwycił w ręce wody i zmoczył obficie głowę. Ubrał się potem do podróży, gdyż nie zamierzał kłaść się spać.

Dobrze czy źle uczynił, postępując tak szybko, z głębi serca, ale bez rozwagi, zrażając sobie wszystkich: księżnę, Chmarę, ten cały dom, gdzie Ona mieszka?...

— Wolę tak — rzekł po krótkim namyśle — wyzwalem wrogów, ale mogę właśnie pozyskać tem gorętszych przyjaciół... Ten Hieronim jaki miły dziad!...

Nie upłynęło dziesięć minut, odwiedził go pan Apolinary.

— No, Kaziu, nie wiedziałem, żeś taki obcesowy.

— A co? uniosłem się, myśli wuj?

— Zdrowo mu. Może trochę w tonie za nadto... Młodość, dobrodzieju mój! Żebyś miał twoje lata, tak samobym wypalił. Ale

i do rzeczy wcale gadałeś, możesz się nawet wyrobić na polityka. Nic dziwnego: syn takiego ojca!

Usiadł pan Apolinary i nagle ożywił się jowialnie, wspominając:

— Jak to było? On na górę, ty jego z góry, on na dół, a ty go znowu ciągniesz na górę. Komedia, dobrodzieju mój!

— Rzeczywiście, komedia, ale z jego strony. Co tam porównania, namaszczenie jakies! Obcy człowiek, spekulant polityczny!...

— A nie, to znowu za ostro. On mi na osobności trochę inaczej śpiewał, gdy go przyparłem.

— Wie wuj, że jużby na dzisiaj dosyć było tej polityki.

— Masz rację. Gadam od piątej, nie licząc poranka — aż mi w gardle zaschło. — Ale *à propos* — tutaj wina dają bardzo pod miarę, i nie tegie jeszcze. — Wogóle wystawa na oko, ale sznureczki od worka zaciśnięte. Co za porównanie do Wiszun! Tam to kraj i ludzie i dom staropolski!... choć ta moja kuzynka jeździ na autonomii Litwy, jak na kulawej kobyle.

— Bo to i kutwa jeszcze, zbieracz rubli ten wielki Chmara! — dodał Kazimierz. — I nie wiem, dla kogo? dla tych córek?...

— Nie to, co nasza Aldonka! — wtrącił Apolinary z mocno znaczącym uśmiechem.

Kazimierzowi stało się, jakby mu drugi raz głowę oblano wodą. Zaczął chodzić nerwowo po pokoju.

— Któżby pannę Aldonę porównywał do tych biednych Chmarzanek! — rzekł dla porporcyi.

— Wiesz co, Kaziu? Niema sensu, abys leciał teraz w nocy do Wilna, kiedy mieliśmy wracać razem do Wiszun.

— Nie, wuju. To już postanowione. Nawet przed panem Hieronimem się wymówiłem.

— A on cóż?

— Zrozumiał, że tak być musi.

— Et, ślamazara trochę ten mój krewniak!

— Owszem, skryty, ale porządny człowiek. Bardzo mi się podoba.

— Przecież nie bardziej, niż Aldona, dobrodzieju mój?

— Może i bardziej.

— Mówmy poważnie, Kaziu. Nigdzie na Litwie nie spotkałeś ładniejszej, posażniejszej, bardziej stworzonej na małżonkę porządnego obywatela...

— Co mnie to obchodzi, wuju? — rzekł Kazimierz, wzruszając nerwowo ramionami.

— Jakto co? Przecie nie pierwszy raz o tem mówimy. Przecie nie bez tego, żebym i ja coś nie napomknął to ojcu, to matce. Bardzo ci wszyscy radzi.

Kazimierz stanął i wcale zajadle spojrzął na pana Apolinarego:

— Nie upoważniłem wuja do tego.

— Co to? cóż to za mina? Furyat jakiś z ciebie się zrobił w tych Rarogach?!

Nastąpiła chwila przykrego milczenia. Odezwiał się pierwszy Kazimierz:

— Jeżeli wolno mi prosić o łaskę, proszę mnie nie swatać wogóle, a i dzisiaj mi o tem nie mówić, bo już doprawdy głowa pęka.

— Patrzcie! mnie, staremu, nie pęka, a jemu pęka! — — Co innego jest pod tem wszystkim, dobrodzieju mój.

Kazimierzowi ani się śniło zapytać, co takiego. Chodził ciągle, myśląc o jednym: pokłócić się z wujem, czy nie? Lepiej — nie.

Pan Apolinary zaczął od teorii:

— Przekleństwem dla młodych są te rozwydrzone mężatki, wdówki i rozwódki, co to niby swoboda, panie tego, a zabierają mężczyzn dla siebie i mieszają im pojęcia o uczciwym związku małżeńskim.

— Ależ, wuju kochany! Żeśmy się spotkali na Litwie, to mnie wuj jeszcze nie wziął w kuratelę. Mam lat dwadzieścia ośm.

— Prawda, że to już... Ale myślałem, że, jako krewny, znający cię od kolebki, Kaziu, jako odwieczny przyjaciel twego ojca, mógłbym mieć jakiś posłuch u ciebie. No, i w tej nowej wędrowce dla dobra ogółu myślałem,

że mi Bóg zesłał okazję przysłużenia się i tobie, i ojcu twojemu, i moim krewniakom litewskim... Szcześnie pewne, samo idące do rąk, a tu nie — pan Kazimierz...

Rokszycki przerwał:

— Wiem, najlepszy z wuja człowiek, ale...

— Ale głupi może? co? Tobys się ładnie złapał, gdybyś tak sądził! Wiem dobrze: zawróciła ci w głowie pani Krystyna.

— Najprzód niech wuj nie wmawia we mnie, że źle o nim sędzę, bo wie, że go bardzo cenię. Powtóre — pani Krystyna nikomu głowy nie zawraca.

— Zawraca, kochanku, i to każdemu. Ja sam doznałem tego na sobie przy powrocie z polowania.

— I nie zawróciła jednak? — rzekł Kazimierz z lekkim odcieniem pogardliwym.

— Bom ówik, Kaziu. Znam lepiej świat i kobiety, niż ty, z przeproszeniem. To jest, oczywiście, ładne, może i dobre. Ale nie na żonę. Najprzód szusowata.

— Doprawdy?

— Wszyscy to mówią, i ja sam zauważyłem. Nie tak gada, rusza się, nosi się, jak kobieta w jej pozycyi powinna.

— Co wuj nazywa »jej pozycyją?«

— No, wdowa, zrujnowana, na łasce Chmary. Mogłaby być trochę pokorniejsza.

— To według wuja człowiek powinien mieć tyle dumy, ile pieniędzy?

— Nie mówię. Ale zawsze trzeba mieć jakąś zasadę do takich wysokich manier. Inaczej popada się w śmieszność.

Kazimierz stracił cierpliwość.

— Więc pani Krystyna, dlatego że jest Sołomerecka, że się urodziła i wychowała w dostatkach, że jest sierotą i wdową, że ktoś ją okradł — nie wiem jeszcze dokładnie, kto i jak — że szwagier raczył się zająć jej interesami, dlatego ona nie ma prawa czola nosić wysoko, chociaż jest piękna i jasna, jak dzień, i nikomu nie ustępuje w rozumie, ani w wartości moralnej?!

Pan Apolinary spojrział na Kazimierza ze szczerem zmartwieniem:

— A tośmy się wybrali do tych Rarogów! Pan Kazimierz wyjedzie stąd zaręczony! Ale czy tak, jakby należało? czy tak, jakby rodzice twoi pragnęli? To kwestya, dobrodziejku mój.

— Proszę wuja, nie wiem, czy mnie wuj ma za wartogłową, ale ja nim nie jestem. Nie zaręczyłem się, ani mowy o tem nie było. Cokolwiek zaś po głębokim namyśle przedsięwzię, rodzice moi o tem się dowiedzą i sami osądzą.

— Masz rację: rodzice przedewszystkiem.

Ja od spraw twoich wszelkich umywam od-tąd ręce.

Rokszycki wcale nie prosił, aby Budzisz cofnął to ostatnie groźne postanowienie.

Budzisz nie wychodził jednak; siedział osowiały, bez wszelkiej okazałości, rozmyślający. Wstał po chwili ociężałe i rzekł z udaną obojętnością:

— Do widzenia zatem... Zapewne już się nie zobaczymy na Litwie?

— Ja w każdym razie jeszcze kilka dni zatrzymam się w Wilnie.

— Taak? no to może...

Kazimierz widział wyraźny, serdeczny żal w oczach Apolinarego. Rzekł weselej:

— Doczekam się wuja w Wilnie. Tam będzie więcej czasu na rozmowę.

— A no dobrze. To się może dogadamy?

— Z pewnością się dogadamy. I tu nie wiem, o co poróżniliśmy się? Burza jest w powietrzu.

— W tobie, Kaziu, jest burza. Pilnuj, żeby nie strzelić piorunem, gdzie nie potrzeba.

— Niech się wuj nie obawia.

— Więc się wkrótce spotkamy. Ja tymczasem zajrzę jeszcze jutro do tych kochanych Wiszun, gdzie to i cisza, i dostatek, i serca zacne...

— I szpekkuchy, i familijna starka... — nie wytrzymał Kazimierz.

— Et, gadasz znowu! I Aldona, dobrodzieju mój. Szukaj takiej po świecie.

— Namysłę się.

— Namysł się, Kaziu. Małżeństwo to nie miodowy miesiąc, chociaż co tam za miody w Wiszunach! (cmoknął). A przytem wszystko w kupie: bo i akcja przeciwko litwomani. *Utile cum dulci*, całą gębą, dobrodzieju mój!

— To wuj nie widzi potrzeby żadnej akcji w Rarogach? Może nawet i trochę ważniejsza?

— Choćby i była, cóż z tego? Ożenisz się z jedną z Chmarzanek?

— Tegoby jeszcze brakowało!

— Więc widzisz, pomyśl dobrze, Kaziu.

— Pomyślę i naradzę się z wujem — rzekł Kazimierz na odczepne.

— O! tak mi gadaj, Kaziu drogi! Poznasz to kiedyś: pan Apolinary do rady jedyny.



XII.

Powiedziała: przyjdę. — — Co to miało znaczyć?

Poprzednia umowa o spotkaniu w ogrodzie o świecie upadła z powodu przyspieszonego wyjazdu Kazimierza. — — Ale ona, wiedząc już o wyjeździe, obiecała przyjść. — — Czy tylko wie o porze wyjazdu tak wczesnej, właściwie nocnej? — — —

Po niewczasie miarkował Kazimierz, że przez nagłość swego postanowienia utrudni sobie cel, który już panował nad wszystkimi innymi projektami na dzisiaj: stanowczą rozmowę z Krystyną. O czym? — — Najprzód o sposobie pomożenia jej w tych zawikłanych sprawach pieniężnych. Taka kobieta powinna być niezależna, bo... trzeba z nią zawrzeć ścisłe przymierze. To jest człowiek, indywiduum — przez nią i z nią można tu zrobić wiele dobrego. — — I tę właśnie sposobność porozumienia się, gdy są pod jed-

nym dachem, zepsuł, skrócił Kazimierz przez swój nagły wyjazd.

— Jaki ja dureń! —, bił się w czoło Kazimierz, pozostawszy sam w pokoju po wyjściu Apolinarego. — O pół słowa mniej powiedziałbym Chmarze i wyjechałbym wieczorem, po przechadzce z nią w parku, po całym dniu jeszcze, w którym mogłyby powstać projekty na przyszłość. A teraz ona gotowa przyjść o świcie do parku, w godzinę po moim wyjeździe! To niepodobieństwo. — — —

Więc postanowił tak:

— Ona przyjdzie, to nie ulega wątpliwości. Gdy ona chce, to działa; gdy co obieca, dotrzyma. W teoryach, które głosi, w postaci jej, w oczach — jest tego wszystkiego gwarancya. Ale może ostatnie jej słowo było rozkazem odroczenia mego wyjazdu? Może niedomówione zdanie miało tak brzmieć: »Przyjdę o świcie do parku, więc pan musi tam być — i basta«.

— — — W takim razie przepłacam woźnicę, pozostaję w Rarogach do 5-ej, a że się spóźnię na pociąg, to już fraszka. Siedzieć będę na stacyi do wieczora.

Taki plan go uspokoił. Tymczasem, aby być w pogotowiu na wszystkie możliwe znaczenia słowa »przyjdę«, złożył swe rzeczy, zamknął kufer, kapelusz nawet położył blisko pod ręką i, zasiadłszy się w fotelu sztywno,

aby nie usnąć, snuł dalej myśl nieustanną o Niej. Powoli jednak, czujnie, jak żóraw, ale zasnął.

.....
Na lekkie zastukanie do drzwi odpowiedział odrazu trzeźwym, donośnym głosem: »Proszę«. Ale drzwi uchyliły się zaledwie, a w szparze ukazała się nieznajoma, wystraszona głowa starej kobiety.

— Przepraszam najmocniej... czy pan Rokszycki?

— Tak jest.

— Ach, przepraszam! Ja przychodzę właściwie z takim zleceniem, że boję się, aby pan mnie nie miał za osobę podejrzaną...

Wyglądała, jak waryatka. Może się tu takie włóczą po domach? — pomyślał Kazimierz. Ale odezwał się uprzejmie:

— Czego sobie kochana pani życzy?

— Przychodzę od pani Krystyny. Tyle prosiła, że musiałam...

— Więc co? gdzie jest? Niechże pani mówi!

Wystraszona znowu przez gorączkę Kazimierza staruszka wznosiła na niego błagalne oczy:

— Ale pan nie będzie miał złego wyobrażenia?... I zamiary względem Krystyny?...

— Proszę pani. Wyjeżdżam za chwilę do Wilna i mam... odebrać polecenia od pani

Krystyny. Daję pani słowo honoru, że sam wyjadę do Wilna.

— To proszę za mną — rzekła mało uspokojona staruszka.

Z zapaloną świecą poszła, wskazując drogę przez szereg ciemnych pokojów. Noc była jeszcze zupełna.

Mignęła nareszcie blado oświetlona sala jadalna. Tam, przy wielkim stole środkowym stała Krystyna.

— Jaka pani dobra! — zaczął Kazimierz, całując ją w rękę.

Krystyna zwróciła się tymczasem do starej biedaczki, która stała drżąca w aureoli siwych, ledwie przczesanych włosów.

— Karuś! dziękuję. — — Proszę pana: moja najlepsza, jedyna przyjaciółka, panna Karolina Zubowska.

Kazimierz podał jej rękę z głębokim ukłonem, a panna Zubowska wpadła w dyg chwijając się, lecz dworski.

— Teraz, Karuś, idź spać. Patrz! to jest ten pan. — — — Bądź spokojna. Idź spać, Karuś. —

Po wymianie nowych oznak uszanowania z odchodzącą, pozostali we dwoje. Krystyna była nadzwyczaj wesoła, jak dzieciak, któremu się udało oszukać opiekunów, dygotała od śmiechu i od zimna, w czarnym jedwabnym szlafrocisku z białymi koronkami. Świe-

ciła z niej tylko twarz, szyja, ręce, obnażone do łokci, i białe koronki, dążące za gibkimi zarysami postaci. A sama postać czarna i włosy, ledwie związane, przepadały w ciemności dużej sali, oświetlonej jedną tylko lampą. Okolenie oczu śniadą chmurką świadczyło o bezsenności i niepokoju, ale dodawało twarzy drażniącej ponęty. Kazimierz patrzył.

— Nie ma pan pojęcia, jakie miałam trudności. Najprzód mnie księżna odprowadziła do mego pokoju i klapła tam na dobrą godzinę. Powiedziała, że mnie głowa boli — to mi znów przysłała młodszą Chmarzanekę, aby mnie leczyła od bólu głowy odmawianiem nowenny! Doprawdy! Niedobra dziewczyna ta młodszą, Teresa. Ledwom się jej pozbyła: musiałam udać, że zasnęłam, leżeć, jak martwa, aż nareszcie sobie poszła. Wtedy ubrałam się, obudziłam Karolinę — no, ale zrobiła się godzina druga. Żeby nie to, przyszedłbym do pana jeszcze wcześniej!

Kazimierz całym sercem brał udział w tej wyprawie; śmiał się i tłumaczył ze swojej strony:

— Musiałem przyspieszyć wyjazd, bo dłużej nie mogłem pozostać po rozmowie z gospodarzem domu. Pani mi tego za złe nie weźmie?

— Rozmowy z Chmarą nie słyszałam, ale pewna jestem, że pan mówił dobrze. A co

do wyjazdu... czy panby odjechał, nie pożegnawszy się ze mną?

— Nigdy! — rzekł Kazimierz zapalczywie. — Powiedziała pani: przyjdę. Gdziekolwiekby pani przysła i o której godzinie, zastałaby mnie na miejscu.

— To dobrze... Bo my przecie mamy tu wspólne sprawy... ogólniejsze?

— Chciałbym mieć ich tysiąc!

— Umówmy się choć o jedną — rzekła Krystyna z powabną ironią.

— Nie! proszę mnie o błagę nie posądzać. Mówię szczerze: chciałbym mieć tysiąc spraw, w których pani brałaby udział. Najprzód, ludzie, jak my... przepraszam za to zuchwałe porównanie...

— Owszem: ludzie, jak my. Niech pan mówi dalej.

— Więc tacy* powinni wiedzieć o sobie na całej przestrzeni od Rarogów aż za Wisłę. Powtórę, powinni porozumiewać się i wspierać.

— Nawet widywać się częściej — dodała Krystyna.

— To nieodzowne. Postanówmy najprzód, gdzie się zobaczymy.

— To jest: kiedy pan powróci, bo przecie panu łatwiej, niż mnie,

— Niewątpliwie. Zatem... Ale dokądże ja powrócę? Tutaj chyba trudno?

Skrzywił się i chwycił się za głowę, jakby go nagle zabolala:

— Ta rozmowa wieczorna! Do Rarogów mnie tak prędko nie zaproszą.

— Niech pan rozmowy z Chmarą nie żaluje. Z samych powtórzeń, które doszły mnie, wiem, że była potrzebna — dla innych. Ale pan przecie zajmuje się Inem?

— Tak, pani.

— A jeżeli ja wynajdę jakieś plantacye w okolicy, do których pana zaproszą, gdzie i ja się zjawię?

— To byłoby genialne i tak już łaskawe, że byłbym dłużnikiem najobowiązańszym.

— Więc spróbuję.

Kazimierz patrzył z zapalem na swą piękną aliantkę, a zarazem mrugał powiekami, szybko coś projektując:

— Zaraz... Kiedy pani mi wyraźnie chce pomódz w moim zawodzie, to i mnie wolno myśleć o jej sprawach osobistych. Wspomniała mi pani o obciążeniu długami Auszry. Może dla ustalenia tych cyfr i wartości przysłać pani adwokata?

— Niech pan mi przyśle adwokata, z listem — zawołała Krystyna, uderzając o stół ręką.

— Tak... ale nie mamy z panem Chmarą sprawy sądowej — — — ani jemu pomagać nie myślimy — więc pod jakim pozorem

adwokat?... Przysię pani technika leśnego, to lepiej!

— Niech pan przysła technika!

— Cóż dalej? — pytał Kazimierz właściwie sam siebie, cały zatopiony w wyszukiwaniu stosunków choćby handlowych między Koroną a Litwą.

— Niech pan myśli o nas... ciągle.

— To przedewszystkiem i nadewszystko.

— I napisze pan do mnie zaraz, co się dzieje na szerszym świecie.

— Napiszę zaraz, choćby jutro, tylko że zatrzymam się kilka dni w Wilnie. Jeżeli to można nazwać szerszym światem...

— Proszę pisać skądkolwiek. Pan sam jest szerszym światem.

W półmroku sali dostrzegł jednak Kazimierz po zmianie twarzy Krystyny, że się zarumieniła. Chwycił z rozkoszą ten rumieniec dla siebie.

— Wykonam rozkaz sumiennie. A pani mnie odpisze?

— Dokąd?

— Do Wilna, do hotelu ***. Podam adres do Warszawy i do Ziemkowa, majątku mego ojca. Wymienię to wszystko dokładnie w liście.

— Niech pan zaraz powie. Ma pan ołówek?

Kazimierz dobył z kieszeni kartę i napisał na niej wszystkie trzy adresy. Krystyna wzięła tę kartę i przyglądała się jej, jak nowemu

klejnotowi. Ozwała się potem, dorabiając teoryę do układu, już dokonanego:

— Bo my przecie nie jesteśmy obcymi sobie ludźmi?

— Niewątpliwie, pani moja. Tak postanawiamy, prawda? Jesteśmy wolni, zgodni...

— I równi — podchwyciła Krystyna. — Będzie coś w rodzaju hasła wielkiej Rewolucyi.

— Albo Unii Litwy z Koroną,

— A prawda! Więc tak jest doskonale. Ale ja nie będę pisała tylko o polityce.

— A, broń Boże!

— Będę pisała o wszystkim, tak jak rozmawialiśmy.

— Proszę o to najpokorniej. I dla siebie proszę o równe prawa.

— Według przyjętego hasła.

Ustaliwszy to wszystko dokumentnie, spojrzeli naraz oboje na zegar, który szedł dzisiaj bardzo śpiesznie. Krystyna, jakby zbierała poły nie istniejącego płaszcza, otuliła się rękoma, przyciągając tylko krótkie rękawy drżącymi palcami.

— Zimno w tej sali. — — Jak daleko stąd do rodziców pana, do Ziemkowa?

— Przez Wilno, Warszawę... będzie ze dwadzieścia cztery godzin jazdy.

— Tak daleko?!

— No, Polska szeroka...

Wyjątkowo ten rozmiar nie ucieszył Krystyny w tej chwili.

— Przecie pani zna zapewne Królestwo?

— Byłam tylko parę razy w Warszawie, przejeżdżając zagranicę.

— Dużo pani podróżowała?

— Od śmierci ojca zmuszona byłam... Nie lubię cudzych krajów. Ale, panie! zaraz ta gozdzina, a my tak mało powiedzieliśmy sobie!

— Jam bardzo wiele usłyszał, a nawet wszystko cenne i dobre, czegom tu doznał, pochodzi od pani.

— A wszystko marne i nienawistne pozostaje około mnie na miejscu. Dobrze panu, który wyjeżdża.

— Tak, pani — odrzekł Kazimierz silnie — dobrze mi jest, bo wierzę w nasze wspólne cele.

— I ja wierzę... przez pana. Wie pan, że dotychczas żałowałam, że nie jestem mężczyzną.

— A teraz?

— Teraz mniej... bo możebyśmy inaczej nie zawarli naszego przymierza.

Zegar znaczył pięć minut po trzeciej. Od kilku już chwil snuło się po ciemnej jadalni paru służących, jak natrętne mary, które on i ona odpychali instynktem, zniżając głos i przybierając pozory obojętne. Krystyna spojrziała na zegar nienawistnie, tem bardziej, że

sterczał przy nim sztywny Onufer, ulubiony pokojowiec Chmary. Pochyliła się do Kazimierza i rzekła szeptem:

— Co do listów niech pan poczeka, aż ja napiszę i podam pewny adres.

— Tak dalece pani tu strzegą?

— Po nich wszystkiego można się spodziewać. Choćby po tym.

Wskazała oczyma na Onufra.

Wszystko było gotowe do podróży; już i kuferek Rokszyckiego wyniesiono do podjazdu, przed którym czekały konie. Powstali oboje od stołu. Ociągali się nieco za służbą, która podążyła do przedpokoju.

— Pani moja! — rzekł Kazimierz, całując obie ręce Krystyny — dobre dni tu przeżyłem, nabrałem w serce siły i nadziei na przyszłość, dzięki pani...

Krystyna nie puszczała jego dłoni. Mówiła mu prosto w oczy. Słowa przepływały przez twarz jej, niby znękaną bladym upałem, przez twarz jego skupioną, niezawodną, męską.

— Ja panu także dziękuję... serdecznie... że pan jest dobry... że mówił pan ze mną, jak z blizkim człowiekiem..., że mogę znowu wierzyć w uczciwość, w sumienie...

Niedostateczność wyznań oniemiła ich.

— Odprowadzę pana do powozu.

Noc była jeszcze, tylko wierzchnie zarysy

drzew odcinały się już, niby połamanym brzegiem czarnego łądu, od górnego morza ciemności bledszej, w którą wstępowała nadzieja rozblękitnienia. Wietrzyk zaciął mrozem.

Krystyna wpatrzyła się w podwoję, przeznaczoną dla Kazimierza, podczas gdy służba przytwierdzała nad tylnymi kołami kuferek za pomocą sznurów.

— Dlaczegoż to nie zaprzęgliście krytego powozu, ale tarantas?

Nie zaraz nastąpiła odpowiedź. Woźnica po namyśle dopiero odpowiedział wyczerpująco:

— Graf rozporządził tarantas. Wiadomo, nasz graf skóry żałuje.

— Woli skórę swego powozu, niż cudzą skórę gościa — szepnęła Krystyna do Kazimierza. — Niech pan mu i tego nie zapomni.

— Wolę i ja, że Chmara jest tak doskonały w swym gatunku — odrzekł Kazimierz. — Tu przynajmniej nie mam wątpliwości, z kim trzymać. Tu mi jasno.

Krystyna rzekła naraz gwałtownie, kłamiąc jawnie oczyma słowom:

— Niech pan już jedzie!...

Kazimierz wskoczył lekko na bryczkę i z odkrytą, odwróconą do drzwi pałacu głową oddalał się szybko w noc. Zaraz i turkot ucichł.

Krystyna poszła do swego pokoju, wyprostowana, z oczyma groźnie palającymi, jakby

wyzywając do walki ludzi i mury, pośród których pozostawała znowu sama. Dopiero gdy weszła do ciepłej sypialni, odrzuciła zamachem firankę od okna, zatopiła spojrzenie w ciemnym parku i zapłakała gorąco. Spływała ze łzami nienawiść, koił się ból przeszłych zawodów, wstępowała w oczy jasność wiary w dzień nowy.

— Bądź wielki, jasny, silny! — mówiła głośno do rozstępujących się na niebie ciemności, jakby stamtąd miał powrócić On — razem ze słońcem.

XIII.

Ucichło w Rarogach. Wyjechali ostatni uczestnicy zjazdu. Tylko księżna Zaslawska, pozwoliwszy synom zabrać się z Hylzenem dla zapolowania w jego dobrach, pozostała jeszcze dzień jeden, na usilne prośby Chmary. Pan Eustachy miał z księżną osobliwe przymerze, bynajmniej nie romantyczne, owszem, oparte na mocnej podstawie pokrewieństwa przekonań i interesów. Dzisiaj zaś, oprócz niektórych rachunków z powodu opieki nad małoletnimi, mieli z sobą specjalną naradę, która ich zaprowadziła o południu do pokoju Krystyny.

Zastali ją w stroju porannym, z rozpuszczonymi włosami, rysującą pilnie w albumie. —

— Jak się masz, Krysiu — rzekła księżna. — Cóż to rysujesz? Las?

— Las.

— Bardzo ładnie... *la solitude*...

I Chmara pochylił się nad albumem, a raczej nad rozpuszczonymi włosami rysowniczki, tchnącymi świeżością bujnej, młodej rośliny. Rozmowa o sztuce na tem się skończyła.

— Śliczna pogoda, a ty w domu siedzisz, Krysiu — zawróciła księżna do spraw bieżących.

— Wyjdę po południu do lasu.

— Znowu do lasu? Ależ zdziczejesz zupełnie, moja droga! Każdy człowiek bardziej zajmujący, niż sosna.

— Mielśmy przecie tymi dniami dużo towarzystwa.

— Ech! zjazd rolniczy!... Przepraszam panie Eustachy; przecie naturalnie, że w takim zebraniu nawet *les plus brillants*, jak pan, gasną dla życia salonowego... Zabierz się ze mną, Krysiu; będzie u nas pojutrze trochę gości: Hylzen, młody Kmita...

— Dziękuję księżnej; mam tu robotę.

— Cóż ty robisz, na przykład?

— Czytam, rysuję... mam i inne zajęcia.

— I tam będziesz mogła czytać... całego dnia ci nie zabierzemy.

— Dziękuję bardzo — nie mogę.

Uśmiechała się, dając nurka głową i szyją, odmawiała uprzejmie, ale nieodwołalnie. Aż księżna zastrzygła powiekami, co czyniła zwy-

kle, gdy kto przeciwił się jej woli, a Chmara odezwał się dobrotliwie:

— Krystyna jest domatorką, dom nasz lubi — czuje zapewne, jak my ją tu cenimy.

Przerwał wobec nagłego spojrzenia Krystyny, tak wymownego, że wolał nie dopytać się do głębi jego znaczenia. Księżna Katarzyna mówiła dalej, jakgdyby nic nie dostrzegła:

— Rozumiem, że dom wasz lubi, tylko teraz będzie pusty. Przecie pan wyjeżdża do Petersburga? Możebyś z nim pojechała Krysiu? I ja tam wkrótce będę.

— Do Petersburga?! — rzekła zdziwiona Krystyna — nigdy tam nie byłam.

— Właśnie dlatego wartoby poznać. Nie mówiąc już o towarzystwie, mogłabyś zobaczyć naprzykład obrazy holenderskie w Ermitażu. Pan Kazimierz wszystko nam ułatwi.

— Pan... Kazimierz?

— No, pułkownik, synowiec pana Eustachego.

— Ach ten... dziękuję — odrzekła Krystyna, rumieniąc się.

— A cóż myślałaś? że pan Kazimierz Rokicki, czy jak on się tam nazywa?

— Pan Rokszycki. To dziwne, że księżna nie pamięta nazwiska.

— Moja droga! Słyszałam już i o Rokit-

nickich i o Rokicińskich. Mamy nawet jednego ekonoma...

— Rokszyckiego?

— Coś w tym rodzaju.

— Ale pan Kazimierz jest z doskonałej rodziny — rzekła Krystyna twardo i z przekonaniem.

— Brawo, Krysiu! Widzę, że studyujesz historię szlachty. Panie Eustachy, czy Rokszyccy szlachta?

— Stara szlachta... prowincjonalna — orzekł Chmara łaskawie.

— Że prowincjonalna, to sama spostrzegłam. Ach, mogłabym ci, Krysiu o tym panu coś powiedzieć — śmiała się księżna zbyt jałkoś serdecznie.

Chmara, który nie usiadł jeszcze, zawrócił ku drzwiom:

— A! skoro damskie zwierzenia, to mnie już przy tem niema.

— Owszem, proszę zostać, panie Eustachy.

— Nie, nie księżno, wolę nie wiedzieć. Zresztą mam pocztę do przejrzania.

I wyszedł.

Krystyna z wyzywającą ciekawością zapytała:

— Co mi księżna miała powiedzieć o panu Rokszyckim?

— Ach, nic... żartowałam. Nic wogóle bardzo zajmującego o tym panu niema do po-

wiedzenia. On się składa z samych drobiazgów. Tylko, że gada jak warszawska gazeta, imponuje naszej poczciwej prowincyi. Nie panu Eustachemu naprzykład, ale takim Budziszom i innym.

— Wie księżna, że ja takiej gazety dotąd nie czytałam. Ale co mi księżna miała o nim opowiedzieć?

— Mówię ci, że drobiazgi...

— Ale naprzykład?

— No, naprzykład: nosi białe skarpetki.
Pour moi cela classe un homme.

— Ach! tyle tylko?... I wcale tego nie zauważyłam...

— To byłaś szczęśliwsza ode mnie: trafiłaś na lepszy dzień. Widzę, że, gdy się do ciebie umizga, lepiej się ubiera. Możesz być z tego dumna, Krysiu.

Zaśmiała się nieszczerze, ironicznie. Czarne oczy Krystyny poważniały tymczasem okrutnie.

— Pan Kazimierz Rokszycki nie umizgał ię do mnie wcale. Mówiliśmy z sobą długo i bardzo poważnie.

— Ej, Krysiu, przyznaj się! Gadał ci jakieś madrygały? Bo przecie mówią, że w Wiszuanach zaręczył się prawie z Budziszówną, i tu pani Wiliaszew przyniosła mi swoją porcę jego westchnień jeszcze gorącą, i ja sama,

rozmawiałam z nim w parku. Nie wątpi o sobie, bardzo jest przedsiębiorczy.

— Może to być... złudzeniem — rzekła Krystyna z naciskiem na ostatniem słowie.

— Z jego strony, zapewne — odpowiedziała księżna głosem twardszym. — Próbuje swego wdzięku i szuka. Szuka kobiety, któraby mu pomogła w jego spekulacyach pieniężnych i politycznych. Więc albo posag złapie, albo kobietę piękną, jak ty naprzykład, bo i to za posag starczy. Już ja się znam na gatunku mężczyzn. Wierz mi, Krysiu.

Pani Krystyna stanęła przed księżną w groźnej zupełnie postawie. Rozpuszczone włosy zdawały się jeżyć w grzywę Gorgony. I rzekła zajadle:

— Ja tego słuchać nie będę, rozumie księżna? nie chcę!

Jaśnie oświecona protektorka nie ruszyła się jednak z fotelu. Spoglądała na Krystynę wzrokiem zagadkowym, udającym ubolewanie, ale jadowitym. Więc Krystyna poszła szybko ku drzwiom sąsiedniego ubieralnego pokoju, znikła w nim i zamknęła drzwi za sobą. Trudno było wyrazić dobitniej przerwanie konferencyi. I księżna wyjśćby musiała niepyszna z pokoju, gdyby w tej chwili nie ukazała się na progu pokorna i pojednawcza postać panny Karoliny Zubowskiej.

— Cieszę się, że pannę Karolinę spoty-

kam — rzekła księżna łaskawie — może choć przez ciebie trafię do rozsądku tej waryatki. Mamy z nią ciągły kłopot, a ona jeszcze zła się zrobiła, jak jędza.

— Proszę księżnej pani, trzeba wyrozumieć... Ona jest w tak trudnej sytuacji...

— Co mi tam mówisz o sytuacji! Trzeba tylko mieć coś tu... w głowie. Siadajże, panno Karolino...

Staruszka usiadła na krześle ceremonialnie.

— Trzeba za nią myśleć, skoro ona nie umie — ciągnęła księżna. — Opiekę ma tu przecie idealną, pieczęcią ją, admirują... Jednej rzeczy jej brak, i to wpływa na jej dziwaczny humor: kobieta młoda i ładna, jak ona, nie może żyć bez męża. *Cela porte au cerveau*.

— Ach, księżno!... panie musicie to wiedzieć.

— Nie spuszczać oczu, panno Karolino. Trzeba tu radzić, bo się nam Kryśka zupełnie rozhisteryzuje, albo palnie jakieś ogromne głupstwo.

— Czyż można przypuścić, księżno pani!

— Ale nie, nie. Mówię, że gotowa się zaręczyć z pierwszym lepszym.

— Proszę księżnej, ona tak nadzwyczaj wybredna i tak sumienna w wyborze...

— Masz tobie: sumienna! Sensu niema, moja kochana! Naprzykład teraz zajął ją taki

pan Rokszycki. Przecie to dowód zupełnej ślepoty, aberracya!

— Pan Rokszycki? Sądziłam, że śliczny człowiek.

— Doskonale! Już i panna Karolina pomaga. Liczyłam na pani rozsądek.

Zawstydzenie wystąpiło na zawiedłą twarz panny Zubowskiej nie barwą rumieńca, lecz drżącej bledości.

— Ja nie wiedziałam... jabym przecie dla Krystyny duszę oddać rada... ja nie wiedziałam.

— Więc dowiedźże się, moja panno Karolino, że to jest drugi syn jakiegoś drobnego obywatela z za Wisły, bez osobistego majątku, spekulant, szukający posagu, i człowiek złych obyczajów, zupełnie dla Krystyny niebezpieczny.

— Ach, mój Boże! — załamała ręce panna Zubowska.

Widząc skuteczne działanie swej przemowy, księżna mówiła dalej z lubością, którą odnajdują pewne natury skomplikowane w zakłócaniu spokoju dusz czystych.

— Nie chciałam Kryśki opowiadać wszystkiego, co o nim wiem; ale tobie mogę, jako starszej. Wyobraź sobie, że, kiedy zaszłam z nim w parku do tej ławki daleko — wiesz? nad wodą — i siadłam nieuważnie, odkrywając trochę pończochy, o tak —

Podkasała suknię, a oczyma, nozdrzami i rękoma dorysowała obraz nie dwuznacznie wyzywający.

Panna Zubowska, otwierając przerażone oczy, ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, wyglądała tak, jakby ktoś niesłychane zamiary okazywał względem jej biednej osoby.

— ...wtedy on chciał mnie objąć wpół, zbliżał się już do mojej twarzy, sapał — no, rozumiesz?

— Okropność! — jęknęła panna Zubowska i zakryła twarz chudemi rękoma.

— Ja takie pomysły jednym spojrzeniem umiem przyprowadzić do porządku. Ale wyobraź sobie, żeby tak z Krystyną!

— Okropność!

— Dużobym ci mogła jeszcze zacytować z jego konwersacyi. Widzisz, na jakich to ludzi łapie się Krysia i zapytuje ich, swoim zwyczajem, czy mają sumienie. Widzisz, że za nią trzeba wybrać, a nie jej pozostawić wybór.

— Ale jak to uczynić? — pytała zrozpaczona panna Zubowska — przecie ona nikogo nie słucha.

— Jeżeli nie będzie słuchała nas, a przede wszystkim pana Chmary, może być zgubiona. Tymczasem tego jakiegoś pana Rokszyckiego ona już więcej nie zobaczy. Nie

powtarzaj jej tego, panno Karolino, ale działaj z nami — dla jej dobra.

Księżna pozostawiła pannę Zubowską w takim stanie odrętwienia, że staruszka nie powstała nawet, aby pożegnać wychodzącą.

Księżna przed wyjazdem z Rarogów miała jedną jeszcze krótką konferencyę z Chmarą.

— Gorzej, niż myślałam — mówiła. — Ten jegomość na dobre jej w głowie zawrócił. Musi pan jej pilnować i korespondencyi — rozumiemy się?

— Wszystko uczynię, aby pokierować odpowiednio losem pani Krystyny — odrzekł Chmara uroczyście. — Zdanie kochanej księżnej o panu Rokszyckim utwierdziło mnie w moich spostrzeżeniach.

— Zarozumiały i niesmaczny człowiek — rzekła księżna.

— Gorzej: niepożądany wcale element szowinistyczny, gdyby miało przyjść do tego, aby się w okolicy osiedlił.

— Prawda, wzięwszy Auszrę w administracyę.

— I zmarnowałby. Interes zaś Auszry może się jeszcze wyrobić.

— W pana ręku, panie Eustachy? — rzekła księżna z przenikliwym, ale przyjaznym uśmiechem.

— Pochlebiam sobie.

Wiązanka rozrzewnień, osnutych na wza-

jemnym szacunku i zapewnieniach wzajemnej użyteczności, zakończyła rozmowę.

Po wyjeździe księżnej Katarzyny atmosfera w Rarogach powróciła do normy, która przypominała zakład leczniczy. Stojący w pięknym parku, w zdrowym kraju, pałac byłby wesoły, gdyby nie ciężka feruła naczelnego lekarza i właściciela, regulująca postęпки dozorczyń i służby. Pani Krystyna nie znajdowała się tu ani w internacie, ani pod wyraźnym dozorem, odczuwała jednak na każdym kroku upartą wolę kierownika zakładu, niby natrętny regulamin higieniczny.

Nazajutrz po wyjeździe Kazimierza napisała do niego list długi, serdeczny, wymagający niezwłocznej odpowiedzi; włożyła go sama do torby pocztowej, gdy już posłaniec odjeżdżał; przeprowadziła tego posłańca oczyma aż za bramę parku. — — — Upływał już tydzień bez odpowiedzi. Wtedy, podejrzewając swych opiekunów o haniebną kontrolę na stacyi, sprowadziła zaufanego swego leśnika Sidorkiewicza, wręczyła mu drugi list i depezę terminową z poleceniem wysłania obu z innej stacyi kolejowej, o kilka mil odległej, i doczekania się odpowiedzi na depezę. List, z konieczności ostrożniejszy i bardziej stropony przez niepewności różnej natury, podawał adres na odpowiedź do Sidorkiewicza (poprzedni był do panny Zubowskiej), a tele-

gram zapytywał tylko o wyjaśnienia. Na drugi dzień dopiero Sidorkiewicz przywiózł odpowiedź na depezę, że »adresat wyjechał wczoraj z Wilna«.

Wszelkie rozterki z ludźmi i z losem miała zwyczaj Krystyna powierzać swej dawnej nauczycielce. Ale panna Zubowska, która zasadniczo przejmowała umiłowania i troski swej ukochanej pani, teraz stała się trwożliwszą, nie tak łatwo potakującą zdaniu Krystyny o Kazimierzu. Wyjaśniło się niebawem, że opowiadanie księżnej Zasławskiej podzielało na starszkę; Krystyna nie mogła jednak usunąć tej trucizny z jej pamięci. Panna Zubowska prosiła naprzykład, aby listy Kazimierza nie były adresowane do niej.

— Jabym dla ciebie, Kysiu, chodziła piechotą po listy na stacyę, gdybym miała pewność. Ale mi coś drży w sercu, kiedy pomyślę, że mogłabym się przyczynić do złego dla ciebie. Stara już jestem — nie obciążaj mi sumienia tą wątpliwością.

Krystyna wymyśliła natychmiast nowy adres przez Sidorkiewicza i nie zniechęciła się do wypróbowanej przyjaciółki. Ubywała jej wszelako jedyna słodycz pobytu w Rarogach: poufna rozmowa o Kazimierzu z osobą pewną i przekonaną. Powoli starszka wyśpiewała wszystkie epitety i czarne rysy Kazimierza, słyszane od księżnej, z wyjątkiem jednak

tej sceny w ogrodzie, która utkwiała w pamięci panny Zubowskiej, jak grot złamany. Sądy księżnej mogły być nietrafne lub przesadne, ale ta »okropność« tak realistyczna nie mogła być przecie zmyślona. ...? Zwłaszcza te pończochy! Te pończochy czarne, ażurowe, z haftem (widziała te, które księżna miała na sobie podczas zwierzeń w pokoju Krystyny) przesładowały po nocach biedną starą pannę zmorami grzechu, od którego na nią samą padał jakiś cień współwiny.

Wielkim wysiłkiem wyrozumiałości starała się czasem tłómaczyć Kazimierza przez zapomnienie szalonej młodości. Ale jakże! W tym samym dniu, kiedy Krystynie mówił takie rzeczy podniosłe?! W tym samym parku, gdzie z nią chodził przed chwilą?! Ten obraz wżerał się coraz głębiej w wyobraźnię staruszki, stawał się jej męką niewypowiedzianą; nie podejrzewała już nawet, że jest ofiarą grubej, dyametralnej do prawdy potwarzy.

Po nowym tygodniu Sidorkiewicz przyniósł jednak odpowiedź Kazimierza na drugi list Krystyny. Rokszycki pisał z Warszawy i zupełnie tak, jakby pragnęła Krystyna. Oznajmiał najprzód, że żadnej uprzedniej wiadomości z Rarogów nie otrzymał; pisał potem ostrożnie z paru zaledwie aluzjami do rozmów i do chaty Sidorkiewicza; następnie rozwodził się zbyt szeroko o techniku leśnym, który

miał się zjawić w Rarogach z jego polecenia. Interesy materyalne zajmowały dużo miejsca. Jednak ton listu energiczny i wzmianka przy końcu o upragnionem i pewnem zobaczeniu nie zachwiały w Krystynie wiary w szczerość Kazimierza, zawiodły tylko nieco jej rozgrzaną wyobraźnię. Nie było słowa w liście, któreby można ucałować: przykroby trafić ustami na technika leśnego...

Wprawdzie Kazimierz odpowiadał na jej list drugi, o ile gorszy i zimniejszy od pierwszego! Ale może on sam jest technikiem, człowiekiem pracy i rachunku? To, co ludzie podli, sądząc po sobie, nazywają »spekulacją«, może być jego zaletą i potrzebą... Jednak to za mało. On jest większy, on przecie tu był i mówił tak gorąco o rzeczach dobrych i drogich. Przyjedzie znowu, bo obiecał, i rozproszy te wątpliwości...

XIV.

Długo siedział pan Apolinary w hotelu po przyjeździe do Wilna, zanim się doczekał powrotu Kazimierza już po północy. Rzekł po serdecznym przywitaniu:

— Skądże to pan Kazimierz? Oczy ci się świecą, jak w gorączce. — — — Przyznaj się, żeś poznał jakąś śpiewną litewską Filidę?... Mnie powiedzieć możesz — jestem kompanem do wszystkiego.

Rokszycki przeczył energicznie:

— Ani mi się śniło, wuju.

— No, tak po paru tygodniach suchego postu sny zdarzają się grzeszne. Ale na jawie pamiętaj, Kaziu, ostrożnie! Miałem niegdyś taki wypadek w Kaliszu...

— Niechże wuj da pokój! Zajmują mnie tu sprawy poważne.

— Oj, ta młodzież dzisiejsza! — ziewnął pan Apolinary. — Skądże wracasz? Nie z kościoła o dwunastej w nocy.

— Wracam z licznego zebrania, gdzie ludzie biali i czerwoni, spokojni i zagorzali rozprawiają sobie w najlepszej komitywie.

— To chyba knajpa, dobrodzieju mój?

— Nic podobnego. Mieszkanie poważnego obywatela, a kompania bardzo zamknięta. Nawet wyłączna. Dostałem się tam za protekcyą.

Pan Apolinary coś już o tem słyszał, nie-rad był, że Kazimierz go uprzedził, więc mówił z nadąsaniem:

— Nie złapiesz mnie na te zebrania bezpartyjne. Dość ja ich próbowałem. Trembrem, wszechstronne oglądanie kwestyi, a w rezultacie figa. Gdzie kiedy socyał dogada się z realistą? Chyba o pieczeni? I to jeszcze!

— Mogą się nie dogadać, wuju, aż do zmiany zasad, ale mogą się bliżej poznać i zgodzić co do poszczególnych działań pożytecznych dla ogółu.

— Opowiadanie, dobrodzieju mój! Cóż tedy ciekawego tam usłyszałeś?

— Bardzo wiele trafnych powiadomień o sprawach bieżących.

— Więc taka sobie gazeta?

— Trochę więcej. Coś w rodzaju »związku rozumu narodowego«, o którym mówi mój ojciec.

Budzisz nadął się zazdrośnie.

— No, no... Bywałem już w takich związ-

kach; bywałem i w naradach wodzów... Powiedz raczej, jak wyglądają ci nowi panowie Zadzierajtys i Krzykalunas?

Rokszycki odpowiedział bez uśmiechu:

— W innych miejscach spotkałem i takich. Niewiele warci, nieliczni i sami kompromitują swoją sprawę. Mówię o skrajnych nacjonalistach litewskich. Trzeba ich odróżnić od szczerych ludowców, dużo sympatyczniejszych.

— To już pozwól, że ja ocenię — odezwał się Budzisz, wznosząc dłoń delikatnie. — Ale kogóż naprzykład mi zacytujesz?

— Poznałem różnych: Milaknisa, Ciecierowicza...

— Ciecierowicz? poczekaj! może krewny pani Hieronimowej z Wiszun?

— Zdaje się, że tak. Ale inny typ, szorstki, ponury, małomówny. Mól książkowy, chociaż znać po nim braki pierwotnego wykształcenia. I zakochany w mowie litewskiej, w pieśniach gminnych, w cmentarzyskach pogańskich, wreszcie w śrubowaniu kultury litewskiej do wysokości potrzeb nowożytnych.

— Więc i cóż z tego? Za co ja go mam kochać, naprzykład?

— Nie polecam go wujowi specjalnie, ale mnie się podobał ze swej szczerości i uczciwości w badaniach. Nie prześlepia umyślnie, jak inni, ani znaczenia, ani pomników polskiej kultury na Litwie; nie lekceważy Unii

w przeszłości, ani w przyszłości. Gniewa się tylko, że Litwa taka, jak dziś jest, nie wyrosła cała, jednolita ze swoich przedhistorycznych soków. Cóż na to poradzić? są takie oryginały.

— Ty ich nazywasz oryginałami, Kaziu? Ja mówię, że to są elementy rozkładowe.

— O innychbym to powiedział, ale nie o tym pocziwym Ciecierowiczu. To nie spekulant polityczny, ani podżegacz do nienawiści plemiennej, ani burzyciel pożytecznych i trwałych urzędzeń. To jest taki sobie pan, który umyślił pruć nici z pokrzywy. Bo można i z pokrzywy. Oczywiście lepiej ze lnu, albo z konopi, ale, dodawszy pokrzywę, będzie więcej przędzy.

— Jak zaczną uprawiać pokrzywę, zabierze za dużo miejsca na ziemi, dobrodzieju mój.

— Tu ma wuj znowu słuszność. Trudno jednak komuś zabronić siać pokrzywę we własnym ogrodzie. Ciecierowicz próbuje, czy z niej nie dobędzie takiego włókna, że mu da przędzę zadowalającą.

— Te, te, te! wy wszyscy, Rokszyccy, macie jakiś pęd do filozofowania. I tak kwestyę obrócić, i tak jeszcze. A działacz wie z góry, dokąd idzie, spycha cudze kwestyę z drogi i rusza do swojego celu. Tak, dobrodzieju mój!

— Cóż wuj tedy robi z tolerancją cudzych przekonań?

— Ale nie zawracaj mi głowy tą swoją tolerancją! Mam ją w pięcie. Nikt nie nie toleruje oprócz swoich własnych przekonań. Jakbym zaczął tolerować, a mizdrzyć się do przeciwników, nicby ze mnie wkrótce nie pozostało.

— To wuj chce stosować system biurokracyi, system przemocy?

— Ale gdzie znowu! Nie przemocą — wymową, przekonaniem, promieniowaniem...

— To wolno. Tylko ja byłbym zdania, że między pokrewnymi szczepami na jednej ziemi najprzód należy pracować nad zbliżeniem się, a potem nad porozumieniem z wzajemnymi ustępstwami. Najgorsza rzecz — walczyć, nie znając się.

— Poznać ich nie zaszkodzi, ale to chyba na jutro? Dziś już za późno.

— Jutro zapoznam wuja, z kim zechce, z Miłaknisem, z Ciecierowiczem...

— Doskonale. — — — A dzisiaj cóż? pić będziemy herbatę? Nie lubię wogóle tej trawy, a już w podróży mam do niej szczególniejszą awersję.

— Niech wuj każe dać piwa.

— Piwa, powiadasz? Tak na noc? I w numerze hotelowym... nie w stylu, dobrodzieju

mój. Moznaby jeszcze dzisiaj kogoś zobaczyć. Czy Fedkowicz jest w mieście?

— Jest — i dzisiaj go widziałem. Ale wieczorami przepada u jakiejś tam damy.

— U Masi — wiem. Assernhof mi opowiedział. — — A Pasterkowski jest?

— Musi być. Co nam po nim?

— Miał mi o czemś potrzebnem dowiedzieć się. No i zawsze jakaś kompania...

Kazimierz teraz rozśmiał się na dobre:

— Birbant z wuja! Nie wiedziałem nawet, że taki jeszcze... Ledwie powrócił z podróży, jużby do nowej kompanii.

Budzisz gładził ręką czuprynę i tłómaczył się pocziwie, utraciwszy całą swą powagę wobec siostrzeńca.

— Birbant — nie. Ale lubię, przyznam się, ruch, miganie ludzi przed oczyma. Oddawna przywykłem być w tłumie, od paru lat — i ponad tłumem. I nawet gdy nie chodzi o jakieś działanie, lubię — wiesz? — taki naokoło gwar, brzęk. —

— To chodźmy do jakiej knajpy — rzekł Kazimierz. — Jeszcze otwarte.

— Chodźmy — odrzekł Budzisz rażnem echem. — Mam ci do opowiedzenia powtórna moją wizytę w Wiszunach i jeszcze parę potrzebnych rzeczy, które powiedziałem w Rarogach na wyjeźdne. Chodźmy.

— Ale dokąd? Do Żorża, czy do Europy?

Może do Klubu szlacheckiego, tam napewno znajdziemy znajomych.

— Jest tu jakiś ogród Szumana — zaproponował Budzisz nieśmiało.

— To tingel, kabaret. Chce wuj tam pójść? Mnie wszystko jedno.

Gdy się tak namyślali nad wyborem lokalu, służący oddał Rokszyckiemu list, który on schwycił pośpiesznie. Ale list był, niestety, z miasta.

— Od kogo to?

— Nie wiem, panie. Po południu oddany.

List był na kolorowym papierze, mocno zaperfumowany. Kazimierz zmarszczył się, czytając, spojrzął na podpis, znowu zaczął czytać i uśmiechać się nieco pogardliwie.

— To akurat dla wuja na dzisiaj.

— Dla mnie? Pokaż!

— Pisz po niemiecku jakaś »Mitzi«, że mnie kocha...

— Więc cóż tu dla mnie?

— Odstępuję wujowi całą tę awanturę.

— No, tak się mówi... A jak ta Mitzi wygląda?

— Nie wiem. Pierwszy raz o niej słyszę.

— Więc o czym tu gadać? — rzekł pan Apolinary z pewnym rozdrażnieniem. — Nie wiesz, kto, gdzie, to i ja nie wiem.

— Owszem, wiem *gdzie*. Pisz, że będzie

u Szumana o godzinie jedenastej, a poznać się da przez dwie żółte róże przy staniu.

Pan Apolinary spojrzął na zegarek:

— Już dawno po północy.

— Phi... pewno tam jeszcze siedzi.

— To... możnaby zobaczyć — odezwał się Apolinary niestanowczo.

— Niech wuj idzie zobaczyć.

— Jakto? sam? Tu już cię nie poznaję, Kaziu. Takim znowu niewiniątkiem nie jesteś — wiem to dokumentnie. Jeżeli chcesz mnie wystawiać na śmieszność, żebym sam szedł na daną tobie schadzkę, to pał dyabli twoją ofertę!

Kazimierz znalazł się w tej rozterce z samym sobą, w którą tak często popada młody mężczyzna. Myśl o kolacyi i tym podobnych rozrywkach z ową Mitzi klóciła się w nim z uczuciami wyższymi i drogiemi. Ale uciekanie się od tych uciech, stwierdzenie publiczne wstrzemięźliwości lub ukrytego sentymentalizmu wydało mu się postępowaniem dziecinnym i śmiesznym. W tych wypadkach mężczyzna dobywa z kieszeni stary i podejrany argument: tamte uczucia są święte, a to... to jest nic — poprostu szklanka wina, z tamtymi niema nic wspólnego. I gnuśnie ulega pospolitości.

— Jeżeli wuj chce, chodźmy.

— To rozumiem. A gdyby przyszło do ja-

kiej dłuższej rozmowy, kolacyjki, coś tego, wtedy już — męska solidarność: Tekli o tem ani dudu, Kaziu, a ja też oczywiście o tobie — nikomu.

Szli przez ulicę, Budzisz gracko, z głową zadartą, wywijając laską; Rokszycki bez efektu, iakby wstydliwie.

U Szumana przy rozrzuconych po sali stolikach i w tak zwanych łóżach było pełno ludzi, a między nimi i paru znajomych, na szczęście nie Pasterkowski, któryby się przyczepił nieodłącznie. Znajomi Litwini, delikatniejsi, ograniczyli się na ukłonach zdaleka. Jednak Kazimierz nierad był z obecności Fedkowicza, który od swego dość licznego towarzystwa wyrwał się przyjaznymi spojrzeniami ku wchodzącym koroniarzom.

Apolinary i Kazimierz, usiadłszy przy osobnym stole, mało zwracali uwagi na jakieś popisy akrobatyczne, odbywające się na scenie, ale czynili przegląd kobiet, których sporo było na sali. Wkrótce zauważyli dwie umówione róże przy staniku jednej z najlepiej ubranych. Siedziała z towarzyszką, cała w białych piórach, teatralna, ale estetyczna, i niedwuznacznie dawała znać spojrzeniami i uśmiechami Rokszyckiemu, że przyszła tu dla niego. Wielka, modnie piękna, zajmowała się bezustanku swą toaletą: dotykała pukli włosów, misternie ułożonych, igrała z węzłem piór stru-

sich, rozkładając go rozmaicie około szyi i na ramionach, przeglądała się w ręcznym lusterku. Niby biały paw, roztaczający swą świetność z uroczystą powagą.

— Tutaj niepodobieństwo przysiąść się do niej — rzekł Kazimierz. — Siedzi jak na wystawie.

— Niepodobieństwo — powtórzył żałośnie pan Apolinary.

Zrozumiała to i owa pani. Po kwadransie niemych umizgów powstała i wolnym, pociągającym za sobą pochodem skierowała się ku gabinetom restauracyjnym.

— Mądra osoba — rzekł Budzisz.

— Niewątpliwie mądra — odpowiedział Kazimierz. — A my, czy będziemy mądry pozostając tutaj, czy...

Pan Apolinary już powstał i wyrwał się w stronę gabinetów. W tej chwili Fedkowicz tam podążył i od drzwi kiwał znacząco na Budzisz i Rokszyckiego. Męska solidarność i tężyzna zgromadziła wkrótce trzech znajomych w korytarzu między gabinetami, gdzie zastano Mitzi, zapytującą oberkelnera, czy wolny wielki numer drugi. Fedkowicz przywitał się z nią, jak dobry znajomy, potem zwrócił się do pana Apolinarego, któremu oczy świeciły niepohamowaną ciekawością:

— Chcesz pan, zdaje się, poznać naszą

gościnną primadonnę. Nic, łatwiejszego, panie laskawy.

Rzeczywiście prezentacya, przejście do wielkiego gabinetu, usadowienie się w nim dwóch dam i trzech mężczyzn — poszły szybko i gładko, jak z góry ukartowana zmowa.

Panna Mitzi, w wybornem porozumieniu z oberkelnerem, zamówiła dla siebie kuropatwę duszoną w winie, okazując sposób jej przyprawiania białymi palcami, zbyt obciążonymi seryą jaskrawych pierścionków. Jej towarzyszka Klärchen, Niemka z Rygi, mniej pokaźna i mniej wymagająca, oświadczyła, że, cokolwiek jej dadzą, będzie jadła; zapytywana gościnnie przez pana Apolinarego, zdecydowała się na wołowinę. Pan Apolinary kazał podać dwie butelki szampana.

— *Fon welchem Lande zy zynd Frojlain?* — zapytał Budzisz.

Panna Mitzi odpowiedziała, że jest Wiedeńką, że mówi po francusku, że rozumie i po polsku, że zna różnych polskich hrabiów, którzy są prawdziwymi gentlemanami i »*fesche Kerl's*«. Mówiła swobodnie, poczuwając się do obowiązku czarowania ciągle swą osobą, co jej zresztą łatwo przychodziło, gdyż była pięknie rozrośniętym okazem południowo-germańskiej samicy. Banalność zaś konwersacyi

jest niezbędna w gabinecie — inne rozmowy dźwięczą tu fałszywie.

.....

O godzinie czwartej po północy znajdowały się w gabinecie już tylko cztery głowy, dwie męskie i dwie kobiece, zbliżone do siebie i rozprawiające babilońsko wielojęzyczną gwarą. Rokszycki uciekł chyłkiem, ku niezadowolenu Mitzi, która straciła wiele spojrzeń i zabiegów dla okazania mu swej skłonności. Ale, widząc, że Budzisz każe podawać, co tylko komu przyjdzie do głowy, że przytem, chociaż starszy, jest żywiołowo wesoły i zabawny, zwróciła do niego wszystkie swe atencye, gdyż Fedkowicza znała już, jako osobę szanowaną w mieście i u Szumana, ale nie posiadającą wartości bezpośredniej.

Panu Apolinaremu świat się wydawał coraz młodszym i pan Litawor dowcipniejszym, a już Mitzi — zjawiskiem rzeczywiście olśniewającym.

— I to w Wilnie, panie Litaworzel no, no! dobrze się tu bawicie.

— A cóż, jak pan widzisz, panie Apolinary.

— I śpiewa, mówisz pan? — — — *Singen Sie etwas, liebes Fräulein!*

Mitzi zaśpiewała, jak słowik.

— Nie widziałeś pan jeszcze, jak ona tańczy. Osobliwość.

Mitzi naszkicowała taniec solowy — niczem Isadora Duncan.

Przyszędł wreszcie czas opuszczenia restauracji prawie pustej. Kelnerzy spali, siedząc, na korytarzach. Pan Apolinary sprowadził powóz dla pań, które prosiły, aby je panowie odwieźli do bram ich domów. Ale Fedkowicz nie zgadzał się bezwarunkowo wsiąść do powozu i zwierzył się na ucho Budziszowi, że, gdyby go kto zobaczył, mógłby się narazić na gniew swojej Masi.

— A cóż ja dopiero, Litaworze dobrodzieju? Przecie żonaty jestem.

— No, żona daleko. Dobranoc — dobranoc...

Pan Apolinary, nieustraszony w żadnym przedsięwzięciu, wsunął się szybko do powozu, cudnie zaperfumowanego we wnętrzu.

.....

Kazimierz, wymknąwszy się już dawno z gabinetu, powracał pieszo do hotelu. Skoro tylko opuścił dym i gwar, poczuł nie tylko świeżość dnia, ale i radosną świeżość duszy. Szedł wolno wzdłuż parkanu ogrodu, zwanego »Cieletnikiem«, przy placu Katedralnym i, napotkawszy ławkę, usiadł.

Wino, szumiące mu w głowie, wzburzona młoda krew dziwne mu do mózgu sprowadzały jasnovidzenia. Ani pamiętał już kolacyi w garkuchni, ani bachicznej kompanii. Podniecone siły młodości rwały się gdzieś szlakiem pogodnego nieba, daleko stąd, w przestrzeń i w przyszłość. Ogarnął go rzewny i twórczy optymizm, moc ukochania rzeczy wielkich poprzez lichotę rzeczy otaczających. Kojarzyły się w nim same chwile szczytne jego istnienia, nikły pospolite; z mgły wspomnień dzieciennych wstawały, niby zapachami, jakieś pamiętki marzeń heroiczných; brzmiały mu w uszach młodzieńcze, wezbrane zapamię, pieśni uniwersyteckie; wszystkie pragnienia czynu i podboju przychodziły mu na pamięć, naznaczone na szarem pasmie dni ognistym śladem wyróżniającym. Ślad ten prowadził do jednego wspomnienia jasnego, które trwało niemal przed oczyma przytomne.

Była to piąta noc od owej, gdy wyjeżdżał z Rarogów — i ta sama godzina. Poczłł ten sam dreszcz niedospania i zapach zaledwie budzącego się dnia. Ujrzał Krystynę u podjazdu, oświetloną czerwieniejącymi od domu rzutami światła, prostą, odważną. Przebieglł skróconem błyskawicznie wspomnieniem, jak snem, tę drogę do stacyi, raz tylko w życiu widzianą, ale jasno pamiętną — od czarnych kłębow parku, w którym Ona pozostała przez

rosnące w barwy pola i lasy, aż do wschodu słońca nad jeziorami.

— Kochany kraj! — szepnął Kazimierz. — tu moja droga i życie...

Nad miastem odradzał się nowy dzień siny, piętrzył się coraz wyraźniej kapryśny porost domów na wzgórzach, aż do wyniosłych strażnic uniwersytetu i góry Zamkowej. Przez ciszę, czekającą na wybuch dnia, zadźwięczą rogi bojowe litewskie z zamku, czy popłynie z murów uniwersyteckich promienista pieśń Filaretów?... Słuchają kamienne Jagiellony wzdłuż portyku katedry, na placu, gdzie duma Kazimierz.

Świątynia odwraca do niego dłuższy wymiar swego wielkiego czworoboku, który stoi tu, choć w zmienionym kształcie, od czasu jak Litwa Litwą, przykrywa swą arką przymierza zagasy pod chrześcijańskim ołtarzem ofiarniczy kamień Perkuna. Pod portykiem dawni dziedzice tej ziemi stoją nieśmiało, zagnani w mur, patrzą na wyrastające w pobliżu obce widma i śnią kamiennie, oczekując losu...

Obudzić to miasto, ten kraj! Odwołać ludzi od niepłodnych waśni, wskazać im wspólne cele i niebezpieczeństwa! Kazimierz poczuł w sobie wyraźne powołanie. W porywie ranka i młodości wszystkie pragnienia jego zły się w jeden plan, dopełniając się i wspierając.

Przeznaczonem zdało mu się zamieszkać tu, wojować tu dla obrony swych upragnień, a ten nakaz miał dźwięk głosu Krystyny... Krew go ciągnęła tam, gdzie rozum cel wskazywał. Błogosławione są chwile w życiu, kiedy obowiązek zlewa się w jeden cel z pokusą serdeczną.

Już ludzie poranni zaczęli snuć się po placu, ozwały się z miasta turkoty kół ciąglejsze, od ogrodu dochodziła wrzaskliwa narada wróbli nad planem dnia nowego. A z murów wyższe zagadały dzwony.

XV.

Rokszycki zbudzony został nieprzyjemnie przez niepokojące wiadomości o wuju. Ubrał się pośpiecźnie i wszedł do pokoju, gdzie zastał Budziszę mocno chorego. Bredził w gorączce jakieś kazanie o stosunkach polskolitewskich, przemawiał zaś i po polsku, i po niemiecku, wymieniając imię Mitzi. Srodze był czerwony na twarzy, nie poznał wchodzącego Kazimierza, a w przystępach przytomności skarżył się na ból oczu i lewej ręki.

Nie brakło już Rokszyckiemu znajomych między lekarzami, których napotkał odrazu i w Wilnie, jak u nas zwykle, w pierwszych szeregach czynnej inteligencji. Pośpieszył wezwać doktora Bernardowicza, cenionego zarówno dla swych zawodowych, jak obywatelskich i towarzyskich zalet.

Twarzą swą fałdzistą, przeżuwającą mądrość medyczną, wyrażał Bernardowicz natężoną troskę o tryumf nauki i o dobro pacjenta, ale twarz ta umiała również uśmie-

chać się do ludzi serdecznie i zasadniczo przyjaźnie. Słyszał też pan konsyliarz ze swych *lapsus linguae*, przychodzących z tak doskonałą bezwiednością, że w Wilnie już nikt się nie dziwił, gdy kochany doktor mówił: »święty Franciszek z anyżu« zamiast: z Assyżu.

Przepisy i sposoby, użyte przez lekarza dla ratowania pana Apolinarego, nie należą do literatury; historia tylko nakazuje powiedzieć, że chory poczuł natychmiastową ulgę i zasnął. Więc Bernardowicz przeszedł do pokoju Rokszyckiego i gawędził:

— Wie pan, że wuj pański powinien trochę, tak — tak, wie pan, w swoim wieku, skłaniać się do Eleuzynii.

— Eleuteryi — chce doktor powiedzieć?

— Ach, przepraszam, do Eleuteryi.

— Czyli po polsku: nie powinien pić w nocy, ani zbyt się podniecać?

— Grozi mu to pęknięciem aorty — nie pomylił się tym razem Bernardowicz.

Rokszycki, który dla prawidłowości dyagnozy musiał wyznać lekarzowi grzechy wuja z poprzedniego wieczoru i swój w nich, choć niechętny współudział, czuł się trochę skonfundowanym.

— Nie ma doktor pojęcia, jak trudno powstrzymać pana Budziszę, gdy go poniesie temperament.

— Tak, to już znane poniekąd, wie pan — ja prenumeruję kilka gazet warszawskich.

— Więc właśnie — ciągnął Kazimierz — ponieważ wuj jest dość znany, ma swych stronników, ale i nieprzyjaciół, mogłaby powstać szkodliwa anegdota z tej kolacyi.

— My i na to mamy, wie pan, takie niewinne *antidotum*. Przyczyną zasłabnięcia pana Budzisa była nadmierna praca mózgu.

— Tak — przystępował do spisku Kazimierz — praca polityczna, złe wiadomości, depesza — coś takiego. Kolacya i t. d. to szczegóły do pominięcia.

— Pewnie, pewnie — śmiał się Bernardo-wicz — mózg wuja pańskiego jest szczegółem do pominięcia.

— Mózg? Chyba kolacya?

— Co ja gadam! oczywiście tego... kolacya. Przepraszam pana, panie Rokszycki.

Śmiano się serdecznie, zwłaszcza, że chory spał dalej spokojnie.

— Licho nadało ten wypadek! — odezwał się znowu Kazimierz — miałem właśnie wuja zaprowadzić do Litwinów ludowców, a tu masz!

— Jako lekarz, wie pan, tego — nie raziłbym. Mogłby pan Budzis dostać ponownego ataku, że tak powiem, apopleksyi.

— Ej, znowu, panie doktorze, wuj w dyskusyi politycznej jest wytrzymały.

— Zawsze, przy obecnem zaburzeniu, zalecałbym wstrzemięźliwość w stosunku do młodej Litwinki... to jest raczej tego, wie pan... do młodej Litwy.

— To już chyba sam się do nich wybiorę, bom nawet zapowiedział.

— O to, to, wie pan, najlepiej będzie. Z nimi temperament polemiczny na nic i na argumentach nie bardzo się znają. Najlepiej, wie pan, serdecznie. To dobrzy ludzie, chyba że który już tam tego, że tak powiem... kapłan Perkuna.

W kilka godzin później Rokszycki szedł w kierunku do Śnipiszek przez dzielnicę miasta, zupełnie zaniedbaną pod względem planu i porządku. Mijał dworki wiejskiego typu i proste chałupy, zaledwie ustawione w krzywe linie ulic. Przy zakrętach tylko, gdy przebywało górne miasto malowniczymi grupami murów, przypominał Kazimierz, że nie opuścił stolicy Giedyminowej. Przeszedłszy Zielony most na Wili, dotarł do ulicy i domu, których szukał na Śnipiszkach. Właściwie tylko parkan od ulicy oznaczony był numerem posesyi, rozpadającej się na kilka zakłębłych w ziemię dworków, dokoła wielkiego, zmarnowanego podwórza. Nielatwo dopytał się Rokszycki, gdzie tu mieszka pan Miłaknis, gdyż o stróżu nie było tam slychu, a osada spała w słońcu snem głębokim. Musiał za-

dzwonić do jakiegoś mieszkania na chybi trafi, tam mu dopiero wskazano inne, w przeciwnym dworku, które zajmował Miłaknis.

W pokoju pustym, wśród nagich, bielonych ścian, stał tylko prosty stół i dwa krzesła. Z drugiego pokoju przez drzwi uchylone widać było łóżko, pływające w podobnej pierwotności urządzenia. Pan Miłaknis mieszkał tu, widać, jak ptak na gałęzi. Ukazał się niebawem, dość rosły, w czarnym, długim surducie, w koszuli bez kołnierza i krawata, ze zwichrzoną płową czupryną. Patrzył z godnością i zarazem nieufnie na dobrze ubranego, pogodnie uśmiechniętego Kazimierza i po niemiem przywitaniu oparł się oburącz o stół, czekając na odezwanie się gościa.

— Czy pan ma kwadrans czasu na rozmowę o ruchu litewskim? — zapytał Rokszyci bez wszelkich wstępów.

— Proszę — odpowiedział Miłaknis, wskazując jedno krzesło i siadając na drugim.

Ci dwaj ludzie mniej więcej równego wieku, mierzący się wzrokiem przez szerokość stołu, w pustym pokoju, wyglądali, jak skryształizowane w próżni okazy dwóch kultur i dwóch szczepów. Znowu rozpoczęła Rokszyci:

— Mam zamiar częstego bywania na Litwie, zwłaszcza w okolicach największej uprawy lnu, a zarazem najgęstszej osiadłości ludu

czysto litewskiego. Pragnąłbym jasno zrozumieć, czego ten lud chce dla siebie i jaki jest program jego przewodców w stosunku do współobywateli polskiego pochodzenia. Odsyłano mnie już kilkakrotnie po te informacje do pana.

Miłaknis słuchał z natężoną uwagą:

— Proszę, kiedy łaska, mówić powoli. Ja znam język polski, ale nie przychodzi się często używać.

— Wydało mi się — zaczął mówić Rokszyci powoli i wyraźnie — że spór o język jest główną treścią nieporozumienia, wynikającego obecnie między współobywatelami na Litwie?

— Jest spór i o język, jest i inny powód rozdzielenia. Polska agitacja stworzyła tu klasę przeciwną interesom ludu.

— Tego ja nie rozumiem. Co pan nazywa polską agitacją?

— Toż wiadomo: Polacy wynarodowiali nas od kilku wieków. Udało im się ze szlachtą, ale lud nasz pozostał wierny Litwie. Teraz na całym świecie rozpocznie się panowanie ludu, a Polacy i opolaczona Litwa stoją przy starych formach.

— Więc, według pana, działania Polaków na Litwie są wsteczne i niezgodne z duchem czasu?

— Koniecznie. My tu innych Polaków nie

znamy. Jest kilku dobrohcących, ale cóż znaczy kilku?

Rokszycki pominął ten ogólnik, chciał bowiem dogadać się.

— Panie Miłaknis! Jest pan literatem i publicystą. Ja, choć nim nie jestem, skończyłem uniwersytet i śledzę bieg spraw publicznych. Stać nas obu na to, abyśmy się spotkali na gruncie obiektywnym, naukowym i wymienili zdania. Spierać się z panem nie pragnę, tylko zrozumieć, co pan nazywa wynaradawianiem, albo agitacją polską? Nie mówi pan przecie chyba o polskiej kulturze, szczepionej tu od wieków bez wszelkiej przemocy, za wspólną zgodą obu narodowości, o kulturze, która Litwę taką, jaka dziś jest, poprostu stworzyła. To nie narzucona niewola, to wasz własny dorobek, najpiękniejszy w dziejach przykład dobrowolnego przyjęcia chrztu cywilizacyjnego od sprzymierzonych sąsiadów. To zaśczyt i rozum Litwy; przyczyna, dla której ona była nam zawsze taką drogą, a my jej. Rozluźnianie tych węzłów wypróbowanych i niezawodnych byłoby zabójstwem dla obu narodów, a przedewszystkiem dla Litwy.

— Może tak było dawniej, panie Rokszycki, ale teraz inaczej: lud chce żyć swoim życiem i nie pyta o historię. Zresztą historię czyta każdy, jak jemu przyjemnie.

— Żeby czytał historię z najgorszym uprze-

dzeniem, nie wynajdzie w naszych wspólnych dziejach ani jednej waśni plemiennej, ani jednej wskazówki, że zobowiązania nasze były zgubne dla rozwoju jednego z dwóch narodów.

Miłaknis patetycznym, niemal pogardliwym giestem odciął się od współnictwa z historią:

— Zaczyna się dzisiaj nowa historia. Dawną robiła szlachta, nową zrobi lud — i każdy na swój ład.

— A czy pan ludowi chce odbierać jego siły i środki kulturalne, prowadząc go do świetniejszej przyszłości?

— Dlaczego odbierać? Wzmocnić trzeba siły ludu.

— A jednak, o ile rozumiem, chce go pan pozbawić najpotężniejszych jego wiekowych dorobków: polskiego przymierza i polskiego języka. Przecie każdy z was, który tylko przekracza pierwszy szczebel rozwoju ekonomicznego i kulturalnego, chwytą się polszczyzny, jako doskonalszego i swojskiego narzędzia.

— Kto chce, ten i chwytą — wtrącił niechętnie Miłaknis.

— A tak! tuśmy stanęli na gruncie realnym: kto chce. Trzeba zapytać ludu i wszystkich mieszkańców Litwy, czego chcą. Ale zapytać nie podstępnie, nie wmawiać nic, lecz objaśnić bezstronnie i zapytać.

— My nie potrzebujemy pytać — rzekł Miłaknis ponuro — my sami z ludu i wiemy, czego lud chce. A jeżeli nie chce jeszcze dzisiaj, to potrafimy go uświadomić bez obcej pomocy.

— To jest właśnie agitacja, przeciwko której pan powstawał, tylko agitacja przeciwna, na korzyść litewskości.

— Osobliwe pojęcie: agitacja litewska w Litwie!

— Więc ją nazwijmy inaczej, agitacją antypolską, mojem zdaniem, nie uprawnioną i nie patriotyczną. Jest to obalanie pożytecznych gmachów krajowych dla rozszerzenia widoku chałupom.

— Widzi pan: zawsze u was, co polskie, to pałac, a co litewskie, to chałupa.

— Bo tak tu jest, panie Miłaknis! Cóż ja na to poradzę?

— To pan nie przeszkadzaj budowaniu litewskich pałaców.

— Nie tylko nie przeszkadzam, ale popierałbym rozwój kultury czysto-litewskiej, gdybym mieszkał w tym kraju. Tylko bez uszczerbku dla polskiej. Obie są tu równouprawnione, obie u siebie. Która przemoże, ta będzie panowała w przyszłości z nieprzymuszonej woli mieszkańców Litwy.

— Tak nie można... — mruknął Miłaknis, ściskając czoło w uparte zmarszczki.

Zastygł z tym wyrazem twarzy i zamilkł, wpatrując się w Rokszyckiego, jakby chciał wynaleźć przyczepkę do tego groźnego przeciwnika. Znalazł nareszcie:

— A mnie można zapytać u pana, dlaczego Polacy z nad Wisły dyktują nam wciąż, iak my powinni rozwijać się u siebie?

— Dyktować nawetby nie mogli, gdyby chcieli; ale że radzą, to przecie naturalne. Jesteśmy tak ściśle spokrewnieni przez historię, politykę, nawet rasę...

— A toż skąd? przecie my nawet nie Słowianie.

— I o tem dałoby się dużo powiedzieć. Odwieczne mieszanie się obu ras, niegdyś przez niewolnictwo podczas wojen, potem przez ciągłą dobrowolną emigrację, sprawiło, że jesteśmy bardzo zbliżeni do siebie rasą i obyczajem. A zresztą, rasa przedhistoryczna nie stanowi wcale o konieczności łączenia się narodów; zadawniona sympatya, pokrewieństwa dążeń są spójnią dużo silniejszą. Dlaczegoż, na przykład, Litwini nie połączyli się nigdy z Łotyszami kurlandzkimi, pomimo pokrewieństwa szczepów?

— No, tu już i religia inna...

— Od szesnastego wieku. Ale był czas i przedtem. Litwini mieli do wyboru najprzód przymierze, potem wyznanie chrześcijańskie. Dlaczegoż przyjęli jedno i drugie od Pola-

ków, nie zaś od innych sąsiadów? Unia nasza okazała się już koniecznością instynktową i dziejową.

— Tak sobie wyrozumowała przed wiekami szlachta, teraz nasz lud myśli inaczej: chce być sobą — powtórzył uparty Litwin.

— Skoro chce, my mu nie przeszkodzimy. Ale przeszkodzą inni, panie Miłaknis. Za mało was takich, którzy chcą być sobą. Nie pozostaniecie w spokoju na karcie geograficznej.

— Ot, zobaczymy.

— My nie zobaczymy, lecz zobaczą nasze prawniki. Od tego właśnie jest historia, żeby z niej brać przykłady pracy na przyszłość.

Zamilkli na chwilę, przebiegli przez ciemne kurytarze myśli, niepewne, aż znowu powrócili na światło. Odezwał się Miłaknis:

— Ludy się budzą. Ludy dadzą jedne drugim żyć obok siebie.

— Czy pan sądzi, że ludy przyszłości będą zupełnie odmienne od dzisiejszych rządów?

— Niewątpliwie.

— Ale gdyby zawiodła ta nadzieja, gdyby rządy były odmienne, lecz narody równie żarłoczne, co się stanie z plemionami małymi i odosobnionymi?

— Ja wierzę w tryumf sprawiedliwości.

— Niech pan ją stosuje i do dnia dzisiej-

szego; lepszych przyjaciół, niż Polacy, nie mieli nigdy Litwini.

— Jaż nie jestem w zasadzie nieprzyjacielem Polaków. Ot, z panem doszlibyśmy może do zgody, ale są tu, chociażby w Wilnie, tacy, że nie daj Boże!

Rokszycki nie chciał się wdawać w krytykę osobistości, ani grup politycznych polskich. Inaczej więc skierował rozmowę:

— A czy panowie w swym obozie litewskim jesteście zupełnie jednomyślni?

— I u nas są tacy, którzy psują sprawę ludu.

— Wasi księża nacjonalisci?

— A już oni — otrząsnął się Miłaknis pogardliwie. — Mnie pan z nimi nie zobaczysz.

— Tak — odrzekł Kazimierz, mierząc i licząc wyrazy — ci ściągnęli na siebie narzekania. Nie zawsze okazali się poprawnymi obywatelami kraju. Ale zdziwiła mnie i w innych, świeckich, obojętność, jeżeli nie wstręt do polszczyzny, a natomiast ugodowość z rządem.

— Cóż? rząd od czasu zniesienia zakazu druków litewskich zostawia nas, Litwinów, w spokoju...

— Zdawało mi się jednak, że panu nie chodzi o utrzymanie istniejącego... spokoju?

Milankis pomyślał trochę nad odpowiedzią, poczem rzekł, błysnąwszy oczyma gorąco:

— To, czego my chcemy, prędzej pocznie się w Rosyi, niż nad Wisłą, a już z pewnością nie między Polakami u nas.

.

Kazimierz powracał przez Zielony most, Mostową, plac Katedralny i skierował się ku głównej Poczcie. Od chat i dworców przechodził do dzielnic miejskich okazałych. Spotkał wprawdzie po drodze parę szyldów litewskich, które mu przypomniały świeżą rozmowę. Ale ruch narodowo-litewski prawie tyle tylko zabierał tu miejsca pod słońcem, ile parę napisów na powodzi murów, gadających o innym życiu. Życie starego grodu podobne było do parku przyciętego, który zielenił się bujnemi odroślami na przekorę nowym ogrodnikom. Wielki trzon gmachu Uniwersytetu, rozległe portyki pałacu biskupiego ubierały przyległy plac w powagę historyczną, wymowną, pomimo koszarowego pokostu, pomimo tkwiącej na tym placu spiżowej apoteozy wrogiego niszczenia.

Kazimierz zaszedł na pocztę i zapytał, czy niema tam listu dla niego, gdyż w hotelu nic nie otrzymał z Rarogów. I tu nic nie było. Poszarzało mu Wilno pod wpływem wrażeń bieżącego dnia, zachmurzonego i na niebie,

i w perspektywach ideowych. Ale nie zwykł był poddawać się wpływom atmosfery, dorałdom nerwów; przeciwieństwa i opieszłości losu spotykały w nim dzielną gotowość do walki. Tyle jeszcze życia miał przed sobą... —

XVI.

Po paru jeszcze dniach pobytu w Wilnie Kazimierz postanowił niezwłocznie wyjechać do Warszawy; miał do tego kilka pobudek. Najprzód osobiste: listu od Krystyny nie otrzymał, musiała więc napisać pod drugi umówiony adres, do Warszawy. Wilno bardzo go zajęło i pociągało pod każdym względem, ale zajęcia jego praktyczne były już na ten raz ukończone, a inne, pilniejsze oczekiwały go w Królestwie. Do śpiesznego wyjazdu skłaniał go także prawdziwy kłopot z wujem.

Pan Apolinary wyzdrowiał wprawdzie odrazu, na drugi dzień, ale właśnie powrót do zdrowia przedstawiał teraz pewne niebezpieczeństwa. Jego miłość własna głośnego polityka została zawstydzona i parła go do działań gorączkowych. I wstyd może być pobudką zwrotów w polityce. Okoliczność, że zachorował po kolacyi, objaśnił już znajomym dostatecznie: gdy powrócił do domu, zastał za-

losne wieści z Warszawy o rozłamie w łonie swego stronnictwa. Serce mu się ścisza od klęsk publicznych. Przy komplikacyi zmęczenia podróżą i lekkiego podniecenia winem, serce ścisnęło się tym razem gwałtowniej, no i... mogło być źle, dobrodziejmo mój. Ale silna konstytucya i dobra krew wybawiły go. Innym powodem wzmożonego popędu do działań był dla Budzisz ten, że go Kazimierz wyprzedzał ciągle w poznawaniu Litwy i jej potrzeb. Gdziekolwiek ruszą się razem, czy w Wiszunach, czy w Rarogach, czy w Wilnie, Kazimierz sprząta mu z przed nosa to efekt oratorski, to pomysł, to znajomość pożyteczną. A przecie on, Budzisz, jest zawodowym działaczem, a Kazik czem? — najlepszym chłopcem, ale młodzieniaszkiem i kandydatem na przemysłowca. Obca była panu Apolinaremu zawiaść — i to jeszcze względem syna pana Jana — ale obawiał się, aby Kazimierz w sprawach publicznych nie pobłądził...

Taką samą obawę co do działań wuja zaczął mieć Rokszycki. Wuj bowiem od chwili wyzdrowienia miewał długie konszachty z Tytusem Pasterkowskim i z innymi, także z redakcyami dzienników. Ukazał się w jednym z nich krótki i lapidarny artykuł, podpisany »Bu«, o potrzebie stworzenia »związku obrony języka polskiego« w przeciwstawieniu do litewskiej »Sajunga«. Pan Apolinary przepadał

często bez oznajmienia Kazimierzowi, dokąd idzie. Wreszcie pożyczył od Kazimierza pieniądze i chodził z kwiatkiem, zatkniętym w klapę surduta.

Te wszystkie spostrzeżenia przyprowadziły Rokszyckiego do wniosku, że albo należy wywieźć ztąd wuja czem prędzej, albo, jeżeli się nie zgodzi, samemu wyjechać.

— Jutrzejszym kurjerem wyjeżdżam do Warszawy — oświadczył stanowczo. — Mam nadzieję, że wuj także, bo przecie tam muszą na niego czekać, skoro są ważne zawikłania w komitecie?

— Otóż to! rozedrzećby się trzeba na kawałki, żeby wszystkiemu podołać. I tu rozpocząłem niejedno...

— Jak wuj chce. Ja muszę wracać.

— Poczekaj... może tak za trzy dni, to byśmy się zabrali razem?

— Niepodobieństwo.

Pan Apolinary zamyślił się chwilę nad szerokim krajem, który go powołuje i tu, i tam... Potem rzekł, jak przez sen, niby odruchowo, nie patrząc Kazimierzowi w oczy:

— Możesz mi pożyczyć jeszcze sto rubli? Dam ci czek na Warszawę.

— Nie mam już, wuju. Zaledwie mi wystarczy na hotel i podróż.

Znowu zamyślił się pan Apolinary i odezwał się głosem rzewniejszym:

— Zostań do pojutra przynajmniej, to pojedziemy razem.

— Do pojutra — zgoda. Ale bez zawodu, wuju?

— *Verbun.*

Jakoż wagon, wychodzący z Wilna do Warszawy, na trzeci dzień po tej rozmowie mieścił w jednym ze swych przedziałów obu koroniarzy, obu tęsknie zapatrzonych przez okno na uciekające w dal piękne wzgórza wileńskie, na okolice faliste, rozrzucone zielonością, z przybłyskami bogatych siedzib pańskich i romantycznych dworków. Aż z nagłym łoskotem padł mrok na oczy podróżnych: tunel.

Po wynurzeniu się na światło rzekł pan Apolinary głosem proroczym:

— Wiele jest do uporządkowania w tym kraju. Potrzeba, abym tu powrócił.

Kazimierz nie odpowiedział, nasunął czapkę na oczy i zamknął je, lokując głowę energicznie w kącie wagonu.

— Cóż? spać będziesz? ledwieśmy wstali.

Rokszycki coś odmruknął, przechylił się znowu do okna i patrzył przez szybę, milcząc.

— Powrócę tu — rzekł znowu Budzisz — dla sprawdzenia, jak kielkują niektóre ziarna... No i wygłosić muszę mój odczyt; późniejszą jesienią więcej osób napłynie do Wilna. Jak myślisz?

— Zapewne — odpowiedział Kazimierz przez zęby.

— Jakoś mi wyglądasz zafrasowany, Kaziu? nie udało ci się coś w Wilnie?

— Nie miałem tam nic do wykonania na teraz. Nawiązałem różne stosunki z ludźmi; zobaczę, jak mi się udadzą.

— Nawiązałem i ja bardzo liczne — tylko, oczywiście z szerszym planem... Nie masz pojęcia, Kaziu, jakiej pasyi nabrać można do polityki! Uprawiasz jedno pole, drugie cię korci, że leży odłogiem, albo źle uprawne. Życia nie starczy! Co do sporu polsko-litewskiego mam już plan uśmierzenia. W ostatnich dniach poznałem cały prawie obóz nieprzyjacielski. Znasz ty braci X?

— Jednego z nich.

— A ja obu. A znasz adwokata Y?

— Wiem, ale nie znam.

— A księdza Z?

— Nie znam.

Budzisz zasypał Rokszyckiego litanią nazwisk działaczy litewskich, potem polskich, z najróżniejszych sfer i obozów.

— I tych wszystkich poznał wuj przez cztery dni ostatnie?

— Pomagano mi, zapraszano dla mnie, grupowano.

— Cóż wujowi po tylu znajomościach?

— Jakto co? Sam przecie mówiłeś, że naj-

gorzej walczyć, nie znając przeciwnika. Ja dodam: trzeba i swoje wojsko uformować, zanim się je rzuci do walki.

— Co też wuj ma za wojowniczą naturę? Wszędzie zaraz walka!

— Takim się już urodziłem, mój kochanku... albo stałem się takim z biegiem czasu.

Pan Apolinary uśmiechał się do postawy, którą przybrał. Wtem się zadziwił zdaniem Kazimierza:

— Lepiej pracować w swoim kierunku, niż zwalczać pracę cudzą, choćby nieprzyjemną. Konkurs pracy — to najwyższe zadanie.

Budzisz aż się zachłysnął:

— Skądże to takie wysokie poglądy?

— Mówię, co myślę.

— A jeżeli cudza praca jest wręcz przeciwna mojej?

— To ją przeprzeć siłą i wytrwałością, nie obelgami i krzykiem.

Budzisz ledwie się nie obraził; wołał jednak otulić się w powagę swego doświadczenia.

— Gdybyś chciał działać na Litwie, Kaziu, lepiej zawsze poradź się mnie, albo, w mojej nieobecności, choćby Pasterkowskiego.

— Pasterkowskiego — nie, w każdym razie. Zresztą ja nie mam zamiaru działać; może będę kiedyś tu pracował...

Pan Apolinary pośpieszył odrzucić rozmo-

wę teoretyczną, coraz cięższą z Kazimierzem, i przejść do spraw osobistych:

— Więc przewidujesz, że tu powrócisz? Może na stały pobyt? Namysliłeś się co do projektów, rozpoczętych w Wiszunach? W ostatnich dniach tak byłem rozerwany, żem nie poruszył z tobą tej ważnej kwestyi.

— Ach, o tem wcale nie myślałem — ziewnął Kazimierz.

Pan Apolinary wniósł z ziewnięcia, że chwila niestosowna, bo Kazimierz jest dzisiaj wyraźnie nadąsany. Chciał go jednak koniecznie rozruszać i rozweselić, gdyż nie po to przyspieszył swą podróż do Warszawy, aby mieć nudnego kompana.

— Zawsze jednak nasza pierwsza wycieczka na Litwę udała się. Poznało się dużo, tu i ówdzie wskazało się właściwy kierunek... A ile wrażeń rozmaitych! W każdym miejscu inne. *Summa summarum* bawiliśmy się doskonale.

Uśmiechał się przez chwilę do wspomnień, spojrzał parę razy to w okno, to na Kazimierza, aż sięgnął żywo do kieszeni surduta i dobył z niej kobiecą fotografię.

— Patrz — — —

— Ach to ta... Mitzi! W jakimże kostymie?

— Ofelii — rzekł pan Apolinary z namaszczeniem.

— Grywała i w teatrze?

— Grywała, ale ją wygryźli, bo za piękna. Intrygi koleżeńskie — rozumiesz?

Kazimierz uśmiechnął się weselej:

— To wuj ją widywał jeszcze?

— Musiałem... tak dla konsekwencyi. Nie mówiłem ci, bo z ciebie zrobił się już taki sensat... No, bardzo pięknie. Wiesz? przyjedzie za tydzień do Warszawy.

— Ależ, wuju! Gdyby się wykryło, że takie znajomości porobiliśmy w Wilnie?!

— Nie bój się; powraca przez Warszawę do Wiednia. Zresztą osoba dyskretna — wypróbowałem ją. My tylko o tem naturalnie — ani dudu!

— Na to liczyć można bardziej, niż na dyskrecyę panny Mitzi.

— Zobaczysz, nic się nie wykryje. Zresztą cóż? niewinny wypoczynek wśród działań poważnych — rzekł pan Apolinary, chowając starannie fotografię Mitzi między karty broszury politycznej, którą miał w kieszeni.

— Nie tylko o tym drobiazgu — mówił dalej uroczyście — wogóle o wynikach naszej wycieczki, o planach przyszłości nie byle komu należy opowiadać. Naucz się tego, Kaziu. —

Rozpostarł dłonie, jak dyrektor orkiestry, gdy nakazuje przyciszenie.

— O kierunkach, o prądach, o ludziach

mówić można, gdy się zdarzy sposobność. O szczegółach robót przeszłych i przyszłych — prawie nikomu. Chyba w wypadkach porozumienia się wodzów — ale to ci tymczasem niepotrzebne. Jeszcze z Chmarą powtórzyliśmy to sobie. Odslaniać całą swą robotę — dyabła warte.

Kazimierz zaostrzył spojrzenie jakimś dziwnym uśmiechem:

— Czy to są zasady... demokratyczne?

— Wszystko jedno: zasady działacza. Nie śmieję się, Kaziu — mówię ci rzeczy cenne.

— Bardzo wujowi dziękuję, ale ja nie widzę wcale, w jakiej okazji mógłbym użyć tych przepisów. Naturalnie, że wszystkiego każdemu powiedzieć nie można. Jednak w działaniach publicznych jawność i szczerłość bywa zbawienna, a często obowiązująca.

— Nie w naszych warunkach.

— To jest: wobec istniejącego biurokracyjnego rządu?

— Nie tylko. I rodaków trzeba prowadzić na pasku, często z zawiązanymi oczyma. Inaczej — rozkrzyczą się i rozleżą, dobrodziejku mój.

— To wuj zaleca spiskowanie na dwie strony?

— Nazwij to sobie, jak chcesz. Zobaczysz kiedyś, że innego sposobu niema.

Kazimierz wzruszył lekko ramionami i zno-

wu przerwał rozmowę. Pan Apolinary, zniechęcony próbami, uciekł się jeszcze do jednego pomysłu:

— Podobno jest w pociągu wagon restauracyjny?

— Jest; widziałem, wsiadając.

— To pójdźmy tam; jużbym coś przetrzącił; wagon pobudza apetyt.

To się udało. Nie tylko dostać było można w restauracji różnych napojów i przekąsek, ale na następnej stacji wsiadł do wagonu nie spodziewanie pan Wojciech Gzubski, człek przyjazny, otrząskany z polityką warszawską, świadek niejednego tryumfu pana Apolinarego, wielbiciel jego talentów.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał Gzubski radośnie — ja tu zabrnąłem w interesie do dzikiego kraju, aż proszę — takie spotkanie!

Zasiedli obaj odrazu do biesiady w zwykłym i przenośnym znaczeniu; do wódki i słodkiej gawędy.

— Skądże to, jeżeli wolno...? — zagadnął Gzubski.

— Powracam... ze Wschodu — zaczął tajemniczo pan Apolinary.

Kazimierz wymknął się do swego przedziału i zadumał się samotnie.

XVII.

Pięknie jeszcze było w okolicy Rarogów, chociaż poranki srebrzyły się już szronami, a pola pożęte zbladły nieco i zasnuły się opalową pajęczyną »babiego lata«. Opoдал od pałacu, ku lasom, po kraju, niby dla zabawy oka uprawionym tu i ówdzie, mozaika pól coraz częściej plamiła się wydłużonym prostokątem ciemno-rudej roli, świeżo zoranej, i można było schwytać na tym pracowitym uczynku szarego oracza, pełznącego, jak przemyślny robak, za konikiem bułanym, za sochą swą starożytnego, rzymskiego kroju. Pod cichem, jeszcze wesołem niebem działały się wysoko przeglądy wojsk skrzydlatych przed zamorską wyprawą: uszykowane w ostry grot, śmigały kaczki po linii prostej; ważyły się w powietrzu bociany powolną zawieruchą wielkich krzyżów.

Wioska rozdwojonym różańcem chat okrywała grzbiet wzgórza, przewita, jakby na święto, zielenią z czerwonymi gronami jarzę-

bin. Na podwórku, między największą we wsi chatą a kolumnowym świrnem stał powozik dworski wyprężony; konie w szorach, ale rozkielzane, wyciągały wybrednie słodkie główki koniczyny ze sporej więzi, ofiarowanej im na podmurowaniu świrna, między drewnianymi słupami, gdzie i woźnica, leniwie zapatrzony na piękną chatę, siedział, przegryzając poczęstunek chłopskiego bogacza, Jusupa Żukielisa.

Wybitny ten ziemianin zaprosił panią Krystynę, powracającą z lasu, na podwieczorek. Apetyt młodej pani, choć podniecony przechadzką, zbieraniem grzybów i owoców, nie starczył na wyczerpanie piastowskiej iście uczy, zastawionej na stole, dosuniętym do okna. Przy stole siedziała Krystyna i panna Zubowska, na ławie pod ścianą Jusupas Żukielis i leśnik Sidorkiewicz. Usługiwały żona i najmłodsza córka gospodarza.

Pomimo usiłowań Krystyny, aby ożywić rozmowę, biesiada była uroczysta i upływała przeważnie w milczeniu. Żukielis rozumiał zaledwie po polsku, a pani Krystyna nie mówiła płynnie po litewsku; przy rzadkiej wymianie zdań Sidorkiewicz, człek dworski, przychodził z pomocą, jako tłumacz. Gospodarz, bokiem do zastawionego stołu, siedział na ławie, oparty plecami o ścianę, a poważną, nieruchomą twarzą zwrócony ku izbie.

Od łysego szczytu czaszki spływały bezbarwne włosy symetrycznie dwoma strumieniami na kołnierz ciemnej, sztywnej kapoty. Nie jadł nic, popijał tylko czasem herbatę ze szklanki, postawionej na brzegu stołu, i przegryzał cukrem, jakby na znak, że bierze udział w uczcie: ale głównem jego zajęciem był patryarchalny, baczny przegląd, jak się odbywa porządek ugoszczenia.

Świetlica chaty, wymieciona wzorowo, była zupełnie przyjemnym pokojem. Obrazy święte pokrywały ściany, zegar bijący, skrzynie rzeźbione, ławy i krzesła miały swą treść estetyczną, a oszklona szafa, pełna malowanych farfurów, znechęlała do bliższego ich przejrzania etnografa i starożytnika. Żukielis nie zwracał uwagi na te urządzenia stałe, lecz na okazanie gościom, że chata im rada wspaniale. Więc jednocześnie prawie kobiety domowe postawiły na stole zupełną zabielańską boćwinę, pachnącą dymem wędzonki, i cały stos pieczonych kurcząt, i misę ogórków i plastr miodu, spływający wonną patoką na mosiężną misę. Stał na osobnym stole lśniący samowar wśród mnóstwa szklanych talerzyków, na których rozłożono konfitury z wisien, z malin, z ożyn, z czarnej porzeczki, z tataraku... Ukazywały się jeszcze sery tłuste, jedne zachowujące kształt spłaszczonego worka, inne lepione w gomółki; wędliny suche, streszczone

w smaku; dzban chlebowego kwasu... Nadciągały dostatki przerażające, gdyby ich wszystkich choć spróbować należało. Ale stary Żukiel nie przymuszał gości do jedzenia, nie zapraszał nawet. Tylko kiedy Krystyna dobierała czegoś na talerz, skłaniał wdzięcznie głowę i przymilał do niej siwe spojrzenie.

— Ot i pięknie...

Panna Zubowska fachowy uczyniła przegląd konfitur, próbując i chwając każdy gatunek. Sidorkiewicz jadł nieco wstydliwie, odsunawszy się w kąt izby, ustawivszy na ławie pełny talerz i kubek z kwasem. Żukielis podał mu całą misę wędliny.

— A mnie cóż? dziękuję wam, dosyć.

— Bierz dla dzieci.

— A kiedy już tak...

Przyjął »gościńca« i zawinął w chustę.

Pani Krystyna po spożyciu kurczęcia ze śmietaną i trzech ogórków z miodem, wstała żywo od stołu.

— Już nie mogę. Dziękuję wam serdecznie, sąsiedzie.

Powstał i Żukiel, skłonił się i poprosił panią, aby obejrzała sad.

Pod jabłoniami, już obranemi, albo jeszcze noszącymi na sobie ciemno-lakierowany, twardy, na zimę przeznaczony owoc, stało ze czterdzieści uli ramowych, w kształcie małych domków, malowanych każdy inną barwą.

— Jakby maleńka wioska! — zawołała Krystyna. — Dlaczego to każdy ul innego koloru?

— Żeby się pszczoły nie myliły, kiedy wracają do domu — objaśnił Żukielis.

I zapraszał do wnętrza sadu dla okazania wewnętrznych urządzeń uli. Ale Krystyna wolała pozostać na podwórku i patrzeć przez płot, jak Żukiel odchyłał daszki i okazywał ramy, pełne przezroczyściego złota, inne ciemniejsze, zamieszkałe już przez owady. Pszczoły krążyły czarną aureolą około głowy jego odkrytej.

— Nie boi się ukąszenia — rzekła Krystyna do Sidorkiewicza.

— Wiadomo, takiego czarownika żadna nie ukąsi!

Dobry czarownik zbliżył się do płotu, przy którym stała Krystyna, miał do niej dość długą przemowę po litewsku, a kończąc, skłonił się nisko, czyniąc widocznie jakąś zaszczytną, czy poddańczą propozycję. Ale Krystyna rozumiała tylko coś o pasiece, coś o szczęściu — i zwróciła się do Sidorkiewicza po tłumaczenie.

— To on grabinię chce przyjąć do »bitnikowstwa«¹⁾ pasieki, żeb' jemu szczęście przyniosłaśby.

¹⁾ »Bitnikowstwo« oznacza wspólnotwo pasieki. Bartnik kowieński przybiera często współnika, na

— Niby jak? co mam odpowiedzieć?

— A już tak, że trzeba przyjąć.

— Przecie z tej pasieki musi być duży dochód?

Sidorkiewicz objął osadę pszczelną zamysłonem spojrzeniem:

— Musi będzie rubli trzysta... A taki jemu bitnika na szczęście trzeba.

Krystyna przyjęła zatem, ale znowu zapytała zaufanego leśnika, czy nie wypada wywdzięczyć się jaką ofiarą pieniężną.

— Uchowaj Boże! Tożby jemu krzywda była. I nie dawaj, grabini, tutaj ani kopiejki, bo może gospodarz pogniewać się.

Po przeglądzie chaty i sadu okazał Żukielis wnętrze świrna, gdzie zgromadzony był zapas lnu z lat czterech w oczekiwaniu lepszej ceny. Len zajął Krystynę jeszcze żywiej, niż inne dostatki: brała w ręce szare pasma, porównyując, które włókno cieńsze, które lepiej czesane. Aż uśmiechnął się do niej Żukielis:

— Wiadomo, kobieca rzecz.

I jął wykladać o gatunkach płótna, wyrobionego w domu; odwinął rękaw kłopoty dla

szczęście, zakładając pasiekę. Inną formą bitnikowstwa jest rzekoma darowizna połowy istniejącej już pasieki osobie, którą chce się uczcić. Taka ofiara ogranicza się do dowolnego podatku z pasieki, oddanego »bitnikowi«.

pokazania, jak przedniego gatunku nosi koszule, przypomniał obrus, zasłany do podwieczorku, wytoczył ze świrna ogromne zwoje gotowego materiału, a za sadem wskazał kilka długich, wązkich pasów, rzuconych, jak chodniki na łące: tam wiatr białł płótno.

Pożegnano się nareszcie, oświadczając wzajemne uszanowanie i przyjaźń. Gdy wsiadły obie panie do powozu, Sidorkiewicz umieścił tam dwa koszyki z grzybami i orzechami, plon wycieczki do lasu, a Żukielis uparł się, żeby panie zabrały ogromny plastr miodu w misie, owiniętej płótnem, niby zadatek dla współniczki z pałacu. I Krystyna, obdarowana, wesoło rozrzewniona, oddalała się po ulicy wioski od pięknej chaty, od dobrych spojrzeń Żukiela i Sidorkiewicza.

Panna Zubowska rozwodziła się jeszcze podczas jazdy nad doznaną gościnnością, Krystyna zaś mało odpowiadała, gdyż zapadła jej do głowy myśl, której nie chciała tymczasem powierzyć starszej przyjaciółce, tak bardzo trwożliwej od pewnego czasu. Gdyby zaprosić pana Kazimierza Rokszyckiego do tej chaty Żukiela, gdzie len jest jakby w swej stolicy?... Za blisko od Rarogów — i gdzieżby on mieszkał? Gdzie on teraz przebywa i dlaczego jeden tylko list pisał przez te dwa tygodnie? Sidorkiewicz prawie codzień zdaje raport, że listu niema... Przegalopowawszy

wyobraźnią przez różne przypuszczenia i projekty, Krystyna odezwała się nagle i niecierpliwie:

— Wszystko jest niepodobieństwem na tej naszej Litwie.

— A toż co, Krysiu? I ty zaczniesz na Litwę narzekać?

— Źle powiedziałam. Trudno kobiecie być człowiekiem.

Panna Zubowska stuliła tylko ramiona, a Krystyna zapadła w dalsze rozmyślenia posępne.

Powóz zbliżał się do parku w Rarogach i wjechał na trakt, prowadzący do stacji kolei żelaznej. Krystyna odwróciła się całą osobą od parku, przeglądając pustą drogę w odwrotnym do jazdy kierunku.

— Stamtąd On musi powrócić, Karuś! i to wkrótce, natychmiast! Inaczej ta zaraza z Rarogów rozlezie się po całym kraju.

— Ależ przesadzasz, Krysiu!

— Nic nie rozumiesz, Karuś! — rzekła pani Krystyna i uprzejmie objęła towarzyszkę, ale oczy jej, utkwione w przebłyskujący pałac, pełne były gniewu i wyzwania.

Około pałacu znać było ruch świeżego przyjazdu: przechodził żołnierz bez broni z kuferkiem na plecach, widocznie »denszczyk«, przybrany do usług oficera.

— Przyjechał zapewne i jeszcze kogoś

z sobą przytaszczył — mruknęła Krystyna nie-
nawistnie.

Wszedłszy do domu przez boczne wejście,
dowiedziała się, że gospodarz powrócił z Pe-
tersburga ze swym krewnym, Kazimierzem
Chmarą, pułkownikiem.

— Niech się bawią we dwóch — rzekła
Krystyna i oświadczyła, że nie wyjdzie ze
swego pokoju.

Pułkownik Chmara nie pierwszy raz przy-
jeżdżał do Rarogów. Bratanek Eustachego,
krewny też z przekonani politycznych, w trzy-
dziestym piątym roku życia już komendero-
wał — i to ważnym — pułkiem. Zawdzięczał
wczesny awans swym stosunkom i zaletom
postaci, »szczęśliwie stworzonej«. W paradnej
formie mundurowej przypominał oficerów na-
poleońskich. Niejedno już osiągnął powodze-
nie żołnierskie i towarzyskie; przepadały za
nim podobno damy z wysokich sfer, ale Ka-
zimierz, syn Edwarda, nie był tylko rycerzem
salonowym, brał swój zawód na seryo i od-
znaczył się nawet w bitwie pod Mugdenem.
Pociągającym jego wdziękiem było i to, że
się nie ożenił w Rosyi, gdzie stale mieszkał.
Jako Litwin i katolik, myślał o gnieździe
w kraju rodzinnym po oddaniu młodości za-
wodowi wojskowemu.

Myślał o tem i Eustachy Chmara, upatru-
jąc w synowcu przyszły rozkwit nazwiska.

Jemu samemu bracia albo pomarli, albo się
nie udali. Póki żyje, trzyma twardo w garści
swój sztandar i szkatułę, ale potem?... Bóg
wszechmogący i niedoleżna żona pozbawili go
męskiego potomka.

Tego wieczora niepodobna było namówić
Krystynę, aby się ukazała w salonie. Oświad-
czyła, że ją zmęczyło grzybobranie i położyła
się do łóżka.

Nazajutrz rano, gdy tylko odsłoniła swe
okno, ujrzała jeźdźca w części parku, nie
przeznaczonej zwykle na konne harce. Śle-
dziła przez chwilę ruchy konia, dobrze opa-
nowane przez umiejętność zgrabnego jeźdźca.
Ale gdy się zbliżył, poznała pułkownika Chmarę,
przebranego po cywilnemu, i szybko cofnęła
się od okna. Po dobrej godzinie, gdy już da-
wno zniknął z jej oczu jeździec, otworzyła
okno i oparła się na parapecie. W tej chwili
pułkownik ukazał się z za węgła, z książką
w ręku, w postaci dystyngowanego turysty.
Niepodobna było z nim się nie przywitać.

Zasypał zaraz panią Krystynę propozy-
cjami:

— Przywiózł ja trębacza sławnego. Chcesz
kuzynka posłuchać — a?

— Za nic w świecie.

— A wierchem nie pojedziesz kuzynka—a?

— Nie jeżdżę już konno.

— *Un tour de parc au moins?*

I tego Krystyna odmówiła. Wtedy pułkownik spoważniał i mówił dalej po francusku:

— Pani mnie uparcie ma za obcego człowieka, a nie zgaduje nawet, jak bardzo sercem i umysłem jestem z tego kraju. *Ce n'est pas l'habit qui fait le moine.*

— Nie wygląda mi pan na Wallenroda.

— A pani czy takich oczekuje rycerzy?

— Nie oczekuję nikogo. Otworzyłam okno, żeby mieć przed sobą trochę wolnego powietrza.

— W takim razie ustępuję pani z słońca.

Ustąpił rzeczywiście, ze sztywnym ukłonem. Krystyna, choć dopięła swego, poczuła, że zbyt szorstko obeszła się z człowiekiem obojętnym, ale znajomym oddawna, który jej nic nie zawinił oprócz tego, że był oficerem. To też, gdy Eustachy Chmara odwiedził ją w godzinę później, pani Krystyna okazała się bardziej ugodową.

— Jakże zdrowie dzisiaj? — zapytał pan Eustachy z uśmiechem niedowierzającym, ale uprzejmym.

— Zdrowa jestem, przyjdę na drugie śniadanie.

— Zaraz uczyni się jaśniej w domu — odrzekł Chmara, lekko skłaniając głowę. — Ucieszy się i Kazimierz, który przyjechał głównie w celu odwiedzenia ciebie, droga pani Krystyno.

Krystyna unikała wszelkich rozrzewnień familijnych z Chmarami, a imię Kazimierz wydało się jej teraz parodią.

— Pułkownik przyszedł tu już do mojego okna. Nie lubię tego.

— Niewczesny pomysł — godził się Chmara. — On cały taki: szczerzy, odważny, żołnierski. A jednak ja jemu radzę porzucić karierę wojskową.

— Doprawdy? Po cóż ją zaczynał?

— Nie z mojej porady. Teraz on sam rozumie, że dla Polaka niema w tej karierze przyszłości. A jego przeszłość bardzo mi na sercu leży; chciałem nawet o tem pomówić z tobą, droga pani Krystyno.

— Ze mną?! Nie mogę tu mieć zdania.

— A ja sądziłem, że, wszedłszy do naszej rodziny, gdzie tak wdzięcznie cię przyjęliśmy, poczuwasz się do solidarności z nami. W każdym razie prosiłbym o zdanie twoje co do Kazimierza. Jak się zapatrujesz na osiedlenie jego u nas, choćby w Rarogach?

— Ja nie rządę w Rarogach.

— A mogłabyś, droga pani Krystyno — rzekł Chmara znacząco i z naciskiem.

— Nie potrafię i nie chcę — odpowiedziała szorstko — dość kłopotu z moją Ausrą.

— Słusznie to mówisz. Ale właśnie dałoby się ułożyć projekty, wszystko załatwiające. Kazimierz, mieszkając tymczasem w Peters-

burgu, mógłby pilnować tego interesu. Człowiek pewny i rozważny, zupełnie odmienny od innych żałośnie lekkomyślnych członków mojej rodziny. Za niego ręczę, jak za siebie. I skrzętny także: oszczędził już pewien fundusz.

Pani Krystyna, coraz jaśniej rozumiejąc projekt, coraz zimniej odpowiadała:

— Wcale nie życzyłabym sobie, aby pułkownik zajmował się moimi interesami. Mogłyby stąd powstać plotki, których nie chcę.

— Zależy to oczywiście od twojej woli.

— Pomówmy lepiej raz wyraźnie o moim stanie majątkowym. Czyż Auszra tak zadłużona, że nie mam już nic?

— Nie mówię tego. Ale tu potrzeba głowy i ciągłych starań. Ja dużo spraw mam na swych barkach, prawie że nad siły...

— Ach, i ja o tem myślę! — rzekła Krystyna gorzko i bez współczucia. — Chcę nawet ocenić swój las, aby się przekonać, czy się nie mogę ratować bez cudzej pomocy.

Chmara, dotknięty do żywego tym zamiarem, zamknął zupełnie oczy i przeżuwał niesmacznie, aż się odezwał:

— Mógłbym w tym projekcie dopatrzeć się cudzego wpływu.

— Może być.

— A nie wiem, czy pan Władysław Sołomerecki, gdyby żył...

— Za mojego ojca proszę nie przemawiać — przerwała Krystyna — ja tylko sama mogę przeczucić, czegooby on chciał. — A tutaj chodzi jedynie o sprawy pieniężne.

— Połączone wszelako z innymi względami natury etycznej.

— Wiem, mam obowiązki wdzięczności za opiekę nade mną.

Chmara wzniósł powoli dłonie i brwi, zaznaczając wyraziście, że wdzięczność mu się należy, ale nie chce o niej przypominać.

— I właśnie, aby nadal długów wdzięczności nie zaciągać, chcę się zająć sama swojemi sprawami. Dość już stara jestem, aby sama o sobie myśleć.

— Nie przeszkadzam, ale ostrzegam. Już sam zamiar taksowania lasu daje mi tu poznać cudzą spekulację. Nie chcę wymieniać nazwisk, zwracam tylko uwagę, że są tacy, którzy w celu podkopania naszego wpływu gotowi ci doradzać zgubne zupełnie plany.

— Cóż może być zgubnego w taksowaniu lasu?

— Usunięcie drogiej pani z pod naszego wpływu.

— A co to jest nasz wpływ?

Chmara, nie przyzwyczajony, aby go pociągano do tłumaczenia, zasepiął się; ponury zmierzch wchodził mu na twarz, ale starał się jeszcze zwyciężyć wymowną dobrocią:

— Nasz wpływ polega na doświadczonym wyrozumowaniu cudzego dobra. Powiem, skoro już trzeba: mój wpływ. I nie udaję, że jestem zupełnie wolny od egoizmu. Zajmując się od lat dziesięciu twoim losem, droga pani Krystyno, mam do losu tego wielkie umiłowanie, jako poniekąd do dzieła własnego. Dzieło pragnąłem dokończyć, tem bardziej nieudane próby powetować. Marzyłem zawsze, abyś nie wyszła z naszej rodziny.

— Ja zaś przeciwnie: marzę tylko o zakończeniu rachunków pieniężnych i moralnych z waszą rodziną. Nie jestem dla was stworzona — okazało się to jasno.

Ciemna twarz Chmary zaczęła drgać zło-wrogo w okolicy oczów; i głos dźwięczał inaczej, jakby się rwał do wybuchu:

— Nie rozumiesz pani życia, a nie dajesz doświadczeszszym planować za siebie. Związków z nami narzucać nie myślę, skoro nie są docenione. Uprzedzam o jednym: Auszra w naszym ręku ma niejaką przyszłość; w ręku obcych spekulantów jest zerem.

— O jakich pan mówi obcych spekulantach? — zapytała gwałtownie Krystyna.

— Rozumiemy się.

— Tak, rozumiem. Więc panu oświadczam, że interesy moje chcę wziąć we własne ręce.

— Proszę. Jeżeli do przyszłej wiosny Au-

szrę wezmą wierzyciele, nie będzie to moją winą.

— Może Bóg da, że nie wezmą. Ale ja przynajmniej wyzwolę się od was!

Chmara spojrział z podziwem, czy zachwytem na Krystynę, której nozdrza grały i zaciskały się drobne pięści.

— Za co nas pani nienawidzi?

— Za dobrodziejstwa, świadczone mnie i krajowi.

Tyran drgnął, ugodzony pociskiem, powstał z krzesła i skierował się ku Krystynie, która powstała również, nie rozumiejąc ruchu Chmary. On ocenił, że ta rozmowa może być ich ostatnią, zbliżył się szybko do płonącej wspaniałym gniewem wychowawicy, objął ją w pól i przycisnął do siebie:

— Biedne, biedne dziecko!

Chwycił pocałunek na jej włosach, skroni... aż poczuł na twarzy rękę jej, jak szpon jastrzębi, cofnął głowę — i stracił z rąk śliską postać Krystyny.

— Precz ode mnie!

Stał jeszcze przez chwilę drżący, dziko zapatrzony, sapiąc i kiwając głową.

— Taka nagroda!...

I wyszedł. Krystyna dopiero teraz zapłakała gorzko, nie na długo. Otarła lzy, a w oczy jej wstąpił blask niezłomnego postanowienia.

Zadzwoiła na służącą i kazała poprosić do siebie pannę Zubowską.

— Karuś! wyjeżdżam stąd zaraz i na zawsze!

Panna Karolina, rażona wieścią, opadła na krzesło.

— Trzeba zebrać siły, Karuś, spakować rzeczy najpotrzebniejsze i wyjechać ze mną. Na tobie się nie zawiodę.

— Ale dokąd, na miłość Boską?!

— Wszystko jedno... dowiesz się. Poślij po Sidorkiewicza.

XVIII.

Miasteczko Ponikszta obsiada parę wzgórz, stworzonych pod osadę ludzi spokojnych, a jednak ciekawych, którzy lubią ciszę w domu, lecz mogą też wyrzeć ze wzniesienia na świat dalszy, gdzie błyszczą wody jeziora, czernią się wioski i przez kraj, leniwie a rozkosznie rozłożony w słońcu, przeciąga niska linia prosta: to kolej żelazna, która przypomina, że świat otwarty, że można, kiedy wola wybrać się z Ponikszty do Kowna, Wilna, Warszawy, nawet do Rzymu.

Tutaj obrał sobie mieszkanie ksiądz Antoni Wyrwicz. Miał wybór między kilku murowanymi domami; reszta osady, budowana z drzewa, była kompanią chat i dworków, rozrzuconych bez planu, które jednak zwały się zewsząd coraz gęściej ku wysokiemu placowi, gdzie stał biały, dwuwieżowy kościół dekalny, a obok niego murowana plebania i »altarya«, miejsce schronienia dla księży bez

parafii. Ksiądz Antoni, choć zaprzyjaźniony z dziekanem, nie chciał korzystać z gościnności »altaryi«, często rojnej i gwarnej podczas odpustów. Upatrzył sobie zaciszne, romantyczne mieszkanie.

Ponikszta do połowy 19-go wieku była siedliskiem zamożnej rodziny Stetkiewiczów, obecnie podupadłej. Kupiona z licytacji przez sąsiedniego magnata, weszła w skład jego wielkich dóbr i przestała być rezydencją właściciela. Pozostał jednak po Stetkiewiczach duży dwór i park z całym urządzeniem rozległej wiejskiej siedziby, ale to wszystko opustoszałe, zagłuszone, wyglądało, jak gród zakłęty, z którego ludzie uciekli, a las go obejmował coraz ściślej ramionami śmiertelnego uśpienia. Stały jeszcze mury poranione, co rok ciemniejące; próbowano kilkakrotnie wynajmować je, choćby na letnie mieszkania. Ale wieść, że we dworze »straszy pan marszałek«, ostatni Stetkiewicz, który umarł w Ponikszcie, odstręczała od wynajmu i skazywała na powolną zagładę. Przy okólniku poza ogrodem siedział ekonom, zarządzający folwarkiem, i ten już pod strachem Bożym, z powodu bliskości parku; w zabudowaniach pałacowych nie mieszkał nikt.

Ksiądz Antoni upatrzył sobie domek ogrodnika w parku, oddalony od pałacu, a zbliżony do publicznego traktu, i zaproponował

administracyi dóbr, że ten domek wynajmie na mieszkanie. Przyjęto ofertę skwapliwie, nie żądano nawet komornego, byle pozyskać pierwszego lokatora w parku, i to świętobliwego męża, który położy kres przesądom, odstrasającym od starego dworu, a w potrzebie i lichu, jeżeli jakie tam jest, odzégna. Ale ksiądz Wyrwicz nie chciał być na łasce, zawarł urzędowy kontrakt na lat dwanaście o dzierżawę płatną, z prawem przedłużenia tejże i przerobienia domku na swój użytek. Zgodzono się łatwo.

Niewielkim kosztem przekształcił ksiądz Antoni cztery izby murowanego dworku w idealne mieszkanie kulturalnego pustelnika. Książki, ściśle ustawione na prostych półkach, ubrały salonik w przyjazną powagę; sypialnia w lecie pełna była zapachu krzewów, zagładających w okno, a w zimie — ziół suchych i jeszcze książek. W dwóch innych izbach gospodarzył stary służący, Piotr Lejtan, brat słynnego strzelca Jurka.

Cały park, rozszalały zielenią, jako *de facto* rzecz niczyja, był własnością księdza Antoniego. Ta otchłań zieleności składała się z trzech pięter porostów. Od tłustej ziemi pędziły ogromne trawy i zielska, baldaszkowate miodowniki wzrostu człowieka i dzikie, uparte kwiaty, pozostałe z dawnych kwietników. To piętro dochodziło aż prawie do koron rzad-

kich drzew owocowych, rodzących już dziczki lub nieplodnych, mieszających konary swe suchotnicze z gmatwaniną bzów, jaśminów i czeremchy, z umajonymi tyrsami leszczyny. A nad tem wszystkim — korony lip układały się jeszcze na górnem piętrze w aleje, w rondele i w altany. Ptak szybujący miał pod nimi jeszcze swe przeloty według staro planu.

Siedząc tu już szósty rok, ksiądz Antoni z Piotrem odnowił parę ścieżek, usunął zator rzeczki, rozlewającej się w bagnistą sadzawkę, wprowadził odrobinę praktycznego ładu, ale nie ograniczył dzikiej swobody nimfy poniksztyńskiej, która mieszkała tu naga, nieprzymuszona, krewna dryad z puszczy. Około domku tylko w niewielkim promieniu żółty piasek znaczył szczupłe granice właściwej dzierzawy księdza Antoniego.

Miał tu ksiądz wielką wygodę dla potrzeb duszy i ciała: mógł codzien chodzić do kościoła, odprawiać mszę i znów powracać do swego zacisza, gdzie go nikt nie odwiedzał, i do parku, gdzie nikt się nie przechadzał, oprócz duchów. Utrzymywał jednak stosunki z ludźmi przez poczucie obowiązku, nie przyznając sobie prawa całkowitego zatopienia się w rozkoszy swej samotności. Więc w czasach świątecznych pomagał dziekanowi i wikaremu przy spowiadaniu ludu i kiedyindziej

wyręczał swoich kolegów w uciążliwych często obowiązkach duszpasterstwa. Ale że spełniał to zawsze bez wynagrodzenia, proszono go dość rzadko o pomoc. Dziekan, ksiądz Łukaszewicz, dobry kapłan i obywatel, nie miałby nic przeciw temu, ale wikary i księża okoliczni jawnie krytykowali bezinteresowność księdza Antoniego, pochodzącą, ich zdaniem, z chęci odznaczenia się. Pomawiano go nawet cichaczem o skłonność do mankietnictwa i do sekty. Ale ksiądz Wyrwicz imponował znowu czem innym: świętobliwością obyczajów, wielką erudycją chrześcijańską, której zaczerpnął nawet w Rzymie. Będąc uprzednio nauczycielem domowym u Sołomereckich, poznał i u nich w Taborowie, i w podróżach z nimi, szeroki świat, a już księgi nie opuszczały go nigdy.

Słynął też z wymowy i z dobrego stylu, gdyż czasem drukował artykuły po pismach, nawet świeckie. Ale do kazań w kościele poniksztyńskim nie dopuszczano go prawie nigdy; na tę funkcję kapłańską było zawsze dosyć innych amatorów, zwłaszcza księży Litwinów, nacyonalistów.

Ostatecznie, mimo swe niezaprzeczone cnoty i zalety, ksiądz Wyrwicz uchodził za spiskowca między duchowieństwem okolicznem. Nie należał ani do hierarchii, ani do klubu księży miejscowych. Był dla nich to »rzym-

skim prałatem«, to znów »dumnym szlachcicem«, to nawet podejrzanym o niebezpieczne zamysły nowatorem. Krążyły wieści, że został księdzem bez powołania, tylko z powodu zawiedzionej miłości do jakiejś pani; że pisze w wielkiej tajemnicy dzieło nieprawomyślne, które wydać chce pod cudzem nazwiskiem; że gardzi drobnymi dochodami, bo ma stałą subwencję od jakiegoś stowarzyszenia, Bóg wie jakiego?... Nie słyszał o tem ksiądz Antoni, ale, czując niechęć księży do siebie, jak najmniej z nimi obcował, nie kradł im też owieczek, tylko te, które się do niego garnęły przypadkiem, wspomagał słowem i czynem, według swoich zasad i możliwości. Ale takich było mało, gdyż parafia, złożona z rozmaitych ludzi, jednak na ogół wybitnie konserwatywna, boczyła się ostrożnie od tego obcego księdza, który zamieszkał w opustoszałym parku, i nie mogła dojść do stanowczego sądu, kim jest ten człowiek o postawie wyniosłej i prostej, pod szronem lat już widocznym, zniewalający mądrym promieniem spojrzenia, z ręką otwartą dla ubogich, budzący uszanowanie, ale zarazem pewien żal, że nie jest taki, jak »nasi księża«. Zapewne na pokucie tu siedzi? — było zdanie o nim najpowszechniejsze.

Ale ksiądz Antoni nie tylko nie miał swego nowego życia w Ponikszcie za pokutę, lecz

czynił sobie wyrzuty, że opływa w sybarytyczne rozkosze. Kilkaset rubli dochodu z kapitału, pomnożone jeszcze przez honorarya autorskie, wystarczały mu w zupełności na jego skromne potrzeby, nawet jałmużny. Spokój mieszkania, przepych parku, lekkie obowiązki kapłana bez parafii — pozostawiały mu czas i swobodę do pracy pisarskiej; siły i zdrowie dopisywały jeszcze w początku szóstego dziesięciolecia wędrówki ziemskiej.

Jedyną zgryzotą był mu brak doraźnych wyników jego pracy dla bliźnich. Niegdyś wychowywał młode dusze ze szczerym zapalem; wydawało mu się, że coś tworzył dla dobrej przyszłości, ale i w tem miał obok pociech rozczarowania. Rozwinięciu szerszej działalności wychowawczej według jego pragnień stanęły w poprzek liczne zapory rządowe, ideowe — wreszcie jego własne zniechęcenie. Rzucił się obecnie do nauczania słowem pisanem, do dzieła, które miało być czynem, przebudzeniem ludzkości, choćby tylko młodego pokolenia... Ale czy takie dzieło przebić się może przez natłok i zamęt drukowanego słowa? Czy ten zamiar gorący a sposób wykonania tak przyjemny — nie są tylko utajoną pokusą Szatana, przynętą ku pysze kaznodziejskiej? Czy nie są lenistwem, zamiast odboju w służbie Bożej? Pisał jednak z ca-

łych sił, modląc się pisaniem do Chrystusa, jakim Go znał, widział i kochał.

Zapadał zmrok wcześniej w domku księdza, niż na pagórkach, gdyż słońce staczało się za park, którego cień zielony zalewał domostwo. Przed piszącym księdzem stanął stary Piotr Lejtan, niewielki, okrągły, z gatunku podobny do leśnego brata, Jurka, ale bardziej domowy. Kot raczej, niż lis; rodzaj żbika utuczony w kuchni.

— Jak będziesz dobrodziej pisał, kiedy dzień topnieje, to i oczy stracisz. Ot, kiedy dzień rośnie powstający, dziękować Bogu, tak tedy dobrodziej sobie i pisz. Tedy zdrowo, bo światłość ranna wzmacnia oczy i w głowie rozwidnia. A tak i woda z rosy majowej z cytryną nie pomoże.

Piotr był nie tylko okulistą, ale i lekarzem wogóle; kierował naczelnie higieną i dyetą swego pana, bo i jedzenie mu przyprawiał. Ksiądz Antoni bez sprzeczki odłożył pióro; wziął natomiast brewiarz i skierował się do parku.

— Brewiarz możesz dobrodziej sobie czytać choć w nocy, bo na pamięć umiesz. A na wieczerzę, kiedy łaska, proszę wczas, bo odgrzewana strawa ciężka dla żołądka, jak grzech dla sumienia.

Ksiądz Wyrwicz był już za progiem tylnych drzwi domku, otwierających się bezpo-

średnio na zielony zalew, odgarnięty ledwie od okien. Poszedł brzegiem parku ku alei, gdzie było znacznie jaśniej, gdyż przez pnie wysokich lip, stojących na krańcu dawnych sadzeń, dochodziło różowe światło od słońca, zachodzącego za jeziorem. Był to »belweder« parku, wzniesiony znacznie nad poziom okolicy, miejsce ucieczki oczu z gąszczów ogarniających do wesołego widnokregu pól uprawnych, łąk i wód. Z wielkim trudem wygracował ksiądz Antoni z pomocą Piotra tę aleję, jeden bok ramy, obejmującej park wspaniałym dwurzędem lip po granicach. O zachodzie było tu pięknie nawet w zimie, a w zielonej porze roku tem piękniej. Ksiądz Antoni czuł się bogaczem w tej kolumnadzie lipowej, gdzie ciemne słupy drzew stały naprzemian z przejrzystymi pasami słonecznego pyłu, na których tle jasna kraina dziergała swe jasne wzory.

Wieczór był pogodny, zachód czerwony, wróżący wiatr na jutro. Ksiądz Antoni przechodził wolno przez pasy cieniu i krwawego światła, zrzadka spoglądając w brewiarz, modląc się ustami i oczyma do majestatu Bożego w przyrodzie.

— *Magnificat anima mea Dominum* — szeptał ksiądz słowa hymnu z »*Officium de Beata*«.

Zatrzymał się nagle, gdyż od północnego załamania alei ujrzał posuwające się dwie ciche postacie. Mieniły się szaro i różowo, drząc przez zmienne światła alei. — — — Mignęły księdzu Antoniemu przez pamięć opowieści parafialne o zagrobowych gościach w parku. Choć ich dotąd nie spotkał, może jednak dzisiaj sprawdzi?... Jakieś *fata morgana* zachodu?...

Uczynił daszek z dłoni nad zmęczonemi oczyma i czekał nieruchomy. Postacie kobiece, nie tutejsze... jedna stąpa lekko i prosto, druga podąża trudniej, obie zakwefione. Nic w nich widmowego. Oto jedna wzniosła rękę i woła:

— Księżę Antoni! księżę profesorze!

Ten głos! Pasowały się w księdzu szybkie przypuszczenia i wizye coraz różowsze, aż obie kobiety były już przed nim, chwyciły go za ręce.

— Krysia! panna Karolina! — — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Nigdy pozdrowienie w Chrystusie nie było czystszej miłosne, pomimo swej świeckiej radości.

Poczęły się krzyżować bezładnie tłumaczenia wstępne i podziwy.

— Przyjeżdżamy do księdza profesora na dłuższą gościnę.

— Dobrze... Gdzieżeście to zajechały!

— Do dworu. Nie znam Ponikszty. Gdzie ksiądz profesor mieszka?

— Zaraz. Macie jaką podwodę, rzeczy?

— Sidorkiewicz czeka pode dworem.

— Trzeba do Piotra... Pięknie mi wyglądasz, Kysiu: gorąco i szlachetnie, po dawnemu.

Krystyna spojrzała prosto w oczy księdza, z zaufaniem córki do ojca.

— Szkoda, że nie uprzedziłaś mnie listem. No, wszystko jedno. Trzeba do Piotra... A pan Eustachy wie o twym wyjeździe?

— Broń Boże! — zawołała Krystyna — nawet zmyliłyśmy drogę, jadąc niby na kolej.

— Ach tak?... — zamyślił się ksiądz — więc niby ucieczka?... Pogadamy w domu. Musicie panie być bardzo zmęczone — sześć mil drogi z okładem.

— Pewno z dziesięć! — odezwała się panna Karolina z krótkim westchnieniem, jakby zrzucając z ramion ciężar podróży.

— Więc proszę za mną.

Wymieniając uśmiechy zakłopotane i serdeczne, poszli aleją, potem gęsiego, z księdzem na czele, przebijali się przez gąszcz wąską ścieżką, aż doszli do domku, gdzie przed progiem stał Piotr, z rękoma załamanemi na okrągłym żołądku. Usłyszał w parku niespodziewane gwary i wyjrzał z kuchni, żeby

sprawdzić, co się święci. Czyżby na wieczerze, skąpo wymierzoną, dobrodziej wykoncyrował sobie, bez jego wiedzy, kogo zaprosić?

Ale, poznawszy Krystynę, Piotr, dawny sługa Sołomereckich z Taborowa, zapomniał odrazu o kłopotach domowych. Rymnął do kolan Krystynie, którą kochał od dziecka:

— Panienko ty moja! a toż raz i przypomniała!

Ognista przedsiębiorczość ogarnęła starego, aż mu na nosie i policzkach zakwitły ceglane rumieńce.

— Kiedy już do nas, tak trzeba będzie dla panieki bibliotekę, a dla pani gubernantki sypialny dobrodzieja... A dobrodziej już musi do altaryi.

— Nie wiedziałam, myślałam, że ksiądz profesor mieszka we dworze — szeptała Krystyna skonfundowana, obejmując oczyma szczupłość domku. — — A czy we dworze nie byłoby dla nas pomieszczenia?

— Ot co jeszcze! — zawołał Piotr z oburzeniem — we dworze tylko szczury i jeszcze Bóg wie co! Tak i będzie, nie frasujcie się panie.

Zamilkł na chwilę, chwycił się dłonią za dolną szczękę, jakby ją przemocą chciał uspokoić, i zastygł w postawie zadumanej,

mrugając przemyślnie oczyma. Zwinął się potem, jak chwiejąca się fryga, i pobiegł do kuchni:

— Tak i będzie. — Nasamprzód podróznego w dom przyjąć, głodnego nakarmić...

XIX.

Stało się według przykazań Piotrowych. Ksiądz Antoni wyniósł się do altaryi, odstępując przyjezdnym damom cały swój dom do użytku. Powracał tu jednak na czas od południa do późnego wieczora. Uczynił tę ofiarę ze swych wygod i przyzwyczajęń z taką prostotą i radością, że po paru dniach uspokoił zupełnie wyrzuty sumienia Krystyny, która w swym nagłym projekcie nie przewidziała wcale, jaki przewrót sprowadzi w domu i w życiu swego dawnego nauczyciela. Przez parę dni trwały troskliwe zabiegi księdza o ulepszenia i ozdoby mieszkania, o których dla siebie nigdy nie pomyślał. Pogoda zadeszczyła się, więc ksiądz Antoni przynosił z miasteczka ukryte pod płaszczem, osłonięte parasolem różne paczki i rozwijał z nich w domku przedmioty nowego komfortu: kilimek na ścianę przy łóżku Krystyny, sztuczkę rzadkiego muslinu, przeznaczonego na wpra-

wienie w ramy okien dla ochrony od much i komarów. — Bibliotekę przeczarowano na pokój damski za pomocą kunsztownego przesunięcia półek i szafy, która teraz odgradzała część bawialną pokoju od alkowy sypialnej. Co rano zjawiały się: to donice z kwiatami, to nowe lusterko. W izbach służbowej i kuchennej gospodarował po dawnemu Piotr Lejtan, ale zjawiała się i niebywała dotąd w pustelni dziewczyna do usług.

Krystynę, przyzwyczajoną do pałacowych wygod, utuliła tu jakaś niedoznana od czasów dzieciństwa, ciepła, miłosna niemal pieczołowitość, która gorące jej serce aż ścisnęła od wdzięczności. Kiedy będzie mogła, przeintriguje księdza Antoniego na biskupa... Nie przyjąłby. Więc wynajdzie jakieś nadzwyczaj cenne i rzadkie dla niego książki...

— Jeżeli ksiądz profesor jeszcze raz co przyniesie dla nas z miasteczka, nazajutrz wyjedziemy do Wilna. Tak już z Karoliną postanowiliśmy.

— Już nie — odpowiedział ksiądz z zafasowanym uśmiechem — już lepiej być nie może u nas w Ponikszcie.

— Nigdzie na świecie nie było mi lepiej! — zawołała Krystyna ze łzą nagłą w oczach.

Ksiądz Antoni łzę pochwyił spojrzeniem, wziął do serca, lecz, gładząc poważnie suchy,

błękitniejący od brzytwy podbródek, udał obojętność i wyrachowanie.

— Przyszłyście też panie tasiemki do muslinu? — zapytał. — Ja przecie także korzystam z waszej umiejętności.

— A jakże! szyjemy, będzie do wieczora gotowe — odpowiedziała panna Zubowska ślęcząca w okularach nad robotą.

Okazało się bowiem, że Piotr chcąc przybijać rzadki muslin ćwieczkami bezpośrednio do ramy okiennej, nie mógł się z tem uporać. Panna Karolina wnet uznała potrzebę obrąbienia prostokątów muslinu tasiemką, którą dopiero przytwierdzi się do okien ćwieczkami. Więc obrąbiała sumiennie wymierzony muslin. Krystyna i ks. Antoni układali tymczasem na półce książki, które się rozsypały podczas niedawnej rewolucyi pokoju.

Krystyna już była opowiedziała pobieżnie ostatnie tygodnie swego życia, zniechęcenie ostateczne do Rarogów i Chmarów. Uprzednie jej dzieje znał ksiądz dobrze, chociaż od ślubu jej i owdowienia widział ją zaledwie parę razy. Wybór męża dla niej, uczyniony przez Eustachego Chmarę, nie był po myśli księdza. Wtedy właśnie porzucił kierownictwo wychowaniem Krystyny i Rarogi. Ale pisywali do siebie dość często, zwłaszcza w pierwszym roku po osiedleniu się księdza Antoniego

w Ponikszcie. Więc obecne opowiadania dokładał sobie dawny spowiednik i nauczyciel do pojęć i wspomnień, ugruntowanych pewnie w pamięci, i radował się, że Krystyna nie zmieniła się w istocie swjej moralnej. Tylko popędliwość jej i niepraktyczność, jak dawniej, tak i teraz, niepokoiły księdza co do jej losu.

W ostatnich rozmowach zauważył oczywiście powracające nazwisko Kazimierza Rokszyckiego, o którym nie miał żadnych innych powiadomień.

— A ten pan Rokszycki młody?

— Ma lat dwadzieścia ośm.

— Piękny?

— Tak... Proszę księdza profesora, ile powinno być tomów Pamiętników o dawnej Polsce, Niemcewicza?

— Tomów jest sześć.

— A ja znalazłam tylko cztery.

— Są tu wszystkie, moje dziecko; trzeba je odszukać. — Więc mówisz, że pan Rokszycki jest z gatunku ludzi, jakich my znałiśmy za naszych czasów w Taborowie?

— Z pewnością, księżę profesorze. Z panem Eustachym Chmarą pokłócił się o politykę naszą tak strasznie, że go znenawidzili i Chmara i księżna.

Panna Zubowska wtrąciła swoje ale:

— Pozwól, Krysiu. Najprzód rozmowy tej

sama nie słyszałaś, więc nie możesz tak bardzo sądzić, kto miał rację.

— Tak, nie słyszałam — odrzekła Krystyna, stuknąwszy o stół Niemcewiczem — ale wiem, kto miał rację, bo dużo rozmawiałam z panem Rokszyckim.

— Nie wojuj ze mną, Krysiu — odrzekła błagalnie panna Karolina — ja przypuszczam, że się nie mylisz. Tylko tak mało wiemy skądinąd o panu Rokszyckim, a to, co wiemy... — wzruszyła ramionami.

Ksiądz Antoni, ważąc książkę w rękę, spoglądał uważnie na rozmawiające. Zapytał panny Zubowskiej:

— Czy pani wie coś o nim, czego my...

— Ach! niech ksiądz profesor nie pyta! — przerwała Krystyna — nagadała jej księżna głupstw o nim, a ona wierzy!

— Moje dziecko! — rzekł ksiądz pojednawczo — można skorzystać nawet z podejrzanego zdania; trzeba je tylko sprawdzić. Jesteśmy tu, jak niegdyś w Taborowie, wzajemnie sobie oddani. Mówmy po dawnemu i spokojnie.

— Dobrze; niech Karuś powtórzy te wszystkie bzdurstwa: będę słuchała spokojnie.

— Najprzód upewniam — mówiła panna Zubowska — że moje osobiste wrażenie było najlepsze: śliczny człowiek. Ale zgodnie i księ-

żna i pan Chmara mówią o nim, że nie majątny, że musi szukać posagu...

— No widzi ksiądz profesor! Jakie to... niemądre! Nikt o tem nic nie wie, bo ci państwo raz go tylko w życiu widzieli. A potem — co to ma do rzeczy? Mówiłam tylko, że to człowiek taki, jakich nam na Litwie potrzeba, gdyby tu osiadł.

— A czy ma zamiar tu osiąść? — zapytał ksiądz Antoni.

— Ja nie wiem... Ma różne zamiary związane z Litwą — musi tu przyjeżdżać.

— Więc jednak rozmawialiście z sobą i o zamiarach na przyszłość?

— O, tak — dużo nawet, tylko nie o tem, o czem wszyscy zaraz myślą. Pobrać się nie możemy, bo to nawet niepodobieństwo.

— Jakie niepodobieństwo?

— A no... on przecie niemajątny, a ja nie mam podobno nic...

— Więc tak postawiliście między sobą tę kwestyę?

— Wcale mowy o tem nie było, do prawdy.

Ksiądz Antoni z dobrym, ojcowskim uśmiechem położył dłoń na ręce Krystyny:

— Widzisz, moje dziecko, to trzebaby najpierw wiedzieć bardzo dokładnie.

— Mowy nie było — powtórzyła Krystyna szczerze, jednak ciszej, niż uprzednio.

— Mogły być myśli wzajemne?

— Ach, myśli!... myśli doprowadziły do tego, że — niepodobieństwo.

Pograżyli się znowu wszyscy troje w swych mechanicznych zajęciach, snując jednak dalej wątek rozpoczętej rozmowy. Powrócił do niej ksiądz Wyrwicz:

— To, co panna Karolina wymieniła ze zdań o panu Rokszyckim, jest rzeczywiście dość błahe... Ale mówiłaś wczoraj Krysiu, że macie sobie nawzajem pomódz praktycznie. Co to znaczy?

— Tak. Ja miałam wyszukać tu dla niego jakieś dobre pola lnu, a on mi miał przysłać taksatora leśnego do Auszry.

— To już wkracza w zakres bliższego porozumienia i wymaga zaufania.

— Ja go znam, księżę profesorze. To jest człowiek jasny, godny zaufania.

Wypowiedziała to zdanie z odważnym, przekonującym zapalem. Ksiądz skłonił głowę bez odpowiedzi. Nie było już mowy o Rokszyckim aż do obiadu, który Piotr zastawił punktualnie o pierwszej po południu, na trzy osoby, w pokoju Krystyny, czyli dawnej bibliotece, według ustalonego już zwyczaju.

Pływały dni ciche, jednostajne zewnątrz, odróżniając się głównie tylko zmianami pogody, która to pociągała towarzystwo do prze-

chadzki po żółkniejącym już parku, to zatrzymywała je w domu przy książkach i długich rozmowach.

Niepotrzeba dodawać, że zamieszkanie u księdza Antoniego dwóch pań, z których jedna tak piękna, była wypadkiem historycznym, mogącym iść w zawody tylko z ogłoszeniem konstytucji w Ponikszcie. Co to znaczy i jakie stąd mogą wyniknąć przewroty? — gwarzono gorliwie, zwłaszcza po dworkach, w których siedziała tu gęsto drobna szlachta zagrodowa, »dworzanie«, natury niespokojniejszej, niż chłopska, czujni na politykę, producenci opinii parafialnej. Ponieważ stwierdzono odrazu, że ksiądz Antoni nocuje w altaryi, lecz dni całe spędza z paniami we dworku, były dwa wnioski opinii: albo się ksiądz wyniesie z Ponikszty, albo powoli zamieszka ze swemi paniami we dworku. Pomimo znanej świątobliwości księdza Wyrwicza, obecność pani Krystyny była lubem dla kumoszek zgorzeniem; skandal bowiem miłuje pospolity bliźni bardziej, niż cnotę cudzą; jest na co popatrzeć, jest o czem niewinnie pomarzyć od czego się odróżnić i ponad co wywyżżyć. — Nazwisk mieszkanki domku parkowego nie wiedziano długo, ksiądz Antoni bowiem, powierzywszy historię swych gości dziekanowi, prosił go, aby ją zachował do czasu w tajemnicy. Więc o pochodzeniu i o sytuacji dam

parkowych krążyły legendy przeróżne; domyślano się w nich to krewnych księdza, to uciekających przed policją, to znów osób krwi królewskiej.

Nic z tych pogwarów nie przeniknęło do dworku księdza, gdzie życie płynęło zegarową rotacją, odosobnioną zupełnie od świata. Działy się tam jednak rzeczy niepospolite w dziedzinie duchowej. Wiele opowiedziała Krystyna księdzu Antoniemu o stanie swej duszy i o zjawiskach zewnętrznych, które zanotowała, ale i ksiądz z wielu ukrytych swych pragnień i planów zwierzył się dawnej uczennicy, teraz kobiecie rozwiniętej pełnią kwiatu, jeszcze bliskiej dzieciństwa zapalem, a już wprawnej w myślenie nad rozdźwiękiem rzeczywistości z ideałami. Nie gasił mądry ksiądz żaru jej umiłowań, wiary w możliwość odrodzenia świata. Tylko nienawiść do ludzi wrogich starał się osłabić w Krystynie.

— Nienawidzić można tylko Szatana, pierwiastek zła — mówił. — Ludzi godnych nienawiści niema; w najgorszych jest płomień Boży, niezupełnie zagłuszony.

Wykładał teorię wszechmocnej miłości, jako rozwiązanie wszelkich zawikłań społecznych w etyce i w polityce. I z tematu tego przeszedł, do osobistego wyznania, że pisze dzieło »o nowożytności idei Chrystusowej«.

Zastać ich było można zwykle w domu

lub w ogrodzie — tego chrześcijańskiego filozofa i tę światową kobietę — zatopionych w czytaniu rękopisu lub druku i rozprawiających na prawach nie mistrza i uczeni, lecz dwojga ludzi, kochających się zgodnie w Prawdzie. Nie pozostali też oboje bez wzajemnego na siebie wpływu. W Krystynie odżyły i pogłębiły się wszystkie nauki jej młodości; z rozkoszą czuła zwierające się w jej umyśle łuki sklepienne, na których mogła opierać nowe piętra gmachu. Poznawała wartość oderwania się od świeckiego zgiełku dla rozwoju zasad i podstaw czynu; poznała czar świątyni myśli. Ale i mistrz dawny uczył się czegoś od wychowawcy: kunsztu trwałej młodości.

— Stosować to wszystko, stosować, księżo profesorze! — nawoływała Krystyna. — Ja bym to rozumiała tak: te księgi mądrości będą naszym kodeksem, a my się uformujemy w towarzystwo działające, choćby spiskujące...

— I książki są działaniem, moje dziecko. Dać społeczeństwu dobry wynik sumiennego o niem myślenia — to także coś warte. Księgi sprowadziły rewolucję francuską; dlaczegoby nie mogły przyspieszyć teraz rewolucji etycznej?

— Czas już działać, księżo profesorze; trzeba iść między ludzi.

Ksiądz nie starał się postawić na swoim;

szłuchał i zamyslał się czasem nad tem, czy mała filozofka nie ma słuszności.

Rozmowy ich transcendentalne dochodziły zwykle do tego rozdroża.

A były i pogadanki i zabawy, setne okazy ciągłego porozumienia, z których, na monej osnowie wzajemnego szacunku, przędło się jakieś życie niby familijne, niby koleżeńskie lub sielsko-szkolne, do którego człowiek przywiązuje się szybko. Zwłaszcza ksiądz Antoni czuł się odmłodzonym i począł, według słów poety, »do szczęścia przywykać powoli«. Dopiero się to szczęście budowało, wznosiło, więc dawało złudzenie, że tak trwać może.

Powracał w rozmowach uparty pomysł Krystyny, związku ludzi najlepszych, jakiejś idealnej oligarchii etycznej i patryotycznej, któraby stopniowo wzmogła się w liczbę i sprowadziła panowanie złotego wieku na ziemi naszej. W związku było ich dwoje tymczasem: ksiądz i kobieta, głowa i serce. Choćby na początek przybrać trzeciego towarzysza, przedstawiciela siły ramienia...

— Gdyby go ksiądz profesor poznał, przyjąłby go odrazu do naszego spisku!

— Kogo, moje dziecko?

— No...

— Ach, zawsze tego samego? — rzekł ksiądz Antoni z odcieniem żalu w głosie.

Ale natychmiast poprawił się:

— Rzeczywiście bardzobym ciekaw był go poznać.

— To może wkrótce nastąpić.

— Jakim sposobem?

— Pan Rokszycki obiecał powrócić w te strony. Może zajedzie i do Ponikszty.

— Czyż zna już miejsce twego pobytu?

— Napisałam do niego, że tu mieszkam...

Zarumieniła się mocno, najprzód, że był to jedyny jej czyn znaczniejszy tutaj, o którym donosiła mistrzowi dopiero po wykonaniu; następnie — poczuła się niby do zdrady tej samotności, niby do lekkiego ubliżenia księdzu Antoniemu, że jej do szczęścia nie wystarcza.

Powracali z dalszej przechadzki, brzegiem jeziora, we dwoje, gdyż panna Karolina wypraszała coraz częściej spoczynek dla swych nóg zmęczonych; używała ich już prawie wyłącznie na krótką wędrówkę do kościoła. Dzień był bez poząty słonecznej, mgławy, choć przezroczysty — alabastrowy. Wyblakły brzeg łąki przechodził nieznacznie w wodę jeziora, był jakby nadsztukowany pomostami zielono-żółtej trawy, którą obciążały żerdzie i kamienie. Ostra, osobliwa woń »roszeńca«, czyli lnu moczonego, nasyciała powietrze.

— Jeżeli tu przyjedzie — rzekł ksiądz Antoni — napatrzy się dowoli, jak wygląda nasz roszeniec.

Krystyna ucałowałaby ręce księdza, gdyby nie wiedziała, że się od tego broni, zwłaszcza gdy są we dwoje. Woląla wskazać na cel, do którego w tej chwili zdążali, na Ponikszkę dwuwieżową kościołem, rozsypaną domkami po wzgórzach, kryjącą się coraz bardziej za zwarty kosz wybującej, gęsto przesypanej złotem, zieleni:

— Jaki nasz park piękny!

XX.

Są w życiu człowieka okresy, jakby wyjęte z ogólnej reguły jego przeznaczeń, — sny długie i rozbudzone, podczas których człowiek czuje się odmiennym od siebie samego, patrzy z góry, czy z ubocza na pasmo życia swego, rozumie lepiej swą dolę i pragnienie. Nie są to tylko okresy osamotnienia; można sny takie mieć we dwoje, opromienione wspólną myślą albo wspólnem uczuciem; można je nawet spotkać wśród obcego tłumu. W tych długich, jasnych nocach istnienia człowiek dojrzewa szybko, każdy według gatunku swego: staje się poetą, jeżeli był piosenkarzem; spiskowcem z marzyciela, fanatykiem z dyletanta. Tylko ludzi słabych to zagrożenie we własnej myśli zgęszczonej może złamać, albo i zabić. Ale każdego, przy powrocie do pasma dni pospolitych, zwanych rzeczywistością, przejmuje zimnym dreszczem

świat realny i kładzie mu w usta niechętnie zapytanie: »po co już powracasz?« —

Pewnego ranka w połowie września Krystyna już ubrana — nauczyła się wstawać ze słońcem — wyrzawszy przez okno, spostrzegła ze zdziwieniem, że zamiast jednego Lejtana przed domem stoi dwóch, drugi chudszy, z flintą przez plecy. Łatwo poznała w przybywającym Jurka, brata Piotrowego.

Żbik leśny porozumiewał się z kotem domowym mimiką pocieszną, gdyż słów Krystyna nie słyszała. Widocznie wypytywał ciekawie, celując chytrem spojrzeniem w twarz brata podobną, lecz bardziej odętą, ze spuszczonej powiekami. Jurko pykał z fajki, a Piotr rękoma skrzyżowanymi na brzuchu wyrażał odporność. Jurko kiwał wielkim palcem wyłamanym ku domowi, jakby pytał, czy może wejść, albo: czy dasz wódki, braciszku? — a Piotr, odłączając palec wskazujący od rąk na brzuchu, odpowiadał przecząco: »nie puszczę«, albo »nie dam«.

Krystyna nie tak dobrze знаła Jurka, jak Piotra, ale go lubiła, jako wspomnienie myśliwskie, zwłaszcza od ostatniego polowania na lisy. Jednak obecność starego wygi tutaj obudziła w niej przecucie zbliżania się czegoś niepożądanego. Może wreszcie przybył tylko w odwiedziny do brata. Otworzyła okno.

— Jak się macie, Jurku?

W pas się pokłonił.

— Jak stary, jasna grabini. Przyszli my tutaj z książęty na złoty kaczek, bo ich tam żywe piekło za jeziorem, na łąkach.

— To i książęta tutaj?

— Przystanęli my w karczmie, bo pora na zlot to kiedy ledwie dnieje, albo kiedy już zmrok pada. Na ranny ciąg nie pośpieli, choć nocą wyjechali. Wiadomo, droga daleka.

— Taka podróż po nocy dla głupiej kaczki? — rzekła Krystyna nadąsana z powodu wiadomości o przyjeździe Zasławskich do Poniak.

— Kaczka na ciągu nie głupia, panieńku ty mój; nie ta już ona, która na święty Jan, główkę wysunąwszy, pły-yunie... — naśladował Jurko z powodzeniem płynącą kaczkę. — Wiadomo — durna. Teraz jej pod niebem szukać trzeba, póki najdziesz, a celując, sążeń poprzód dzioba założyć, kiedy to śmiga z daleka — szu-szu-szu-szu. — A już kiedy zwali się z powietrza, tak czarną tęczę, i chlapnie na wodę, albo na łąkę rozczapierzywszy się, jak siodło. Satysfakcja!

Oklapłym jakimś ruchem przykucał i rozpostarł palce obu rąk, raczej do chudej żaby, niż do kaczki podobny. Uśmiechał się przy-

tem łzawo, widząc, że bawi Krystynę opowiadaniem.

— Taki to trudny strzał do kaczki na ciągu? — zapytała dla podniecenia werwy Jurka.

— Trudny — jak komu. Kiedy rozpędzona i wysoko, ledwie jej śrutem domacasz. A znowu bywa: siedzisz pod łożą cicho, dech zaparłszy, a gromada kaczek złata na łąkę, o tobie nie myślący. Tak ty wstań! Tedy kaczki szurum! jak zawrócą a zbiją się w czarny kłęb, ty im daj ducha z dwóch rur! — Pięćdziesiąt pięć kaczek zabił nieboszczyk ksiązę Mikołaj dwoma strzałami przy Dusiaczkim jeziorze taką sztuką!

— Dwoma strzałami?

— Dwoma — dalibóg prawda.

— A tutaj bywa tyle kaczek? — zapytała Krystyna, w której odezwała się żyłka myśliwska.

— Poniksztyńskie same te kaczki łąki. Nie wiem, jak teraz. Ot, poprobuje z nami grabini wieczorkiem.

— Nie mam nawet strzelby.

— Bajki! u ksiąząt cztery strzelby w kalamasce.

— Nie chcę z książętami polować — rzekła Krystyna stanowczo.

— Tak czemu? — my nie z Rarogów — szepnął Jurko przebiegle.

Nie zgodziła się jednak Krystyna. Strzelec przełknął ślinę i z innej beczki zaczął konwersację, gładząc się po łysinie:

— Ot kazali mnie panowie obiadu w miasteczku szukać. W karczmie strawa żydowska hadka.

— Bardzo żałuję, że sama zaprosić nie mogę; mieszkam nie u siebie. Ksiądz Wyrwicz jest w kościele, albo u dziekana; pewno go tam znajdziecie.

— A już trzeba będzie... Ksiązę Michał tutaj, w ogrodzie. Rękę skaleczył i szuka ziółka na opatrunek.

— Bardzo się skaleczył? — Wasz brat Piotr mógłby go opatrzeć — rzekła Krystyna, tym razem poruszona.

— Ja tak i myślę — odpowiedział Jurko dobrodusznie.

Określił się na zwinnych piętach i dał półgłosem sygnał leśny zwołujący:

— Hop, hop tu!

Zaraz wynurzył się z gąszczu Miś Zasławski, snadź niedaleko od dworku szukający ziółka. Lewą rękę miał już przewiazaną chustką, stąpał z mniejszą, niż zazwyczaj, fantazyą, co zresztą wpływało korzystnie na elegancję jego postaci. Przystąpił do okna i pocałował wyciągniętą rękę Krystyny.

— Dzień dobry. — — — Cóż to? zranileś się?

— Bajki. — — Do klasztoru wstępujesz Krysia, słyszałem?

— A to co znowu?! Ksiądz Antoni ofiarował mi mieszkanie na pewien czas. Potem... nie wiem jeszcze.

— Dobrze zrobiłaś, Krysiu, że uciekłaś z Rarogów. To morowa buda.

Krystyna uśmiechnęła się, lecz zmieniła przedmiot:

— Cóż to wy tak długie w tym roku macie wakacje?

— Ee! — machnął Miś — dogonim.

Znowu on zapragnął mówić o czym innym. Zapytał z wielką powagą:

— To Kazio mieszka w miasteczku?

— Jaki Kazio?!

— No pewno, że nie Chmara pułkownik, ale Rokszycki. Widziałem go tylko co: piją z Benem Château-Ponikszta i zakąsują żydowską kiełbasą... A pułkownik podobno w łeb sobie palnął, że dostał od ciebie kosza.

Krystyna mieniła się na twarzy, ale spostrzegłszy prędko, że Miś bredzi, byle tylko nazwać parę osób i złović wrażenie, jakie jej sprawiają te nazwiska, rzekła prawie gniewnie:

— Przestań! odwykłam już od tych dowcipów.

Miś spoważniał niby, chwycił się za prze-

wiązaną rękę, jakby chcąc się wydać bardziej zajmującym, i rzekł dość gorzko:

— Gada się tak, byle zagłuszyć »handrę«. Albo już pić?... Człowiek żyje, jak pies.

— Cóż to znowu?... Wstąp-że na chwilę do domu... Albo poczekaj — tutaj jeszcze Karolina nie skończyła swej toalety — wyjdę do ogrodu.

— To nadobna Karolina także tutaj, a nie na księżej oborze? — nie mógł pohamować Miś niesfornego języka.

Na szczęście Krystyna nie dosłyszała, albo nie zrozumiała. Wyszła przed dom, różowa w białej sukni, pachnąca, jak woda z leśnej krynicy. Misiowi oczy zabłysły od radości widoku.

— Oj, Krysiu! — westchnął, całując ją powtórnie w rękę — szukasz, szukasz po świecie, a najbliższych sobie...

Łamał się z trudnością wysłowienia, aż dokończył po rosyjsku:

— Preniebregajesz.

— Co to znaczy? nie rozumiem...

Obeszli węgiel domu i usiedli na ławce pod starą gruszą.

— Powiedz, Misiu, co słyhać w okolicy; tylko nie bajki, nie dowcipy, ale co się stało?

— Nic się nie stało. My polujemy, mama się nudzi, że gości niema, bo i Staś Kmita nie przyjechał. — — Chmara do Pitra znowu. —

I ludzie gadają o tobie, że mieszkasz w lesie z Sidorkiewiczem.

— A wy jak dowiedzieliście się, gdzie mieszkam?

— Ho, ho! my z Jurkiem wszystko wiemy. Ale możemy nie mówić, kiedy nie każesz.

— Woleę, żeby wiedzieli, że tu jestem, niż w lesie. Tylkobym nie chciała mieć wizyt żadnych.

— Tak my powiemy, że w poście i modlitwie, pod opieką dziekana i trzech księży przygotowujesz się do zmiany stanu...

— Najlepiej powiedzieć prawdę, gdy kto zapyta.

— Aha! — przypomniał sobie Miś — czy wiesz, że Budziszówna z Wiszun wychodzi za Stasia Kmitę?

— Dlaczegoż nie mówisz?! — zawołała Krystyna radośnie. — Jakże się to stało?

Miś uśmiechnął się zbereźnie:

— Czy ja wiem, jak się to stało? On ją sobie upatrzył, a ona jego. Powiedzieli to sobie mocno gdzieś w krzakach, no i zrobione.

— Nie pytam o to — rzekła Krystyna z niesmakiem — ale czy dawno był taki projekt?

— Nowy, podobno. Wszak ona miała niby wychodzić za Kazimierza Rokszyckiego.

Sprawdził odbłask tego nazwiska na twa-

rzy Krystyny. Ale ona odpowiedziała poważnie i stanowczo:

— To plotki — pan Rokszycki nie ma zamiaru żenić się obecnie.

— Jak ty wszystko wiesz, Krysiu — osobliwość! Wiadomo, że jemu wygodniej nie żenić się. Jeździ sobie po świecie i gdzie popadnie, zabawi się. Tutaj to on w »mondzie« ryby łapał, tylko jemu nie powiodło się. Za to w Wilnie pocieszał się w »demimondzie«.

— Opowiadasz, nic nie wiedząc, Misiu. Plotki znosisz, jak baba.

— Ot co jeszcze! — zawołał Miś, dotknięty przymówieniem. — Jak on tutaj wam »robił kurę«, to sama wiesz, Krysiu, i matka także. A jak on w Wilnie pożywał się, to znowu ja wiem.

Postukał palcem w pierś swą wyдутą dla okazania dobitnie, że dobrze jest powiadomiony.

Krystynę ogarnęła niezdrowa ciekawość:

— Byleś w Wilnie?

— Nie byłem, ale Fedkowicza widziałem zawczoraj, który tam z nimi był. Sławną mi nawet opowiadał historię...

Krystyna nie pytała już, patrzyła jednak na Zaslawskiego oczyma, które prosiły o dalszy ciąg opowiadania. Ciekawość kobiet w tych wypadkach przemaga nawet wstręt do usłyszenia czegoś bolesnego. Miś skorzystał ze

sposobności przysłużenia się bliźniemu rodzaju męskiego.

— Nasze apostoły... — zaczął młody ksiądz z zadowoleniem.

— Jakie apostoły?

— Ci z Warszawy, Budzisz i Rokszycki, zaprosili Fedkowicza na kolację z jakąś Mitzi, szykarną Wiedenką — mówi. No i bawili się tam zdrowo. Kaziowi to nic, bo on tęgi, ale starego na drugi dzień parała pomacała. Stary płacił, a Kazio sobie miał wygodę. Chytry mały!

— A! nie ciekawam waszych historii — zawołała Krystyna, powstając nerwowo z ławki — zawsze to samo: wielkie uczucia, obowiązki społeczne, a potem zabawa w karczmie!

— Cóż? — rzekł Zasławski pobłaźliwie — nie każdy mężczyzna ksiądz. A kolacya była u Szumana, nie w karczmie. Tam i wyższe towarzystwo.

— Masz mi coś ciekawszego do powiedzenia? — zawołała Krystyna z nietajonym gniewem. — Mnie takie historie nie bawią. Wszyscy jesteście brudni!

— Poczekaj, Krysiu; jaż tam nie byłem. Ja sobie poluję tylko, żeby odegnać złe myśli... Mnieby i Mitzi nie zamała, gdybym kochał wyższą kobietę...

Krystyna spojrzała uważnie na przycza-

jonego urwisza, którego dotychczas widziała przed sobą nieosobiście, prawie tylko jak dźwięczący aparat telefoniczny.

— Tybyś także potrafił — rzekła dwuznacznie.

— Nie, Krysiu, ja dużo seryoźniejszy, niż myślisz.

Rozmowa zamierała, zwłaszcza, że Miś o psychologii i uczuciach wyrażał się jeszcze trudniej, niż o przedmiotach potocznych. Ale nadszedł z kościoła ksiądz Wyrwicz. Tego znajomego od najpierwszych lat dzieciństwa, zwykł się bać »młody« Zasławski, o ile bać się można było księdza Antoniego, który nigdy przeciw nikomu nie podniósł ręki, ani nawet głosu. Ale przemożny instynkt nakazywał go poważać; zabawny też nie był ksiądz profesor, w pojęciu Misia. Więc Miś powstał śpiesznie na spotkanie księdza, powitał go z uszanowaniem i milczał, jakby schwytyany na złym uczynku. Ksiądz zaś przemówił bardzo uprzejmie:

— Widziałem już Bernarda i Jurka. Szukacie obiadu, toć z nami go zjedzcie, jeżeli Krysia pozwoli. Ogromnie mi urosłicie — zapewne już w uniwersytecie?

Te i tym podobne, choć przychylne, zapytania księdza Antoniego sprawiły, że obiad we dworku był mniej ożywiony w pięć osób, niż zwykły we trzy. Młodzi księżęta zacho-

wywali się z godnością, starając się utrzymać na poziomie konwersacji poważnej. Beno przypomniał sobie jakąś anegdotę polityczną z Dumy petersburskiej. Miś naszkicował moczolnie stanowisko swoje w polityce krajowej. Na obie odezwy ksiądz Antoni odpowiedział bez wszelakiego lekceważenia. Projektowany ślub panny Aldony z Kmitą stał się także przedmiotem uwag pochlebnych dla młodej pary. W rozmowie wspomniano też o zjeździe ziemian u Chmary, a przy tej okazji wymieniono i nazwisko Rokszyckiego.

— Jakże się wam podobał pan Rokszycki w Rarogach? — zagadnął ksiądz Antoni.

Miś zrozumiał, że trzeba tu odpowiedzieć, jak mężczyzna i jak ksiązę Zaslowski.

— Dzielny człowiek — odrzekł z powagą.

Krystyna zarumieniała się tym razem z zadowolenia i pomyślała, że jednak ten Miś, gdy go przycisnąć, ma i sumienie.

Ale księżęta pocili się trochę od tej uroczystej zabawy w księżym domku, gdzie ściany były tak niskie, a nastrój tak wysoki. Pożegnawszy się wkrótce po obiedzie, nie pokazali się już we dworku. Po zachodzie słońca tylko przypomnieli o sobie, gdy od strony jeziora dolatywać zaczęły do parku gęste trzaskania strzałów, zwiastujące rzeź ciągnących kaczek.

Zaległa znowu cisza we dworku. Jednak

dotknięcie »wielkiego świata« pozostawiło po sobie pewien niepokój w sercu Krystyny, zwłaszcza, że i brak listu od Kazimierza stawał się coraz trudniejszym do wytlómaczenia. Ani przez Sidorkiewicza, ani wprost do Ponikszty nic od niego nie przychodziło. Może on wreszcie myśli o czym innym, gorzej — o kim innym?...

Panna Zubowska, po miesiącu noszenia w swem staropanieńskim sercu okropnych wyznań księżnej Zasławskiej, wyśpiewała je nareszcie Krystynie. Ta nie chciała wierzyć, zrzucała instynktowo winę na księżnę, wzdrygała się jednak przed obrazem, który jej utkwiał w pamięci. Plotki z Wilna, przyniesione przez Misia, wzmianka o jego matce — kojarzyły się w wyobraźni logicznie z tamtą ohydą.

— Nie do mnie należy kontrolować prywatne życie pana Rokszyckiego — wmawiała w siebie Krystyna.

Ale zbyt gorzko rozmyślała nad obyczajami mężczyzn wogóle i zapytywała przestrzeni, dlaczego Kazimierz nie jest wyjątkiem.

Ksiądz Antoni nie spowiadał przemocą swej wychowanicy. Ale, widząc ją trochę mniej pogodną, trochę bardziej roztargnioną przy rozmowach i czytaniach, odgadywał powód przyćmienia jej pierwszej radości. Nie mógł przecie spodziewać się, że Krystyna zamieszka

u niego stale, że snuć będą przez lata tę sie-
lankę filozoficzną, chociażby w najświętszych
celach i z zobopólnym pożytkiem. Ten miły
kwiat, wyhodowany przez niego, nie mógł być
dla niego. Gdyby nawet rozwinęli tu we dwoje,
według gorączkowych zamiarów Krystyny, ja-
kieś działanie, nauczanie, pracę czynną dla
ogółu, ktoś trzeci przyjsć musi dla dopełnie-
nia jej szczęścia, a wtedy jego przypadkowe
szczęście, nienależne staremu księdzu, pójdzie
na bok do wspomnień. Tak być powinno.
Poczytałby sobie za grzech, gdyby temu czem-
kolwiek przeszkodził.

— Jaki jest ten, który przyjdzie? Oby
był synem światłości!...

Z tak wyrozumowanym utęsknieniem oczę-
kiwał ksiądz Antoni przyjazdu Kazimierza.

XXI.

Przez parę tygodni nosił Kazimierza po
świecie gorączkowy rozped ku przyśpieszeniu
jakiejsz pożądaney przyszłości, której nie ogar-
niał jasnym planem. Len litewski — prze-
dzalnia o sto mil w Ziembowie; obowiązki na
miejscu urodzenia — nowe przymierze z Li-
twą i Litwinką — wszystko to nie dawało się
sprowadzić do jednego mianownika. Jeździł
z Warszawy do Ziembowa i napowrót, starał
się zapewnić sobie najszerszy możliwie kre-
dyt dla swych nowych przedsięwzięć, ale
naprawdę nie był pewien, czy fabryki, razem
z innemi swemi aspiracyami, nie przenieść
wogóle — na Litwę.

Z ojcem mało rozmawiał, a to głównie
z powodu, że pan Apolinary, zjechawszy w są-
siedztwo Ziembowa, rozgłaszał o kraju i lu-
dziach świeżo poznanych oceny wcale od-
mienne od spostrzeżeń Kazimierza, mówił zaś
tak głośno i przemożnie, dostawszy się na
swój grunt rodzinny, że Kazimierzowi sprzy-

krzyło się rektyfikować, zwłaszcza, że mało miał czasu i nie chciał podkopywać powagi wuja. Poglądy teoretyczne na Litwę i Litwinów przebrzmiałyby zresztą w tej prowincyi koronnej, nie sprowadziwszy rewolucyi, ale gorsza była apoteoza Aldony Budziszówny, którą pan Apolinary przedstawiał, jako streszczającą w sobie wartość i wdzięk całej Litwy, i bez zastrzeżeń używał wszelkich swych wpływów w Ziembowie u pana Jana, w Warszawie u pani Janowej Rokszyckiej, aby dowodzić, że jedyną opatrnościową żoną dla ich syna Kazimierza jest Aldona, dziedziczka uroczych Wiszun. W każdym charakterze agitatorskim, więc też i jako swat okazywał się pan Apolinary heroicznym. Kazimierz poprostu uciekał od wuja, a imię niewinnej Aldony stało się dla niego zmorą prześladowczą.

Jak piorun pośród tych zabiegów padła wiadomość w postaci listu pani Hieronimowej Budziszowej, zapraszającego kuzyna do Wiszun na zaręczyny Aldony ze Stanisławem Kmitą. Kazimierz był już na szczęście wyjechał do Warszawy, nie słyszał więc, co o nim mówił srodze zawiedziony w swej propagandzie, tyraniczny wuj.

Dla swoich własnych rojeń nie miał Kazimierz w ostatnich tygodniach żadnej zewnętrznej zachęty; musiał mu wystarczyć pałacy w nim ogień młodości. Dziwił się jednak, że

od Krystyny otrzymał jeden tylko list w Warszawie, przyjazny, ale jakiś nieśmiały, niepodobny do Niej, rzekomo drugi po liście, pisany do Wina, który widocznie zaginął. List otrzymany przypominał głównie obietnicę przysłania technika leśnego.

Nie zapomniał bynajmniej o techniku. Udał się do swego szkolnego kolegi, Franciszka Marczaka. Ten przyjął proponowaną funkcję, jednak uprzedził, że taksować las zwarty i gęsto podszyty można dopiero wtedy, gdy liść opadnie. Kazimierz pośpieszył donieść o tem Krystynie pod adresem Sidorkiewicza: i na ten list powinna była już dawno nadejść odpowiedź.

Nie słyszał nic o Krystynie, nie rozmawiał o niej z nikim, nawet z Apolinarym, który unikał jej imienia, zapewne celowo, tokując natomiast bezustanku o Aldonie. Ale gonila za nim postać Krystyny w czarnym stroju, postać z chwili pożegnania. Miał przecucie, że ona czeka na niego w swoim więzieniu, że go przywołuje... Ale dlaczego tak milczy? — — Po nocach śniła mu się, tracąc rysy rzeczywiste coraz bardziej, ulotna jakaś, czasem drażniąca nerwy bolesną rozkoszą, urojoną zazdrością, to znowu żalobna i chora. A dlaczego by ona naprawdę nie mogła być chora, skoro tak długo nie daje znać o sobie?

Po czterech tygodniach miotania się w za-

biegach i niepewnościach, Kazimierzowi uczyniło się nagle jasno w głowie: musi znowu jechać na Litwę.

Więc, gdy go pan Apolinary szukał w Warszawie, Kazimierz już był w Wilnie.

Pierwszym znajomym, którego spotkał, był Wiktor Hylzen, człowiek instynktowo przyjaźny. Ucieszyli się obaj ze spotkania, po chwili jednak Rokszycki zauważył, że Hylzen jest smutny i roztargniony. Znając go mało, nie chciał wypytywać i miejsce nie było po temu, gdyż spotkali się w tłumie i w foyer teatru. Rozmawiali więc obojętnie o sztuce, której pierwszy akt właśnie się skończył. Sztukę tę znał Kazimierz ze sceny warszawskiej, a Hylzen wyznał, że widzi ją tutaj po raz trzeci i przyszedł dzisiaj tylko dla popierania znacznych usiłowań dyrekcji teatru polskiego.

Dano znać dzwonkiem o końcu antraktu, ale Hylzen ociągał się z powrotem do sali. Poprosił owszem o szklanę limonady przy bufecie i ożywił się właśnie po rozplynięciu się tłumy.

— Widzi pan — rzekł do Rokszyckiego — my tu mamy wszystko do rozpoczęcia na nowo, jakbyśmy się obudzili ze snu tyfusowego. A trochę dopiero sił odzyskaliśmy po kordyałach, które nam dano: tolerancyi religijnej i konstytucyi.

— Cóż, kiedy i te kordyały wietrzeją, albo,

jeżeli kto woli, fałszowane są przez aptekarzy — odpowiedział Kazimierz.

— Pierwszy nie. Ukaz tolerancyjny był aktem doniosłym i szczerym. Pomimo zatargów z wykonawcami, tolerancya uzdrowiła znacznie stosunki na Litwie i Białorusi. Gdyby konstytucya, która w zapowiedziach swych zawiera wszystko, czego nam potrzeba, była istotnie wykonana, moglibyśmy dojść do spokojnego pożycia z Rosyą na zasadach sprawiedliwości i wzajemnej korzyści.

Kazimierz wpatrywał się w Hylzena, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Tak, panie Rokszycki; poznałem pańskie przekonania w Rarogach i umiem je szanować. Jednak nam tu na Litwie potrzeba dla normalnego rozwoju oparcia, nie o jakieś sympatyie i tradycye, lecz o potęgę państwową. Unia z Polską należy do cennych pamiątek historycznych; unia z Rosyą, choć zawarta przymusowo, jest faktem dokonanym i już dla nas potrzebą żywotną. Pozostając wiecznymi malkontentami w państwie, skazujemy się na zagładę.

— Jabym raczej powiedział, że, zapadłszy w zadowolenie z istniejącego stanu, skazali byśmy Litwę na stopniową zagładę i zanik.

— Ja nie mówię o absolutnem zadowoleniu z bieżącego stanu rzeczy — spierał się Hylzen. — Owszem, jestem stronnikiem wielu

reform. Mamy tu do utrzymania religię swoją i kulturę własną. Ale nie powinniśmy przeciwdziałać w niczem rosyjskiej idei państwowej.

— Jeżeli rosyjską ideę państwową przedstawia dzisiejszy rząd biurokratyczny, nie widzę możliwości współdziałania z nim, a zarazem obrony narodowej indywidualności Litwy.

— Po rozwoju idei konstytucyjnej Litwa może pierwsza z części składowych państwa rosyjskiego stać się wzorem prowincyi, albo i stanu w przyszłej federacyi.

— Ależ Rosya powraca wielkimi krokami do ustroju bizantyjskiego! — odparł Rokszycki. — Jakże tu się opierać na mżonkach konstytucyi lub federacyi? Chyba pan doradza współdziałanie z żywiołami rewolucyjnymi rosyjskimi?

— A, broń Boże!

— Na czemże tedy chce pan oprzeć stosunek federacyjny, czy inny, Litwy do Rosyi?

— Na wzajemnym interesie.

— Chyba tylko ekonomicznym? Interesy rasowe, religijne, kulturalne są przeciwne.

— Handlować trzeba — rzekł Hylzen — nawet z nierzetelnym kupcem, skoro się od niego absolutnie zależy. Nawet poeta musi jeść codzień.

— Ale nie fałszuje swej pieśni w celu sprzedaży — odparł Rokszycki.

— Nie wybrniemy z tego porównania, gdyż politykę najniebezpiecznej paralelizować z poezją. A to u nas błąd dość pospolity.

— Zgadzam się; ja też wcale nie jestem poetą. Tylko, gdy mówię o interesach jakiego kraju, rozumiem całość jego interesów. Rozkwit ekonomiczny jest podstawową, ale jedną tylko częścią potrzeb plemienia, lub narodu. Każdy naród poświęca ją bez wahania dla swych potrzeb duchowych, powiedzmy: instynktowych. Inaczej nie byłoby narodowości.

— Tak — zgodził się Hylzen — interesy religijne i kulturalne przodują w aspiracyach narodu. Powiem nawet, że, jako pobudki do rozwoju narodowości, są silniejsze, realniejsze, niż interesy praktyczne w ścisłem znaczeniu.

— No, a zatem? — czekał na wniosek Rokszycki.

— A zatem — uśmiechnął się Hylzen — w oczekiwaniu tego, co się stanie w Rosyi, pilnujmy tymczasem spraw swoich... Wrócimy już chyba do naszego teatru?

Zdawało się, że Hylzenowi chodzi głównie o to, aby on sam sformułował wniosek. Lubił sam z sobą głośno się spierać i zostać pobity przez własną fakundę. Drobną jego, zamysłoną twarz nosiła na sobie dziwnie zjednoczone piętna obowiązkowości i przekory.

Po końcu przedstawienia poszli razem do

hotelu Żorża na kolację. Choć dużo zastali tam znajomych, usiedli przy osobnym stoliku. Hylzen kazał podać butelkę szampana.

Nie było już mowy o sprawach publicznych. Towarzysze wieczerzy zbliżyli się dużo ściślej na gruncie powiadomień o wspólnych znajomych. Dowiedział się tu Kazimierz po raz pierwszy o zaręczynach Aldony Budziszówny z Kmitą i uradował się niepomiernie.

— Myślałem, że pan na te zaręczyny przyjeżdża — rzekł Hylzen. — Wiem, że szukano pana po świecie, aby go zaprosić na 29 września, na zjazd do Wiszun.

— Bardzom za to wdzięczny państwu Budziszom, ale listu nie otrzymałem; kręciłem się wprawdzie dużo po kraju przez ten miesiąc.

— Pisano i do wuja pańskiego i osobno do pana.

Zanotowawszy z zadowoleniem tę wiadomość, Kazimierz począł krążyć pytaniami około Rarogów, aż obaj wzajemnie po sobie zauważyli, że zdążają ku rozmowie o pani Krystynie. Hylzen zachmurzył się, Rokszycki utracił nieco swobody; obu widocznie zelektryzował ten temat. Zaczął Hylzen:

— Od czasu jak pani Krystyna wyjechała z Rarogów...

— Wyjechała?! — przerwał Kazimierz zdumiony.

— Jakto? nie wie pan? Wyjechała z panną

Zubowską i z leśnikiem i dotychczas niewiadomo dokąd. Może Chmara i wie? ale milczą tam o niej, jak o wykletej.

Wzruszenie Rokszyckiego zdradziła nagła bladeść. Spostrzegłszy to, Hylzen smutno uśmiechnął się:

— Pomysł łatwy do wytlómaczenia: dusiła się oddawna w Rarogach. A teraz jakieś projekty pana Chmary, nie po jej myśli, wypędziły ją ostatecznie... Szkoda tylko, że wykonanie tej niby ucieczki takie było pośpieszne. Ma przecie przyjaciół, którzyby coś stosowniejszego doradzili.

— I niema śladu? — pytał Kazimierz, jakby powracając z dalekiej pogoni wyobraźnią za Krystyną.

— Zamieszkała gdzieś w naszej okolicy, gdyż nie pojechała koleją. Jednak nie u znajomych. To się wykryje wkrótce, tylko niepotrzebna legenda... Ja sam byłbym jej ofiarował u siebie mieszkanie z panną Zubowską, ale właśnie byłem w Mińszczyźnie, gdy to się stało.

Kazimierz zerwał się nerwowo od stołu i znowu siadł. Ten jego niepokój wystarczył Hylzenowi za wyznanie. Rzekł, wpatrując się w młodzieńca uważnie:

— Widzę, że pana to zdarzenie obchodzi, jak nas tu wszystkich, przyjaciół pani Krystyny.

Kazimierz nie zapał się:

— Bardzo mnie obchodzi. Muszę nawet koniecznie odszukać panią Krystynę, mam jej zdać sprawę z kilku rzeczy...

Czy na przekorę, czy dlatego, że projekt nie przypadł mu do smaku, Hylzen zaoponował:

— Jabym jej nie szukał. Może umyślnie uciekła od ludzi? Nie trzeba płoszyć duszy, która pragnie być sama.

— Może być. Ale ja muszę, bo dostałem nawet taki rozkaz.

— To co innego — odrzekł Hylzen i widocznie osowiał.

Zwykł był podporządkowywać wszystkie swe wzruszenia wykwintności form towarzyskich. Nie dał więc poznać po sobie zmiany humoru, zajmował Kazimierza konwersacją aż do końca wieczery. Ale Rokszycki myślą i uwagą był daleko.

XXII.

Od rana dnia następnego zaczął Kazimierz gorliwie poszukiwać wiadomości o Krystynie i o miejscu jej pobytu. Fedkowicz był w mieście. Odwiedził go Rokszycki i czule został przyjęty, ale, gdy od interesów przeszedł ostrożnie do nowin z Rarogów, oblicze krewnego Chmary oblekło się tajemniczym zgorzeniem. Pani Krystyna opuściła dom wspólniałości, najlepszego opiekuna, uciekła z leśnikiem Sidorkiewiczem.

— Uchowaj Boże! — wznosił Fedkowicz oczy i ręce do nieba, jakby modląc się, aby od niego i blizkich jemu odwrócił Bóg takie ciosy, czy takie kobiety.

Rokszycki nie wdał się w dyskusję, tylko zapytał o miejsce zamieszkania Krystyny. Fedkowicz bardzo energicznie oświadczył, że nie wie, a dał do zrozumienia, że nikt i wiedzieć nie chce.

Od paru jeszcze osób usłyszał Kazimierz

mocno niepokojące wieści; co gorsza, nikt nie mógł dokładnie powiedzieć, gdzie się znajduje Krystyna. Chodząc po mieście, popadał w gorączkę, zamyslał o jakiejś depeszy do Sidorowicza — — nie dojdzie; do księżnej Zasławskiej — — niepodobieństwo; do Hieronima Budzisa? Cóż znowu!

Szybko przebiegał ulice, jakby się śpieszył, ale właściwie nie wiedział już, dokąd pójść, co począć natychmiast. Jego zabiegi około Inu wydały mu się nagle nie wartemi funta kłaków; nowi znajomi litewscy zobojętnieli, i samo Wilno obrzydło.

Co to jest?... Jakiś dom o sześciu piętach, »drapacz gwiazd« — — a dalej ulica szeroka, tymczasowo zabrukowana, pomiędzy dwoma rzędami tych kamienic nowych, oblepionych balkonami i ohydną gipsaturą, służących właścicielom za klatki do spakowania w jak najmniejszej kubiczności powietrza jak najliczniejszych, wyzyskanych do cna lokatorów. Sztywna ta, szara, nie wileńska wcale ulica zwała się jak na żart »wielką Pohulanką«.

Wiatr tylko hulał po niej, rzadki przechodzień uciekał, zdawało się, stamtąd do bardziej swojskiego, cieplejszego wnętrza miasta. Rokszycki był tu już dawniej u handlarzy Inu, Żydów i Niemców, i ten kąt miasta zapamiętał, jako obcy noworost na czerstwej i pięknej postaci Wilna. Właziła tedy do miasta

bezduszna »kultura« kosmopolityczna, właściwie filozofia robienia rubla z kopiejki, będąca rozumem Żydów.

Przypomnił sobie Rokszycki i kojarzył liczne zdania o rozwoju ekonomicznym, jako głównym postulacie dzisiejszej Litwy. I gorzko uśmiechał się do nieożywionego tradycją narodową rozwoju ekonomicznego, patrząc na podłą ulicę.

Szedł po chodniku człowieczek stary, krokiem podrygującym; zdawał się pływać w ubraniu miejskiem pożyczonem, a może i ukradzionem, gdyż z pod chłopskiej czapki wyglądała twarz zanadto filuterna. W niespokojnych czasach policyant zabralby, nie pytając, tego przechodnia do aresztu. Patrzył na niego Kazimierz, choć pochłonięty przez inne myśli, gdyż postać gwałtem przyciągała oczy przez swój rozdźwięk plastyczny z nowożytną ulicą. Wtem staruszek machnął ukłon czapką i ukazał swą głowę łysego lisa.

— Jurko Lejtan! — uradował się Kazimierz.

Zaszumiała puszcza, zagrały psy, wypiętrzyły się jodły pod słońcem w olśnionej wyobraźni Rokszyckiego.

— Pewno po ładunki i przybory myśliwskie do miasta? — zaczępił wesoło strzelca.

— Dzisiaj nie do puszkarza. Przyszło się

staremu buty nowe kupić, musi już na pogrzeb...

Okazał nowy but z pod pogniecionej, nawyklej do przewiązania w pęcinie nogawicy. Ale uśmiechem żywym i przebiegłym wyzywał żartobliwie śmierć na pojedynek.

— Co znowul — rzekł Kazimierz — chyba że buty nosić będziecie ze trzydzieści lat?

— Daj, Boże, trzydzieści — godził się łątwo Jurko na przedłużenie swego pobytu na ziemi.

Rokszyciemu błysła myśl, że Lejtan musi być powiadomiony o pani Krystynie. Coś jakby jej bliskość przeczuł w powietrzu. Namysłając się nad rozpoczęciem indagacyi, nie znalazł nareszcie nic lepszego, jak dać rubla strzelcowi.

— Widzę, że fajki nie macie.

— Ot, jak panicz zgadł! Fajkę ja zawczora do wody upuścił, lecąc po kaczkę. Szukał, szukał, a ciemniénko już było — aż tu chlup! panieńku ty mój, wielka ryba fajkę połknęła. Dalibóg!

— A to dopiero wypadek! — rozśmiał się Kazimierz. — Więc ciągle polujecie? czy w znanych mi okolicach?

— Ot, kiedy nie ze wszystkim mnie wiadomo, które panicz znasz?

— Pytam o Wiszuny, Rarogi, Auszrę...

W dwóch mrugnięciach oczu zdał sobie

Lejtan sprawę, o czem chce się dowiedzieć Kazimierz.

— Smutna teraz Auszra, że młodej pani niema.

— Wiecie może, dokąd wyjechała?

— Wiedzieć to można — rzekł misternie Jurko, zwiesiwszy krzywo głowę i nadstawiając ucha, jakby pytał o legitymację Rokszyciego przed udzieleniem mu wiadomości.

Kazimierz bezwstydnie dał Jurkowi drugiego rubla, którego stary przyjął z godnością.

— Dziękuję, paniczu. Ja i tak powiedziałby, bo i nie kłął się, żeby nie mówić.

— Więc powiedzcie, mówcie!

— A to ona mieszka w Ponikszcie u księdza, dawnego jej... prowizora.

— Gdzie ta Poniksza?

— Mil od nas będzie sześć, a przez łąki wiele, jeśli cztery. Od Wilna daleko, tylko kiedy na pociąg siądziesz, to i blisko. Śpisz, panieńku ty mój, oczy zamrużywszy, a tu już i maszyna wabi się świstem: stacya Poniksza.

— Wiecie napewno?

— Jak nie wiedzieć? Sam ja tam byłem tydzień temu nazad.

— I widzieliście? no, mówcie, mówcie!

Jurko przełknął najprzód ślinę, rozszerzył gębę smakowitym uśmiechem i zagadał po

swojemu, jakby o najosobliwszem zdarzeniu myśliwskim.

— A to było tak, panieńku ty mój: przyjechali my kaczki strzelać na poniksztyńskie łąki, ale na ranny ciąg nie pośpieli. Tak ja do księzego dworku, gdzie brat mój Piotr dla zbawienia duszy u księdza służy, a jeszcze na inny manier grosze zbiera, bo jest wszelaką chorobę znający i ludzi leczy i bydło, — psa to już nie umie. A tak i niewinność ochrania i worek nabija.

— Dobrze, ale widzieliście panią Krystynę?

— Poczekaj panicz, pośpiejesz usłyszeć. Stoję ja tedy przed dworkiem z bratem, o świętych rzeczach rozmawiając, aż slysze, okienko ciurr... odkryło się, skrzypnąwszy. Patrzę w oknie młoda grabini sama, bieleńka, choć ty ją łyżką jedz! Rączkę do mnie sunie malusieńką, pachnie, jak kwiatusek...

Kazimierz słuchał, niby melodyi, z nieznaných płynącej instrumentów.

— »Dzień dobry, Jurko!« — Do nóg się kłaniam. — A już ona rozporządziła, żeby wódki i co tylko zechcesz. A mnie pyta: »Nie widział ty, Jurko, po świecie ochotnikiem błędzący, pana Raukszyckiego, co to my z nim na lisy w Rarogach polowali?

— Wspomniała o mnie? doprawdy?

— Tak i mówiła, dalibóg! A oczki tak i biegały po drzewach, jak wiewiórki. To ja

mówię: nie widziałem, jasna ty pani, tylko czuję, pan Raukszycki do Wilna szparko przyjedzie, bo pora już jemu.

— Co też wy opowiadacie, Jurku? Tak przecie nie mówiliście o mnie?

— Wiadomo, słów pamięcią nie chwycisz, ale taki już duch był między nami...

Długo jeszcze wypytywał Kazimierz starego poetę o wrażenia z Ponikszty i o szczegóły pobytu tam Krystyny. Potem lekko, z pierśią pełną otuchy, powrócił do hotelu.

W hotelu zastał Apolinarego Budziszę, który po drodze do Wiszun wstąpił do Wilna, aby choć w przelocie objąć okiem nowe swe pole działania.

Zaraz po przywitaniu załamał wuj ręce, kiwając boleśnie głową:

— Oj, Kaziu, Kaziu!

Niespodziewanie Kazimierz zaczął też głową kiwać:

— Tak, wuju...

— A nie mówiłem? okazała jedyna, chwycę z przed nosa... To tak jak *in publicis*, dobrodzieju mój. Sprawa publiczna jest, jak panna na wydaniu: jeżeli jej nie chwycisz w objęcia, pójdzie za kim innym.

— Tak, tak, wuju.

Pan Apolinary spojrział z ukosa na siostrzeńca. Jego skrucha wydała mu się podej-

rzaną, gdyż na przekorę słowom twarz i ruchy świadczyły o radosnem podnieceniu.

— Czegoż się tak cieszysz, jeżeli wolno wiedzieć?

— Cóż wuj chce? Nie zabiję się; nie jedna panna Aldona jest na świecie.

Budzisz pohamował gniew retrospektywny, ale pozostała mu niezadowolona szorstkość w głosie:

— Pojedziesz przynajmniej do Wiszun na zaręczyny? — — — cóż? raczysz, czy nie raczysz?

— Nie widziałem dotąd zaproszenia.

— Masz tu jedno, drugie — rzekł Budzisz, podając dwie koperty. — Oj, Kaziu! wielki los z rąk wypuściłeś!

Rokszycki nie był dzisiaj do siebie podobny; odpowiadał z błogim uśmiechem aprobacyjnym, który wuja działacza niecierpliwił. Więc pan Apolinary zagadnął o co innego:

— Jakże znalazłeś tu kwestyę polsko-litewską?

Kazimierz zmarszczył czoło i dopiero po chwili odpowiedział:

— Stoi zapewne na miejscu, jak zwykle. Spierają się o słowa, te same argumenty przeżywają od kilku lat — i nic. Czasem się pokłóca, w jakim języku ma być kazanie, czasem o Mickiewicza. Kłóca się tylko ci, którym

chodzi o kłótnię. Historycznie i politycznie — sprawa śpi. —

— Bardzo lekka ocena sytuacji — odparł Budzisz nieprzekonany.

Wpatrzył się znowu w Kazimierza przenikliwie:

— A cóż len?

— Len?... Tak sobie. Wyjeżdżam właśnie zaraz do miejsca, gdzie mi sygnalizowano wielkie zbiory w tym roku.

— Jakto: wyjeżdżasz? Więc nie razem pojedziemy do Wiszun?

— Nie wiem jeszcze, czy wogóle tam się wybiorę. Zależć to będzie od pewnych interesów, które są dla mnie pilniejsze.

Pan Apolinary zaperzał się coraz bardziej, aż nareszcie przyszło mu do głowy, że Kazimierz drwi z niego, i wybuchnął.

— Wiesz co Kaziu, że cię miałem za większego zucha.

— No, bo co?

— Jakżeż? Miałeś się niby namyślić nad projektem z Aldoną — no, i klamka zapadła. Gadałeś tu z różnymi o polityce — do czegoś się dogadał? Len cię zajmuje, a nie wiesz nawet, gdzie fabrykę chcesz stawiać. Już i stosunki towarzyskie, które dzięki mnie zawarłeś, lekceważysz. Cóż ci się stało, żeś tak ześlamazarniał?!

Kazimierz zaostrzył tylko trochę uśmiech,

lecz pojednawczo spoglądał na perorującego wuja.

— Patrz na mnie! — mówił dalej pan Apolinary. — Ja się wprawdzie nie żenię, ani przędę; nie robię wszystkiego naraz. Ale, co robię, to mocno. Nie zauważyłeś pewno, bo masz co innego w głowie, jaki się tu zrobił ruch z mojego natchnienia... w gazetach? Mógłbym ci pokazać — no, nie twoja specjalność — rozumem. Ale z pouczającej wędrówki, którą odbyłeś i odbywasz jeszcze ze mną, skorzystaj przynajmniej dla poznania ludzi. Ja ich grupuję, popycham, gdzie należy, zwalczam, jeżeli potrzeba; ty przynajmniej patrz się na mnie...

Kazimierz pozostawił pana Apolinarego w wątpliwości, czy, milcząc, skłania głowę przed grzmiącą powagą wuja, czy myśli zgoła o czym innym.

W godzinę potem Rokszycki wyjechał cicho, bez pożegnania.

— Nic z niego nie będzie — zawyrokował Budzisz.

XXIII.

Przyjechał, stanął w karczmie, dał znać do dworku księdza Antoniego, otrzymał za-proszenie od Krystyny z usilną prośbą o po-spiech i podążył już wielkimi krokami od placu kościelnego przez główną ulicę, a ra-czej trakt, przerynający Ponikszkę. Droga była rozmoczona po deszczu, drzewa przy niej rosły jeszcze przy każdym powiewie na-tryskami rozżęzonych w słońcu kropel. Ka-zimierz trzymał się jednak, dla ominięcia błota, przy rowie, którego ciemna zieleń wkraczała tu i owdzie na drogę, skakał przez kałuże lekko, czując, jak go nogi niosą same jakimś dreszczem, przerobionym na siłę. Wchodził do zapłakanego niedawno miasteczka, jak ten promień słoneczny, szczęśliwy, zdawał się go nieść na sobie i rozsiewać po uśmiechniętej krainie.

Już dosięgnął brzegu parku. Mówiono, że przy drodze?... Jeszcze kilkadziesiąt szybkich

kroków i mocnych uderzeń serca... Ten małeńki domek pod ogromnym baldachimem ozłoconej zieleni — czy to tu?... Niewątpliwie — na progu stoi Ona!

Kazimierz przeskoczył raczej, niż przeszedł mostek, ujął obie ręce Krystyny i długo je całował w milczeniu. Pociągnęła go za sobą nie do domu, lecz w pobliże do parku, chociaż drzewa oczekiwały jeszcze kroplami, szmerząc tajemniczo. Ptak jakiś cieszył się głośno z końca ulewy.

Objęli się najprzód wzajemnie utęsknionem spojrzeniem i stwierdzili, że wyglądają dobrze. Żary, skupione w ich oczach, tłómaczyły więcej, niż proste słowa wstępne.

— Jeden tylko list otrzymałam.

— I ja jeden.

— Niepodobieństwo!

Porzucili zaraz to dociekanie. Za pomocą szybkich słów, niby ciosów, rąbali istniejące między nimi rzeczy niewiadome i wątpliwe, jakby przedzierając się przez gąszcz ku sobie wzajemnie. Coraz większa jasność w nich wstępowała, kojąca i magnetyczna. Były jednak przedmioty rozmowy do poruszenia trudniejsze, nie tylko projekty na przyszłość, lecz i drobiazgi aktualne, głupstwa niby... Od takich jednak drobiazgów zależy szczęście chwili, a często i życia ludzkiego.

Z serdecznem zadowoleniem dowiedział

się Kazimierz, że Krystyna nie pomyślała o wproszeniu się do jakiego dworu lub pałacu okolicznych znajomych, lecz obrała sobie za mieszkanie tę pustelnię księdza.

— Doskonale pani to wynalazła. Bo gdzieżby zresztą można? W Wiszunach zaręczyny — a pani szuka spokoju. A już najserdeczniej winszuję, że nie do księżnej Zasławskiej. To dopiero »wyższe towarzystwo!«

— Nie lubi pan księżnej? — spojrzała Krystyna prosto w oczy Kazimierzowi.

— Nie cierpię; mogę to pani wyznać bez ogródki.

Powiedział to tak szczerze i naturalnie, że Krystynę poniosło aż do wyświetlenia wieści o epizodzie ogrodowym.

— A tu o panu i o księżnej krążą plotki... romantyczne.

Kazimierz zdumiał się, gdyż nie pamiętał nawet, aby o księżnej Zasławskiej mówił lub słyszał po wyjeździe z Rarogów.

— Wie pani, że to już przechodzi wszelkie wyobrażenie. Ostatni raz mówiłem z tą... wybitną damą w ogrodzie w przeddzień mego wyjazdu.

— Właśnie o tej przechadzce... — rozśmiała się Krystyna, odwracając oczy.

Kazimierz zatrzymał się i brwi zmarszczył...

— Rozumiem: księżna opowiadała o na-

szej rozmowie, bo nie mógł nikt inny... Opowiadała... na opak. Są kobiety, których nie warto oszczędzać, bo same nie oszczędzają ani siebie, ani innych.

Krystyna piła gniewne słowa Kazimierza z rozkoszą. Ale on się zasepił:

— Widzę, że same złe o mnie wieści tu dochodziły. Czy pani im dawała wiare?

— Nie, panie. Ale zgadł pan, że pracowano tu usilnie, z wielu stron, aby pana... podać w wątpliwość.

— Tak — rzekł Kazimierz mocno i dumnie — ludzie podli przeszkadzają, aby przypadkiem nie stało się co dobrego na świecie.

Krystynie wyrwało się z piersi głębokie, drżące westchnienie. Czekala przez chwilę na dalszy ciąg przemowy Kazimierza, ale on zamilkł i groźnie wypatrywał przez gąszcze jakichś zaczajonych nieprzyjaciół. Spojrzał potem na twarz Krystyny rozjaśnioną, mówiącą tylko o bezwarunkowym, namiętnym zaufaniu.

— Na szczęście my... wierzymy sobie? — rzekł, biorąc za wyciągające się ku niemu dłonie Krystyny.

— Na szczęście — powtórzyła cicho.

Bezładnie powracali do wzajemnych o sobie powiadomień, przerywając ciągle wykrzyknikami, że nic nie wiedzą, a jednak o tem wszystkim już pisali do siebie. Poczta, choćby najgorsza, nie zagubiłaby tylu listów;

widocznie przejmowano ich korespondencyę na stacyach prowincjonalnych litewskich. Dowiedziała się więc tu dopiero Krystyna, że Kazimierz nie przestał myśleć o jej interesach, że zamówił technika leśnego na koniec listopada; że przemyśla o budowaniu przędzalni nie w Ziembowie, lecz gdzieś na Litwie. A Kazimierz pierwszy raz tu usłyszał naprzykład o pułkowniku Chmarze i jego odrzuconych staraniach! Te wszystkie wiadomości składały jakiś nienazwany, a jednak jaśniejący w półświadomości młodych wniosek, jakieś zbliżanie się szczęścia, niby wigilię wielkiego święta serc, radosną częstokroć, jak samo święto. Wzmogła się między nimi ciepła, roz hulana zażyłość; mówili śpiesznie, pełni wesela, nie licząc się ze słowami.

— Więc ja nie wyszłam za pułkownika, a pan nie zaręczył się z Aldoną Budziszówną — bo i o takim projekcie tu opowiadano...

— Był projekt — śmiał się serdecznie Kazimierz — tylko nie mój, ale wuja Apolinarego Budziszsa. Żeby pani wiedziała, com ja wycierpiał przez tę pannę Aldonę, która Bogu ducha winna, a serce Kmicie! Pan Apolinary zarejestrował konieczność mego małżeństwa z nią do swego programu politycznego, a gdy on co wymyśli, to rzecz niełatwa wybić mu

z głowy, zwłaszcza z gardła. Wmawiał to moim rodzicom, sąsiadom, bodaj że wniósł na sesję swoich tam komitetów... Kiedym się dowiedział o zaręczynach z Kmitą, odetchnąłem. Nie od ciężaru jakichkolwiek zobowiązań, bom żadnych nie zaciągał, ale od wymowy wuja. Teraz wuj jest na mnie wściekły i dowodzi mi, żem niedołęga.

— On panu?! — zawołała Krystyna.

— Niech pani tego do serca nie bierze: najlepszy człowiek, bardzo się lubimy.

— Zaprosili mnie na zjazd zaręczynowy do Wiszun — dodała spokojniej Krystyna.

— Mnie także.

— I pan pojedzie?

— A pani?

— Mogę pojechać, jeżeli pan tam będzie.

— Ja tem bardziej. A to doskonale!

Przedłużająca się perspektywa wspólnych planów wywołała chwilę radosnego milczenia. Kazimierz spojrział w górę na niezmierne bukiety w tonach żółto zielonych, zwieszające się, piętrzące, rozszeptane przyjaznym pogwarem nad jej i jego głowami.

— Wspaniale tu mieszka sobie ksiądz Wyrwicz.

— Parku nie dzierżawi — objaśniła Krystyna — park i dwór są puste, bo w nich straszy podobno marszałek Stetkiewicz, dawny dziedzic.

— I dlatego nikt nie dzierżawi? — — Wi-dzę, że trzeba kupować tu dwory, zamieszkałe przez duchy; muszą być tanie, a bywają cudowne — rzekł żartobliwie Kazimierz.

Ale Krystyna z żartu wyłowila inną intencję:

— Czy pan szuka ziemi do nabycia na Litwie?

— Bardzobym pragnął tu osiąść, tylko jeszcze cała przyszłość jest w stanie wrzenia.

Wyraz »przyszłość« zamykał im usta, lecz oczy napelniał ogniem.

— A gdzie ksiądz Wyrwicz? — odezwał się znowu Kazimierz — czy wie o moim przyjeździe?

— Wie oddawna.

— Oddawna?

— Mówiłam mu, że zapraszałam tu pana. Tu są przecie duże zbiory lnu. Zobaczysz pan, ile tego moczy się w jeziorze.

— Prawda! nie otrzymałem i tego listu pani, bom dawno wyjechał z Ziemkowa. Więc pani i o lnie myślała... Ja zaś przyjechałem bez zaproszenia — szukałem, szukałem — i znalazłem.

— To już jest... jak się to nazywa?... telepatya! Czuł pan, że go zapraszam.

— A pani czuła... listy ode mnie?

— Czułam... ale gorliwie mi przeszkadzano.

— Teraz już chyba nikt przeszkodzić nie zdoła, abyśmy sobie ufali i połączyli nasze

usiłowania... w celach... dla jakiejś przyszłości.

Kazimierz, który mówił łatwo, nie znalazł stosowanego wyrazu. Znowu słowo »przyszłość«, wielkie, odurzające, ale nieokreślone, stanęło w poprzek swobodnemu porozumieniu.

Krystyna potrząsnęła głową, odgarniając nawał myśli.

— Nie wiem, doprawdy, gdzie się podział ksiądz Antoni. Był tu niedawno i miał zaraz powrócić. Poszukajmy go, bo przecie pan musi zaraz go poznać.

Poszukali księdza w domu, ale go tam nie było.

Spotkali tylko pannę Zubowską, z którą przywitanie zajęło kilka minut. Piotr, przedstawiony Kazimierzowi, jako brat Jurka, oznajmił, że dobrodziej nie będzie dzisiaj na wieczery we dworku, gdyż obiecał być u księdza dziekana. Pierwszy raz to się zdarzyło od przyjazdu Krystyny.

— Chodźmy do niego; dzisiaj koniecznie musi go pan poznać.

— Pójdę, gdzie tylko pani rozkaże.

Poszli więc tą samą ulicą niebrukowaną, którą Kazimierz przebył niedawno w odwrotnym kierunku. Osychała już po deszczu, założona przerywanym pomostem ostrych cieniów od drzew i domów, gdyż niższe słońce świeciło jaskrawo. Para młodych piękna,

chyża, ubrana zupełnie inaczej, niż zwyczaj chciał w Ponikszcie, była zjawiskiem pociągającym. Rozdziawiały się domy przydrożne drzwiami i nawet oknami. Znowu tam ksiądz Wyrwicz naspraszal dziwnych gości... będzie może wieczorynka?

Nie było księdza Antoniego u dziekana. Dziad kościelny, stojący u furty od zakrystyi, objaśnił, że ksiądz Wyrwicz kazał sobie kościół otworzyć i wszedł do wnętrza.

Zawahała się Krystyna, czy wejść, czy czekać na księdza Antoniego pod kościołem. Ale właściwie każdemu wolno wejść do domu Bożego. Weszli więc cicho i stanęli oboje we drzwiach od zakrystyi. Przed wielkim ołtarzem klęczał ksiądz Antoni nieruchomy, czoło ująwszy prawą dłonią, jakby dopiero co zaniosł swą modlitwę pytającą wzwyż, a teraz w skupieniu słuchał, co mówi Pan...

Pusty kościół już się mrokiem oblekał choć wysokie okna były wielkie i jasno oszlone. Ale za witraże od strony zachodniej starczyły gałęzie blizkich drzew, wahające się za szkłem w gobelinowe wzory. Przez niepewne światło błędziły po nawie pasma płynne, bitwy powietrzne cieniów. Napływało ich coraz więcej, wkrótce noc miała przemódz. Czarny, wysmukły ksiądz, klęczący przed ołtarzem, streszczał pustkę i mistyczny smętek świątyni.

Kazimierz i Krystyna, choć weszli cicho, musieli poruszyć równowagę fal, tutaj przelewających się, gdyż ksiądz Antoni odwrócił głowę. Zaraz uczynił na sobie wielki znak krzyża i powstał. Przeszedł w milczeniu przez zakrystę, poważnym ukłonem głowy i ręki dał znak wypraszający z kościoła i dopiero za furtą zapoznał się z Kazimierzem i przemówił do niego:

— Już od kilku dni wyglądamy tu pana. Lny już ściągają powoli z łąk i jeziora.

— Czy prawda, że ksiądz profesor chce nas dzisiaj pozbawić swego towarzystwa przy wieczerzy? To niegościnnie — rzekła Krystyna, kładąc drobną swą dłoń na czarny rękaw księdza.

Ksiądz spojrział na nią z dziwnym uśmiechem, smutnym i przenikliwym, który wyrażał jasno powątpiewanie o jej szczerości w tej chwili; ale rzekł tylko:

— Dzisiaj muszę być u księdza dziekana. Jutro przyjdę o zwykłej godzinie.

— Można odłożyć wieczerę u dziekana — upierała się Krystyna zapłoniona — pan Rokszycki przyjechał tylko na parę dni.

— Nie, moje dziecko; już obiecałem. A pan może na noc do altaryi? Zawsze tam lepiej będzie, niż w karczmie.

Kazimierz nie bardzo wiedział, co znaczy »altaryja«.

— Ten oto dom, gdzie mieszkają zbyteczni słudzy Boży, jak ja. Ale i rycerz Boży w przejeździe może się tam pomieścić.

Kazimierz przyjął gościnność z głębokim ukłonem.

Tego dnia nie ujrzano już księdza Antoniego w dworku, gdzie do godziny jedenastej w nocy świeciły wszystkie okna niezwykle rzęsiście.



XXIV.

Ksiądz Antoni i Kazimierz razem przybyli nazajutrz do dworku i zabrali miejsca w jedy-
nym bawialnym pokoju, którego atmosfera
biblioteczna coraz bardziej przerabiała się
w pozorze i zapachu na wnętrze, zamiesz-
kane przez kwiaty i Krystynę. Wesoly, inte-
lektualny spokój, panujący tu jeszcze wczoraj,
zachwiał się od przybycia Kazimierza.
Czworo tych ludzi długo tu razem pozostać
nie mogło; z tej klatki, nietrwale, choć tak
troskliwie zbudowanej, dwa młode ptaki prze-
znaczone były do odlotu.

Mężczyźni patrzyli na siebie uważnie i nie-
co sztywnie, jak zwykle bywa przy spotka-
niu dwóch różnych i silnych indywidualności.
Starania Krystyny, aby utrzymać zagnieżdżoną
już serdeczność, niemal familijną, niewiele po-
magały; ksiądz Antoni bardziej był dogmaty-
czny, Kazimierz zimniej wymowny, niż zwy-
kle. Deszcz znowu padał na dworze, towarzy-
stwo musiało pozostać zamknięte między ścia-

nami. Nie ustawała jednak rozmowa poważna,
zmierająca do ideowych i utylitarnych celów
w przyszłości, ale brakło ciepła i zupełnego
zespolenia. Zdania dążyły równolegle po je-
dnej płaszczyźnie, miały się, według matema-
tyki, spotkać w nieskończoności; tymczasem
jednak, dla oka, leżały obok siebie, blizkie,
lecz niezestrzelone w jedność. Ile razy Kry-
styna uczyniła aluzję do uprzednich rozmów
z księdzem Antonim, ten uśmiechał się i prze-
rywał, jakby chciał rzec:

— Tamto było między nami...

Omawiano jednak kwestye, gorąco obcho-
dzące ich wszystkich.

Przyszłość polskośći na Litwie była, zda-
niem księdza Wyrwicza, nie tylko sprawą po-
lityczną, lecz i etyczną. Cokolwiek dobrego
i pięknego zakwitło od wieków na Litwie,
miało swój początek w źródłach polskich. Li-
twa wydała z siebie bardzo wiele, ale jedy-
nie przez inokulację polską. Nie ubliża to
dziczce, że dobrze przyjęła i rozwinęła szczep
obcy w wyborny owoc. Sama z siebie, jako
dziczka, nie wydała od wieków nic, a nawet
zadziwiający jest istotnie stwierdzenie faktu,
że inna inokulacya, niż polska, na pniu litew-
skim, nie wydała żadnych owoców, albo gdy
się przyjęła, przerodziła drzewo na zupełnie
inne, z gatunku zaszczepionego, nie zaś pier-
wotnego. Gdy się Litwini niemczą, zostają

Prusakami; gdy się rusyfikują — Rosyanami. I trudno by nawet wskazać wybitne indywidua z pomiędzy tych kategorii. Jedynie spolszczeni Litwini przynieśli rozwój i zaszczyt swojej rasie.

Rokszycki, godząc się w zupełności na te wywody księdza, przypomniał tylko, że młody ruch narodowy litewski nie chce się wcale liczyć ze wskazówkami historii. Przytoczył rozmowę swą z Miłaknisem, który radby odwrócić na wieki kartę dziejów przeszłych, robionych przez polską i spolszczoną szlachtę, a zacząć nowe dzieje ludu litewskiego. Lud pozostał sobą i do niego przyszłość ma należeć. Jest w tem niejaka zasada — dodał Rokszycki — godzi się to z potężnym, dawno już Europę nurtującym prądem demokratyzacyi społeczeństw.

— Demokratyzacya, tak — odrzekł ksiądz żywiej. — Póki demokratyzacya jest usuwaniem niesprawiedliwych przywilejów — dobrze; póki dźwiganie ludu do wyższego obywatelskiego poziomu — wybornie. Ale, gdy się zaczyna walka z dobytami własnej kultury, aby je obniżyć do pojęć ludu, jakim dzisiaj jest, to już trąci barbarzyństwem. Nasz ruch ludowy litewski, zwany narodowym, jest przeważnie zazdrośnym ruchem społecznym, nieopatrzonym strajkiem młodszych przeciwko starszym.

— Jednakże, biorąc rzecz z ich stanowiska, jest to ruch narodowy — spierał się jeszcze Kazimierz.

— O ile dąży do rozwoju kultury litewskiej, tak — odparł ksiądz Antoni. — O ile niweczyć chce kulturę polską na Litwie, jest zabójczy, bo cały dorobek kulturalny tego kraju jest tymczasem wyłącznie polski. Gdyby o tem zapomnieć, a snuć na nowo wątek nawiązany do wieku XIV-go, zanim się coś zbuduje, przestanie się istnieć. Wtedy bowiem, do obrony swej narodowości przeciw zalewowi innych, silniejszych, Litwini mieć nie będą ani wyższości wewnętrznej, ani liczebnej, ani jednego sprzymierzeńca. Sąsiedzi nie czekają, aż Litwa się odrodzi z gruzów i popiołów XIV-go wieku. Ażeby iść naprzód w rozwoju rasy, nie można się wyprzec pięciowiekowej ewolucyi.

— To niewątpliwe — zgodził się nareszcie Kazimierz bez zastrzeżeń.

Rozmowa przeszła w wykład księdza profesora dla wybornie przygotowanych słuchaczy. Ale Krystyna zdawała się niezupełnie zadowoloną ze zgody teoretycznej:

— Co my jednak mamy tu robić, księżo profesorze? Jest nas troje, tak samo myślących (panna Zubowska zdrzemnęła się w fotelu) i cóż? Co mamy robić, żeby lepiej było na Litwie?

— Ha, moje dziecko! w kilku słowach nie potrafię streścić praktycznego programu. Działać zbiorowo, normalnie, jak w krajach szczęśliwszych — niezmiernie trudno. Pozostaje jedno...

— Spiskować?... — wtrąciła żywo Krystyna, błysnąwszy oczyma, jak do jakiejś zbliżającej się rozkoszy.

Ksiądz uśmiechnął się i przydługo zwlekał z odpowiedzią, wpatrując się w swą dorosłą uczennicę.

— Tak, spiskować... w Chrystusie. Doskonalić się, być najlepszymi ludźmi w tym kraju, świecić przykładem, pociągać ku sobie bliźnich wszelkiego pochodzenia, na miłowaniu budować gmach przyszłości.

Nikt nie zaprzeczył, ale nikt już nie podtrzymał rozmowy, wchodzącej na takie szczyty.

Poczęto przeglądać bibliotekę, którą ksiądz Wyrwicz pokazywał z pedanterią miłośnika książek. Ale Kazimierz nie dość był czuły na takie odcienie, że to pierwsze wydanie, albo rzadka drukarnia, albo druk ozdobny. Ksiądz Antoni zaś uległ tej słabości.

— Gdy pan dojdzie do moich lat, pozna, jaki to przyjemny towarzysz książka piękna, miłą oku, zdobyta po długich poszukiwaniach. Choć treść znasz na pamięć, powracasz do ulubionego tomu, jak do przyjaciela, który

wszystko już wygadał, ale, powtarzając, uśmiecha się ujmująco i dobre czasy przypomina. Książki mają swe uśmiechy.

Kazimierz uśmiechał się tymczasem do księdza, zamiast do pierwszego wydania Mickiewicza, oprawnego w czerwony safian ze starą pozłotą wileńską.

Obiad przerwał te zajęcia, smaczny, jak wszelkie szczere produkcyje sztuki, trafiający zresztą w porę na zaostrome przez dobry klimat apetyty. Po obiedzie, jak wczoraj, rozjaśniła się pogoda, jednak ziemia tak była rozmoczona, że trudno było paniom wybrać się na przechadzkę. Ksiądz Antoni zaproponował Kazimierzowi pójść we dwóch do jeziora i obejrzyć moczzenie Inu. Krystyna zgodziła się chętnie tym razem na pozostanie przez godzinę w domu; pomyślała: niech się rozgadają i poznają.

Skoro tylko z błota wielkiej drogi wydostali się na suchszą, zadarnioną ścieżkę, ksiądz Wyrwicz przystąpił do rozmowy z wyrazem twarzy uroczystym, nawet podnieconym. Rokszycki poczuł odrazu, że nie o teoriach odezwanych będzie mowa: ksiądz miał wyraźnie coś do powiedzenia *ad hominem*. Nie było to zupełnie po myśli Kazimierzowi. Instynktowo cenił tego obcego człowieka, wierzył zresztą zdaniu o nim Krystyny — jednak... nie przyjechał tutaj spowiadać się.

— Tak, dużo można zrobić dobrego w tym kraju — powrócił ksiądz Antoni do przedobiedniej rozmowy — zwłaszcza, gdy kto zaczyna życie, jak pan, gdy ma w ręku swe jutro.

Kazimierz spróbował przerzucić rozmowę na osobę księdza:

— Wyobrażam sobie, że w połowie męskiego wieku praca musi być jeszcze przyjemniejsza, gdy się już widzi jej wyniki. Księża, na przykład, mają tu wielką robotę cywilizacyjną, jak zresztą wszędzie. Gdyby więcej takich, jak ksiądz profesor...

Ksiądz spojrział w oczy Kazimierza i nie znalazł w nich przymilnej grzeczności, lecz prostą, rozmyślną szczerłość. I równie szczerze odpowiedział:

— Nie, panie. Ja nie jestem właściwym kapłanem dla tego kraju. Tu trzeba wiejskich proboszczów, sług Chrystusowych, a zarazem obywateli. Chciałbym być takim, ale nie wiem, czy jużbym potrafił. Zbyt wiele życia steralem na rozwijanie myśli, własnej i cudzej, ale gdzie mi do apostołów, których tu potrzeba! Staram się być wiernym sługą Bożym, tylko że grzęznę w sybarytyzmie intelektualnym...

— Ależ — protestował Kazimierz — nie sami proboszczowie są w kościele, są i do-

ktorowie... Przecież ksiądz profesor nauczał, teraz pisze?...

— Trochę tam tego pisania — machnął ksiądz ręką, jednak uśmiechnął się do swego dzieła, które mu było wymówką wygodnego życia i ukochanym celem. — Nie mówmy o starych, płacących jeszcze coś ze swych zapasów bliźniemu; mówmy o młodzieży, o przyszłości, o panu. Pan chce się tu osiedlić?

— Masz tobie! — pomyślał Kazimierz — nie wykręcę się...

Ale spojrział na towarzysza i zadziwił się serdecznym blaskiem jego oczu. Więc osądził, że nic nie stoi na zawadzie poufniejszej rozmowie z tym dobrym, mądrym człowiekiem i... tak blizkim Krystyny.

— Prawdziwiebym rad tu zamieszkał, tylko... nie wiem, czy mi wystarczą środki materialne.

— Przecie słyszałem, że pan chce budować przedziałnię? Fabryka tu, czy tam, będzie równie kosztowna. A może tu i tańsza wobec mnóstwa lnu w okolicy i cen niższych? Ale nie znam się na tem. Jednak przypuszczam, a nawet wiem na pewno, że pan nie jesteś tylko fabrykantem, lecz i obywatelem. Sprowadź się pan do nas, załóż piękne, chrześcijańskie, polskie gniazdo u nas. To jest główna akcja, której nam tu potrzeba.

— I o tem już myślałem — rzekł Kazimierz głosem głębokim.

— Ja także! — odpowiedział ksiądz żywo i tak silnie, że Rokszycki poczuł krew w skroniach, jednak nie spuszczał oczu z księdza, który teraz dłoń do niego wyciągnął.

— Od tygodni rozmyślam nad waszymi losami, pana i Krystyny.

Rokszyckiemu wstrząsnął rękę dreszcz, który aby pokryć, tak silnie ścisnął dłoń księdza, aż ten zawołał:

— Oj, nie rozmiądz mi palców, panie Kazimierzu! Rozumiem i bez tego.

Ten szczegół rozwiązał język do radońskiej wymiany myśli. Rokszycki już teraz chciał mówić, musiał dogadać się.

— Więc i pani Krystyna mówiła coś księdzu?...

— Nie mówiła nic właśnie, a raczej tyle, że zgadnąć nie trudno. Dość na was spojrzeć... Ją znam, a pana przeczuwam; sędzę, że się nie mylę. Jesteście oboje dobrem ziarnem Bożem. a przecie i dziećmi swojej epoki...

— To znaczy?... Niech ksiądz profesor powie wyraźnie!

I do tego obcego człowieka nachylił się gwałtownie, pocałował go z rozpędu w ramię. Ksiądz również serdeczny oddał mu pocałunek na rozpalonej skroni.

— O, tak gadajmy! Jam tu nie zwykłym swatem, ani ciekawym cudzych tajemnic, tylko Krysia to już... moja ziemską troską jedyną...

Pokrył rozrzewnienie, macerując długo szorstki, w szlachetne fałdy ułożony podbródek.

— ...Więc zgadłem i to, co do siebie czujecie, i to, co was zapewne skłania do namysłu. Ona mówi, że pan musicz koniecznie bogato się ożenić...

— Co znowu?! — zawołał Kazimierz gorąco — to inni wymyślili o mnie, czy dla mnie!

— A widzi pan... A sam, ręczę, że myślałeś o swoich niedostatecznych środkach?

— Rzeczywiście... pani Krystyna przywykła do pałaców.

— I mieszka od miesiąca w tej mojej chacie. Nigdy jej nie widział weselszą, bardziej zadowoloną ze swego mieszkania i z siebie samej.

— Więc ksiądz myśli?...

— Myślę, że względy pieniężne w dobie raniu się małżeństw są trzeciorzędne... gdzie tam! na ostatnim planie. Chyba, że mają się pobrać przedstawiciele dwóch firm kupieckich, albo zupełni nędzarze. Kupcami nie jesteście, a nędzarami także nie. Przecież masz pan środki do życia?

— Ależ naturalnie.

— No, i bardzo silne ręce — dodał ksiądz z uśmiechem. — A Krystyna ma także duży kawał ziemi, mocno obciążony, od czego znowu ręce...

— Tak, to musi się wyrobić — rzekł Kazimierz głosem niby nakazującym, niepomyślnym już powątpiewania.

Szedł przez chwilę, milcząc, przesywając radośnie natchnionym wzrokiem krainę świeżą, obmytą niedawnym deszczem, jasną w zarysach, zdrową w zapachach; stąpał po niej podbójczo jakoś i miłośniczo, jak dobry ów rycerz, który przed wiekami przyszedł tu bez miecza, tylko z gorącem, czynnym sercem. Ksiądz Wyrwicz spoglądał na niego z altruistyczną tęsknotą starszego przyjaciela, rojąc już przyszłość przez innych, dla innych.

— Ten jej wart, niech idą razem...

A byli już nad jeziorem; prawie że weszli na przybrzeżne pomosty lnu, obciążonego żerdziami i kamieniami.

— Ach! to jest len?... — przemówił Kazimierz obojętnie.

— Tak, to len — odpowiedział ksiądz. — Ważna rzecz, ale przedtem mamy ważniejsze.

XXV.

Rozmarzone nad jeziorem swem Wiszuny zakwitły niebywałym życiem. Państwo Hieronimostwo obchodzili zaręczyny jedynaczki *lautissime*, jak mówi Pasek, a to głównie z namowy pana Gotarda Assernhofa, który wyłomaczył sąsiadom, że uroczystość weselną trzeba antycypować, korzystając z ostatnich dni pięknego lata i imienin gospodarza domu, wypadających w dniu ostatnim września. Ślub, umówiony na zimę, to dla młodej pary, ale wieszować i weselić się w gronie przyjaciół będziemy teraz, póki drzewa jeszcze w liściu, jezioro świeci żywo, a drogi dojazdowe jakie takie. Przez śniegi kto tam do Wiszun przyjedzie?

Trzy dni przed zjazdem ogólnym był już pan Gotard w Wiszunach, pomagał do przystrojenia dworu wieńcami z jedliny, przepiecionej jarzębiną, do ustawienia bramy tryumfalnej dla wjeżdżających gości, do radykal-

nego przewrotu całego dworu, a zwłaszcza do zaopatrzenia kuchni i spiżarni.

— Wydasz, braciszku, roczny dochód na przyjęcie — mówił do Hieronima. — Raz w życiu zdobyłeś się na córkę, raz też zdobędziesz się na wesele, odpowiednie splendorowi domu. A oszczędzasz przytem bankiet, który nam winienesz na świętego Hieronima. Dwie pieczenie na jednym rożnie! Tylko już pozwól, że ja je upiekę.

— A rób sobie, kochany, jak wiesz — godził się pan Hieronim, uradowany, że znalazł tak zapalonego wyęcyciela.

Pani Budziszowa, gospodyni przezorna i gościnna, choć ciężka, rada też była z gorliwej pomocy pana Gotarda, zwłaszcza, że Aldonkę zwolnić należało od kłopotów domowych w tej epoce dla niej przedewszystkiem świętecznej; narzeczony jej, Stanisław Kmita, znajdował się już kilka dni przed ogólnym zjazdem w Wiszunach.

Zjeżdżano licznie z dalszych stron już 29 września, na dzień kontraktowy świętego Michała; jeszcze tłumniej nazajutrz, na świętego Hieronima. Powozy, bryczki i szarabany przejeżdżały pod łukiem powitalnym, ozdobnie na kasztanach urządzonym, trafiały na owacyjne przyjęcie od podjazdu dworu i na wymówki, że tak późno, lub że brakło kogoś z rodziny przyjeżdżających.

Pan Gotard, w garniturze porannym barwy lwiej sierści, w nieodstępnych swych kryzach batystowych, przyjmował każdego niemal gościa apostrofą serdeczną i jowialną, która najospalszych pobudziłaby do sielsko-bachicznego nastroju.

A nastrój taki panował niepodzielnie w rozbawionym dworze. Trzy pokoje wstępne i oszklony ganek przerobione były na niewysychające źródło rozkoszy cielesnych; stały tam bufety, zastawione od rana do nocy tęczową gamą szkieł pełnych, olbrzymim ciężarem ryb, mięs zimnych i epigramatycznych przekąsek. Zapachy sosów i dymy tytuniowe unosiły się w tych pokojach, jak woń weselnej hekatombi. Nie brakło o żadnej porze ochotników do kieliszka i nierozłącznej z nim przekąski; jedni stali, perorując ze świętecznym ożywieniem, inni, pomimo pięknego dnia, rozwidnionego za oknami w ogrodzie i na jeziorze, bili przy stolikach króle asami z rycerskim okrucieństwem, lub cichszym spekulacyjnym zadowoleniem.

Pływał już w tem święcie pan Apolinary, spokrewniony całą swą istotą z weselącą się Litwą. Nie grał w karty, ale tu i ówdzie »dotrzymywał kopiejkę«; nie pił, tylko przepijał; nie jadł, jednak przegryzał. Rozogniony duchem braterskim, krążył po pokojach, dawał koncert uścisków fizycznych, dla uciechy serca,

i transcendentalnych, o których nie zapomniał.

Rozmawiał z narzeczonym, dorodnym młodzieńcem o ciemnych, podfryzowanych kędziorach, obrazem wzorowym pana młodego.

— Kmitowie herbu Chorągwie, także jak i my, pochodzą z Korony, dobrodzieju kochany?

— Tamci byli Śreniawici — odpowiadał Kmita — ale podobno jednego z nami pochodzenia; tylko już my od wieków na Litwie i na Rusi.

— Widzę, że kochasz historię, dobrodzieju mój?

— Jak jej nie kochać!

— A wódkę pijesz?

— Piję.

— To się napijmy i uściskajmy. Jeżelibyś chciał w przyszłości rozpocząć coś... szerszego, pamiętaj do mnie, jak w dym, Stanisławie dobrodzieju. Zyskujesz we mnie wujka; to niby w intercyzie nie będzie wymienione, ale zobaczysz — przydać ci się może. W twoje ręce, Stachu!

Natrafiał znowu w swym promienistym pochodzie na pana Ciecierowicza, archeologa, którego nie zdążył poznać w Wilnie, a spotkał tutaj, jako krewnego pani Hieronimowej. Tego trudniej było rozruszać; brodacz był

najeżony i ponury, jak żubr, i na wszelkie powinowactwo i frazesy nieczuły.

— Niezmiernie się cieszę ze spotkania tak uczonego męża — mówił pan Apolinary. — Może mi pan objaśni? Zwiedzałem niedawno katedrę wileńską, i pokazano mi tam pod wielkim ołtarzem kryptę z czasów pogańskich. Pozostało nawet jakieś malowidło na sklepieniu, podobno trzech bogowie?

— Perkunas, Patrimtas i Patoldiewas — wyrecytował magistralnie Ciecierowicz.

Assernhof, który także kręcił się ciągle między gośćmi, pochwycił tę rozmowę i nie omieszkał jej ożywić:

— A mnie opowiadano inaczej. Kiedy Czechowicz malował w katedrze, miał pomocników, którzy mieszkali w krypcie pod ołtarzem. Ci w wolnych chwilach napacykowali na sklepieniu trzech króli: Kacpra, Melchiora i Baltazara.

— Co mi pan mówisz?! — zawołał Ciecierowicz oburzony — wiek czternasty! nawet twarze bogów podobne.

— Znałeś ich pan osobiście?

Archeolog zaperzył się i gotował jakąś odpowiedź miażdżącą, ale pan Apolinary zagadał:

— Pasyami lubię starożytności, dobrodzieju mój! Jest tam u mnie na wsi takie stare cmentarzysko pod lasem. Kiedy przechodzę,

zawsze uważam, szczególnie po silnym wietrze, albo po ulewie...

— Taki piasek lotny, zlekka falisty? — ożywił się Ciecierowicz, wpatrując się w opowiadającego.

— O to, to, jakbyś pan tam był. Więc znajdę czasem to strzałkę, to siekierkę krzemioną. Chowam to wszystko starannie, bo zawsze przedmiot naukowy, dobrodziejstwo moje.

— Zwietrzałe kurhany piaszczyste; są to zwykle pobojowiska, nie cmentarze — zawyrokował Ciecierowicz.

— Jeżeli chodzi o cmentarze — wmieszał się znowu pan Gotard — to ja znam lepsze. Szukałem niegdyś grobu prapradziadka na jednym cmentarzu. Czytam więc różne epitafia...

— Epigrafy — poprawił szorstko Ciecierowicz...

— Jak pan sobie chcesz. Ale takiego stylu może nie spotkaliście? Leżał tam jakiś Sapieha, nie hetman naturalnie, ani wojewoda, tylko pomniejszy. I na kamieniu był taki napis:

Tutaj leży
Pan Sapieży.
Że nie świeży,
Nie wybieży.

— A niech cię, Gotardzie dobrodziejule! Gdzież to wynalazłeś?

— Pewno w starym kalendarzu — burknął mściwie Ciecierowicz.

— Właśnie, że na płycie, której wierny wizerunek posłę wam do litewskiego muzeum.

Ciecierowicz, parszając z oburzenia, odwrócił się do Budziszka, który szanował archeologię i tak się wkrótce z nim pokumał na gruncie cmentarzysk, że skończyło się między nimi na kielichach węgryzna.

Kogo tam nie było w Wiszunicach! Sproszono, prócz gości z za gór, wszystkich sąsiadów bez wyjątku. Więc obok wytwornej głowy hrabiego Hylzena i poważnej pary Kmitów, rodziców narzeczonego, spotkać było można plebejuszowskie, ale ciekawe postacie braci Miłaknisów: Józefa, właściciela zaścianka w pobliżu Wiszun, i Jana, literata z Wilna który, bawiąc czasowo u brata, został także zaproszony. Z najbliższych brakło jeszcze księdza Witulanisa, miejscowego proboszcza, a z dalszych sąsiadów — towarzystwa z Rarogów. Chmara obiecał jednak przybyć, jeżeli mu pozwolą ważne sprawy, ciężące nieustannie na jego barkach. Zaproszeni byli i młodzi Zasławscy, ale pomimo chęci przybyć nie mogli, bo matka wysłała ich uprzednio do szkół; sama księżna również nie była już w kraju, przysłała tylko depezę z powinnowaniem.

Te braki nie sprawiały wylomu w towa-

rzystwie weselnem, tak licznem, że aż roilo się od mężczyzn wszelkich wieków przy bufetach, od dam po kanapach i od panien w ogrodzie.

Co dziwniejsza, że przeważna ilość gości nocowała we dworze wiszuńskim, obszernym, lecz uszczuplonym z powodu prowizorycznego urządzenia kilku pokojów na bawialne. Tylko już młodzież męska szła spać pokotem do »odryny«, na siano, kąpała się w jeziorze, a stroiła się w stojącej nad jeziorem łaźni, urządzonej obecnie na zbiorową ubieralnię.

Nad tłumem mężczyzn ukazywał się ciągle pan Hieronim Budzisz, niby konno, pragnący gościom nieba przychylić. Faktyczne obowiązki gospodarza pełnili z zapalem panowie Gotard i Apolinary. W gronie dam pani Hieronimowa nikomu nie dawała się wyprzedzić wymową, a jej strój staranniejszy, niż zwykle, i uczesanie świąteczne odnowiły jej ciężką postać do niepoznania. Dość ozdobnie uosabiała matronę.

— Znaczna to szlachta u was Kurko-Ciecierowicze? — pytał Apolinary Gotarda.

— Słyszałeś przecie: z bałwanami litewskimi za pan brat — odpowiedział Gotard.

Rokszycki rozmawiał z Aldoną we drzwiach, otwartych na ogród.

Była to taka rozmowa dwojga ludzi, którzy mają między sobą nienazwane obra-

chunki uczuciowe i kończą je byle jak, dla przyzwoitości towarzyskiej. Kazimierz winnował, Aldona badała wzrokiem, czy to powinszowanie szczere — — wolałaby, żeby było trochę żalodne. — — Ale Kazimierz naprawdę się cieszył z tak nagłych zaręczyn, niweczających wszelkie jego możliwe skrupuły co do uprzedniego zachowania się względem panny Budziszówny. Pocieszyła się tak prędko — — bo jednak sześć tygodni temu, na jeziorze, nie było mowy o Kmicie. — — A może przez zawód, przez obrażoną dumę kobiecą? — —

Ale nic z tych wzajemnych myśli nie przenikało do rozmowy. Mówiono o pogodzie, o kończącym się lecie, tak łaskawem na uroczystość...

Jednak Aldona była nieco wspanialsza, niż dawniej, jakby starała się okazać Kazimierzowi, ile stracił, że się o nią nie postarał.

— Państwo naturalnie zamieszkają tutaj? — pytał Rokszycki.

— O tak! ja bym nie chciała nigdy rozstać się z Wiszunami. Zresztą rodzice oddają nam gospodarstwo, zachowując sobie tylko las i annuatę. Wprawdzie i ojciec mego narzeczonego daje mu duży majątek ziemski w wilkomirskim powiecie, ale wolimy oboje zostać tutaj.

Te wspaniałości materyalne nie podobały się Kazimierzowi. Wolałby o nich nie słuchać.

— Tak, tu ładniej — odpowiedział obojętnie.

— A pan zna wilkomierskie strony?

— Nie znam, pani.

— To jakże może pan wiedzieć, że tu ładniej?

— Nie przypuszczam, aby gdzie kraj mógł być miłszy — rzekł Kazimierz z przekonaniem.

— Tak pan nasz kraj polubił?

— Czy to panią dziwi?

— Sądziłam, że pan stąd uciekał?

— Widzi pani, że powróciłem, i to zdaleka.

— Ach, to przypadek! to zapewne interesy fabryczne? Dla nasby pan z tak daleka nie przybył — uśmiechała się Aldona przenikliwie i dowcipnie.

Rokszyci ani myślał dać się pociągnąć za język, albo skonfundować. Obrął ton niby urażony:

— Otrzymałem aż dwa zaproszenia, więc sądzę, że mój przyjazd był... przewidziany?

— Ach, panie Rokszyci! — dała się złąpać chwilowo Aldona — wszak zapraszaliśmy serdecznie; ja sama przypominałam...

— A zatem... jestem — dodał Kazimierz już wesoło.

Teraz dopiero zauważyła panna Budziszówna, że Rokszyci igra sobie z nią w tej szermierce, i trochę się nadaśała:

— Ja taki myślę, że pana bardziej bawią ludzie, niż obchodzą?...
Kazimierz spoważniał:

Kazimierz spoważniał:

— Myli się pani, panno Aldono. W Wieszunach doznałem tak łaskawego przyjęcia, że głęboko zachowałem je w pamięci. Proszę wierzyć, że jestem państwu serdecznie oddany.

— Trzeba wierzyć panu — odrzekła Aldona nieco romantycznie.

Zbliżył się dość obcesowo do rozmawiających Stanisław Kmita, czarno opięty na smukłej postaci, z bujną falą ciemnych włosów nad rumianą twarzą, orderowego kwiatka od Aldony kawaler, i spojrzał najprzód w obce oczy Kazimierza, potem na trochę przybladłą twarz narzeczonej, jakby zapytując, jaka ma być jego interwencja, zbrojna czy pokojowa? Aldona oparła się o jego ramię ostentacyjnie:

— Pójdźmy nad jezioro. Proszę z nami, panie Rokszyci.

Kazimierz jednak wymówił się pozorem, że jeszcze nie ze wszystkimi się przywitał, i zaraz miał okazję uradowania się, że pozostał. Nie zauważył nowego przyjazdu, a może umyślnie pani Krystyna z panną Zubowską zajęła cicho gdzieś do bocznych drzwi dworu.

Wchodziła teraz do głównego salonu, ubrana ciemno i skromnie, przy boku gospodyni domu, ale i tak sprawiła aż nadto wielkie wrażenie.

Nie wystąpił nikt zrazu na jej spotkanie; nawet pan Hieronim, który niezgrabnie, zdaleka zapraszał ją na honorową kanapę, nawet Hylzen, który ważył w sobie wątpliwość, co przyzwolitsze: przystąpić do niej, lub przysiąść się dopiero, gdy ona usiądzie. Nie wszyscy zresztą ją znali; ludzi śmiałych, jak Apolinary i Gotard, nie było w pokoju, a kilkanaście par oczu dziwiło się to jej piękności imponującej, to zagadce, że wyszła »z lasu« i stanęła nagle między nami.

Pani Krystyna trzymała głowę wysoko, jednak widać było po jej ruchach, że osłupienie towarzystwa było jej nieprzyjemne.

Właśnie Kazimierz stanął we drzwiach salonu, objął oczyma i ocenił sytuację.

— Cokolwiek pomyślą, ja stanę przy niej.

Przeszedł żywo przez salon i powitał Krystynę wielkim ukłonem, całując ją w rękę. Rozpromieniła twarz otwarcie:

— Już pan tu jest? to dobrze.

I ruchem jakimś zaufanym całej postaci przechyliła się do niego, nie dotykając jednak jego ramienia, patrząc na salon innemi oczyma, uszczęśliwionemi, mówiąc bez słów, że teraz jej dobrze.

Ta piękna para ludzi, obok stojących, nowe rzuciła światło na wyobraźnię wstrzemięzliwego towarzystwa. Ale przystąpił zaraz do

nich Hylzen, potem inni — i zmieszały się grupy.

Tymczasem wielki gwar od strony głównego podjazdu pociągnął tam ciekawych.

Z łuku wynurzyła się czwórka, w poręcz zaprzężona do powozu, w którym pan Chmara z małżonką zjeżdżał *personaliter* na zaręczyny do Wiszun.

Oczekiwali u podjazdu panowie: Hieronim, Apolinary i Gotard w gronie kilkunastu jeszcze osób.

Pan Eustachy wysiadł, zakrywając obszernym płaszczem nikłą małżonkę, i, choć osadził się zaraz w pozie pomnikowej, wyglądał niezwykle swojsko i popularnie.

— Dziękuję, kochany... — szepnął pan Hieronim, zbliżając twarz rozrzuwnioną do łaskawej brody Chmary.

— Poczekajcie! — zawołał Gotard, wznosząc ramiona, jakby dla uciszenia orkiestry:

»Tryumf dla bramy, dla tryumfu brama —
Jedzie pan Chmara i Chmarzyna sama
Przez brama!«¹⁾

¹⁾ Taki podobno ma być napis na łuku tryumfalnym przy wjeździe Adama Chmary na województwo mińskie w r. 1784.

XXVI.

Ponieważ goście w Wiszunach zasadniczo nie przestawali bawić się talerzem i kieliszkiem, więc przejścia co kilka godzin do ogólnego stołu w sali jadalnej były tylko crescendami w nieprzerwanym koncercie. Przy tych zbiorowych okazjach rosła tylko moc uciechy i wylewu uczuć, objawiających się przez szeregi mów i rozmów. Były tam gwary bachi-czne i parlamentarne, były ciche i głośne przy-mierza, były i szczytne momenty. Do takich należała chwila, gdy zapłakał pan Chmara...

Wzniósł był już pan Gotard zdrowie narzeczonych *facetiose et cordialiter*; uczcił już pan Apolinary Kmitów i ich Chorągwie w pod-niosłej mowie na cześć rodziców narzeczonego; znów stary Kmita przypomniał dzień imienin gospodarza domu i nie omieszkał okadzić na-leżyłą pochwałą starożytnego, rozkrzewionego na Koronę i Litwę domu Budziszów. Szukano, kogo uczcić z kolei.

Assernhof migał okiem do pana Apolina-rego, wskazując Chmarę, lecz, zanim urodzony mówca zebrał myśli nieodzowne do napelnienia frazesów, uniosła się z krzesła ciężka po-stać pani Hieronimowej Budziszowej, dając znać, że pragnie przemówić. Zdziwienie ogar-nęło tylko mniej znajomych gości; sąsiedzi wiedzieli, że pani Budziszowa przemawia chętnie, nawet w szerszych kołach.

Mówiła niezmordowana niewiasta polityczna:

— Szanowni goście nasi aż za nadto już łaskawi na nas, wynosząc zasługi przodków, do których nie dorośliśmy ani blaskiem, ani pychą. My tu, ziemianie osiedli, mamy nowe zadania, zaledwie rozpoczęte. Zadania te nie my stworzyliśmy, one powstały żywiołowo z ziemi, którą pospołu z braćmi naszymi mniej rolnymi posiadamy. Wielkie hasła od-rodzenia ludowego dotarły do naszej Litwy, i wszystko, co tutaj żywotne, puściło pączki na nowe kwiecie. Bądźmy i my odmłodzoną gałęzią, choć ze starego szczepu, zakwitnijmy...

Była to część obrazowa i poetyczna mowy, uprzednio przygotowanej. Elektryczność je-dnak, istniejąca zawsze między mówcą a słu-chaczami, dała sygnał pani Budziszowej, że audytorium nie zakwita z nią pospołu, więc skróciła ustęp i przeszła do wniosków rzecz-owych:

— Jako wiano moralne, młodemu pokoleniu, które nas tu zastąpi, pragnęłabym przekazać te gorące sympatyje dla sprawy odrodzenia Litwy, które ożywiały mnie od czasu mego przybycia tutaj z Białejrusi. Niech sprawiedliwość społeczna natchnie wszystkie działania nas, tu świeższych lub dawniejszych przybyszów. Niech nam pozyska tytuły obywateli lub obywaterek tej Litwy, rozbudzonej po długowiekowem uśpieniu — i nie tylko tytuły, ale rzeczywiste kwalifikacje do zespolenia sercem i pracą z pięknym ludem litewskim. Przyszli dzisiaj do naszego grona przedstawiciele świętych dążeń tego ludu. Proszę obecnych podnieść kielichy za pomyślność sprawy litewskiej, za zdrowie panów Miłaknisów.

Zerwali się ze swych miejsc obaj bracia Miłaknisowie i kłaniali się sztywnie, gdyż toast niedostatecznie rozgrzał resztę biesiadników. Mocya pani Budziszowej mogłaby nawet niesmaczne wywołać wrażenie, gdyby go nie naprawił pan Hieronim. Ruszył ze swego miejsca ku zażenowanym »inteligentom« litewskim i rzekł dość głośno, aby go wszyscy usłyszeli pośród ciszy, która zaległa:

— Ot, prosto powiem, panowie: kochajmy się, jak i od wieków kochali. Jeszcze Litwa nie zginęła, póki my żyjemy.

Ucałował obu Miłaknisów którzy z dawnego przyzwyczajenia pochyłili się głęboko

przed panem Budziszem, i wywołał ogólną owacyę.

Z innego zupełnie moździerza wypalił pan Apolinary wiwat Eustachemu Chmarze. Nabił co się tylko zmieściło: skojarzenie stronnictw, współnictwo celów, zespół tradycyi z demokratyzacją, domieszał nawet kroplę rozrzedzonej litewskości, połączył to wszystko ognistym prądem i zapalił jednym wybuchem. Co to jednak tradycya parlamentarna! Dziękował Chmara ujęty, dziękowali wszyscy za wstrząśnienie atmosfery radosnym grzmotem.

Gwar wzmagął się, miły politykom, już wystrzelonym, i niepolitycznym sybarytom, gwar życia, rozgrzanego przez dobrą chwilę. Rozpierały się rozkosznie grzbiety starszych; paliły się oczy młodzieży obu płci do siebie nawzajem; puszczały obręcze trosk publicznych i prywatnych; rosło ciągle wesele ogarniające.

Jednak Jan Miłaknis gotował w skupionem milczeniu stosowną odpowiedź na toast, do niego zwrócony. Wstał nareszcie, zgarnął w tył płowe, oporne włosy na głowie, i zaczął mówić głosem rwanym, przeszywając zgromadzenie wzrokiem gorączkowym, nie zatrzymującym się na żadnej osobie:

— Panowie raczyli pić za zdrowie nas, chłopów. My, chłopci, pijemy za zdrowie panów, bo wierzymy, że mówicie czystem ser-

cem. My wierzymy zawsze, póki nas nie zdradzą. My nie chcemy straty naszego narodu i nie odbijamy od wspólnej roboty rąk, które przez długie wieki nas prowadziły, jakby to nie było, na pożytek. A żeby tak, jak dzisiaj w Wiszunach, otworzyłyby się serca do siebie i nie znalazłyby w sobie nic prócz życzliwości i chęci krajowego dobra, to my nigdy nie podnieśliby głosu przeciw was, panowie Polacy z krwi litewskiej, czy polskiej, tylko jeszcze silniej ujęliby się z wami za ręce. My i kochać umiemy cicho, mocno i na wieki. To też ja, wierząc, że w towarzystwie, gdzie mnie przyszło się dzisiaj dziękować za równe przyjęcie, Litwa ma tylko przyjaciół i ojców, mogę bez obrazy dla swoich ideałów zawołać: taka Polska niech żyje!

Sękata i niemal cudzoziemska, choć z głębin płynąca wymowa Litwina wywołała zgodny okrzyk aprobacyjny. Miłaknis kłaniał się na wszystkie strony, blade i chmurnie uśmiechnięty, lecz szczęśliwy, jak człowiek, który przebył ciężką operację.

Wtedy to łza zabłysła na ciemnym policzku Chmary. Powstał i długo wytrzymał na sobie nateżoną uwagę towarzystwa, milcząc, z zamrużonemi zupełnie oczyma. I widzieli wszyscy, jak ze szpar oczu drgających spłynęła polska łza, długo strzamywana poli-

tycznym skurezem. I głos, zwykle basowy i stanowczy, zmienił się dzisiaj w jakiś tenor liryczny. Krótko przemówił:

— Młody nasz współobywatel poruszył struny jakoby nieme w nas, a przecie najgłębsze. Okrzyk, którego nam wznieść tymczasem nie wolno, dobył się z piersi rodowitego Litwina. Obyśmy dożyli dnia, kiedy zgodnym chórem powtórzyć ten okrzyk będzie pora, bez niebezpieczeństwa buntu, z serc, ukojonych przez zgodę rządów i ludów. W wasze ręce, szanowni i kochani bracia z nad Wisły, posyłam to gorące życzenie.

Sklonił się kielichem Apolinaremu i Kazimierzowi. Pierwszy z nich rzucił się zaraz do dubeltowego uścisku z unarodowionym Chmarą; Rokszycki powstał tylko i odklonił się ze swego miejsca, ceremonialnie.

Kazimierz nie opuszczał prawie Krystyny od czasu jej przybycia do Wiszun i teraz towarzyszył jej do wieczery. W gwarze, wobec rozpierzchającej się na ciągle wypadki retoryczne uwagi towarzystwa, mogli rozmawiać osamotnieni, jakby w łoży, pośród widowiska, w którym jednak brali udział wzrokiem i słuchem. Bawili się cudownie, jak nigdy w życiu. Z wesołych uwag o różnobarwnej seryi osób i mów wykwitwały ich własne spostrzeżenia: jak godzą się doskonale; jak, słuchając razem ludzi rozgadanych, odsłonię-

tych, lub czających się do swoich celów, torują sobie przez ich zdania i zabiegi kierunek jeden, wspólny; jak są we dwoje mądrzejsi; jak dobrze im przy sobie nawzajem. Nieznacznie i bez umowy zaczęli mówić poufnie i serdecznie, używać jakiejś między sobą liczby mnogiej, albo raczej podwójnej.

— My odmienne będziemy popierali odrodzenie Litwy — mówiła Krystyna po toaście pani Budziszowej.

— Tak, my mamy szerszą ojczyznę — odpowiedział Kazimierz.

Gdyby które z nich zapytało, co znaczy »my«, zarumieniliby się, albo stanęli przed koniecznością zasadniczych tłumaczeń. Ale nie pytał ani on, ani ona. Coś żywiołowego, jak pomnożenie tlenu w atmosferze, jak dur magnetyczny, ogarniało ich splotami, wiązającymi nierozłącznie. Czasu nie mieli na zdanie sobie sprawy, co to jest. Mówili bowiem o rzeczach bardzo ważnych, o pracy narodowej rozumnej, o związku ludzi dobrej woli, o zakładaniu gniazd i ognisk kultury prawdziwej na tej Litwie, zagrożonej przez nierozwagę młodszych, przez ospałość starszych, przez roboty obce i wrogie.

— Panie Kazimierzu! W całym tym patosie, który tu słyszymy, jeden tylko pan Hieronim Budzisz przemówił mi do serca. Weźmiemy go do naszego związku.

— Lubi go pani? Ja przepadam za tym starym. Naturalnie, że go zapiszemy do naszych.

— A jeszcze kogo? — pytała Krystyna, okrążając wielki stół radosnem spojrzeniem.

— Wszystkich... prawie wszystkich. My tu, mieszkając w okolicy, potrafimy zbudzić, zapalić do naszych celów, zorganizować cały powiat...

Pohamował się nieco i dodał:

— Mówimy trochę, jak dzieci.

— Jakto?! — zawołała Krystyna — to nie toast, co mówimy. To jest nasz spiszek, nasz paragraf tajny! To najmądrsze i najlepsze, co w nas jest. Ogłaszać tego nie potrzeba, ale kiedy w nas to jest, dłaczegóż sobie powiedzieć nie mamy?

— Słusznie... tak być musi, najdroższa moja pani.

Gdy powstał rozrzewiony Chmara, Kazimierz położył bez namysłu rękę na dłoni Krystyny, aż drgnęła odruchowo, jednak nie spłoszyła się, jakby to dotknięcie poufałe było już uprawnione między nimi.

— Patrz... pani, on płacze — szepnął Kazimierz.

— Widziałam już lzy szersze — odpowiedziała Krystyna.

Gdy po przemówieniu Chmary Rokszycki zachował się wstrzemięźliwie, pani Krystyna

zajrzała mu w oczy z nietajoną wdzięcznością:

— Tak, tak, panie, tego jednego my już nie przerobimy.

Ociągała się szlachta przy uczcie, choć już wyczerpano z wysiłkiem porządek dań. Ale stały na stole wety rozliczne, i bez przerwy zmieniały się butelki. Dźwięki walca z sąsiedniego salonu poruszyły wreszcie biesiadników od stołu. Wielu jednak mężczyzn przyjęło sygnał powstania z żalosnym pomrukiem, więc pan Hieronim, chociaż powstał, zapraszał dobrodusznie:

— Komu wola zostać tutaj, niech i zostaje. U nas bez fanaberyi: dom i co w nim jest, na wasze usługi, kochani.

Rozkrzyżował ręce, błogosławiące bez różnicy wszelkie chęci miłych gości.

Więc pan Apolinary zmienił tylko miejsce i przysiadł się do Jana Miłaknisa, aby w oparach węgryzna tem łatwiej obrobić z ludowcem kwestyę litewską.

I kilku innych statystów skupiło się w grupę gwarną, z węgierską po litewsku myślącą.

Kazimierz przeszedł z Krystyną do salonu, gdzie Stanisław Kmita, jak z dziennika mód wycięty, rozpoczynał tańce w parze z narzeczoną.

— Czy pani będzie tańcowała? — zapytał Kazimierz.

— Nie, panie. Nie tańcowałam od... od bardzo dawna... i dzisiaj nie rozpocznę. Ale może pan?..

— Ja z innemi?!... Nie.

Popatrzyli przez pewien czas na wirujące po salonie pary, posuwając się wolno wzdłuż ściany ku drzwiom otwartym na ogród. Wesoło tu, prawie szczęśliwie było w gwarnym dworze, ale poza nim dopiero zaczynał się ich świat.

Ich świat wydał im się zrazu oślepiającym przez mrok, który ich zaskoczył, gdy, lekko niesieni półświadomą zgodą, opuścili jasny salon, zeszli z kilku schodów i stanęli pośród nocy, drżącej tajemnicą. Powoli jasność inna, niezmiernie luba, wstępowała w ich oczy, i poznali, że są na szczycie góry, porośniętej wielkimi kępami cieniów, a dalej w mlecznym szafirze, niżej w stalowem zwierciadle jeziora— panuje księżyc.

Przepadała muzyka ziemską, gadały liście coraz wyraźniej i składniej, ciągnęła Świtezianka w bezmiar błękitniejący. Podali sobie ręce i szli przed siebie, gdzie oczy niosły.

Ani słowa... Nie trzeba płoszyć nocy, gdy czyni swe czary...

Nabierając marzeń ze srebrnego kraju, przekazywali je sobie co chwila w krótkich błyskach spojrzeń, muzykalnie, zgodnie, jak prym i wtór, i nie mogli wyrazić lepiej tego,

co gadała za nich noc ich własna, że świat jest mój i twój, że życie nowe otwiera się przed nimi wspólne, jedyne, aż dziwna, jakie jasne.

Wiedzieli, że równi są sobie, najpiękniejsi i pożądani; z dusz ich opadły wstydy i wahania; moce ich wszystkie dążyły ku sobie, aby się spoić w jeden poryw ku zbliżającemu się szczęściu. Szło do nich przez ten raj nocny, oczekujący; słyszeli w piersiach tętna jego przyspieszonych, niby podwójnych kroków.

Doszli tak do miejsca, gdzie baryera znaczyła brzeg urwiska, i stanęli nie zasłonięci w pełnym świetle miesięcznym. Blask uderzył żywy od obnażonych ramion Krystyny, które pośród bladej otaczającej zaświeciły różowsze. Dopiero tu Kazimierz odezwał się głosem zdławionym:

— Co my robimy? noc taka chłodna!

— Nie czuję... noc kochana...

— Ach! czemużby tu okryć... — zawołał Kazimierz nieprzytomnie, wpatrując się tylko w ramiona Krystyny, które powiew ziębił.

Ale ramiona zafalowały bez dreszczu, przelewne rozkoszą, i cała postać Krystyny przysunęła się do Kazimierza, niby tuląc się pod jego płaszcz nie istniejący. Spojrzał — w oczach jej księżyc zachodził mgłą, a usta pały, jak róża nocna, pod promieniem odkryta.

— Pani... jedyna! — rzekł Kazimierz szepcąc, pochylony blisko nad twarzą Krystyny.

Chwyła silną ręką jego ogarniające, przemożne ramię.

— Kochasz? kochasz na życie? na zawsze.

— Kocham cię, i niech mnie Bóg...

Domówili przysięgi złączonymi ustami i stali tak, jak posąg na krawędzi ziemi, od nieba splecionym kształtem odcięty.

Zdawało się jednak, że ktoś idzie od strony dworu... Oderwali usta oniemiałe, spragnione... Stały od nich opodal dwa cienie, trudne do rozpoznania na tle czerwonego światła, bijącego od okien dworu.

Kazimierz i Krystyna odsunęli się od siebie, a w tej chwili i dwie ciemne postacie zawróciły napowrót do dworu. — Mężczyźni — jeden z nich ogromny — to Hieronim Budzisz — ale kto drugi?

Odezwała się Krystyna:

— Jednak to szaleństwo, żeśmy tu na miejscu tak oświetlonem...

Oczy jej, pełne jeszcze rozkoszy, wpatrzone w ukochanego, przeczyły wyraźnie rozsądnym słowom.

— Chcesz? — zawołał Kazimierz — wejdziemy razem do salonu i ogłosimy wszystkim nasze zaręczyny? Moje ty najświętsze! moje najmiłościwsze! moje...

— Dobrze. — — Poczekaj — — tak jednak nie można.

Gdy się namysłali, co począć ze swoim skarbem, czy kłopotem, z tryumfem, czy zdrożnością, ujrzeni postać jedną tym razem, wielką, dążącą do nich. Pan Hieronim sam, we fraku, niósł w rękę jasny płaszcz damski.

— A pani-ż ty moja! wszak to koniec września, i Litwa tu, nie Włochy! Wietrzyk chwyci — i bieda gotowa.

Okrył Krystynę płaszczem, z którego luźnej piramidy jej głowa tylko wyglądała jak odłam grecki wotywnego posągu.

Wdzięczne oczy skierowała na Hieronima:

— Dziękuję. Pan zawsze dobry był dla mnie.

— Ot wielka łaska! — — A daruj, że powiem, panie Kazimierzu: trzeba ostrożniej względem damy tak delikatnej.

Kazimierz dawał się strofować, uznając słuszność wymówki i najlepsze chęci mówiącego. Ale Krystyna zapytała:

— Kto to z panem był drugi przed chwilą?

— Z panem Eustachym wyszliśmy do ogrodu, zmiarkowali, że chłodno, to i zawrócili.

— A widzieliście nas?

Pan Hieronim oczy wznosił na księżyc, zafasowane i marzące, jak twarz tego niebieskiego świadka.

— Cóż? widziałem, że pani świecisz ramionami, a czułem, że chłodno. Chmara może słabszy ma wzrok ode mnie; nic nie mówił.

Krystyna porozumiała się wzrokiem z Kazimierzem i rzekła uroczyście, ujmując go za rękę:

— Panie Hieronimie! jesteśmy zaręczeni.

— A to... a to chwała Bogu! — wyjąkał Budzisz i oczyma cisnął ciepły promień.

— Panie Hieronimie! ja nie mam ojca... pobłogosławał nas na drogę życia!

Olbrzym wyprostował się nagle, chwycił w pierś szeroką oczystego powietrza, pozbył swej przyrodzonej pokory i stanął nad parą młodych, jak wielki kapłan Krywe Krywejtis litewski, wzniesionemi dłońmi wzywając na ich głowy dobroczynnych potęg niebieskich:

— Niech was Bóg najwyższy prowadził Na wasze i nasze dobro... Dokonajcie u nas tego, czego my nie zdołali...

Kazimierz i Krystyna rozrzewnieni przysunęli się do błogosławiącego, który przygarnął obie głowy i gorąco je ucałował we włosy.

Szli potem, milcząc, ku domowi.

XXVII.

Poszedłszy spać o świcie razem z częścią towarzystwa — gdyż inni czuwali jeszcze i po wschodzie słońca — Kazimierz zasnął twardo na kilka godzin i obudził się stosunkowo wcześniej przed południem. Za przywilejem gościa z dalekich stron, nocował nie w odrynie z młodzieżą, ale we dworze, w jednej z tak zwanych »salek« na piętrze. Skoro tylko otworzył oczy, chwyciła go za serce nateżona radość, o której we śnie był zapomniiał. Zerwał się i śpieszył sprawdzić naocznie, jak też wygląda taki pierwszy, jasny dzień nowego życia; jak i gdzie spotka »swoją« Krysztynę? Czuł zaledwie rzeczywistość otaczających go rzeczy; świat był dotykalny, nie uroiony, ale inny aż do niepoznania.

Wyświeżył się starannie i szedł do pokoiów bawialnych, gdzie już czekały nowe zastawy stołowe, pomnożone przez kawę i herbate. Nie było tam pusto; pan Gotard pero-

rował już w gronie kilku gości, a przy jedynym stoliku siedziało czterech pomiętych i bladych karciarzy we frakach, którzy widocznie przetrwali na tem miejscu od nocy.

— Co to stateczność! — witał Kazimierza pan Gotard, wskazując na swoje srebrne, wyszczerkowane włosy, na świeże kryzy, a zarazem na typową poranną postać Kazimierza — my już gotowi do jakichbądź szranków, wyglądamy, jak róże, biała i różowa, a spojrzysz pan na tych idyotów przy zielonym stoliku... Napijiesz się pan starki?

Kazimierz nie miał żadnych przesądów co do dyety: napił się starki, potem kawy.

Z okien tego pokoju widać było zmarszczone dzisiaj, pokreślone srebrem na stali, kochane jezioro wiszuńskie. Rokszycki uśmiechnął się do niego miłośnie.

— A co? czy sarenki już wracają z przechadzki? — zapytał pan Gotard, spoglądając przez okno za przykładem Kazimierza. — Grasz pan tam z którą w »zielone«, co?

— Nie widzę żadnej. Czy już wyszły z domu?

— A jakże; już się tu działy różne rzeczy. Chmara odjechał, ciemny, jak czekolada, po jakiejś rozmowie ze zbiegłą bratową. Narzeczeni poszli oglądać konie. I po parku błądzą różne sarenki. Żebym nie zastępował gospodarza, poszedłbym do parku i tylko beknął;

zbiegłyby się do mnie całem stadkiem z wy-
ciągniętymi szyjkami. Spróbuj pan.

— I pani Krystyna jest w parku?

— Jest, jest, drogi panie, musi być. Ta to
nie sarenka, kobieta w wielkim guście. Żeby
trochę posagu — kobieta idealna.

Kazimierz zamilkł. Wiedział, że Assernhof
należy do przyjaciół Krystyny, więc i ocena
jej majątku musiała być wiarogodna. Nie
śmiał jednak pytać o szczegóły, bądź co bądź
blizko go obchodzące.

— Jednem słowem żona dla porządnego
i bogatego człowieka — dodał jeszcze pan
Gotard.

Wydało się nawet Kazimierzowi, że mówi
życziwie, lecz nie bez celu.

Niebawem spotkał w parku Krystynę z Hyl-
zenem, prawie na tem miejscu wczorajszem,
cudownem. Ubodło go, że ktoś na tem miej-
scu z nią, jego własną... ale opanował to
dziecinne wrażenie i przyspieszył kroku. Ona
też postąpiła ku niemu. Spojrzeli sobie w o-
czy — te same, jednak pewna powściągliwość
w jej słowach i naturalny powrót do nazy-
wania go »panem« dowiodły Kazimierzowi,
że Krystyna nie ogłosiła jeszcze wczorajszego
wypadku, przynajmniej nie Hylzenowi. Hyl-
zen też był tragicznie chmurny. Rozmowa
we troje tak dalece nie kleiła się, że trzeba
było powrócić do domu, gdzie znowu zapa-

nował gwar i tłum, wzmagający się aż do
pierwszej zbiorowej uczty, podczas której
posadzono panią Krystynę przy gospodarzu
domu, a Rokszyckiego gdzieindziej.

Chociaż Kazimierz nie był ani podejrzliwy,
ani przeczulony, jednak od dzisiejszego spot-
kania Krystyny walczył z ponuremi, natręt-
nymi myślami. Najprzód dlatego, że człowiek,
który się napije rozkoszy niepodzielnej, od-
trąca radość młłą i połowiczną, woła o tamtą,
niezapomnianą. A także miłość młoda jest
wymagająca. A wreszcie świat nie jest urzą-
dzony na mieszkanie wielkiej miłości.

Przybywała do, tych rozmyślań troska
o sprawy materyalne, zapomniana wczoraj,
pogardzona wogóle, lecz dzisiaj, w jasnym
świetle dnia, drażniąca. Jeżeli ona nie ma nic,
a ja mam kredyt na przedziałnię w Królestwie,
której tam stawiać już nie będę, to razem
mamy — ile?... Stało się i być inaczej nie
może. Ale życie nie będzie przechadzką po
lasach i parkach przy księżycu...

Krystyna patrzyła zdaleka na zaćmienia,
przeciągające przez twarz ukochanego, a choć
uśmiech jej wywoływał odwet promienny
w oczach Kazimierza, zasępiła się czasem
i ona od pokrewnych i jeszcze innych myśli.

Dopiero około czwartej po południu Kry-
styna wyrwała się stanowczo z towarzystwa
i rzekła do Kazimierza:

— Chodźmy się przejść, tylko prędko, żeby nas nie dogonili.

Park był zaludniony, zwrócili się więc w stronę przeciwną, ku zabudowaniom folwarcznym, byle dalej od ludzi. Zresztą i tam trafili zaraz na piękną w swym rodzaju drogę dojazdową, idącą w mokre łąki między dziką aleją z czarnej olszyny. Droga ta, zwana »groblą«, była zaniedbana po przeprowadzeniu nowej, wygodniejszej, przeto pusta i sprzyjająca samotnej przechadzce.

Skoro tylko oddalili się od domów, Krystyna zapytała:

— Kochasz jeszcze?

— Powiedziałem: do śmierci. Jeszcze żyję.

Tego było potrzeba na prawdziwe powitanie dnia drugiego w ich nowem życiu. Ale rozmowa spadła zaraz na niższe poziomy.

— Dlaczego Hylzen taki nadąsany? — zapytał po chwili Kazimierz.

— Bo wybrał się właśnie dzisiaj z prośbą o moją rękę.

— Więc powiedziałaś... pani?

— Cóż mogłam powiedzieć? Namysł się... pan.

— Przepraszam, jedyna moja! Pytam, czy oznajmiłaś mu o nas?

— Miałam właśnie powiedzieć, kiedyś nadszedł.

Ta wiadomość, połączona z uprzedniemi

rozmyślaniami, przejęła Kazimierza jakimś przekornym chłodem. Więc Krystyna ominęła dobrowolnie okazyę wyjścia za »porządnego i bogatego człowieka«, jak radził Assernhof. Radowało go to zarazem i korciło.

Milczał przydługo, aż Krystyna zapytała:

— O czem mój pan myśli?

— Prawda... myśli moje wszelkie należą do... ciebie. Jeszczem się do tego nie przyzwyczaił. — — A jeżeli myśli są płaskie, pospolite?

— Chcę znać wszystkie, i moje też oddam bez wyboru.

— Więc myślę, że lepiejby ten Hylzen był jakimś znajomym bez pretensyi... bogatym wujaszkiem, któryby pożyczył pieniędzy na ratowanie Auszry.

Krystyna spoważniała znacznie.

— Na ratowanie? więc już wiesz?

— O czem?

— O stanie mego majątku?

— Przed oceną lasu dokładnie wiedzieć nie mogę, ale mówili mi różni.

— Ach, tak...?

Teraz ona zamilkła na długą chwilę, a potem z pewnym przymusem wróciła do rozmowy:

— Miałam też dzisiaj nieznośną przeprawę z panem Chmarą.

— I o tem mi już mówiono.

— Ale nie o treści, bo rozmawialiśmy zupełnie sami. Chmara mi oświadczył, że wierzyciele wezmą Auszrę najdalej na wiosnę przyszłego roku, jeżeli...

— Jakto?! — zawołał Kazimierz oburzony — śmiał stawiać swoje bezecne warunki poprzednie?!

— O, nie! on jest zawsze dobroczynny i przezorny. Przedstawiał nową kombinację. Najgorszy dług, ten ostatni, zaciągnięty przez... jego brata, chce przejąć na siebie księżna Zasławska. Chce mi pożyczyć pieniędzy.

— A pani co na to?

— Nie przyjęłam.

— To dobrze — rozpromienił się Kazimierz — my z tymi ludźmi nie możemy mieć nic wspólnego.

Ale zasepił się znowu.

— Ja także muszę wyznać, że bogaczem nie jestem. Daleko nawet do tego. Mam pensję od ojca, mam zapewniony znaczny kredyt na przedziałnię w Królestwie. Teraz, gdy tej przedziałni budować tam nie będę, nie wiem, ile mi się uda zebrać na nowe zamiary... Powinienem był powiedzieć to wczoraj, a mówię dopiero dzisiaj.

— To znaczy?... — spytała Krystyna, blednąc.

— Znaczy, że mam dla zbudowania przyszłości tylko chęci i siły, że nie zdołam może

odrazu otoczyć pani takim dobrobytem, do jakiego przywykła.

— To i ja mogę nie być nic warta, oprócz tego, co mam w sercu — rzekła Krystyna z gorącym wyrzutem w spojrzeniu.

Zatrzymali się i oczy utkwili w sobie nawzajem, rozżalone na los, czy na innych ludzi, a przecie i pomiędzy sobą poróżnione teraz, pytające o wyjaśnienia niebezpieczne. Ujęli się potem za ręce, i uczyniło im się lżej. — — Zapalały oczy kochanym ogniem, i on ją przyciągnął do siebie, a ona rzekła tylko, nauczona wczorajszym doświadczeniem, lustrując drogę w obu kierunkach:

— Nie tutaj na widoku...

Więc zeszli na bok drogi pod zasłonę dużych drzew i...

Stało się zaraz jasno na świecie i w przyszłości. Zeswatała się z nimi przyroda śpiewem i zapachem, słońce złotym deszczem tryskało przez liście, trawy przydrożne przemówiły nieznaną wonią, ruczaj płynął przy drodze i szeptał, że kochanie jest jedynym życiem, że do szczęścia nie potrzeba wam nic więcej, oprócz was dwojga.

— Chodźmy, chodźmy już — wyrwała się z uścisku zapłoniona Krystyna — nawet nie mamy pierścionków. — — Mówmy teraz o rzeczach naszych, tylko mnie już nigdy nie nazywaj panią...

— Mój ty skarbie jedyny? Prawda, jacy my nierozsądni! Świat cały nasz, a cóż nam te drobiazgi?

I odrazu wszystkie plany ułożyły się prosto cudownie. Auszra będzie uratowana, bo najprzód... tak być musi, następnie ojciec Kazimierza, gdy się dowie, pośpieszy z czynną pomocą.

— Kiedy ja poznam twoich rodziców? — pytała Krystyna z zapalem.

Naradzono się, jak i kiedy Krystyna pojedzie do Warszawy. Kazimierz nie wątpił na chwilę, że rodzice pokochają odrazu jego wybraną. Krótko ale dobitnie opowiedział o swym stosunku serdecznym do nich, o niezmordowanej pracy obywatelskiej ojca.

— Żebyśmy mogli przyciągnąć ich na Litwę! — projektowała Krystyna.

— To nie. Rodzice są tam przykuci przez długi szereg przyzwyczajęń i obowiązków.

— Ale ty przecie tutaj? my tutaj pozoniemy?

— My tutaj, tak, najdroższa. Ja już w sercu oddawna zostałem Litwinem.

Wiosna serc zmieniała wszystkie projekty w możliwe i wyborne. Aż się nareszcie rozkochani bawić zaczęli trudnościami swej przyszłości, igrać z niemi, jak atleci z ciężarami. Nie będzie tego, to chwyci się co innego w ręce. Aksyomatem pozostało tylko to,

że oni do siebie należą. Reszta dodana im będzie.

Śmiali się z potęgi Chmary, z intryg księżnej Zasławskiej; śmiali się z tego, że mieszkać będą tymczasem gdziekolwiek, bo nawet i w Auszrze niema domu; śmiali się do siebie, że są tak potężni, tak szczęśliwi w swej znowie. Zbudują sobie przybytek i wzniosą gmachy użyteczności publicznej. A tymczasem idą dziką aleją olszową lekko, bez troski o jutro, bo jutro we dwoje będzie równie silne i rozkoszne, jak dzisiaj.

— Człowiek jakiś wdziera się do naszego królestwa — zauważyła Krystyna, ukazując zbliżającą się wzdłuż cieniów alei postać.

Kazimierz wpatrywał się w tę postać, która posuwała się elastycznym jakimś truchtem w kierunku do dworu wiszuńskiego, mała i wątła, ale niepomiernie gruba w pasie.

— Ależ to Jurko Lejtan! — zawołał Kazimierz radośnie — czemu się on tak opakował?... aha, ptactwo zabite przytroczył naokoło pasa. Nie masz pojęcia, moja prześliczna, jak ja lubię tego starego. Ukazał mi się po raz pierwszy w twoim lesie razem z tobą; w Wilnie on pierwszy dał mi twój adres, a teraz znowu... To jakiś zwiastun szczęścia ten lis swojski, ten gnom, ten...

Stanęli i patrzyli oboje z uciechą, jak Jurko przydreptywał coraz bliżej, niesiony, zdawało

się, przez kilkanaście par skrzydeł u pasa. Chytrem myśliwskim okiem dawno już rozpoznał Kazimierza i Krystynę i tem bardziej stroił się w swój wdzięk osobliwy: wyciągał szyję i nos wietrzący, pochylał grzbiet i wyrzucał nogi nieludzką jakąś metodą, zastosowaną do łowczej chybkości.

— Upadam do nóg jasnych państwa — rozpoczął pierwszy rozmowę, wróżąc sobie z uśmiechów, że oboje mu radzi — ot, z garści prochu i funta śrutu, co dali, jaką gromadę na kuchnię niosę. Dubelty ważne, oblane, samo to masło...

Z lubością połykając ślinę, ważył w rękę obżarte, do łódek podobne ciała dubeltów, z których tłuszcz jesienny rzeczywiście ociekał i mazał się z krwią na czarno-brunatnych piórach.

— A to co? — zapytał Kazimierz, biorąc za większego ptaka, jasno-pstrokatego, z białymi końcami skrzydeł.

— Widno, panicz nie z naszych stron. Pardwa to jest — i u nas już rzadka. Ot, patrzaj pan, od cieciorki jaśniejsza i bardziej ryża. A ten, z wielkim ryżym chwostem, to kogut od jej, gargatun. Kiedy stado zerwie się, on zawsze naprzód — gar-gar-gar, — a samki za nim. Taki on frant!

Kazimierz rozpatrywał uważnie piękne upierzenie pardw, litewskich bażantów.

— Zimą to one bieleńkie, a końce skrzydeł za to farbowane.

Kazimierz badał oczyma strzelca, czy nie maluje pardw na białą, dla poezyi. Ale Krystyna potwierdziła:

— Tak, pardwy bieleją na zimę.

— Ot nasza grabini tak już pardwy zna i zna, że Jurko zawsze prawdę mówi. Kiedy państwo polować będziecie razem na pardwy, wspomnijcie starego.

— Prawda! — odezwała się radośnie Krystyna do Kazimierza — będziemy razem polowali. I to jeszcze.

Nie trzeba było więcej chytremu dworakowi do odgadnięcia porozumienia między parą młodych. Przybrał swój wyraz twarzy najpoczciwszy, co zwiastowało w nim zwykle nastrój twórczy:

— Bywało, nieboszczyk księżę Mikołaj, kiedy wyjdzie strzelać na mszary, tak już z żonką. Ochota u niego lepsza, mówił, na ptaszki.

— Oj, Jurku! — zaśmiała się Krystyna — zdaje mi się, że na poczekaniu wymysliliście, żeby nas swatać? Ale to nic — i tak już jesteśmy zaręczeni.

— Tak cóż ja zmyślił, jasna grabini?... Daj, Boże, szczęśliwie!

Nie przegadać było Jurka. Mówił dalej:

— Tak mnie i zdawało się już w Wilnie, powiedz panicz?

— Muszę przyznać, że Jurko był pierwszy, który mnie odgadł — potwierdził Kazimierz.

Lejtan przyglądał się parze narzeczonych ze smakowitem upodobaniem.

— Ot, kiedy żenić się, tak już takim panom...

Wytrzymali pochwałę, nie mrużąc oczu. Zapytała Krystyna:

— A wy, Jurku, nie żeniliście się podobno nigdy?

— Co mnie żenić się było, jasna grabini? Knieja mnie żona, a kochanka fajka. Piętnaście lat miawszy, wzięli na psiarka do pałacu, a tak już od tej pory po świecie ochotnikiem chodzę.

— Dobrze wam z tem?

— Wiadomo, póki te nogi niosą, idziesz, panieńku ty mój, kraj znajdujący, a taki jeszcze nie ze wszystkim. Gdzie dalej, gdzie kilka lat nie byłeś, patrzysz: jezioro mniejsze — podeszło, znaczy. Dawajże po brzegach szukać bekasów — i najdujesz. Trafisz znowu do wioski znajomej — nową chatę pobudowali. Znałeś dziecko przy ziemi, aż widzisz, chłop wielki, wąsy nastawiwszy, z siekierą do lasu idzie. A gdzie starego kuma na mogiłki ponieśli — i śladu niema. Świat piękny, panieńku ty mój, nowy ciągle i piękny.

— I myślicie, że zmienia się ciągle na le-

pszy? — rzekł Rokszycki, zaciekawiony przez filozofię starego strzelca.

— Zeb' taki i pozostał, dobry będzie. Krzyczeli ludzie jacyś tamtego roku: źle na świecie. Nieprawda. Miej tylko nogi i ręce zdrowe, a w sobie duszę, Bogu śpiewającą, tak i nie poczujesz, że życie złe. Skrecił mnie kiedyś Czarny na tokach głuszców, że dwa miesiące grzbietu rozprostować nie mogłem, to ja się tak modlił, bokiem leżący: Zegnij mnie, Panie Boże, w kruk, jeżeli taka już święta wola Twoja, ale pozwól choć nogami tę ziemię zamiatać i uszami słuchać, co las mówi, i oczami skowronka w niebie dogonić, a już ja tobie mój rożek, srebrem okuty, po księciu Hieronimie na obraz Matki Twojej w Ostrejbramie zawieszę. Tak i udał się handel święty: rożek tam wisi, a Jurko nogami po ziemi chodzi, chodzi nieustający.

— Mówiono mi, żeście całą Litwę schodzili piechotą? A wyszliście też kiedy i poza granice?

— I do Warszawy książęta wozili, i do Petersburga... I w Paryżu był.

— W Paryżu?! Jakże się wam podobał?

— Cóż... domy i domy, a miejscami śmierdzi.

— Nie chcielibyście tam mieszkać?

— Ot, gdzie znalazłeś, panieńku ty mój! U nas, jak słońce wstanie, tak już wiadomo — i dla mnie. Tam jego i nie podzielić między

te wszystkie robaki, co przez ulice mrowiem leżą, a o pięknym Bożym świecie nie wiedzą.

Odszedł gaduła uśmiechnięty. Niknął na drodze między cieniami olch, szarzał, jak ptak, uciekający na piechotę, jak cząstka ziemi, wietrzykiem pędzona, jak pyłek...

— Temu też dobrze — rzekła za nim Krystyna — bo ma w sercu umiłowanie.

XXVIII.

Zaledwie pogłoska o nowych zaręczynach zaczęła się rozpowszechniać, już oboje narzeczeni zniknęli z oczu gości, biesiadujących w Wiszunach, niektórych aż do oktawy. Krystyna powróciła z panną Zubowską końmi do Ponikszty, a Kazimierz sam pojechał na bliższą stację kolei żelaznej. Pośpiech tych wyjazdów pozostawiał za sobą wiele niezaspokojonych ciekawości, jak się to stało, na kiedy ślub, która ze stron bardziej zakochana? Nowina z piekarni, gdzie ją zapewne zaszczerpił Jurko Lejtan, przeniknęła do dworu. Ten i ów zauważył to i owo, ale potwierdzenia urzędowego nie było. Wyjazdy przyśpieszone Chmary, Hylzena i domniemanych narzeczonych były barwnymi cegiełkami w ręku wiszuńskich gości, którzy, jak dzieci, chcieli z nich ułożyć domek, tymczasem zaś cegiełki układały się przekornie w znak pytania.

W najfałszywszej pozycyi znalazł się pan Apolinary, wypytywany o projekty siostrzeńca,

jako wuj i niby moralny zwierzchnik. Odpowiadać tajemniczo, mało co wiedząc, pan Apolinary nauczył się już w szkole politycznej — to byłaby fraszka — ale tym razem był mocno niezadowolony z dyskrecyi Kazimierza i tak serdecznie ciekawy, że aż — dyabli brali. Zamierzchła mu nawet przed oczyma na parę dni kwestya polsko-litewska.

Dopiero nazajutrz po wyjeździe Rokszyciego wpadł pan Apolinary na trop niejakich powiadomień w rozmowie z panem Hieronimem o przedmiocie wcale obcym, bo o tartaku parowym, który niemiecki przedsiębiorca budował w okolicy.

— Ja mojego lasu sprzedawać nie myślę — mówił Hieronim — ale kto musi, temu wygodą. Pan Kazimierz mógłby pomyśleć o spalowaniu starodrzewu z Auszry.

— Z Auszry? tej, w której polowaliśmy?

— A już tej. Wszak to las pani Krystyny.

— Dobrze — to musieliby być po ślubie.

— A im czemu długo czekać, kochany?

Są zaręczeni.

Pan Apolinary przełknął ślinę, rozważył stanowczość twierdzenia Hieronima. Odezwał się dyplomatycznie:

— To wiem, dobrodzieju mój. Ale tak wylecieli stąd prędko, że ani o terminie, ani o żadnych układach... Może coś słyszałeś, bracie Hieronimie?

— Zaręczeni są: to słyszałem.

— Od nich samych?

— Choćby i od nich.

— Dlaczegoż nie gadasz, dobrodzieju mój?

— No, nie prosili.

— No... nie prosili, ale powiedzieli. My, jako krewni i przyjaciele, musimy trochę myśleć za nich, bo to młode waryaty...

— Rób, jak chcesz, kochany. Mnie zdaje się, że oni sami sobie poradzą.

— Tak się to mówi: sami poradzą! Ja już dawno radziłem Kaziowi... tylko w ostatnich dniach mało z nim rozmawiałem, bo ileż tu mieliśmy ważnych spraw innych! We wszystkim, ile mogłem, czynny byłem sercem i ręką.

— O! za serce to dziękuję, bracie Apolinary.

Uścisnęli się krewni po raz setny.

Do zupełnego rozplynięcia się zjazdu w Wiszunami, codzien topniejącego do ostatnich trzech gości przy stole oprócz domowników, dotrwał pan Apolinary, humorem i przemyślną wymową promienny. Podbijał wszystkie serca, zgarniał i prowadził nieznacznie do swoich celów.

Gdy zabrakło Chmary do porozumiewania się na wyżynach myśli polskiej, Miłaknisów do polonizowania, Ciecierowicza do konferowania o szacownych starożytnościach, pozostawiając

stali: Assernhof, młody Kmita i właściciele Wiszun do poufnej uczyty.

— Gdybyś tu osiadł, Apolinary — mówił pan Gotard — zostałbyś niechybnie królem litewskim z wolnej elekcji, jako odwet za Jagiellonów, którzy siedzieli na krakowskiej stolicy.

— Bez żartów — pytał poczciwie pan Apolinary — czy nie sądzisz, że moje dwie wyprawy na Litwę przydały się do jakiegoś zbliżenia, scementowania, dobrodziejstwa mój?... choćby do rzucenia światła na drogi przyszłości?

— Ależ odnowiłeś Unię! — wołał pan Gotard.

Assernhof mówił zawsze żartobliwie, ale żeby w żarcie była choć połowa prawdy, ta połowa starczyłaby za nagrodę dla działacza.

Stanisław Kmita wydał się też Apolinarrem człowiekiem przyszłości: jeździł konno, jak centaur, strzelał znakomicie, cenił dobrą tradycję rycerską, o gospodarstwie rolnem gadał chętnie, a przy rozmowach politycznych słuchał nowego wuja, jak wyroczni. Nie tak, jak Kazio, który, w jednym z nim wieku, ma pretensję do zdania samoistnego w sprawach publicznych, choć sam wyznaje, że nie jest politykiem. Ostatecznie Kmita będzie także wybornym mężem dla Aldonki, a chociaż Rokszyccy rodzina zacna, zawsze koligacya

z Kmitami pod pewnym względem jeszcze świetniejsza. Widział już Budzisz w drzewie genealogicznem swego imienia świeże kółko, albo kwadrat, albo złote jabłko z napisem: »Aldona za Stanisławem Kmitą, herbu Chorągwie!« Demokratyzacya nie różni się od genealogii, która jest nauką samoistną. Dosić miał Kmita innych zalet demokratycznych: mówił biegle po litewsku, i dziewczyny wiejskie przepadały za nim.

A ta kochana Aldonka! Takiej Budziszówny nie chciał pan Kazimierz! no, no... Wybrał sobie śliczną, co prawda, ale gołą, jak matka Ewa, Sołomerecką... z takich tam kniazów zatraconych.

W zdaniu o pani Krystynie hamował się jednak pan Apolinary. Zauważył, że, choć niektórzy ją krytykują, jakoś wszyscy garną się do niej, gdzie się tylko ukaże. I w Rarogach, i tutaj. Poczciwy Hieronim toby ją na ręce wziął razem z krzeselkiem i przenosił z miejsca na miejsce, jak porcelanę... Coś tam w niej jest, co się dopiero pokaże. Ten Kazio to wielki fizyk.

Tak rozmyślał pan Apolinary w wolnych od biesiady i od polityki chwilach. I powoli zaczął wierzyć, że sam dużo wpłynął na wybór Kazimierza: zawiózł go przecie do Rarogów, nie obmawiał Krystyny przed starymi Rokszyckimi, nawet zdaje się, że ją chwalił?..

Po kilku jeszcze dniach działań parlamentarno-kulinarnych pan Apolinary pożegnał ze łzami Wiszuny, obiecując solennie powrócić na ślub Aldony, i pojechał do Wilna.

Ani wieści tu nie zastał o Kazimierzu.

— Ha, dobrodzieju mój, chcesz się obejść beze mnie, to się obejdziesz. Mam ja tu ważniejsze sprawy.

Sprawą przedewszystkiem palącą było wygłoszenie odczytu o Unii. Wilno już było dość ludne w początku października, materyały i sam odczyt — były gotowe.

Jak to w zawodzie politycznym rozmaite stosunki przydać się mogą! Spotkał pan Apolinary w Wilnie marszałka Wiliaszewa, poznanego w Rarogach, i skorzystał z jego uprzejmego pośrednictwa, aby pozyskać pozwolenie na odczyt i aprobatę cenzury. Poproszono go tylko o usunięcie kilku frazesów, rzekomo zagrożających potędze Państwa, i o zmianę tytułu »Unia« na »Wspólne pożycie Litwy z Polską«. Pan Apolinary chciał dodać: »500 lat wspólnego pożycia«, cenzor targował się, żeby było 400 lat. Zgodzono się nareszcie na bezterminowe pożycie.

Odczyt miał się odbyć w sali o kilkuset miejscach płatnych, z których dochód przeznaczył prelegent na odnowienie zwalisk na Zamkowej górze. Stosowne zapowiedzi wyszły już w dziennikach, wydrukowano bilety,

a rozprzedaż ich powierzył Budzisz znajomym, głównie Pasterkowskiemu, jako najgoręcej zainteresowanemu w tej akcji przeciwko »litwomani«. Pan Tytus rozgłaszał nawet — doszło to i do Budzisz — że był inicjatorem odczytu.

— Niech mu się to zdaje — myślał pan Apolinary. — Jeżeli odczyt się uda, będzie czas na sprostowanie. Co innego zresztą — mówić, co innego — namawiać do mówienia.

Przeżywał poprostu gimnazyalne emocje, jak uczeń przed maturą. Stawiał stół na środku pokoju, przed lustrem i przy drzwiach zamkniętych uczył się godzinami patetycznych ustępów na pamięć, przewracania kart w stosownej chwili, uszlachetnienia gościa mówcy przygodnego, którym już był oddawna, aż do powagi profesorskiej.

— Co w tem miejscu lepiej: huknąć, czy zniżyć głos do tajemniczego szeptu?..

Najprzód więc próbował grzmotu. — — Nieźle. Teraz znów to samo sposobem magnetycznej insynuacji. — — Jeszcze lepiej.

Notował na rękopisie ton jeden i drugi znakami w rodzaju klucza basowego i wiołowego. Wyobrażał przed sobą tłum słuchaczy: mężów dojrzałych, młodzież, kobiety; ludzi z nim jednomyślnych i przeciwników z obozu »młodej Litwy«; znajomych i nieznajomych. Czy zwracać się spojrzeniem do

znajomych, czy wzrok utkwic w jaki punkt sali oddalony, aby słowo płynęło nad głowami obecnych, spadało na nie dobroczynnym deszczem? Słyszał od kogoś, że tak najskuteczniej uwydatnia się natchnienie. Tymczasem jednak widział tylko przed sobą w lustrze swą postać próbującą, a nie wiedział, ilu i jakich będzie miał przed oczyma słuchaczy w dniu odczytu.

Już tylko trzydzieści godzin oddzielało go od występu. Pan Apolinary spał, gdyż była dopiero godzina siódma rano, gdy nawiedził go Pasterkowski, srodze zwiędły na twarzy od niewyspania, czy innej alteracji. Po odsłonięciu firanek i rozczmychaniu się uspio-nego działacza, pan Tytus rzekł, siadając na łóżku:

— Zdaje się, że odczytu jutro nie będzie...

— Co takiego?! cenzura?

— E, gdzie tam! publiczność.

— Wroga manifestacya? zamieszki uliczne?!

— Przeciwnie, biletów nie kupują...

To był cios najgorszy. Pan Tytus zwiesił nos, a pan Apolinary głową ciskał na boki, jakby nie rozumiejąc jeszcze:

— Więc jakżeż?... nie kupują?

— A nie chcą. Co ja się już nalatałem wczoraj do późnej nocy! Poruszyłem redakcyę, księgarnie i kogo tylko mogłem. No i u nas sprzedano trzy bilety, moja żona umieściła

jeszcze dwa, rozdaliśmy kilka darmo, dalej tymczasem nic! Haniebna ospałość tutejszego społeczeństwa!

Budzisz zamrugał powiekami, dzielając wstyd... za Wilno.

— Może dzisiaj jeszcze rozkupią? — rzekł nieśmiało.

— A jabym na pańskim miejscu nie ryzykował, panie Apolinary. Jest jeszcze czas w dzisiejszych numerach dzienników odwołać odczyt. Jutro, w dzień zapowiedziany, już niepodobieństwo.

Budzisz westchnął. Tyle pracy napróżno, i laury, przychylone już do zerwania, uciekają w błękity... Rzekł, marząc gorzko:

— A mówiłem, panie Tytusie, że za-wcześnie...

— Jakto? przecie to pana pomysł! Ja starałem się tylko grunt przygotować.

— Ale pan mnie namawiałeś...

— Ja?! Prosiłem o artykuł do dziennika, nie o odczyt. I teraz możnaby to wydrukować zamiast wypowiedzieć.

— Nie, to co innego, tu są tony, zwroty żywe... — mówił pan Apolinary żałośnie, uderzając dłonią po plice papierów, która i przy łóżku go nie opuszczała.

Zasepili się mężowie i namysłali się już tylko nad tem, jak się wycofać z honorem,

— Ogłosimy w gazecie nagle zasłabnięcie

prelegenta i odłożenie odczytu na czas nieograniczony — proponował Pasterkowski.

— Zasłabnięcie?... Nie, to już było... Lepiej, nagłe wezwanie do Warszawy, od komitetu.

— I to już było — nadmienił Pasterkowski.

— Jednak to lepsze — rzekł Budzisz i osadził się na tym projekcie.

Znalazł nawet poetyczne uzasadnienie cofnięcia na dzisiaj zamiaru.

— Pamiętasz, panie Tytusie, z historii świętej, jak Noe wypuszczał z arki gołębice na próbę, czy ziemia już obeschła i przygotowana na jego przyjęcie? Otóż tutaj ziemia jeszcze nie gotowa; trzeba czekać, aż bagna oschną.

— Ale arka nasza nie zginie! — odrzekł Pasterkowski — pływaj pan dalej i wyląduj szczęśliwie, panie Apolinary!

Tajemnica partyjna pokryła całą tę rozmowę, i pan Apolinary pierwszym pociągiem wyjechał do Warszawy.

Jechał sam. Dzień był pogodny; tu i ówdzie można było dostać krzepiących ciało i myśl alimentów. Drobne niepowodzenie wileńskie rozplynęło się w twórczym optymizmie Budzisz. Wśród drzemki fizycznej czuwający wciąż duch obejmował senną wizję dokonane dzieła.

Tam na północ, hen daleko
Szumią puszcze ponad rzeką,

Tam kraj... tego dobrodzieju mój.
Lud odmienny, trochę senny...
Ryby, grzyby i wędliny.

— Wędliny — palce lizać, dobrodzieju mój! Kraj bogaty. Co za belki i maszty po lasach! — Lud odmienny, to prawda. — Ale jak ja tych Miłaknisów tam zażyłem, co? — A innych? Chmara unarodowiony. — Wiszuny stają się rozsądnikiem tego, co wiecie. — Wilno jeszcze niezupełnie, ale już, już. — Ciecierowicz, Pasterkowski, alianci, posterunki. A nowy posterunek, na którym osadziłem Kazimierza, jednego z najlepszych naszych ludzi, to jest... jednego z najzdolniejszych wykonawców moich planów! Podróżował ze mną, widział na własne oczy, słuchał własnymi uszami — i tak się zakochał w Litwie, dla której go przeznaczyłem, że — patrzcie — żeni się tam, osiada. — Wszystko to, dobrodzieje moi, jak mnie widzicie, sam... ..

Nie było żywych słuchaczy przy panu Apolinarym, ale wymarzony powrót do słodkiej ze skojarzonymi ziomkami rozmowy już był bliski. Pociąg oddawna grzmiał przez noc i dojeżdżał już do Warszawy.

Budzisz z Wilna wysłał depeszę do łona swego komitetu, oznajmiając o przyjeździe. Mógł się nawet kogoś ze swoich spodziewać na dworcu. Jakoż nie zawiódł się. Sam hrabia Kostka powitał serdecznie pana Apolina-

rego na peronie; paru pomniejszych przyjaciół znalazło się też w pogotowiu do uścisku.

Szło więc do oczekującego powozu Kostki towarzystwo okazale, zadowolone z siebie, aż tłum ruchomy pasażerów rzucał ciekawem okiem na tę grupę, miarkując, że znowu ktoś taki przyjechał, o którym niewątpliwie będzie wzmianka w jutrzejszych dziennikach.

— Jakże tam? rusza się Litwa, co? — zagadnął Kostka.

— W kilku słowach, rozumie pan, trudno... Ale dość powiedzieć tymczasem, że jeden z najwybitniejszych ludzi za Niemnem i Wilią, mój przyjaciel, Gotard Assernhof...

— Assernhof? ten stary oryginał?

— I mąż do rady jedyny. Więc dość powiedzieć, że tak się do mnie odezwał przy pożegnaniu: odnowiłeś Unię, dobrodzieju mój!

— Bagatel! ale czy naprawdę?

— Ha, sam o sobie nie śmiałybym tego twierdzić.

Zaturkotał złośliwy bruk Pragi i oniemiał rozmawiających. Za chwilę, po paru zakrętach ukazała się srebrna w pogodnej nocy Wisła, a za nią koronna Warszawa.

Duma stara, niepokonana biła od murów spiętrzonych strzeliście na prawo od mostu. Szło poważne od nich memento, niby znowu ujrzana sędziwa twarz rodzicielska, przy-

chylna, ale zapytująca badawczo o nowe czyny. A na lewo, nad miastem młodszym, oznaczonym zaledwie kilku wytycznymi wzniesieniami architektury, unosiła się prześwietlona kurzawa, luna ciepła od ognisk pracy i uciechy. Czarna pod miastem Wisła odbijała nieskończonej długości szereg pobrzeżnych latarni.

Światelka między murami igrały, obok powitalnej radości, jakąś ironią. Te z Powiśla, jak oczy głodne, tamte wyższe przenikliwe, elektryczne. »Jak się macie, kochane facety — a co z sobą przynosicie?« I te oczy młodszej Warszawy patrzyły przybywającym na ręce...

Gdy tak gadały stare i młode mury, Budzisz uczuł się i dumnym, i zmieszonym, i chętnym jeszcze do wieńca, i zmęczonym już trochę do pracy... Ale gdy most żelazny przedudniał i miasto ogarnęło wjeżdżających pokrzyżowanym zgielkiem, jak parę much nowych, zaciągniętych do ogromnego roju, pan Apolinary uświadomił w sobie zdwojoną rozkosz bliskości ludzi jednomyślnych, skupionych z nim ciasno w powozie. Trudno żyć dla całych obszarów, choćby dla całego miasta; trzeba żyć ze swoimi i dla swoich.

I wyciągnął ręce radośnie do towarzyszków:

— No, dobrodzieje kochani, znowu jestem pomiędzy wami!

A jeden z dobrodziejów rozmyślał już od dworca kolejowego, jakąby tu urządzić owacyę zbiorową, polityczno-restauracyjną, dla Apolinarego Budzisa, wracającego po swych pracach na Litwie.

XXIX.

Zasypiała piękna Litwa, stygła pod wiatrem coraz chłodniejszym, zdzierającym liście; ścinały się jej wody kryształowym zamrozem, który ustępował jeszcze za dnia wzburzonym, mętnym falom jezior, ale na noc zaciągał się znowu. Wkrótce już nie ustąpi. Ściągała drobna zwierzyna z pól do zaciszniejszych gąszczów, uciekając od zimna i słoty, pomimo grozy wnętrza puszczy, gdzie wilki i lisy, przebrane już w swe zimowe futra, przechadzały się, żarłoczne i harde, czując blizki karnawał. Krążył gdzieś podobno samotny, senny, niedźwiedź, w poszukiwaniu legowiska; szybkie łosie zbijały się w stada solidarne; nieszkodliwy, ale i niezależny borsuk dreptał pojedynkiem, udając niedźwiedzia.

Ludzie wiejscy po zbiorach i siewach przeciągali spracowane ramiona, gospodynie suszyły ryby i grzyby, wędziły jałowcowym dymem mocno solone mięso świń i gęsi w ko-

minach, albo, u bogaczów, w osobnych wysokich budynkach, na kształt wiatraków bez skrzydeł. Chaty, dworki i dwory zamykały się coraz szczelniej, otulały się przed tęgą, a jednak zdrową, bo szczerą zimą.

Nawet ludzie, nie dobywający rękoma swego pożywienia z ziemi, przemyślni inteligenci, odkładali na bok większe zamysły, aż do wiosny, dawali folgę lenistwu ciała i wyobraźni, grzęźli w gawędach kominkowych, w obrachunkach lub wspomnieniach.

Pierwszy śnieg spadł w Ponikszcie w nocy pod koniec listopada, a rankiem olśnił mieszkańców zmianą krajobrazu. Znikły wszystkie barwy szare i zgniłe, zaległa ziemię ogromna białość, równając pagórki, topiąc w sobie linie dróg i granic, nawet granice ziemi, oznaczonej zaledwie jasnością swą od mętniejszego nieba.

— Ten śnieg, tak on już poleży aż do ślubu panienki — mówił Piotr Lejtan do Krystyny, która, otulona płaszczem, wyszła z domu, aby zobaczyć park pod śniegiem, oporny jeszcze zwiędłymi barwami w gęstwinach.

Zima nie zasmucała jej wcale; miała być dla niej porą szczególnie świąteczną, porą jej ślubu, zapowiedzianego na styczeń. Był to już zamiar niezachwianie pewny, jak powrót wiosny. Stwierdzały go codzienne niemal listy, już i odpowiedzi rodziców Rokszyckiego, do

których Krystyna wybierała się na święta Bożego Narodzenia do Warszawy. Kazimierz był także już dwa razy w Ponikszcie po uroczystościach wiszuńskich, w przejazdach z dalekich stron, rzucał się bowiem z Ziemkowa do Petersburga, znowu do Wilna. Wszystko było obiecujące, rozkochane, szalone, chociaż przyszłość oparta na liczbach niewiadomych. Jeżeli las auszrański przenosi swą wartość długi, na nim ciężące, młodzi państwo Rokszyccy będą sobie panowali na Auszrze. Ale jeżeli nie — będą równie szczęśliwi, a bogaci dopiero tam kiedyś.

W parę dni po pierwszym śniegu zameldował się do dworku księdza Antoniego pan Franciszek Marczak, technik leśny. Krystynie uderzyło serce gwałtownie; od tego człowieka, a raczej od wyniku jego roboty zależało jednak wiele...

Wszedł do pokoju człowiek młody, krępy, z upartem, niskim czołem, niesympatyczny. Wręczył najprzód list od Kazimierza Krystynie, która przyjmowała go sama. Mówił twardo, bez wdzięku, nazywał Kazimierza, »Rokszyckim«, bez żadnych grzecznych epitetów. Wprawdzie w liście, który Krystyna zaraz otworzyła stało na początku: »Posyłam kolegę mego i przyjaciela, pana Franciszka Marcza«... Na wiarę więc tych tytułów przemawiała pani Krystyna do szorstkiego czło-

wieka bardzo uprzejmie, ale on nie zdawał się być czułym, ani na wdzięk niewieści, ani wogóle na gawędę. Zapytał, jak daleko do Auszry, oznajmił, że będzie mieszkał u leśnika Sidorkiewicza (stwierdził dokładnie nazwiska w notatniku) że czynność zabierze mu 10 do 12 dni, że potrzebuje trzech ludzi do pomocy, że wyjeżdża zaraz na miejsce. Krystyna wyraziła chęć asystowania choć przez dzień jeden robotom; chciała prosić o niektóre rzeczy...

— Jak pani chce — odrzekł Marczak. — Instrukcję dokładną mam od Rokszyckiego. Jeżeli byłyby jakie dodatkowe życzenia, proszę o nie zaraz, abym mógł je uwzględnić od początku czynności. Dzień mój kosztuje pieniądze.

Krystyna nie czuła się prawie właścicielką Auszry wobec tego zatwardziałego technika.

— Czy pan będzie co rąbał? — spytała nieśmiało.

Marczak uśmiechnął się z kwaśnym politowaniem:

— Najwyżej krzaki i gałęzie dla oznaczenia kilku linii.

— A, to dobrze!

Na tem skończyła się konferencya, i Marczak odjechał.

W parę dni później o wschodzie słońca Krystyna siadała do sanek z księdzem Anto-

nim na wyprawę do Auszry. Z Ponikszty do Auszry było nieco bliżej, niż do Rarogów, ale zawsze około pięciu mil; tylko że świeżanna skracała czas jazdy. Razem z projekowaniem chodzeniem po lesie wyprawa nie mogła się zmieścić w krótkim dniu grudniowym, przewidziano więc nocleg u Sidorkiewicza albo u dzierżawcy folwarczku pod lasem, nocleg niewygodny, w ubraniu; żywność zabrano z sobą. Była to wyprawa niezwykłego zakresu, nie przejażdżka tylko.

Podróżnych grzała i krzepiła szczerą ochota. Pani Krystyna, ubrana w strój myśliwski, krótszy niż zwykły, i w czapkę, otulona była nadto w dużą białą szubę; ksiądz Antoni tonął w płowych szopach, wyglądał młodo i po świecku. Sanki sunęły raźnie, podzwaniając sennie jednym dzwonkiem, przytwierdzonym do dyszla.

— Gdzie też ja pędzam księdza profesora za mojami sprawami! — odezwała się Krystyna.

— Niedługo już, moje dziecko... — odpowiedział ksiądz Wyrwicz głosem, który nie ubolewał nad dniem dzisiejszym.

Krystyna stwierdziła z przyjemnością, że ksiądz bawi wycieczka prawie tyle, co ją sama.

— Jak zbudujemy dom, ksiądz profesor

u nas zamieszka? I Piotra weźmiemy —
prawda?

— A gdzie ten dom będzie?

— Mamy zamiar postawić dom na folwarczku Auszra i folwark rozszerzyć z pod lasu. Dzierżawca ustąpi, ma już tylko rok kontraktu.

— Więc Auszra już oczyszczona z długów, urządzona, zabudowana? — pytał ksiądz Antoni, odchylając kołnierz szuby, aby spojrzeć w marżące energicznie oczy Krystyny pośród zaróżowionej od mrozu twarzy.

— Ja mam prawie pewność, że Kazimierz to urządzi. Przecie tu wszystko może być: i jego przedziałnia, i nasz dom, i szkoła, i takie centrum dobrej kultury, o którym ciągle mówimy.

— Daj Boże!... zobaczymy. A nie mów tak dużo, moje dziecko, bo wiatr w polu silniejszy i pierwsze mrozy zdradliwe.

— Dobrze; tylko jeszcze powiem: właśnie to wszystko trzeba urządzić pod Rarogami, pod samym bokiem Chmary. My go przetwarzamy.

— To już pobudka gorsza — odrzekł ksiądz — nie czyni się dobrze złemu na przekorę, ale dla miłości dobra.

Teraz Krystyna zamilkła, i ujechali kilka wiorst bez rozmowy. Droga wpadła w olszynę, fioletową wśród bieli, potem w wioskę, w pas

powietrza zasłonięty, przeto cieplejszy. Przemówił znowu ksiądz Wyrwicz:

— Mówiono mi u dziekana, że Chmara przenosi się na stałe do Petersburga, a w Rarogach ma gospodarować jego synowiec pułkownik.

— To gorzej — odrzekła Krystyna.

— Dlaczego?

— Z tamtym, Eustachym, warto przynajmniej walczyć. Ten to już nic — taki sobie pułkownik.

— Oj, młodzieź! — rzekł ksiądz — konieczne walki wam potrzeba. A jednak postęp polega nie na zwalczaniu przeciwników, lecz na doskonaleniu sił dobrych. Dobro jest zaraźliwe, jak zło; samo się krzewi i roznosi, byle tylko źródło jego, ognisko, czy gniazdo jak chcesz to nazwać, pozostało czystem.

Tak się gwarzyło od czasu do czasu i jechało przyjemnie, choć mróz szczypał po twarzach. W sercach zwłaszcza było gorąco. Dojechano w niespełna trzy godziny do chaty Sidorkiewicza, pogrążonej w ciszy snu zimowego.

Nie wchodząc do wnętrza, Krystyna objęła wzrokiem kąt ziemi kochany. Jeziorko nie zamrznięte patrzyło okiem wiecznie ciemnym, choć przyprószonem po rżesach siwizną. Ziemia była jaskrawo biała, las przezroczywszy, niż w wyobraźni Krystyny; tylko piramidy

jodeł stały zgęszczonym mrokiem na tle perłowego nieba. I całe to ustronie wyglądało mniejsze, niż latem, a milczało tak głucho, jakby nie chciało nic wydać ze swych wspomnień. Zbudziła je dopiero Krystyna, odzywając się do księdza Antoniego:

— Tu pierwszy raz rozmawiałam z nim...

— Tutaj?... — uśmiechnął się blade ksiądz. — Pamiętam i ja to miejsce z przed lat... No, a teraz trzeba się jakoś dowiedzieć, w której stronie dzisiaj pracuje pan Marczak.

Wyszła z chaty żona Sidorkiewicza, odziana w męski kożuch barani, i ucałowała ręce przybywających z widocznym zadowoleniem. Gdy ją spytali, gdzie mąż i ten pan przyjezdny, nie umiała dokładnie odpowiedzieć, ale po chwili namysłu rzuciła się napowrót do chaty i wyniosła z niej niebawem rożek myśliwski sygnałowy, podając go księdzu Antoniemu.

Jednak ani ksiądz, ani Krystyna nie umieli trafić.

— Sidorkiewiczowa pewno umie?

Kobieta podniosła wstydliwie rękę do twarzy, przyczem się okazało, że ma wesołe, młode jeszcze oczy i piękne zęby, potem wzięła rożek, odwróciła się od obecnych i zatrąbiła najregularniej sygnał zborny. Po chwili takiż sygnał odpowiedział z lasu.

— Ej, niedaleko — rzekła Sidorkiewiczowa po litewsku — i pół wiorsty niema.

Zaraz ofiarowała się za przewodniczkę, i poszli we troje w las. Pytała ją Krystyna po drodze, skąd ta nauka na trąbce. Sidorkiewiczowa wstydziła się zasadniczo tego męskiego rzemiosła, nareszcie wyznała:

— Męża w lesie znaleźć czasem trzeba.

Spotkali wkrótce Marczaka, Sidorkiewiczą i dwóch jeszcze ludzi z siekierami w rękę, działających na rozrzedzonym, ale starym lesie. Technik w kożuszku, z rękoma zatkniętymi w skośne kieszenie na piersiach, dreptał śpiesznie i gniewnie od drzewa do drzewa, pociągając za sobą trzech chłopów, spocynych pomimo mrozu i lekkiej roboty. Sidorkiewicz przykładał miarę do pni wskazanych, drugi pomocnik uderzał młotem siekiery w pień, a następnie ostrzem odwalał kawał kory aż do miazgi; na tej ranie podłużnej Marczak znaczył kolorową kredą liczbę; w niektórych zaś wypadkach trzeci pomocnik wielkim zamachem tępej cechy odbijał znak jakiś tajemniczy na obnażonym miejscu pnia, który wtedy jękał głębokim, ponurym kaszlem.

Marczak nie przerwał roboty, aż dopiero gdy goście-próżniacy zbliżyli się zupełnie. Wtedy oddał ukłon i zatrzymał się, milcząc.

— Czy pozwoli nam pan trochę pochodzić za sobą?

— Proszę — odrzekł protekcyjonalnie technik właścicielce lasu.

I natychmiast rozpoczął znowu swą ponurą funkcję. Pierwszy pień napotkany z kolei była ta ogromna rosochata osika. Marczak obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem i zawołał odrazu trzeciego towarzysza, nosiciela cechy. Ten huknął w pień, obnażony już do rdzenia, bez udziału siekiery, przez wiekowe przygody, i odbił na nim czarne piętno.

— Co to znaczy? — zapytała Krystyna.

— Brak — odpowiedział Marczak, zapisując śpiesznie w dobytym z kieszeni notatniku.

Zabrał się z kolei do niegrubego stosunkowo, ale prostego dąbczaka, który gadał cicho zachowaną jeszcze koroną rudych, przemarzłych liści. Temu pan Marczak przypatrywał się uważnie, zanotował miarę grubości odziemka, potem obszedł pień dokoła z uszanowaniem, wznosił oczy aż do wierzchołka, kreślił coś w notatniku, jakby drzewo szkicował, wreszcie wziął sam siekiere, zaciął korę delikatnie i na obnażonym miejscu pnia zapisał liczbę czerwoną »rubryką«.

Pani Krystyna, niezmiernie zaciękawiona przez proceder i wynik oceny lasu, postanowiła poprosić o wyjaśnienia. Przecie ten technik należy do rodzaju męskiego, ma najwyżej trzydzieści lat, nie może być zupełnie

głuchy i nieczuły na jej uśmiech; takiego jeszcze na świecie nie spotkała.

— Niech pan coś mówi, drogi panie! — odezwała się przymilnie — mnie to tak obchodzi...

Marczak trochę się zachwiał w swym nieugiętym pochodzie.

— Ale proszę... rzecz jest prosta: taksuję każde zdadne drzewo, jedno na opał, drugie na materyał.

— I tak pan obejdzie całą puszcę?!

— A nie! — uśmiechnął się Marczak trochę bardziej po ludzku — tegobym i przez rok nie skończył. Wybieram typowe, przeciętne działki. To jest szósta półdziesiącina, którą taksuję.

— I jakże? jaki pan przewiduje wynik?

— O tem jeszcze nie mogę mieć pojęcia — wyczerpał Marczak narazie swą uprzejmość.

Szli dalej po chrupiącym, świeżym śniegu, mieszając ślady większych i mniejszych butów z hieroglifami boru, którym zwykli z lubością przypatrywać się myśliwi. Najgęściej rozrzucone były trójszponowe cienkie ślady włóczęgi wron po lesie. Tropy zajęcze znały dokładnie kierunek kicającego, szybkość spłoszonego zwierza, układały się w szlaki wspólnej, choć nie stadem, wędrowki. Większy ślad samotny zwrócił uwagę Krystyny, więc zapytała Sidorowicza:

— A tu kto był?

Sidorkiewicz, steroryzowany zupełnie przez Marcza, rzucił okiem na trop i odpowiedział cicho, po litewsku, machając ręką:

— Szunis... *)

Drzewa zdawały kolejno egzamin przed groźnym taksatorem. Jedne, wydawszy z siebie zdrowy dźwięk pod uderzeniem siekiery, zyskiwały swój patent i numer; inne, wspinałe czasem na oko, ale stoczone już chorobą, skazywał okrutny Marcza krótkim giestem na zagładę. Wtedy trzej pomocnicy, jak męskie Parki, wykonywali wyrok: jeden odejmował od drzewa miarę żywota, drugi ciął bez pardonu zwietrzałą, luźną korę, trzeci wybijał na poźółklej miazdze czarne piętno śmierci.

— Takie piękne drzewo! — żałowała zazwyczaj Krystyna pnia skazanego.

Ksiądz Antoni podążał za kompanią w ciężkich swych szopach, rozgrzany, milczący, pozornie zbyteczny, ale przyjmował swą rolę komparsa z pogodnym uśmiechem. Bywał profesorem, kaznodzieją, pisarzem, może raz być i duchowną niańką — dla Krystyny.

Po oszacowaniu jednego kapitalnego dębu, do którego oceny wezwał aż zdania Sidorkiewicza, Marcza odezwał się po raz pierwszy niepytany:

*) Pies.

— Ależ gospodarowano w tym lesie, no no!

Krystyna przysunęła się zaraz do szorstkiego jegomości, który postąpił umyślnie szybko, aby odciągnąć właścicielkę lasu od reszty obecnych.

— Żle gospodarowano? — zapytała troskliwie.

— Najprzód — mówił cicho i ponuro Marcza — las jest zupełnie przejrzały; trzeba było dawno go ciąć. Powtóre... zna pani kontrakt z kupcem Jeremiejewem?

— Kontrakt zawarty przez... pana Karola Chmarę?

— A już nie wiem, przez jakiegoś tam Chmarę. Dość, że ten Jeremiejew kupił 20,000 sztuk na wybór po 2 ruble. Rozumie pani? na wybór!

Rozcapierzoną, dłonią wygrażał sobie przed czołem, a zarazem tak gniewnie spoglądał na panią Krystynę, że aż zadziwiła się:

— Ależ, mój panie, cóż ja winna?

— Tak, wiem, mówił mi Rokszycki. Tylko uprzedzam, że ci opiekunowie pani to, to... no to poprostu skandal!

Krystyna nieomylnym instynktem poznała w Marcza zagorzałego sprzymierzeńca, jeżeli nie jej samej, to przynajmniej jej interesów. Przemówiła ze ślicznym uśmiechem:

— Mój panie drogi! proszę mi powiedzieć — więc te sprzedane drzewa dużo więcej warte?

— Ej... — zawołał Marczak przeciągle, zwracając od Krystyny w las, z giestem prawej ręki jakoby przeklinającym. Ledwie, że nie splunął.

Zawrócił znowu ku niej, trochę uspokojony, i rzekł znacząco:

— Jeszcze jedno powiem: tylko dla pani. Taksuję umyślnie jak najniżej przed miejscowymi ludźmi. Tu trzeba odkradać swój własny las.

Krystyna zrozumiała i zamilkła, wdzięcznym tylko spojrzeniem dziękując przyjacielowi Kazimierza. A Marczak szedł dalej, nienawistny i gniewny, jakby chciał zniweczyć ten las, który całym sercem pragnął ocalić.

XXX.

Oczekiwano Kazimierza w Ponikszcie od strony północnej, znowu bowiem pojechał do Petersburga. Brakło nawet listów z dni ostatnich, tylko depesze utrzymywały między narzeczonymi nie gasnącą iskrę. Od czasu przejazdu Marczaka przez Ponikszkę, który *pro forma* tylko skierował się tędy do kolei, aby oświadczyć, że skończył czynność, że »nie jest tak źle«, ale żadnych cyfr i wniosków nie powierzył Krystynie, od dwóch tygodni nie działa się nic na zewnątrz serc, bijących oczekiwaniem.

Był już ostatni dzień na przyjazd możliwy; pojutrze zaczynały się tam, w Warszawie, święta nowego stylu, nowej rodziny, do której Krystyna miała podążyć z Kazimierzem w towarzystwie panny Zubowskiej. Obie panie były do podróży przygotowane, niecierpliwe, każda po swojemu. Tylko ksiądz Antoni filozofował smutnie, że, gdyby Kazimierz

nie zjawił się, to zapewne nie mógł, to może i lepiej?...

— Ale gdzie tam, księże profesorze! Musi przyjechać przyjedzie!

Ostatnim możliwym pociągiem, o ósmej rano, wpadł Kazimierz razem ze świtem do dworku, gdzie panie, już ubrane, i ksiądz Antoni, powołany z altaryi o niezwykłej godzinie dla nadzwyczajności tego dnia, powitali go razem. Dzień był najkrótszy w roku, najpilniejszy, dzień przesilenia.

Kazimierz, choć strudzony i niewyspany, wyglądał zwycięsko. Po pierwszych zaraz słowach powitania, wśród nienasyconych spojrzeń, rwących się rąk do uścisków, ogłosił poprostu:

— Odkupiłem kontrakt Jeremiejewa. Mam go w kieszeni, tu.

Obudził radość, jednak nieproporcjonalną do swojej, więc zawołał:

— Nie wiecie, co to jest! To jest Auszra uratowana, to wyzwolenie! moja... pani jedyna!

Krystyna zrozumiała tylko... że on jest zbawcą. Wyciągnęła do niego ramiona i szyję, a on ją chwycił w niecierpliwe objęcia, przytulił głowę jej do wezbranej miłością piersi i całował bez pamięci jej włosy i oczy.

— Ach! — krzyknęła panna Zubowska.

Ksiądz Antoni patrzył na szczęście ziem-

skie burzliwe, i dobre łyzy niezazdrosne stanęły mu w oczach.

— Chwalcie Boga, moje dzieci! — rzekł, wznosząc ręce.

Chwila była zbyt przesycona wzruszeniami, aż oniemiała wszystkich, zakłopotala. Usiedli naokoło stołu.

— Więc jakże to zrobileś? — pytała Krystyna, gwiazdzistemi oczyma wpatrując się w Kazimierza.

— Zrobiłem. Na szczęście Jeremiejew nie doceniał wartości tego, co kupił przed pięciu laty. Eustachy Chmara stawiał mu pewne trudności formalne co do wyrąbania, chciał zamienić kontrakt na odpowiedni dług, płacił procenty...

— Widzisz, Krysiu — przerwał ksiądz Wyrwicz — pan Eustachy zajmował się jednak twojemi sprawami; nie można go tak ostro sądzić.

— Niech ksiądz profesor posłucha do końca — ciągnął dalej Kazimierz. — Ledwie, ledwie, żem się nie spóźnił do Petersburga i nie dał się ubiedz komuś, który już uprzednio chciał ten kontrakt nabyć. Proszę zgadnąć, kto taki?

— Sam Chmara?! — zawołała Krystyna.

— Niezupełnie on, ale — księżna Zasławska.

— Ach! ta propozycja Chmary w Wiszuanach!

— Tutaj schwytana została przeze mnie na gorącym uczynku — dodał Kazimierz. — Plenipotent księżnej, mający też i pełnomocnictwo Chmary, traktował poprostu z Jeremiejewem o nabycie kontraktu za podwójną cenę kupna. Na szczęście jednak Jeremiejew nie zgodził się, żądał więcej. Ja tymczasem przyjechałem, znając już ocenę Marczaka — i dobiłem targu.

— Ileż to wyniosło? przecież mi powiesz? — spytała Krystyna.

— Sto tysięcy rubli, jeszcze trzy razy mniej, niż to warte!

Blogie zdumienie ogarnęło słuchaczy. Ksiądz Wyrwicz zdawał się niedowierzać.

— Ależ, panie Kazimierzu, taka suma! Czy pan zupełnie pewien tej oceny?

— Cenił Marczak, księżę profesorze, Ten człowiek nie myli się wogóle, a tutaj cenił z największą ostrożnością.

— A ileż warta mniej więcej cała puszcza?

— Bez wycofania tego kontraktu — mało. Teraz staje się bogatym i ogromnym warszłatem dla kogoś, który to kocha, który chce...

— Dla nas — dokończyła Krystyna.

— Tak, dla nas, moja ty... W każdym razie niema już mowy o grożącej ruinie. A po tężny pan Chmara mógł ją tak łatwo usunąć!

Kazimierz otwarcie i radośnie ogłaszał to wszystko. Gdy jednak wspomniał o Chmarze

i o księżnej Zasławskiej, nie mógł powściągnąć ironii:

— Pan Chmara, oczywiście, zajęty wielką polityką, nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze stanu rzeczy. Lepiej już oceniła go księżna Zasławska; pragnęła przyjść z pomocą przyjacielowi i... zrujnowanej krewnej.

Cisza zaległa; nawet ksiądz Antoni nie znalazł słów na obronę kombinacji Chmary z księżną Zasławską.

Nowa, pogodniejsza zagadka zajęła Krystynę.

— Skądże to mój pan narzeczony nabrał tyle pieniędzy, aby wszystkiemu podolać?

— Mówiłem ci, jakiego mam ojca — odrzekł Kazimierz. — Ojciec zaraz po naszych zaręczynach podał się o najwyższą pożyczkę Towarzystwa Kredytowego, aby nam przyjść z pomocą; a teraz, gdy mu całą sprawę i nagłość jej przedstawił, pojechał ze mną do Warszawy, użył całego swego kredytu, nosił mi pieniądze garściami. Płaciłem gotówką, przekazami, weksłami, ale zapłaciłem.

— Jutro go zobaczę w Warszawie, prawda? — zawołała Krystyna ze łzą nagłą w oczach.

— Będą rodzice oboje; już wiedzą — odpowiedział Kazimierz.

Jakby przygnębienie padło na wszystkich od nawału tych radosnych nowin. Siedzieli, milcząc, w niewielkim pokoju, oświetlonym

jeszcze dwiema świecami, czerwieniejącymi coraz bardziej od blasku dnia, który na niebo wstępował promienny. Krystyna wzrok utkwiała w górne szyby okna, wzrok jakby rozmodlony do wschodzącego światła. I rzekła gorącym szeptem:

— Auszra...

Ksiądz zrozumiał i, potakując głową, wznosił ją także w górę, gonił oczyma złoto-różowe blaski na niebie. Ale, spostrzegłszy, że Kazimierz szuka wytłómaczenia, objaśnił:

— »Auszra« znaczy po litewsku: jutrznia.

— Ach tak?! Więc jutrznia nasza!

* * *

Religijny półmrok, pomimo wielu światel zapalonych, panował w kaplicy świętego Kazimierza przy katedrze wileńskiej. Z czarnego marmuru ścian ośmiu srebrnych Jagiellonów spoglądało uroczyście na obrzęd, odbywający się przed ołtarzem, gdzie trumna świętego z ich familii, zawieszona wysoko, pływała w niebie jasnym, lekko w kunsztownej rzeźbie wyobrażonem. Z bardzo daleka, z sąsiedniej wielkiej nawy katedralnej, dopływał dźwięk organów tyle tylko, aby rozmarzyć modlitwy, płynące rytualnym szeptem w tej pięknej komnacie Bożej i narodowej, siostrze kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu. Mszę świętą odprawiał ksiądz Antoni Wyrwicz.

Bez ujmy dla królewskich wspomnień kłęzczała para nowożeńców przed stopniami ołtarza na dwóch karmazynowych kłęcznikach. Przejmujący był ich piękny spokój; ich młoda powaga biła blaskiem otuchy i nadziei na twarze zgromadzonych towarzyszy i seniorów.

— Kto tak pewny jutra i siebie nawzajem, jak oni? — myśleli młodzi.

— Myśmy dążyli, oni dojdą — dumali starsi.

W pulpitowych ławach, na krzesłach i fotelach, na kłęczkach i stojący, ludzie, którzy dzisiaj asystowali ślubom Kazimierza i Krystyny, przyjezdni z różnych stron, czuli się tu u siebie, równouprawnieni w dostojęństwie, spływającym na nich ze wspólnego ołtarza. Janowie Rokszycy i Kmitowie, Budziszowie koronni i litewscy odnajdywali tu swe pierwsze wzruszenia młodości, nie zamacone przez nic obcego; Jan Miłaknis stał pod posągiem króla, który wyrósł z jego rasy; Franciszek Marczak czytał na marmurze; tu spoczywa serce Władysława IV-go, króla polskiego. Na chwilę uroczystą, między sercami wzniesionemi była unia wspomnień i unia życzeń dla dobrej młodzi, łączącej się przed ołtarzem nowym związkiem między Koroną i Litwą.

Zauważono ich głosy stanowcze i nietrwożne, ich mocną i nieprzymuszoną wolę zaprzysiężenia sobie miłości i wiary.

Po dokonaniu obrzędu ksiądz Wyrwicz

stanął przy pulpicie od mszału i, zwrócony do obecnych, tak przemawiał od ołtarza, od trumny świętego Jagiellończyka:

— Cieszcie się w Panu, zebrani tu synowie rozległej ziemi! Oto przybywa nam mocna ostoja przyszłości w związku tych dwojga, którzy dozgonnie łączą się dzisiaj przed ołtarzem. Rycerze to są, nie z tytułów tylko odziedziczonych, które, jak wiara, bez uczynków są martwe, rycerze to nowego autoramentu. W miłowaniu i w pracy zakładają cel swój i chlubę swoją; miłośnikami będą obu plemion bratnich, ziemię naszą zdawna osiadających. Wstępując w koło nasze społeczne, nie na wodzów i dyktatorów nam przybywają, lecz aby węzłem swych młodych dłoni pomnożyć i utwierdzić łańcuch ogólny rąk, pilno tu wspólnej ojczyźnie potrzebny.

Mocno mówił ksiądz Antoni, przypomniał młodość swą kaznodziejską i duszę odmłodzoną kładł w słowa, dźwięczące miłością i przekonaniem. Nikt z obecnych nie myślał o tem po chwili, jak mówi, lub jak wygląda każący kapłan, poczuli zaś wszyscy jedną gorącą wolę, która, topiąc kruszce serc, pociągała je ku sobie wzajemnie i pociągała razem do pragnień zgodnych i wysokich. Wyszły jakoby z ciał dusze potomków i uskrzydłone niosły się hucem ku wielkim ojcom zapomnianym.

Bo ksiądz nie mówił już o parze nowożeńców, lecz rozszerzał kregi myśli, budził święte wizye wspólnych przez wieki losów, sojuszów, miłością i krwią spieczętowanych, poczętych w zgodzie i w chwale, wypróbowanych w niedoli, wiernych jeszcze do wczoraj.

Aż mówca głos zniżył i jakby go rozsypał w pokłonie przed głosem większym, którego był tylko heroldem. Wziął z ołtarza kartę, położoną na mszale, i odtąd czytał, nawołując zgromadzonych pamiętnymi słowami testamentu ostatniego z Jagiellonów, Zygmunta Augusta:

— »Przeto prosimy i upominamy, dla Pana Boga i dla dusznego zbawienia, aby wszyscy obywatele tak koronni, jako Wielkiego Księstwa Litewskiego, byli i żyli w jednej wierze chrześcijańskiej jednostajnie, jako Bóg Ojciec z Synem w jednostwie Ducha św. jeden jest. Potem też wszystkich stanów przez Boga żywego zaklinamy, aby będąc obywatelami tak Korony, jako W. Ks. Lit., byli jedną nierozdzielną Rzeczpospolitą wedle postanowienia sejmu lubelskiego, teraz dwuletniego, i poprzysiężenia, miłując się braterską miłością, szczerze, prawdziwie, jako jednego ciała członki i jednej nierozdzielnej Rrzpltej ludzie nic jedni nad drugimi zacnością i dostojstwem sobie nie przywłaszczając, chcieli aby Pan Bóg, który będąc jednym, w jedności

się kocha, długo te Państwa zjednoczone pomnażał i wspomagał. Przeto tym naszym testamentem obiemu Państwu, Koronie Polskiej i W. Ks. Lit., dajemy i odkazujemy i zostawujemy miłość, zgodę, jedność, którą przodkowie nasi po łacinie Unią zwali i mocnymi spiski obywatelów obojgo Państwa na wieczność ukrzepili«.

»A który tych dwóch narodów, tę Unię od nas wdzięcznie przyjąwszy, mocno trzymać będzie, tym to błogosławieństwo dajemy, aby Pan Bóg w łasce swej, w szerokim i wspólnem panowaniu, we czci i sławie postronnej i we wszystkim dobrem i potrzebnem przed inne narody wysłał i wywyższył. A który zasię naród niewdzięczen będzie i dróg do rozdwojenia będzie szukał, niechaj się boi gniewu Bożego, który ma w nienawiści, przeklinając sięjące niezgodę między braćmi. Za którym przeklęctwem i gniewem Bożym niczegoby się inszego nie bać, jedno doczesnego tu, a potem wiecznego zginienia, od którego racz, Panie Boże, zachować, a racz to w tem obojgu Państwie utwierdzić, coś w niem przez Nas sprawił«.

Szedł dreszcz na obecnych od posągów królewskich.

XXXI.

Szybko dni upływają młodym we dwoje, gdy świat ich cały jest do urzędzenia, a moce wszystkie w nich wartkie, a słońce kochania nie zachodzi — szybko jedzie szczęście. Nie ma dla nich złej pory roku, niema przeszkód ciężkich i nienawistnych: w mrozie widzą tylko okazyę przytulenia się do siebie, w trudnościach losu — rozkosz pewnego zwycięstwa.

Państwo Kazimierzowie zaraz po ślubie pojechali do Auszry, do drewnianego domku dzierżawcy urządzonego pośpiesznie na ich mieszkanie, i przekonali się, że nigdzie na świecie nie mogłoby im być lepiej. Przebyli tam cały luty, marzec, kwiecień...

Już maj! Już wody spłynęły niewiadomo gdzie i kiedy, zazieleniała ruń, zgęstniała puszcza nowym, ciepłym cieniem. Kraina obudziła się odrazu, wyspana i świeża, stroiła się pośpiesznie, poskoczyła raźnie ku swoim robotom i uciechom. Pierwszy drozd zagwizdał przenikliwie na chwałę nowej wiosny.

W maleńkim, dorobkowym domku pod puszczą auszrańską nie snuło się przez koniec zimy sielanki na wzór »szczęścia w chatce«. Nie było tam leniwych gawęd przy porannej kawie, ani nawet czytania wierszy. Piękność zespołu dwóch istot, wybornie dobranych ubierała poezją żywą wszystkie ich dni wspólne, gorąco pracowite. Młoda krew, najsilniejszy motor świata, ładowała siłę, niby w akumulatory, które niebawem miały być użyte do wielkich robót.

Widziano ich zawsze razem, często na dworze pod byle jaką pogodą, w lesie, w krótkich podróżach. Mówili jedni o nich, że kochają się, jak żołnierz i markietanka, drudzy, że »dziwaczą się«. Jedną mieli cechę wspólną z zakochanymi wszystkich czasów, że nie szukali obcego towarzystwa.

Mnóstwo projektów realnych żywiło ich nieustanne porozumienie; niektóre z tych projektów były już narysowane na papierze, a nawet na gruncie. Przez zimę pracowały w puszczy topory ciesielskie nad wyrobem belek, zwożono saniami materiał budowlany na miejsce obrane, gdzie stanąć miała nowa Auszra, osada wspiana. Przeznaczono na wyrąb spory kawał puszczy, przyległy do folwarczku, mniej piękny. Za dwa, trzy lata pagórki te, dzisiaj leśne, pokryją się bujnym zbożem na nowinach. Gdy ustępowała zima

i ciężkie skorupy śnieżne rozplywały się strumieniami przez coraz śmielszą zieleń wąwozów, żalowano niemal, że idzie wiosna, że nie da już w tym roku wyczerpać wszystkich zadań, zakreślonych na zimową porę.

Ale, gdy przyszła królewska Pani do Auszry i stanęła w kwiatkach, w wonnym wietrze i w nowem drzeniu eteru między puszczą a rozłogami pól, Kazimierz i Krystyna uczuli dopiero pełnię tchnienia, i radość każdego kroku po ziemi odnowionej, i udział swój konieczny w wielkiej miłości wszechświata, czyniącej swe nieśmiertelne dziwy.

Cieszyła się cała ziemia weselnymi głosy. Czajki pokrzykiwały z podziwu nad umajoną łąką, z uciechy przewracając w powietrzu koziolki. Tokowały napuszone cietrzewie na rzadkim lesie, ciągnęły chrapliwe słonki przez mokre polany podczas lubieżnych godzin walki dnia z nocą. Zwierz włochaty większy i mniejszy niepokoił się po puszczy, stęskniony i wychudły od przemożnego instynktu poszukiwania sobie pary. Parzyły się wielkie twory leśne i drobne żuczki w trawie, mieszkańcy wód, rośliny i wszystko, co chciało żyć. Jednak nie tylko ten instynkt gnał je ku sobie. Bogini wiosny zamieszkała w kraju i rozpoetyzowała całe stworzenie. Leśnicy, nocujący w puszczy, spotykali wilki, niepamiętne żeru, ani miłosnych harców, wyjące z tęsknoty do księżycyca.

Widzieli losie, jak nieruchome stały długo na miejscu, z oczyma łzawemi od marzeń wiosennych. Skowronki nie sobie śpiewały, lecz słońcu; jaskółki bez innego celu śmigaly w kręgi ponad wodami, jak tylko aby tańcem obchodzić święto wiosny.

Zakochanym mijał maj szybciej jeszcze, niż poprzednie miesiące; rozkosz majowa porывała ich do pracy, jak do pocałunku, i niosła lotnie przez czas nie mierzony, lity skarbami młodej miłości. Gdyby słabsi byli, płakaliby z rozkoszy.

Stoją na wzgórzu, oddalonym o trzysta kroków od folwarczku. Tu pod pałacem już słońcem, wyrasta z ziemi ich nowa siedziba. Nieużyteczny dotąd gaj na wzgórzu staje się odrazu parkiem; niżej przepływa ruczaj, idący z lasu, szumny teraz, obficie podsycany z ciemnego kruża jeziorka »pod Sidorkiewiczem«, zbierającego wody leśne. Samego jeziorka stąd nie widać, ale piętrzy się w dalekiej perspektywie zielony amfiteatr pośród zamykającej widnokrąg puszczy. Tam był początek ich wspólnej myśli, tam podszeptęła im nimfa pierwsze ich na kraj ten zamiary, stamtąd nad Auszrą powstaje codzień słońce.

Na łagodnym stoku wzgórza wre robota mularska; woń wapna, ociosanego drzewa i wyrzuconej ziemi miesza się z zapachem otaczających drzew majowych. Powstają bo-

wiem naraz trzy budynki: dwór, dom dla pracowników rolnych i szkoła wiejska. W następstwie będzie tu mnóstwo murów i drewnianych zrębów; tymczasem wiechy, wytykające węgly i drogi, składają niby wojsko około przyszłej osady malowanej wyobraźnią na błękitach.

Kazimierz ma ręce uwalane w różowym pyłe, snadź przykładał je dopiero co do roboty przy węgle domu, który krwawym zębem wyrznął się już z ziemi, podczas gdy szwadron mularzy zaledwie do połowy ciała z niej się wynurza, cicho podzwaniając kielniami po cegle, chlapiąc szarem wapnem. Po szczeblowanych pomostach drepcą boscie stopy dziewczek, jednobarwne z murem, ciężko przylegające pod brzemieniem noszonych cegieł i pełnych szaflików. Mur mlaszcze z ukontentowania, że wyziera na piękny świat Boży.

Krzyszczyna w szarej sukience, w małym słomianym kapeluszu, chce wejść na osychający, najwyżej wzniesiony węgiel, aby zobaczyć, co już z niego widać po okolicy. Kazimierz podaje jej rękę z niezwykle bojaźliwą troskliwością, jakby nie dowierzał, czy noga jej, zgrabna, jak sarny, nie chybi kroku po ceglach. I ona przyjmuje bez urazy ramię jego pewne i kochane. Patrzy — o! widać już dużo! To będzie ściana tego najnowszego... dziecinnego pokoju. A Kazimierz patrzy tylko na Kry-

stynę, na świat swój dzisiejszy i przyszły, w jej oczach odbity.

Parno dzisiaj, jak w lecie. Jaskółki śmigają nisko ponad łąką; przeleciało ich kilka nad budującym się wzgórzem, tuż przed oczyma młodych władców, aby zajrzeć im w oczy błyskawicznie i zapytać: »Będzie tu dla nas miejsce na gniazda?« — i spadły pędem w niziny. Szybka chmura ogarnia niebo od zachodu, płamiąc ciemnymi zaciekami bielsze chmurki, zgromadzone na szczycie sklepienia. Słońce leży jeszcze na wzgórzu, ale już gaśnie pod nadciągającą przesłoną, która idzie po niebie skłębionym dymem, a po ziemi lekkim, przezroczystym cieniem. Ówdzie, przedarłszy się przez oponę chmury, słońce jeszcze oświetla daleką połąć kraju, wyjętą z okólnego pomroku, ale sennie, przez mgłę z ukośnych nici uprzedzoną.

— Przyjdzie tu deszcz, czy przeminie bokiem?

— Burza idzie, panoczku — rzekł starszy mularz, odkładając kielnię i ocierając fartuchem uwapnione ręce.

Z nieba padł znak, że mularz ma słuszność. Blask obcy, nieprzyjazny światłości dziennej, zaniepokoił mgnieniem oczy wróżących o pogodzie. Po długiej chwili pomruk, z łona chmury poczęty, przeleciał nad wzgórzem, wpadł w puszcę, rozhukał się po niej,

powrócił na wzgórze kilkakrotnie, napelnił powietrze grzmiącym śmiechem.

— Co za echo! — rzekła Krystyna, stojąc ciągle na murze.

Jak toasty pośród uczy, powtarzały się po cichych błyskawicach grzmoty aprobacyjne młodej ziemi. Wonie przywiały mocne od łąk i pól, bo już Poświęt, burzy poprzednik skoronogi, mknął rozwichrzony, wstrząsając tyrsy zielone, podnosząc pył na drogach, przychylając korne czoła traw, marszcząc poważne oblicza wód. Pojedyncza wielka kropla, wyprzedzająca ulewę, rozprysła się głośno na cegle pod nogami Krystyny.

— Trzeba wracać! — zawołał Kazimierz, wyciągając do niej ręce.

Patrzyła jeszcze przed siebie, przejęta czarem nadciągającego żywiołu, w nozdrza chwytając wiatr pachnący, ale posłuszne wyciągnęła ramiona do Kazimierza, nachyliła się do niego całą postacią ze swego piedestału.

On ją chwycił ostrożnie, przytulił oburącz i niósł.

Niósł ją tak po drodze pochyłej ze wzgórze, bacząc pilnie na grunt, gdzie stawał swe stalowe nogi. Stąpił śpiesznie i pewnie, unosząc pod dach bezpieczny radość i przyszłość swej krwi, połowę swej duszy. Nie puścił z objąć drogiego brzemienia na drodze już równej, zdwoił jeszcze kroku, sunął elastycznie

cznie, podwyższony o głowę jej, która spo-
częła, ufna i płonąca, na jego głowie. Gdy
dopadł do chaty, ulewa zadzwoniła we drzwi
i okna zamknięte.

Pośród takich rojeń i przygód budowali
państwo Kazimierzowie Rokszycecy swój nowy
dom na Litwie.

K O N I E C .



TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

	Rb. k.
Dni polityczne. Ser. I. Narodziny działacza, rok 1905	1 —
— Ser. II. W ogniu (R. 1905—1906)	1 —
Sprawa Dołęgi	1 80
Na papierze czerpanym	4 —
Syn marnotrawny	2 20
Za błękitami. Z ilustr. K. Gorskiego. Wyd. drugie	
W ozdobnej oprawie	1 40
Zaręczyny Jana Bełzkiego. Z ilustracyami K. Gor- skiego. Wydanie drugie	1 —
W ozdobnej oprawie	1 40
Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego. Wydanie czwarte	1 50